

MICHAEL CONNELLY

Cmentarzysko

Przełożył Marek Mastalerz

Tytuł oryginału: CITY OF BONES

Copyright © 2002 by Hieronymus, Inc.

This edition published by arrangement with Little, Brown and Company

New York, New York, USA.

All Rights Reserved

Fotografia na okładkę: „Kristian Septimius Krogh

Projekt graficzny okładki: Sylwia Martyna

Redaktor serii: Renata Smolińska

Redakcja: Jacek Ring

Redakcja techniczna: Jolanta Trzcicka-Wykrota

Korekta: Bronisława Dziedzic-Wesołowska

Łamanie: Anna Nieporęcka

ISBN 978-83-7469-811-5

Warszawa 2008

Wydawca:

Prószyński i S-ka SA

02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7

www.proszynski.pi

Druk i oprawa:

Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Anczyca S.A.

30-011 Kraków, ul. Wrocławska 53

Rozdział 1

Staruszka nie chciała umierać, rozmyśliła się, ale było za późno. Połamała paznokcie, drapiąc farbę i tynk na ścianie. Potem usiłowała wepchnąć krwawiące palce pod sznur na szyi. Podczas kopania w ścianę złamała cztery palce. Tak bardzo walczyła, wykazała tak wielką chęć życia, że zmusiło to Harry'ego Boscha do zastanowienia się, co popchnęło ją do samobójstwa. Gdzie podziała się ta wola i determinacja, kiedy zakładała przedłużacz na szyję i przewracała krzesło, na którym stała? Dlaczego zniknęły?

Takie pytania nie mogły pojawić się w raporcie. Ale Bosch wciąż o tym rozmyślał, siedząc w radiowozie pod domem opieki Splendid Age przy Bulwarze Zachodzącego Słońca na wschód od Hollywood Freeway. Była 16.20 pierwszego dnia nowego roku; Boschowi wypadł świąteczny dyżur pod telefonem.

Minęła ponad połowa dnia, a na dyżur złożyły się dwa wyjazdy do samobójstw - jednego dokonanego za pomocą broni palnej, drugiego - przez powieszenie. Ofiarami były kobiety. W obu wypadkach oznaki wskazywały na depresję i desperację. Samotność. W Nowy Rok zawsze przydarzało się mnóstwo samobójstw. Chociaż większość ludzi witała ten dzień z nadzieją, zdarzali się i tacy, dla których był to odpowiedni dzień na śmierć. Niektórzy - jak ta staruszka - dopiero ponieważ uświadomili sobie własny błąd.

Harry wyrzwał przez przednią szybę, gdy przykryte zielonym kocem ciało samobójczyni wtaczano na noszach do niebieskiej furgonetki z biura koronera. Wewnątrz było widać jeszcze jedno przykryte nosze, leżała na nich ofiara wcześniejszego samobójstwa, trzydziestoczteroletnia aktorka, która zastrzeliła się w samochodzie, zaparkowanym w punkcie widokowym na Hollywood przy Mulholland Drive. Bosch i ekipa z biura koronera przyjechali razem z miejsca pierwszego samobójstwa na drugie.

Zacwierał telefon komórkowy. Bosch z zadowoleniem zareagował na dźwięk, który oderwał go z rozmyślań o tych zgonach. Dzwonił Mankiewicz, sierżant dyżurny komendy Hollywood Departamentu Policji Los Angeles.

- Skończyliście już?
- Zaraz odjeżdżam.
- Coś ważnego?
- Samobójczyni, która się rozmyśliła. Masz coś jeszcze?

- Tak. Ale uznałem, że nie powinienem zawiadamiać cię o tym przez radio. Dziennikarze mają dzisiaj mnóstwo wolnego czasu, dostają więcej telefonów od reporterów niż zgłoszeń od ludności. Wszyscy pismacy chcą sklecić materiał o tej aktorce. Historyjkę spod znaku „śmierć hollywoodzkiego snu”, rozumiesz. Pewnie rzuciliby się i na najnowsze zgłoszenie.

- O co tym razem chodzi?

- Właśnie zadzwonił jakiś gość z Wonderland Avenue. W Laurel Canyon. Mówi, że jego pies biegał po lesie i wrócił z kością w pysku. Facet twierdzi, że to ludzka kość - ramię dziecka.

Bosch mało nie jęknął. Tego rodzaju zgłoszenia zdarzały się cztery, pięć razy w roku. Po hysterii zawsze następowało proste wyjaśnienie: kość była pochodzenia zwierzęcego. Bosch zasalutował przez szybę dwóm noszowym z biura koronera.

- Wiem, o czym myślisz, Harry. Znowu zwracanie głowy jakimś gnatem. Zdarzało się to setki razy i zawsze kończyło tak samo. Kojot, łania, cokolwiek. Ale posłuchaj, ten facet z psem to lekarz. Mówi, że nie ma żadnych wątpliwości. To kość ramienna. Nazwał to nawet po łacinie: humerus. Mówi, że należała do dziecka, Harry. I coś jeszcze: słuchaj uważnie. Powiedział, że... - Zapanowała cisza; Mankiewicz najprawdopodobniej wertował notatki. Bosch patrzył, jak niebieska furgonetka z biura koronera włącza się do ruchu. Gdy Mankiewicz odezwał się ponownie, niewątpliwie czytał: - Kość nosi wyraźny ślad złamania tuż nad

nad kłykiem środkowym - cokolwiek to jest. - Bosch zacisnął szczęki. Poczul przebiegający mu po karku dreszcz. - Czytam z notatki; nie wiem, czy dobrze zapisałem. W każdym razie problem w tym, że według

lekarza to był dzieciak, Harry. Nie psuj nam więc humoru i sprawdź ten humerus, dobrze? - Bosch nie odpowiedział. - Przepraszam, nie mogłem sobie odmówić.

- Naprawdę śmieszne, Mank. Jaki adres?

Mankiewicz podał go i powiedział, że wysłał już wóz patrolowy.

- Miałeś rację, że nie użyłeś radia. Niech tak zostanie.

Mankiewicz się zgodził. Bosch złożył telefon i włączył silnik.

Przed zjechaniem z krawężnika obejrzał się na wejście do domu spokojnej starości Splendid Age. Wbrew nazwie nie było w nim żadnego splendoru. Zdaniem personelu kobieta, która powiesiła się w garderobie przy miniaturowej sypialni, nie miała żadnych krewnych. Po śmierci czekało ją to samo co za życia - samotność i zapomnienie.

Harry zjechał na ulicę i ruszył w stronę Laurel Canyon.

Rozdział 2

W trakcie jazdy w głąb kanionu, a następnie ku Lookout Mountain w stronę Wonderland Avenue, Bosch słuchał relacji z meczu Lakersów. Nie śledził z nabożnym skupieniem rozgrywek NBA, ale chciał się zorientować, jak wygląda sytuacja, na wypadek gdyby potrzebował swojego partnera, Jerry'ego Edgara. Bosch dyżurował sam, ponieważ Edgarowi poszczęściło się i dostał dwa bilety w doskonałym sektorze. Harry zgodził się zająć wezwaniami i nie zawracać partnerowi głowy, chyba że zdarzy się morderstwo czy coś innego, z czym nie będzie mógł się sam uporać. Bosch był sam jeszcze z jednego powodu: trzecia członkini zespołu, Kizmin Rider, dostała prawie rok wcześniej przeniesienie do wydziału zabójstw i rabunków - co stanowiło awans - i do tej pory nie przydzielono nikogo na jej miejsce.

Zaczynała się trzecia kwarta, a wynik meczu z Trail Blazers był remisowy. Chociaż Bosch nie należał do zapalonych amatorów koszykówki, trochę na ten temat wiedział, ponieważ Edgar ciągle gadał o meczu i prosił, by zwolnić go z dyżuru pod telefonem; podobno był to pojedynek z jednym z najpoważniejszych rywali drużyny z Los Angeles. Harry zdecydował się nie wzywać Edgara przez pager, dopóki nie dotrze na miejsce zdarzenia i nie oceni sytuacji. Wyłączył radio, gdy w kanionie przestał odbierać na falach długich.

Podjazd był stromy. Laurel Canyon wrzynał się w góry Santa Monica. Boczne drogi odchodziły po kolei ku wierzchołkom gór. Wonderland Avenue kończyła się ślepo w ustronnym zakątku, gdzie na urwistym terenie stały domy po pół miliona dolarów, skryte wśród gęstego lasu. Harry instynktownie czuł, że poszukiwanie kości w tej okolicy będzie logistycznym koszmarem. Zaparkował za wozem patrolowym, który już dotarł pod podany przez Mankiewicza adres, i popatrzył na zegarek. 16.38. Zapisał godzinę na nowej stronie notesu. Oceniał, że za niecałą godzinę zajdzie słońce.

Zastukał do drzwi, które otworzyła nieznana mu funkcjonariuszka. Na plakietce widniało jej nazwisko: Brasher. Zaprowadziła go w głąb domu do gabinetu, gdzie jej partner, Edgewood - jego Bosch znał - rozmawiał z siwowłosym mężczyzną, siedzącym za biurkiem zawałonym papierzykami. Stało na nim pudełko po butach, z którego zdjęto pokrywkę.

Bosch wszedł i przedstawił się. Siwowłosa mężczyzna powiedział, że nazywa się Paul Guyot i jest lekarzem ogólnym. Wychyliwszy się naprzód, Bosch zobaczył, że w pudełku znajduje się kość, która ich tu wszystkich sprowadziła. Była ciemnobrązowa i wyglądała jak węzłasty, przyniesiony przez prąd rzeczny kawałek drewna. Zobaczył również psa, który leżał na podłodze obok fotela lekarza. Pies był wielki, żółtej maści.

- A więc o to chodzi - powiedział Bosch, zaglądając ponownie do pudła.

- Tak, detektywie, to wasza kość - odrzekł Guyot. - Jak widać... - Sięgnął na półkę za sobą po ciężki tom „Anatomii” Graya i otworzył ją na wcześniej zaznaczonej stronie. Bosch zauważył, że lekarz ma na dłoniach lateksowe rękawiczki. Na karcie znajdowały się ilustracje ukazujące kość z przodu i z tyłu. W rogu strony był mały szkic szkieletu z zaznaczonymi kośćmi ramiennymi obu rąk - ... jest to kość

ramienna - dokończył Guyot, stukając w obrazek. —A tutaj mamy znaleziony okaz. - Wyjął ostrożnie kość z pudełka. Trzymając ją nad ilustracją w książce, przeprowadził porównanie kolejnych punktów topograficznych: - Nadkłykieć środkowy, bloczek, guzek większy i mniejszy - powiedział. - Wszystko się zgadza. Właśnie mówiłem tej parze funkcjonariuszy, że nie muszą nawet zaglądać do anatomii, żeby poznać się na kości. Jest ludzka, detektywie. Bez żadnych wątpliwości.

Harry popatrzył! Guyotowi w twarz. Przebiegł po niej ulotny dreszcz; niewykluczone, że była to pierwsza oznaka drżenia parkinsonowskiego.

- Jest pan na emeryturze, doktorze?

- Tak, ale to nie znaczy, że nie rozpoznam kości, jeśli mam ją...

- Nie kwestionuję pana wiedzy. - Bosch zmusił się do uśmiechu. - Skoro pan mówi, że jest ludzka, to panu wierzę, zgoda? Po prostu staram się zorientować, na czym stoimy. Może pan ją już włożyć do pudełka. - Guyot schował kość w kartonie. - Jak się wabi pański pies?

- Calamity. - Bosch popatrzył na sukę. Chyba spała. - Jako szczeniak sprawiała mnóstwo kłopotów.

Bosch pokiwał głową.

- Jeśli nie trudzi pana powtarzanie, to może opowie pan raz jeszcze, co się dzisiaj wydarzyło.

Guyot opuścił rękę i pogładził Calamity. Popatrzyła przez chwilę na swojego pana, po czym znów opuściła łeb i przymknęła ślepią.

- Zabrałem Calamity na południowy spacer. Zwykle po dojściu do ronda zdejmuję jej smycz i pozwalam pobiegać po lesie. Lubi to.

- Co to za pies? - zapyta! Harry.

- Żółty labrador - odpowiedziała szybko Brasher zza jego pleców.

Bosch obejrzał się na nią. Zdała sobie sprawę, że wtrącenie się było błędem, kiwnęła głową i cofnęła się do partnera stojącego w drzwiach gabinetu.

- Możecie już jechać, jeśli macie jakieś wezwania - powiedział Bosch. - Poradzę sobie.

Edgewood skinął głową i dał partnerce znak, że wychodzą.

- Dziękujemy, panie doktorze - powiedział przed odejściem.

- Nie ma za co.

Boschowi nasunęła się pewna myśl.

- Hej, chwileczkę. - Edgewood i Brasher odwrócili się. - Nie meldujcie o tym przez radio, dobrze?

- Załatwione - odparła Brasher, nie odrywając od Boscha wzroku, dopóki nie popatrzył w inną stronę.

Po wyjściu funkcjonariuszy Harry odwrócił się do lekarza i dostrzegł, że drżenie mięśni twarzy stało się nieco wyraźniejsze.

- Z początku też mi nie wierzyli - powiedział Guyot.

- Po prostu dostajemy mnóstwo takich zgłoszeń, ale ja panu wierzę, doktorze, więc niech pan opowiada dalej, dobrze?

Guyot kiwnął głową.

- Cóż, doszedłem do ronda i zdjąłem smycz. Calamity czmychnęła do lasu - lubi tam biegać. Jest wytresowana. Wraca, kiedy zagwizdę. Kłopot w tym, że nie potrafię już głośno gwizdać, toteż jeśli dobiegnie gdzieś, skąd mnie nie słyszy, to muszę czekać - rozumie pan.

- Co się stało, kiedy znalazła kość?

- Zagwizdałem, ale nie przybiegła.

- Czyli była dość daleko.

- Właśnie. Czekałem i czekałem. Zagwizdałem jeszcze kilka razy, aż wreszcie wyszła z lasu koło domu pana Ulricha. Trzymała kość w pysku. Najpierw pomyślałem, że to patyk, rozumie pan, że chce się bawić w aportowanie. Kiedy jednak podeszła bliżej, rozpoznałem kształt. Zabrałem kość - musiałem się niemal bić o nią z Calamity. Później zadzwoniłem po waszych ludzi, ale najpierw przyjrzałem się jej w domu dokładnie, żeby się upewnić.

Po waszych ludzi, pomyślał Bosch. Zawsze brzmiało to tak, jakby policja stanowiła inny gatunek. Niebieskich istot w zbrojach, przez które nie mogły przeniknąć koszmary tego świata.

- Kiedy pan dzwonił, powiedział pan, że kość nosi ślad złamania,

- Owszem. - Guyot znów wziął ostrożnie kość w rękę. Obrócił ją i przesunął palcem po liniowym wyrzuczeniu, przebiegającym wzdłuż jej długiej osi. - To linia złamania, detektywie. Wygojonego.

- Rozumiem.

Bosch wskazał pudełko i lekarz z powrotem schował kość.

- Panie doktorze, może pan założyć psu smycz i przejść się ze mną na rondo?
- Nie ma sprawy. Muszę tylko zmienić buty.
- Ja też. Spotkamy się pod domem, dobrze?
- Za chwileczkę.
- Zabiorę już kość.

Bosch nakrył pudło i wziął, uważając, by nie obrócić go na bok ani nim nie wstrząsać.

Po wyjściu zobaczył, że wóz patrolowy wciąż stoi pod domem. Funkcjonariusze siedzieli w środku i przypuszczalnie pisali raporty. Harry podszedł do swojego samochodu i ułożył pudło na przednim siedzeniu po prawej stronie.

Nie był ubrany w garnitur, bo pełnił dyżur pod telefonem. Miał na sobie sportową marynarkę, niebieskie dżinsy i białą koszulę z oksfordzkiego płótna. Zdjął marynarkę, złożył ją podszewką na wierzch i umieścił na tylnym siedzeniu. Zauważył, że kabłąk noszonego na biodrze pistoletu przetarł dziurę w podszewce, chociaż marynarka miała niecały rok. Zapowiadało się, że niebawem dziura sięgnie do kieszeni, a potem przejdzie na wylot. Ubrania Boscha zwykle zdzierały się od środka, nie z zewnątrz.

Zdjął koszulę i został w białym podkoszulku. Otworzył bagażnik i wyjął z kartonu z wyposażeniem do badania miejsc przestępstw parę butów roboczych. Gdy oparł się o tylny zderzak i zaczął zmieniać obuwie, zobaczył, że Brasher wysiada z radiowozu i rusza w jego stronę.

- Wygląda na to, że facet ma rację, tak?
- Chyba tak. Będzie to musiał jednak potwierdzić ktoś z biura patologa.
- Chce pan tam wejść i rozejrzeć się?
- Postaram się, tyle że niedługo będzie już ciemno. Pewnie wrócimy tu jutro.
- Przy okazji, jestem Julia Brasher. Nowa w wydziale.
- Harry Bosch.
- Wiem. Słyszałam o panu.
- Wszystkiemu zaprzeczam.

Uśmiechnęła się na tę ripostę i wyciągnęła rękę, lecz Bosch właśnie wiązał jedno ze sznurowadeł. Przerwał i uściśnął jej dłoń.

- Przepraszam - powiedziała. - Stale dzisiaj coś robię nie w porę.
- Niech się pani tym nie przejmuje.

Skończył wiązać but i wyprostował się.

- Wyrwała mi się odpowiedź, jakiej rasy jest ten pies, dopiero potem dotarło do mnie, że stara się pan stworzyć więź ze świadkiem. Palnęłam głupstwo. Przepraszam.

Bosch przyjrzał się jej uważnie przez chwilę. Miała około trzydziestu pięciu lat, ciemnobrązowe oczy i ciemne włosy, splecione w krótki warkocz spadający na kołnierzyk. Domyślił się, że lubiła przebywać na łonie natury. Jej skórę pokrywała równa opalenizna.

- Proszę się tym nie martwić.
- Jest pan sam?

Harry się zawahał.

- Mój partner pracował nad czymś innym, kiedy wyjeżdżałem do tego wezwania.

Zobaczył, że lekarz wychodzi przez drzwi frontowe, prowadząc psa na smyczy. Zdecydował się nie nakładać kombinezonu do badania miejsca przestępstwa. Obejrzał się na Julię Brasher, która przyglądała się zbliżającemu się psu.

- Nie macie żadnych wezwań?
- Nie, zastój w interesie.

Bosch opuścił spojrzenie na latarkę MagLite w kartonie z wyposażeniem. Przeniósł wzrok na policjantkę, sięgnął do bagażnika po szmatę do wycierania oleju i narzucił ją na latarkę. Wyjął rolkę żółtej taśmy do znakowania miejsca przestępstwa i polaroid. Następnie zamknął bagażnik i odwrócił się w stronę Julii Brasher.

- Zechce mi pani w takim razie pożyczyć latarkę? Hm, zapomniałem swojej.
- Nie ma sprawy.

Zdjęła latarkę z kółka przy pasie i podała ją Boschowi. Lekarz do nich dołączył.

- Gotowy.

- W porządku, doktorze. Niech pan nas zaprowadzi do miejsca, gdzie spuścił pan psa. Zobaczymy, dokąd się skieruje.

- Nie jestem pewny, czy za nią nadążycie.

- No cóż, to mój problem.

- W takim razie tędy.

Ruszyli w górę stoku w stronę małego ronda - ślepego końca Wonderland Avenue. Brasher dała znak ręką swojemu partnerowi, który został w samochodzie, i poszła za nimi.

- Wiecie, kilka lat temu mieliśmy tutaj trochę sensacji - powiedział Guyot. - Zabito i obrabowano człowieka, którego śledzono aż od Hollywood Bowl.

- Przypominam sobie - odparł Bosch.

Wiedział także, że śledztwa nie zamknięto, ale o tym nie wspomniał. Nie jego sprawa.

Doktor Guyot maszerował z energią, zadającą kłam jego wiekowi i prawdopodobnemu schorzeniu. Pozwalał, by to pies narzucał tempo i wkrótce wysforował się kilka kroków przed Boscha i Brasher.

- Gdzie pani była wcześniej? - zapytał Harry policjantkę.

- To znaczy?

- Powiedziała pani, że jest nowa w wydziale Hollywood. A przedtem?

- Ach. W akademii. - Zaskoczyło to Boscha. Przyjrzał się jej ponownie, podejrzewając, że ocena jej wieku wymaga korekty. - Wiem, że jestem stara - dodała, kiwając głową.

Harry się zmieszał.

- Nie to chciałem powiedzieć. Po prostu myślałem, że była pani w jakimś innym wydziale. Nie wygląda pani na żółtodzioba.

- Wstąpiłam na akademię w wieku trzydziestu czterech lat.

- Naprawdę? Rany.

- Aha. Trochę późno złapałam bakcyła.

- Co pani robiła wcześniej?

- Och, mnóstwo rzeczy. Przeważnie podróżowałam. Sporo czasu zajęło mi uświadomienie sobie, o co mi naprawdę chodzi. A wie pan, czym chciałam się najbardziej zajmować?

Bosch popatrzył na nią.

- Czym?

- Tym, co pan. Zabójstwami.

Nie wiedział, co odpowiedzieć: zachęcać ją czy zniechęcać.

- Cóż, powodzenia.

- Nie uważa pan, że ta praca sprawia największą satysfakcję? Że coś znaczy. Niech pan się zastanowi: usuwanie z mieszaniny najgorszych osobników.

- Z mieszaniny?

- Ze społeczeństwa.

- Hm, pewnie tak. Kiedy dopisuje nam szczęście.

Dołączyli do doktora Guyota, który zatrzymał się z psem na rondzie.

- To tutaj?

- Tak, tu ją spuściłem. Pobiegła tamtędy.

Wskazał pustą, zarośniętą parcelę, zaczynającą się na poziomie ulicy, lecz nieco dalej, przed wierzchołkami wzgórz przechodzącą w stromy stok. Przez posesję biegł wielki rów odwadniający, co tłumaczyło, dlaczego nigdy nie została zabudowana. Była to własność miasta; rowem usuwano nadmiar deszczówki, spływającej spod domów. Wiele ulic w kanionie stanęło na miejscu dawnych strumieni i łożysk rzecznych. Gdyby nie system melioracyjny, po burzach znów pojawiłyby się potoki.

- Idzie pan tam? - spytał lekarz.

- Spróbuję.

- Pójdę z panem - powiedziała Julia Brasher.

Bosch obejrzał się na nią, po czym odwrócił głowę, gdy usłyszał szum samochodu. Był to radiowóz; stanął przy nich i Edgewood opuścił okno.

- Podłapaliśmy gorący numer, partnerko. Pijaczki.

Skinieniem głowy wskazał puste siedzenie obok siebie. Brasher zmarszczyła czoło i obejrzała się na Boscha.

- Nienawidzę awantur domowych.

Bosch się uśmiechnął. On też ich nie znosił, zwłaszcza kiedy kończyły się zgonami.

- Przykro mi.

- No cóż, może następnym razem. Policjantka wyszła przed przód samochodu.

- Proszę - powiedział Bosch, wyciągając latarkę w jej stronę.

- Mam w wozie zapasową - odrzekła. - Może pan mi ją oddać przy okazji.

- Na pewno?

Kusiło go, żeby zapytać ją o numer telefonu, ale się powstrzymał.

- Na pewno. Powodzenia.

- Proszę na siebie uważać - odparł Harry.

Uśmiechnęła się i spieszenie przeszła na drugą stronę radiowozu. Wsiadła i samochód ruszył z miejsca.

Bosch skierował uwagę na Guyota i psa.

- Atrakcyjna kobieta - ocenił lekarz.

Bosch przemilczał te słowa, zastanawiając się, czy lekarz wypowiedział je, bo widział, jakie wrażenie wywarła na nim Julia Brasher. Nie chciał, żeby czytano w nim jak w otwartej księdze.

- W porządku, doktorze - powiedział. - Niech pan spuści psa. Postaram się za nim nadażyć.

Guyot zdjął smycz, klepiąc sukę po boku.

- Biegnij po kość, malutka! Przynies kość! Szybko!

Pies przemknął przez parcelę i zniknął z pola widzenia, nim Bosch zdążył zrobić choć krok. O mało się nie rozeźmiął.

- Hm, najwidoczniej miał pan rację, doktorze.

Odwrócił się, żeby upewnić się, że radiowóz odjechał i Julia Brasher nie widziała psiego sprintu.

- Mam zagwizdać?

- Nie. Pójdę tam i rozejrzę się. Zobaczę, może zdołam ją odszukać.

Włączył latarkę.

Rozdział 3

W lesie zrobiło się ciemno na długo przed zachodem słońca. Utworzony przez kępę wysokich sosen kalifornijskich baldachim zatrzymywał większość światła. Bosch piął się po stoku w stronę, skąd dobiegał odgłos buszującego w zaroślach psa; cały czas przyświecał sobie latarką. Przedzieranie się przez chaszczki było trudne i czasochłonne. Ziemię pokrywała trzydziestocentymetrowa warstwa sosnowego igliwia, często zapadająca się pod nogami. By nie stracić równowagi, Harry chwycił się gałęzi i wkrótce całe dłonie miał ubrudzone żywicą.

Pokonanie trzydziestu metrów wzniesienia zabrało mu dziesięć minut. Teren stał się wreszcie równiejszy, a ponieważ rosło tu mniej drzew, poprawiło się oświetlenie. Bosch rozejrzał się za suką, ale jej nie zobaczył.

- Doktorze?! - zawołał w stronę ulicy, chociaż stracił już Guyota z oczu. - Słyszysz mnie pan?

- Tak, słyszę.

- Niech pan zagwizdże na psa.

Dobiegł go trójtonowy gwizd: wyraźny, lecz bardzo cichy, przedzierający się przez drzewa z równym trudem jak światło słońca. Bosch spróbował go naśladować i po kilku próbach uznał, że wreszcie mu się udało, lecz pies się nie pojawił.

Ruszył dalej po równym terenie, bo był pewien, że jeśli ktoś chciał pogrzebać lub porzucić ciało, zrobił to na płaskim gruncie, a nie na stromym stoku. Dotarł do kępy akacji. Natychmiast trafił na miejsce, w którym ziemię niedawno rozgrzebywano, zupełnie jakby kopało tu zwierzę lub... człowiek. Bosch odsunął stopą na bok trochę gleby i gałązek - aż zdał sobie sprawę, że to nie pątyki.

Kucnął i w świetle latarki przyjrzał się krótkim, brunatnym kościom, rozrzuconym na obszarze średnicy trzydziestu centymetrów. Oceniał, że patrzy na leżące osobno kości palców. Małej dłoni. Dziecięcej.

Wstał. Dotarło do niego, że rozpraszało go myślenie o Julii Brasher. Nie zabrał ze sobą wyposażenia do zbierania kości. Wzięcie ich w dłoń i zniesienie ze wzgórze stanowiłoby pogwałcenie wszystkich reguł zabezpieczania śladów.

Uniósł zawieszony na sznurowadle polaroid i zrobił z bliska zdjęcie kości. Cofnął się i wykonał zdjęcie zakątka pod akacjami.

Usłyszał dobiegający z oddali cichy gwizd doktora Guyota. Bosch przystąpił do rozwieszania plastikowej taśmy do znakowania miejsca przestępstwa. Przywiązał krótki odcinek do pnia jednej z akacji, a następnie rozciągnął wstęgę wokół drzew. Zastanawiał się, jak zabierze się do pracy następnego ranka; wycofał się spod osłony drzew i rozejrzał za czymś do oznakowania tego miejsca, tak by było widoczne z góry. Wypatrzył kępkę szatwii i owinął ją kilkakrotnie taśmą.

Gdy skończył, było już niemal ciemno. Raz jeszcze rozejrzał się pobieżnie po okolicy, ale zdawał sobie sprawę, że poszukiwania w świetle latarki na niewiele się zdadzą, a teren i tak trzeba rano dokładnie przeszukać.

Zaczął odcinać małym scyzorykiem, umocowanym do kółka z kluczami, ponadmetrowe kawałki taśmy. Po drodze na dół przywiązywał je mniej więcej w równych odstępach do gałęzi i krzewów. Gdy znalazł się bliżej ulicy, dobiegły go głosy, co pomogło mu określić, gdzie się znajduje. W pewnym miejscu grunt gwałtownie osunął mu się pod nogami. Harry przewrócił się, zjechał w dół i uderzył silnie w podstawę pnia sosny. Trafił w nią brzuchem, rozdzierając koszulę i paskudnie kalecząc bok.

Nie ruszał się przez kilka sekund. Podejrzewał, że mogły mu pęknąć żebra po prawej stronie. Oddychał z trudem, bolało jak diabli. Jęknął głośno i podniósł się powoli, przytrzymując się pnia.

Wyteżył słuch, by ponownie się zorientować skąd dobiega ją głosy.

Wkrótce dotarł do ulicy, gdzie czekał na niego doktor Guyot z psem i drugim mężczyzną. Obydwaj wyglądali na zaszokowanych widokiem krwi na koszuli Boscha.

- O rany, co się stało? - zawołał Guyot.

- Nic. Przewróciłem się.

- Pańska koszula... Jest na niej krew.

- Tak to już bywa w tym zawodzie.

- Pozwoli pan, że obejrzę.

Lekarz ruszył w jego stronę, ale Bosch uniósł rękę.

- Nic mi nie jest. Kto to?

- Jestem Victor Ulrich - odparł drugi mężczyzna. - Mieszkam tutaj. - Wskazał dom sąsiadujący z pustą posesją. Bosch skinął głową. - Wyszedłem tylko zobaczyć, co się dzieje.

- No, na razie nic się nie dzieje, ale mamy tam miejsce przestępstwa. Albo będziemy mieli. Pracę zaczniemy pewnie dopiero jutro rano. Proszę panów jednak, byście tam nie wchodzili i nikomu o tym nie mówili, dobrze? - Obaj sąsiedzi pokiwali głowami. - I niech pan przez kilka dni nie spuszcza psa ze smyczy, doktorze. Muszę wracać do samochodu, żeby zadzwonić. Panie Ulrich, na pewno będziemy chcieli jutro rano z panem porozmawiać. Będzie pan w domu?

- Pewnie. Przez cały dzień. Pracuję w domu.

- Co pan robi?

- Jestem pisarzem.

- W porządku. Do zobaczenia jutro.

Bosch ruszył w dół ulicy z Guyotem i psem.

- Naprawdę powinien pan pozwolić mi obejrzeć swoje obrażenia - upierał się lekarz.

- Nic mi nie będzie.

Bosch obejrzał się w lewo i wydało mu się, że w oknie mijanego domu szybko opadła zasłonka.

- To, jak pan się porusza przy chodzeniu, sugeruje, że żebro zostało uszkodzone - powiedział Guyot. - Może nawet je pan złamał. Niewykluczone, że więcej niż jedno.

Boschowi przypomniały się małe, cienkie kości, które niedawno widział pod akacjami.

- Złamałem czy nie, i tak nic pan na to nie poradzi - odrzekł.

- Mogę je obandażować. Będzie panu znacznie łatwiej oddychać. Mogę również opatrzyć tę ranę.

- No dobrze, doktorze, wyciągaj pan swoją czarną walizeczkę - ustąpił Bosch. - Wyjmę tylko drugą koszulę.

Kilka minut później w domu Guyota lekarz oczyścił głębokie zadrapanie na boku Harry'ego i unieruchomił mu plastrem zębra. Detektyw poczuł ulgę, ale i tak go bolało. Guyot powiedział, że nie może już wypisywać recept, ale zasugerował, by Bosch i tak nie brał niczego mocniejszego od aspiryny.

Bosch przypomniał sobie, że po usunięciu kilka miesięcy wcześniej zęba mądrości została mu fiolka z kilkoma tabletkami vicodinu. Mógł pozbyć się bólu, gdyby zaszła taka potrzeba.

- Nic mi nie będzie - powtórzył. - Dziękuję, że pan to opatrzył.

- Nie ma za co.

Bosch włożył nową koszulę i przyglądał się, jak lekarz składa zestaw do pierwszej pomocy. Zastanawiał się, jak dawno Guyot miał ostatniego pacjenta.

- Kiedy przeszedł pan na emeryturę? - zapytał.

- Za miesiąc minie rok.

- Brakuje panu pracy?

Guyot odwrócił się od zestawu i przyjrzał się Boschowi.

- Codziennie. Nie brak mi samej pracy - wie pan, konkretnych przypadków. Ta robota jednak coś znaczyła. Tego mi brakuje.

Boschowi przypomniało się, jak Julia Brasher określiła pracę w wydziale zabójstw. Pokiwał głową na znak, że rozumie słowa Guyota.

- Powiedział pan, że tam na górze jest miejsce przestępstwa? - zapytał lekarz.

- Tak. Znalazłem więcej kości. Muszę zadzwonić i zorientować się, co dalej. Mogę skorzystać z pańskiego telefonu? Nie sądzę, żeby moja komórka tu działała.

- Nie, nigdy nie działają w kanionie. Niech pan skorzysta z aparatu na biurku. Zostawię pana samego.

Guyot wyszedł z gabinetu, zabierając zestaw do pierwszej pomocy. Bosch okrążył biurko i usiadł. Pies leżał obok krzesła. Zwierzę podniosło łeb i jakby się zdziwiło, widząc obcego człowieka na miejscu pana.

- Calamity, czyli Nieszczęście - powiedział Bosch. - Myślę, że zapracowałaś dzisiaj na swoje imię.

Pogłaskał sukę po karku. Calamity zawarczała, szybko więc cofnął dłoń, zastanawiając się, czy przyczyną wrogiej reakcji suki była tresura, czy coś, co w nim tkwiło.

Podniósł słuchawkę i zadzwonił do domu swojej przełożonej, porucznik Grace Billets. Wyjaśnił, co znalazł przy Wonderland Avenue i wyżej na wzgórzu.

- Na jak stare wyglądają te kości, Harry? - zapytała porucznik.

Bosch popatrzył na fotografię małych kości, które znalazł w ziemi. Zdjęcie było fatalne; błysk flesza spowodował nadmierną ekspozycję; zrobił je ze zbyt małej odległości.

- Bo ja wiem, wyglądają na stare. Moim zdaniem mają wiele lat.

- W takim razie nic na miejscu przestępstwa nie będzie świeże.

- Może świeżo wygrzebane, ale wszystkie są tu od dawna.

- O to mi chodziło. Wobec tego powinniśmy na razie wbić kołek, że to nasza działka, i przyszykować się do powrotu jutro. Cokolwiek leży na wzgórzu, przez noc nigdzie się nie podzieje.

- Owszem - przytaknął Bosch. - Też tak uważam.

Porucznik Billets zastanowiła się chwilę przed następnymi słowami.

- Harry...

- Tak?

- Zmniejszają budżet, zwalniają ludzi... i potrzebne nam sprawy, które można zamknąć.

- No dobrze, wdrapię się na górę i zagrzebię kości z powrotem. Powiem lekarzowi, żeby nie spuszczał więcej psa ze smyczy.

- Daj spokój, Harry, wiesz, o co mi chodzi. - Grace Billets westchnęła głośno. - Pierwszy dzień roku i od razu mamy pod górkę. - Bosch milczał, pozwalając jej odreagować administracyjne frustracje. Nie potrafiło to długo i to właśnie między innymi w niej lubił. - No dobra, wydarzyło się dzisiaj coś jeszcze?

- Niewiele. Parę samobójstw, na razie to wszystko.

- W porządku. O której zamierzasz jutro zacząć?

- Chciałbym przyjechać jak najwcześniej. Podzwonię i zobaczę, co uda mi się zorganizować. Dopilnuję, żeby ktoś potwierdził identyfikację kości, zanim zabierzemy się do pracy.

- Dobrze, informuj mnie.

Bosch przytaknął i odłożył słuchawkę. Zadzwoił następnie do domu Teresy Corazon, patologa okręgowego. Chociaż ich związek skończył się całe lata temu i od tej pory Teresa przeprowadziła się co najmniej dwa razy, zachowywała ten sam numer, który Harry zna na pamięć. Teraz się przydał. Wyjaśnił jej, co się dzieje i że potrzebuje oficjalnego potwierdzenia, iż kość jest ludzka, nim uruchomi dochodzenie. Powiedział jej też, że w razie potwierdzenia ekipa archeologiczna musi jak najszybciej rozpocząć badanie miejsca przestępstwa.

Corazon zawiesiła połączenie i wznowiła je po pięciu minutach.

- W porządku - powiedziała. - Nie udało mi się dodzwonić do Kathy Kohl. Nie ma jej w domu.

Bosch wiedział, że Kathy Kohl jest archeologiem w biurze patologa okręgowego. Przyczyną włączenia jej do personelu jako pełnoetatowego pracownika było odnajdywanie kości ofiar morderstw, zakopywanych na pustyni na północy stanu. Co tydzień natrafiano tam na jakieś zwłoki. Kathy Kohl miała w tej dziedzinie dużą praktykę. Bosch orientował się, że właśnie ona zostanie wyznaczona do przeszeszania okolicy Wonderland Avenue w poszukiwaniu pozostałych szczątków.

- I co mam zrobić? Chcę, by pochodzenie kości zostało potwierdzone jeszcze dzisiaj wieczorem.

- Nie gorączkuj się tak, Harry. Kiedyś byłeś bardziej cierpliwy. Zachowujesz się jak pies z kością. Przepraszam, kalambur był niezamierzony.

- To było dziecko, Tereso. Możemy mówić poważnie?

- Po prostu przyjedź do mnie. Obejrzę tę kość.

- A jutro?

- Sama zajmę się zorganizowaniem wszystkiego. Zostawię wiadomość dla Kathy. Gdy tylko skończymy, zadzwonię do niej do biura i poproszę o wezwanie jej przez pager. Wyjedzie od razu po wschodzie słońca. Na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles mamy biegłego antropologa sądowego. Wezwiemy go po odkopaniu kości, jeśli tylko jest w mieście. Sama też przyjadę. Jesteś zadowolony?

Ostatnie słowa sprawiły, że Bosch zamilkł na chwilę.

- Tereso - powiedział w końcu. - Chcę, by ta sprawa na razie nie nabrała rozgłosu.

- Co sugerujesz?

- Że nie jestem pewny, czy powinien się tam znaleźć naczelny patolog okręgu Los Angeles. Poza tym od dawna nie widziałem cię na miejscu zbrodni bez towarzystwa kamerzysty.

- Harry, to tylko prywatnie wynajęty operator wideo, rozumiesz? Mam całkowitą kontrolę nad tym, do czego używane są kręcone przez niego filmy. Nie wylądują w wiadomościach o szóstej.

- Skoro tak twierdzisz. Po prostu sędzę, że w tej sprawie musimy uniknąć jakichkolwiek komplikacji. Chodzi o dziecko. Wiesz, jak to jest.

- Przyjeżdżaj z kością, i tyle. Za godzinę muszę wyjść.

Rozłączyła się bez pożegnania.

Pożałował, że nie zachował się wobec Teresy Corazon nieco bardziej dyplomatycznie, ale był zadowolony, że wyraził swoją opinię. Teresa Corazon była osobistością, regularnie występowała na kanale Court TV i w programach sieci telewizyjnych jako ekspert kryminalistyczny. Nauczyła się również zabierać ze sobą kamerzystę, dzięki czemu miała zarejestrowany materiał filmowy, który później pojawiał się w najrozmaitszych programach policyjnych i prawniczych wielu stacji telewizji satelitarnej i kablowej. Harry nie zamierzał dopuścić, by ambicje rozreklamowanego patologa utrudniły mu dochodzenie w sprawie, która wyglądała na morderstwo dziecka.

Uznał, że zadzwoni do wydziałów służb specjalnych policji i K-9 dopiero po uzyskaniu potwierdzenia identyfikacji kości. Wstał, opuścił gabinet i zaczął rozglądać się za Guyotem.

Lekarz siedział w kuchni przy stole i zapisywał coś w kołonoatniku. Podniósł głowę, gdy Bosch wszedł.

- Zanotowałem parę uwag o pańskim leczeniu. Prowadzę dokumentację każdego pacjenta, z jakim miałem do czynienia.

Bosch jedynie kiwnął głową, chociaż uznał za dziwne, że Guyot pisze o nim.

- Już sobie pójdę, doktorze. Wrócę jutro, i to nie sam. Może znowu będziemy musieli skorzystać z pańskiego psa. Będzie pan w domu?

- Tak i z radością pomogę. Jak żebra?

- Bola.
 - Tylko kiedy pan oddycha, prawda? Potrwa to około tygodnia.
 - Dziękuję, że pan się mną zajął. Nie potrzebuje pan tego pudełka na buty, prawda?
 - Nie, nawet bym go nie chciał.
- Bosch ruszył do drzwi frontowych, ale odwrócił się jeszcze w stronę Guyota.
- Doktorze, mieszka pan tu sam?
 - Obecnie tak. Moja żona zmarła dwa lata temu. Miesiąc przed pięćdziesiątą rocznicą ślubu.
 - Współczuję.

Guyot pokiwał głową.

- Córka ma własną rodzinę w Seattle - powiedział. – Widuję się z nimi tylko od wielkiego święta.

Bosch miał ochotę zapytać dlaczego, ale się powstrzymał. Jeszcze raz podziękował lekarzowi i wyszedł.

Wyjeżdżając z kanionu i skręcając w stronę domu Teresy Corazon w Hancock Park, Harry przytrzymał ręką pudełko po butach, żeby nie zsunęło się z siedzenia. Ogarniało go przygnębienie, miał dziś wyjątkowego pecha. Trafiła mu się sprawa najgorsza z możliwych. Morderstwo dziecka.

Sprawy dotyczące dzieci były okropne. Dręczyły człowieka. Nie istniała kamizelka kuloodporna dość gruba, by uchronić od zadawanych przez nie ran. Sprawy dzieci powodowały, że do człowieka docierało, iż świat jest pełen zagubionego światła.

Rozdział 4

Teresa Corazon mieszkała w rezydencji w stylu śródziemnomorskim z brukowanym podjazdem, miała nawet od frontu sadzawkę dla karpi koi. Osiem lat wcześniej, podczas krótkiego związku Boscha z Teresą, zajmowała mieszkanie z jedną sypialnią w szeregowcu. Obecny dom i styl życia zawdzięczała fortunie, którą zarobiła na występach w telewizji. Teresa w niczym nie przypominała już kobiety, pojawiającej się bez zapowiedzi o północy na progu mieszkania Boscha z tanią butelką wina w ręku i kasetą wideo z ulubionym filmem. Kobiety chorobliwie ambitnej, ale jeszcze nieumiejącej wykorzystać swojej pozycji do wzbogacenia się.

Bosch wiedział, że przypomina jej to, co straciła, by zyskać obecny status. Nic dziwnego, że kontaktowali się rzadko i zawsze towarzyszyły temu jakieś spięcia, ale ich spotkania były równie nieuniknione jak wizyty u dentysty.

Zaparkował na podjeździe i wysiadł, wziął ze sobą zdjęcia z polaroidu i pudełko po butach. Okrążając samochód, zjrzał do sadzawki i zobaczył poruszające się pod powierzchnią ryby. Uśmiechnął się, przypominając sobie „Chinatown” i to, jak często oglądał ten film podczas roku spędzonego z Teresą. Pamiętał, jak spodobał się jej sposób przedstawienia w nim koronera. Nosił czarny rzeźniczy kitel i zjadał kanapkę, badając trupa. Bosch wątpił, by Teresa miała teraz takie samo poczucie humoru jak kiedyś.

Zapaliła się lampa wisząca nad masywnymi drewnianymi drzwiami. Teresa otworzyła, nim do nich dotarł. Miała na sobie ciemne spodnie i kremową bluzkę. Prawdopodobnie wybierała się na noworoczne przyjęcie. Popatrzyła nad ramieniem Boscha na jego samochód w policyjnych barwach, chociaż nieoznakowany.

- Uwińmy się, zanim zalejesz mi olejem podjazd.
- Mnie też miło cię widzieć, Tereso.
- To to? - Wskazała pudełko.
- Owszem.

Podał jej zdjęcia i zaczął mówić, zdejmując przykrywkę. Najwyraźniej nie zamierzała zaprosić go na lampkę noworocznego szampana.

- Chcesz to zrobić tutaj?

- Mam mało czasu. Myślałam, że przyjedziesz wcześniej. Co za kretyn je zrobił?

- No, ja.

- Nic na nich nie widać. Masz rękawiczkę?

Bosch wyciągnął lateksową rękawiczkę z kieszeni marynarki i podał ją Teresie. Wyjął jej z ręki fotografie i schował je do wewnętrznej kieszeni. Teresa z wprawą naciągnęła rękawiczkę i sięgnęła do otwartego pudełka. Przytrzymała kość pod światło. Bosch milczał. Czuł silną woń jej perfum - pozostałość z czasów, kiedy spędzała więcej godzin na salach sekcyjnych.

Po pięciu sekundach Teresa odłożyła kość do pudełka.

- Ludzka.

- Na pewno?

Spojrzała na niego z niechęcią, ściągając z trzaskiem rękawiczkę.

- To kość ramienna. Powiedziałabym, że dziesięcioletniego dziecka. Może przestałeś doceniać moje umiejętności, Harry, ale nadal znam się na tym.

Wrzuciła rękawiczkę do pudełka na wierzch kości. Bosch zniósłby wszelkie jej docinki, ale zirytował go sposób, w jaki bezceremonialnie rzuciła kawałek tworzywa sztucznego na szczątki dziecka.

Włożył dłoń do pudła i wyjął rękawiczkę. Przypomnił coś sobie i podał ją Teresie.

- Mężczyzna, którego pies znalazł kość, powiedział, że jest na niej ślad złamania. Wygojonego. Zechcesz się przyjrzeć...

- Nie, jestem spóźniona na spotkanie. Już wiesz, że jest ludzka. Uzyskałeś potwierdzenie. Dalsze oględziny nastąpią później, we właściwych warunkach w biurze patologa. Naprawdę muszę już iść. Będę na miejscu jutro rano.

Spojrzał jej w oczy.

- Nie wątpię, Tereso. Baw się dobrze.

Odwrociła od niego wzrok i skrzyżowała ramiona na piersiach. Bosch ostrożnie nakrył pudełko, skinął Teresie głową i zawrócił do samochodu. Usłyszał zamykające się za nim ciężkie drzwi.

Gdy mijał sadzawkę z rybkami, znów przypomniał mu się film.

- „Daj spokój, Jake, to tylko Chinatown” - powiedział na głos ostatnią kwestię.

Wsiadł do samochodu i ruszył do domu, cały czas podtrzymując pudełko na siedzeniu obok siebie.

Rozdział 5

Do dziewiątej następnego ranka koniec Wonderland Avenue zamienił się w obóz pracowników organów ścigania. W jego centrum znajdował się Harry Bosch. Kierował zespołami mundurowych, K-9, z wydziału kryminalistycznego oraz ekipą służb specjalnych. W górze krążył helikopter wydziału, a tuzin kadetów akademii policyjnej kręciło się w oczekiwaniu na polecenia.

Jednostka powietrzna namierzyła wcześniej krzak szaławii, owinięty przez Boscha żółtą taśmą. Skorzystała z niego jako punktu odniesienia przy ustalaniu, skąd na Wonderland Avenue można dostać się najbliższą drogą do miejsca, w którym Harry znalazł kości. Następnie do akcji wkroczyła ekipa służb specjalnych. Kierując się wzdłuż kolejno przywiązanych do zarośli kawałków taśmy, sześciuosobowy zespół zbił z desek i powtykał w ziemię ciąg pochylni i stopni z linami do przytrzymywania się, prowadzący do miejsca odnalezienia kości. Dzięki temu teraz wszystkim było o wiele łatwiej się tu poruszać niż wczoraj Boschowi.

Nie sposób było utrzymać tak szeroko zakrojonych działań policji w tajemnicy. Do dziewiątej okolica zarośla się od przedstawicieli mediów. Furgonetki środków masowego przekazu tłoczyły się za kordonem, ustawionym pół przecznicy od ronda. Reporterów było tylu, że można by zwołać konferencję prasową. Oprócz śmigłowca wydziału krążyło też co najmniej pięć innych maszyn. Powodowało to taki hałas, że okoliczni

mieszkańcy wydzwaniali ze skargami do komendy policji miejskiej w Parker Center.

Bosch szykował się do zaprowadzenia pierwszej grupy na miejsce przestępstwa. Zaczął od naradzenia się z Jerrym Edgarem, wprowadzonym w sprawę poprzedniego wieczoru.

- No dobrze, najpierw zabieramy patologa i techników - powiedział. - Potem kadetów z psami. Masz to nadzorować.

- Nie ma sprawy. Widziałeś? Twoja koleżanka patolog przyciągnęła swojego cholernego kamerzystę.

- W tej chwili nic na to nie poradzimy. Miejmy tylko nadzieję, że się znudzi i wróci do śródmieścia, gdzie jej miejsce.

- Wiesz, równie dobrze mogą to być stare kości Indian lub coś w tym rodzaju.

- Nie sądzę. - Bosch potrząsnął głową. - Za płytko.

Podszedł do pierwszej grupy: kamerzysty, Teresy Corazon i jej czteroosobowego zespołu wykopaliskowego, tworzonego przez archeolog Kathy Kohl i trzech techników śledczych, którym przypadło machanie łopatami. Wszyscy czworo byli ubrani w białe kombinezony. Teresa Corazon miała na sobie strój podobny jak poprzedniego wieczoru, łącznie z pantoflami na pięciocentymetrowych obcasach. W grupce stało też dwóch techników z wydziału kryminalistycznego.

Harry dał znak stojącym, żeby się stłoczyli, by mógł mówić do nich ściszym głosem, nie chciał zostać podsłuchany przez kręcących się wokół ludzi.

- No dobrze, wchodzimy na górę, zaczynamy dokumentowanie i gromadzenie śladów. Kiedy wszystko pozbieramy, bierzemy na górę kadetów z psami, żeby przeszukali najbliższą okolicę; może trzeba będzie powiększyć miejsce przestępstwa. Wszyscy... - Urwał i wyciągnął rękę w stronę kamerzysty. - Wyłącz to. Możesz filmować ją, ale nie mnie. - Mężczyzna opuścił kamerę. Bosch rzucił Teresie niechętne spojrzenie i kontynuował: - Wszyscy wiecie, co macie robić, dlatego nie będę wam urządzał odprawy. Chcę powiedzieć tylko jedno: na górę trudno się dostać. Nawet mimo ramp i schodków, więc uważajcie. Trzymajcie się

lin, patrzcie, gdzie stawiacie nogi. Nie chcemy, by ktokolwiek zrobił sobie krzywdę. Jeśli macie ciężki sprzęt, rozłóżcie go i wnieście na raty. Jeśli mimo to będziecie potrzebować pomocy, każę dźwigać wasze rzeczy kadetom. Nie martwcie się o czas, ale o bezpieczeństwo. No dobrze, nie pękacie?

W odpowiedzi wszyscy równocześnie pokręcili głowami. Bosch dał znak Teresie i odprowadził ją na bok.

- Jesteś nieodpowiednio ubrana - powiedział.

- Słuchaj, nie będziesz mi mówił...

- Mam ściągnąć koszulę, żebyś mogła przyjrzeć się moim zębom? Mój bok wygląda jak placek z jagodami, bo się tutaj wywaliłem wczoraj wieczorem. Nie poradzisz sobie w takich butach. Może dobrze wyglądają przed kamerą, ale nie...

- Poradzę sobie. Zaryzykuję. Coś jeszcze?

Bosch potrząsnął głową.

- Ostrzegłem cię. Chodźmy.

Ruszył w stronę rampy, pozostali podążyli jego śladem. Służby specjalne postawiły drewnianą bramkę, służącą za punkt kontrolny. Stał w niej mundurowy z podkładką na dokumenty i zapisywał nazwisko i specjalność każdej osoby.

Bosch szedł przodem. Wspinaczka była łatwiejsza niż poprzedniego dnia, ale gdy podciągał się na linach i pokonywał kolejne stopnie i pochylnie, w piersiach czuł palący ból. Nie skarżył się jednak i starał nie okazywać cierpienia.

Kiedy dotarł do kępy akacji, dał znak pozostałym, by zostali z tyłu. Sam wszedł za żółtą taśmę, by sprawdzić, jak teraz wygląda miejsce przestępstwa. Połać wzruszonej ziemi i małe, brunatne kości wyglądały tak samo jak poprzedniego wieczoru; chyba nikt tu nie myszkował.

- No dobrze, rozejrzyjcie się.

Członkowie grupy przeszli pod taśmą i ustawili półokręgiem wokół kości. Kamera ożyła, a dowodzenie objęła Teresa Corazon.

- W porządku, najpierw cofniemy się i zrobimy zdjęcia. Potem podzielimy teren na kwadraty, a pani doktor Kohl będzie nadzorowała wykopaliska i zabezpieczanie śladów. Jeśli cokolwiek znajdziecie, obfotografujcie to ze wszystkich stron, zanim wyciągniecie z ziemi. - Odwróciła się w stronę jednego ze śledczych. - Finch, masz zająć się szkicami. Standardowa siatka. Dokumentuj wszystko; nie zakładaj, że będzie można oprzeć się na zdjęciach. - Finch pokiwał głową. Teresa obróciła się w stronę Boscha. -

Myślę, że to wszystko, detektywie. Im mniej ludzi będzie się tu kręciło, tym lepiej.

Harry przytaknął i podał jej krótkofalówkę.

- Będę w pobliżu. Niech mi pani da znać przez radio, jeśli będzie potrzeba - telefony komórkowe tu nie działają. Proszę jednak uważać na słowa.

Wskazał niebo, na którym uwijały się helikoptery mediów.

- Skoro o tym mowa - odezwała się Kathy Kohl - moim zdaniem powinniśmy rozciągnąć plandeki na drzewach, bo ci podglądacze w helikopterach przeszkadzają, a dodatkowo ocieni się teren. Zgadza się pan?

- Miejsce zbrodni należy teraz do was - odparł Bosch. - Róbcie, co uważacie za stosowne.

Zawrócił w stronę schodni, Edgar deptał mu po piętach.

- To może potrwać parę dni, Harry - powiedział Edgar.

- Albo i dłużej.

- No, tyle nie dostaniemy. Wiesz o tym, prawda?

- Prawda.

- To znaczy, takie sprawy... Będziemy mieli szczęście, jeśli w ogóle zidentyfikujemy ciało.

- Zgadza się.

Bosch się nie zatrzymywał. Gdy dotarł do ulicy, zobaczył, że pojawiła się porucznik Billets oraz jej przełożona, pani kapitan LeValley.

- Może przygotujesz kadetów, Jerry? - powiedział Bosch. - Wylóż im podstawy postępowania na miejscu przestępstwa. Dołącz do ciebie za chwilę.

Bosch podszedł do Grace Billets i kapitan LeValley. Poinformował je, co się dzieje, zrelacjonował poranne wydarzenia, nie zapominając o skargach sąsiadów na hałas młotków, pił i helikopterów.

- Musimy wykonać ukłon w stronę środków masowego przekazu - rzekła LeValley. - Wydział kontaktów z mediami chce wiedzieć, czy ma się tym zająć centrala, czy sam pan to robi.

- Nie mam na to ochoty. Co wydział kontaktów wie o sprawie?

- Prawie nic, musi pan tam do nich zadzwonić i pomóc przygotować oświadczenie dla prasy.

- Pani kapitan, mam tu trochę roboty. Nie mógłbym...

- Niech pan znajdzie czas, detektywie, to pismacy nie będą nam włązili na plecy.

Kiedy Bosch popatrzył na zebranych za kordonem policyjnym reporterów, zobaczył, jak Julia Brasher pokazuje odznakę funkcjonariuszowi i zostaje przepuszczona na drugą stronę. Była po cywilnemu.

- No dobrze. Zadzwonię.

Ruszył ulicą w stronę domu doktora Guyota. Skręcił w stronę Julii, która uśmiechnęła się na jego widok.

- Mam pani latarkę. Jest w moim samochodzie. I tak muszę pójść do domu doktora Guyota.

- Och, niech pan się tym nie przejmuje. Nie dlatego tu przyjechałam.

Zawróciła i dołączyła do Boscha. Miała na sobie spłowiałe niebieskie dżinsy i koszulkę z godłem biegu charytatywnego 5K.

- Nie jest pani na służbie?

- Nie, mam zmianę od trzeciej do jedenastej. Po prostu pomyślałam, że może przyda się wam ochotniczka. Słyszałam, że wezwano kadetów.

- Ma pani ochotę wejść na górę i poszukać kości?

- Chcę się czegoś nauczyć.

Pokiwał głową. Podeszli do drzwi domu Guyota. Otworzyły się, nim do nich dotarli. Lekarz zaprosił ich do środka. Bosch zapytał, czy mógłby raz jeszcze skorzystać z telefonu w jego gabinecie. Guyot pokazał mu drogę, chociaż gość ją znał. Bosch usiadł za biurkiem.

- Jak żebra? - spytał lekarz.

- W porządku. - Julia Brasher uniosła brwi, Bosch więc dodał: - Wczoraj wieczorem miałem na górze mały wypadek.

- Co się stało?

- Och, w pewnej chwili pień drzewa zaatakował mnie bez żadnego powodu.

Julia skrzywiła się, ale zdołała się równocześnie uśmiechnąć.

Bosch wykręcił numer wydziału kontaktów z mediami. Opowiedział bardzo ogólnikowo oficerowi wydziału, czego dotyczy sprawa. W pewnej chwili zakrył dłonią słuchawkę i spytał lekarza, czy życzy

sobie, by w oświadczeniu dla prasy znalazło się jego nazwisko. Guyot zaprzeczył. Po kilku minutach Bosch skończył i odłożył słuchawkę. Popatrzył na lekarza.

- Za parę dni skończymy badać miejsce przestępstwa, ale reporterzy na pewno się tu jeszcze pokręcą. Domyślam się, że będą rozglądali się za psem, który znalazł kość. Jeżeli więc nie chce pan być w to zamieszany, niech pan nie wypuszcza Calamity na ulicę, bo skojarzą ją ze sprawą.

- Słuszna rada - powiedział Guyot.

- Powinien pan też zadzwonić do sąsiada, pana Ulricha, i powiedzieć mu, żeby i on o niczym nie mówił dziennikarzom.

Wychodząc z domu, Bosch zapytał Julię, czy chce swoją latarkę. Odparła, że nie ma ochoty nosić jej podczas przeczesywania stoku.

- Zwróci mi ją pan przy innej okazji.

Harry'emu spodobała się odpowiedź. Znaczyła, że czeka ich co najmniej jeszcze jedno spotkanie.

Na rondzie zastał Edgara, który instruował kadetów.

- Złota zasada postępowania na miejscu przestępstwa polega na tym, by niczego nie dotykać, dopóki nie zostało zbadane, sfotografowane i naniesione na szkic.

Bosch wszedł na rondo.

- No dobrze, gotowi?

- Gotowi - odparł Edgar. Kiwnął głową w stronę dwóch kadetów z wykrywaczami metalu. - Pożyczyłem je z wydziału kryminalistycznego.

Bosch kiwnął głową i wygłosił kadetom i Julii Brasher tę samą mowę na temat bezpieczeństwa co ekipie kryminalistycznej. Następnie ruszyli na miejsce przestępstwa. Harry przedstawił Julię swojemu partnerowi i pozwolił mu przejść pierwszemu przez punkt kontrolny. Sam pokonał go ostatni, za Julią.

- Zobaczymy, czy pod koniec dnia nadal będzie miała pani ochotę na pracę w wydziale zabójstw - powiedział.

- Wszystko jest lepsze od ganiań na każde wezwanie przez radio i zmywania rzygowin pod koniec zmiany.

- Pamiętam te czasy.

Harry i Edgar rozstawili dwunastkę kadetów oraz Julię na terenie przylegającym do kępy akacji i kazali im prowadzić przeszukiwanie równoległymi pasami. Harry zszedł potem na dół. Zabrał na górę dwa zespoły K-9 z psami jako uzupełnienie grupy kadetów.

Po zorganizowaniu przeszukania Bosch zostawił Edgara z kadetami i wrócił w gęszcz akacji sprawdzić, co udało się zrobić do tej pory. Zastał Kathy Kohl, która siedziała na skrzyni z wyposażeniem i nadzorowała wbijanie w ziemię drewnianych palików; podzieliła teren na kwadraty i rozciągnęła między nimi linkę.

Bosch pracował już przy jednej sprawie z Kathy Kohl i wiedział, że jest bardzo dokładna - prawdziwy fachowiec. Miała niecałe czterdzieści lat; była zbudowana i opalona jak tenisistka. Bosch natknął się na nią kiedyś w parku miejskim, gdzie grała w tenisa ze swoją siostrą bliźniaczką. Ich mecz przyciągnął tłum widzów. Wyglądało to tak, jakby gracz odbijał piłkę od zwierciadła.

Proste, jasne włosy Kathy spadały jej na czoło i zakrywały oczy. Wpatrywała się w wielką podkładkę na dokumenty spoczywającą na kolanach i robiła notatki na arkuszu papieru z naniesioną już na nim siatką. Bosch zjrzał jej przez ramię. W miarę wbijania w ziemię palików Kathy znakowała poszczególne części pola literami alfabetu. U góry arkusza napisała: „Cmentarzysko”.

Bosch wyciągnął rękę i stuknął palcem w to słowo.

- Dlaczego tak to pani nazwała?

Wzruszyła ramionami.

- Bo wyznaczamy alejki i kwartały w terenie, który jest dla nas cmentarzyskiem - odparła, przesuwając palcami po kilku liniach diagramu. - To nasze małe cmentarzysko.

Bosch pokiwał głową.

- W każdej zbrodni kryje się historia miasta - rzekł.

Kathy Kohl podniosła wzrok.

- Kto tak powiedział?

- Nie wiem. Ktoś.

Przeniósł uwagę na Teresę Corazon, która kucała nad małymi kośćmi leżącymi na powierzchni ziemi.

Przyglądała się im badawczo, a kamerzysta w tym czasie ją filmował. Bosch obmyślał, jak to skomentować, gdy odezwała się jego krótkofalówka. Wyjął ją zza pasa.

- Tu Bosch.

- Edgar. Lepiej tu wracaj, Harry. Coś mamy.

-Idę.

Edgar stał na prawie poziomym terenie wśród krzewów około czterdziestu metrów od kępy akacji. Sześciu kadetów i Julia Brasher otoczyli kołem coś pod niewielkim krzewem. W górze policyjny helikopter zataczał ciasne kręgi.

Bosch dotarł do kręgu ludzi i popatrzył na ziemię. Zobaczył częściowo zagrzebaną w ziemi dziecięcą czaszkę. Puste oczodoły spoglądały wprost na niego.

- Nikt tego nie dotykał - powiedział Edgar. - Brasher ją znalazła.

Bosch obejrzał się na nią. Zniknął dobry humor Julii Brasher.

Wyciągnął krótkofalówkę zza pasa.

- Doktor Corazon? - odezwał się do mikrofonu. Minęła długa chwila, nim odpowiedziała.

- Tak, jestem. O co chodzi?

- Będziemy musieli rozszerzyć granice miejsca przestępstwa.

Rozdział 6

Z Boschem w roli generała dowodzącego małą armią, która trudziła się rozszerzaniem granic miejsca przestępstwa, prace dochodzeniowe posuwały się w szybkim tempie. Kości bez trudu odnajdywano w ziemi i pod zaroślami na stoku, jakby niecierpliwie czekały na to od bardzo dawna. Do południa zespół Kathy Kohl przekopał trzy segmenty siatki. W ciemnej ziemi znaleziono dużo szczątków. Podobnie jak zwykli archeolodzy, odkrywający starożytne pamiątki, członkowie zespołu przy ostrożnym odstawianiu dziecięcych kości posługiwali się pędzelkami. Proces ten był żmudny, lecz posuwał się w szybszym tempie, niż spodziewał się Bosch.

Znalezienie czaszki spowodowało, że ludzie poczuli, iż sprawa jest pilna, toteż uczciwie przykładali się do pracy. Czaszkę zabrano z miejsca, gdzie ją znaleziono, następnie kamerzysta uwiecznił na taśmie wideo wstępne zbadanie jej przez Teresę Corazon. Odkryła ślady złamań i blizny chirurgiczne. Pozostałości zabiegu operacyjnego oznaczały, że kości nie są zbyt stare. Złamania nie dowodziły jeszcze, że popełniono morderstwo, ale ponieważ zwłoki pogrzebano, wydawało się oczywiste, że popełniono zbrodnię.

Do drugiej po południu, kiedy ekipy zrobiły przerwę na obiad, w podzielonym na kwadraty terenie odszukano prawie połowę kości szkieletu. Kadeci znaleźli w pobliskich krzewach niewielkie nagromadzenie innych

kości. Zespół Kathy Kohl odkrył jeszcze kawałki częściowo rozłożonego ubrania i płóciennego, dziecięcego plecaka.

Kości znoszono ze stoku w kwadratowych drewnianych skrzynkach ze sznurkowymi uchwytami u boków. Do obiadu antropolog sądowy przebadał w biurze patologa okręgowego zawartość trzech takich skrzynek. Ubrania - przeważnie przegniłe i nie nadające się do identyfikacji - oraz nieotwierany plecak przetransportowano do wydziału kryminalistycznego policji Los Angeles, by poddać je równie szczegółowym badaniom.

Detektory metalu na terenie podzielonym na kwadraty wykryły pojedynczą monetę - ćwierćdolarówkę z 1975 roku. Znaleziono ją na tej samej głębokości co kości, około pięciu centymetrów od lewego talerza miednicy. Zakładano, że dwudziestopięciocentówka znajdowała się w lewej przedniej kieszeni spodni, które zgniły razem z tkankami. Moneta określała jeden z podstawowych parametrów: czas zbrodni. Jeśli założenie, że została pogrzebana razem z ciałem, było słuszne, to śmierć nie mogła nastąpić przed 1975 rokiem.

Mundurowi zadbali o wysłanie dwóch kuchni polowych, by pracujący na miejscu przestępstwa nie padli z głodu, ale obiad się opóźniał. W jednej furgonetce wydawano gorące dania, w drugiej - kanapki. Bosch ustawił się razem z Julią Brasher na końcu kolejki do samochodu z kanapkami. Kolejka posuwała się powoli, ale to mu nie przeszkadzało. Rozmawiał z Julią przede wszystkim o dochodzeniu na wzgórzu, ale i plotkował o szychach z wydziału. Pogawędka ta służyła wzajemnemu poznaniu. Boscha ciągnęło do Julii; im więcej słuchał o jej pierwszych doświadczeniach w wydziale, tym bardziej go intrygowała. Obserwował u niej mieszankę ekscytacji, podziwu i cynizmu; podobnie się zachowywał w początkowym okresie służby.

Gdy od okienka, gdzie wydawano kanapki, dzieliło ich sześć osób, Bosch usłyszał, jak ktoś wypytuje jednego z kadetów o dochodzenie.

- Kości pochodzą od różnych osób?
- Człowieku, nie wiem. Szukamy ich, to wszystko. Bosch przyjrzał się temu, który zadał pytanie.
- Wszystkich porżnięto?
- Trudno powiedzieć.

Harry przeszedł na tył furgonetki. Zajrzał przez otwarte drzwi i zobaczył w środku trzech mężczyzn w fartuchach, którzy pracowali albo przynajmniej sprawiali takie wrażenie. Nie zauważyli Harry'ego. Dwaj przygotowywali kanapki i realizowali zamówienia. Mężczyzna w środku, ten, który wypytywał kadeta, ruszał rękami pod kontuarem za okienkiem, przez które wydawano zamówienia. Niczego nie szykował, ale z zewnątrz można było odnieść wrażenie, że coś przygotowuje. Na oczach Boscha mężczyzna po prawej przeciął kanapkę na pół, położył ją na papierowej tacce i podsunął człowiekowi w środku. Mężczyzna ten podał ją przez okno zamawiającemu kadetowi.

Harry zauważył, że dwaj prawdziwi kucharze mieli na sobie dzinsy, a pod fartuchami podkoszulki, podczas gdy człowiek w środku nosił spodnie z mankietami i zapinaną koszulę z kołnierzykiem. Z tylnej kieszeni spodni sterczał mu notes. Długi i wąski - taki, jakim posługiwali się dziennikarze.

Bosch wetknął głowę do środka i rozejrzał się. Na półce obok drzwi zobaczył zrolowaną sportową marynarkę. Ściągnął ją i cofnął się. Przeszukał kieszenie i znalazł wydaną przez policję przepustkę prasową na łańcuszku. Na przepustce znajdowało się zdjęcie mężczyzny, który stał teraz w środku między dwoma kucharzami. Nazywał się Victor Frizbe i pracował dla „NewTimesa”.

Trzymając marynarkę z boku, Bosch zastukał w blachę furgonetki. Kiedy wszyscy trzej mężczyźni się odwrócili, dał znak Frizbe'emu, by podszedł. Reporter przyłożył dłoń do piersi w geście symbolizującym pytanie: „Kto, ja?”. Bosch kiwnął głową. Frizbe podszedł do drzwi i nachylił się.

- Tak?

Bosch zacisnął dłoń na fartuchu pod szyją mężczyzny i wyciągnął go z wozu. Frizbe wprawdzie utrzymał się na nogach, ale musiał przebiec kilka kroków. Gdy się obrócił, żeby zaprotestować, Bosch rzucił mu w pierś zrolowaną marynarkę.

Dwaj mundurowi - ci zawsze jedli pierwsi - właśnie wyrzucali papierowe tacki do kosza na śmieci. Harry przywołał ich skinieniem ręki.

- Zabierzcie go za kordon. Jeśli jeszcze raz tu wejdzie, aresztujcie go.

Funkcjonariusze ujęli dziennikarza pod łokcie i ruszyli z nim ulicą w stronę koźłów. Frizbe zaczął protestować, poczerwieniał na twarzy. Policjanci nie zwracali jednak na to uwagi, tylko trzymali go pod pachy i w upokarzający sposób wyprowadzali za kordon na oczach innych reporterów. Bosch przyglądał się temu przez chwilę, po czym wyjął legitymację prasową z kieszeni i wyrzucił ją do kosza na śmieci.

Dołączył do Julii Brasher w kolejce. Przed nimi stało już tylko dwóch kadetów.

- O co chodziło? - zapytała Julia.

- Pogwałcenie przepisów sanitarnych. Nie umył rąk. - Julia się roześmiała. - Mówię poważnie. Jeśli o mnie chodzi, prawo to prawo.

- Boże, mam nadzieję, że dostanę kanapkę, zanim wypatrzy pan karalucha albo innego robala i zamknie pan interes.

- Niech się pani nie martwi, karalucha chyba się właśnie pozbyłem.

Dziesięć minut później, po udzieleniu przez Boscha nagany właścicielowi furgonetki za przeschmuglowanie dziennikarza na miejsce przestępstwa, przeszli z kanapkami do jednego ze stolików

piknikowych, rozstawionych na rondzie przez służby specjalne. Stolik był zarezerwowany dla techników dochodzeniowych, ale Harry bez wahania pozwolił usiąść przy nim Julii. Siedzieli przy nim też Edgar, Kathy Kohl i jeden z kopaczy z jej zespołu. Bosch przedstawił Julię tym, którzy jej nie znali. Wspomniął, że to ona odebrała wstępne zgłoszenie i pomagała mu poprzedniego wieczoru.

- A gdzie szefowa? - zapytał Kathy Kohl.

- Och, już zjadła. Myślę, że poszła nagrywać wywiad z sobą czy coś w tym rodzaju.

Bosch uśmiechnął się i pokiwał głową.

- Chyba pójde po dokładkę - powiedział Edgar i przelazł przez ławkę z tacą w rękę.

Harry wgrzył się w kanapkę z boczkiem, sałatą oraz pomidorem. Był wygłodzony. W trakcie przerwy zamierzał wyłącznie jeść i odpoczywać, ale Kathy Kohl zapytała, czy może mu przedstawić wstępne wnioski dotyczące wykopalisk.

Harry miał w tym momencie pełne usta. Gdy przełknął, poprosił ją, by zaczekała do powrotu jego partnera. Rozmawiali ogólnikowo o stanie kości i tym, iż zdaniem Kathy Kohl płytkie pogrzebanie ciała sprawiło, że zwierzęta wygrzebywały szczątki i rozwlekały resztki. Pewnie trwało to całe lata.

- Nie odnajdziemy wszystkich kości - powiedziała. - Wielu będzie brakowało. Już wkrótce dalsze poszukiwania staną się bezcelowe.

Edgar wrócił z dokładką smażonego kurczaka. Bosch skinął głową Kathy, która popatrzyła na notes leżący na stoliku. Sprawdziła parę zapisków i zaczęła mówić:

- Chcę, żebyście stale pamiętali o głębokości grobu i charakterze terenu. Myślę, że to najważniejsze sprawy. Od nich pewnie zależy, kim był chłopiec i co się z nim stało.

- Chłopiec? - spytał Bosch.

- Świadczą o tym kształt miednicy i fragment bielizny.

Wyjaśniła, że wśród resztek zgniłego ubrania odnaleziono gumkę od majtek. Tylko to zostało z bielizny, w której dziecko zostało pogrzebane. Płyny rozkładowe doprowadziły do całkowitego zniszczenia ubrania na ciele. Gumowy pasek był jednak prawie nienaruszony i najprawdopodobniej pochodził z markowych męskich slipów.

- No dobrze - powiedział Bosch. - Mówiła pani też o głębokości?

- Tak. Położenie bioder i dolnych kręgowi każe nam przypuszczać, że odnaleźliśmy je w takiej pozycji, w jakiej znajdowały się w chwili pogrzebania. Wychodząc z tego założenia, mówimy o grobie, mającym od piętnastu do trzydziestu centymetrów głębokości. Tak płytki grób wskazuje na pośpiech, panikę - a to oznacza działanie bez z góry przyjętego planu. Jednakże... - uniosła palec - ... z tych samych powodów położenie grobu w bardzo trudno dostępnym terenie świadczy o czymś wręcz przeciwnym. Sugeruje staranne planowanie. Macie więc tutaj pewną sprzeczność. Miejsce przypuszczalnie zostało wybrane dlatego, że jest piekielnie trudno dostępne, a mimo to pogrzeb był raczej pospieszny i byle jaki. Ten, kto pochował zwłoki, nakrył je tylko wierzchnią warstwą gleby i igliwem. Wiem, że podkreślanie tego wszystkiego nie musi wam pomóc w schwytaniu sprawcy, ale chcę, żebyście dostrzegli to, co ja. Sprzeczność, o której mówiłam.

- Dobrze to wiedzieć - przytaknął Bosch. - Będziemy o tym pamiętali.

- W porządku. Druga sprzeczność - mniejsza - to plecak. Pogrzebanie go z ciałem było błędem. Ciało rozkłada się o wiele szybciej od płótna. Jeśli więc znajdziecie na samym plecaku lub w jego zawartości coś, co umożliwi identyfikację, będzie to błąd sprawcy. Marne planowanie znów przeplata się z solidnym. Jesteście bystrzymi detektywami, na pewno dojdziecie, o co w tym chodzi. - Uśmiechnęła się do Harry'ego i ponownie

zajrzała do notesu. - Chyba to tyle. O wszystkim innym mówiliśmy na miejscu. Moim zdaniem praca idzie bardzo dobrze. Do wieczora uporamy się z głównym grobem. Jutro sprawdzimy próbki z pozostałych kwadratów. Pewnie też jutro skończymy. Jak powiedziałam, nie odnajdziemy wszystkiego, ale na pewno wystarczająco dużo. Boschowi przypomniało się nagle pytanie, które Vincent Frizbe zadał kadetowi w furgonetcie z jedzeniem. Zdał sobie sprawę, że dziennikarz mógł wyprzedzić go w rozumowaniu.

- Próbkę? Myśli pani, że jest tam pogrzebanych więcej ciał?

- Nic na to nie wskazuje. - Kathy Kohl pokręciła głową. - Musimy się jednak upewnić. Pobierzemy trochę materiałów do analiz, wbijemy trochę próbników gazów. To rutynowe postępowanie. Najprawdopodobniej - zwłaszcza ze względu na płytkie położenie - to pojedynczy grób, ale powinniśmy się upewnić.

Bosch pokiwał głową. Poczł zadowolenie, że zjadł prawie całą kanapkę, bo nagle stracił apetyt.

Perspektywa wszczęcia śledztwa dotyczącego wielokrotnych zabójstw była zniechęcająca. Popatrzył na kolegów przy stoliku.

- Ma to pozostać między nami. Nakryłem już reportera, który węszył za seryjnym mordercą. Nie potrzeba nam hysterii mediów. Nawet jeśli będziecie upierać się, że prowadzicie rutynowe działania, i tak trafi to na pierwsze strony gazet. Rozumiecie?

Wszyscy pokiwali głowami, łącznie z Julią Brasher. Harry miał mówić dalej, kiedy rozległ się głośny łomot od strony rzędu toalet, ustawionych na platformie służb specjalnych po drugiej stronie ronda. Ktoś walił od środka w blaszaną ściankę kabiny wielkości budki telefonicznej. Po chwili wśród łomotu Bosch dosłyszał kobiecy głos. Rozpoznał go i poderwał się od stolika.

Przebiegł przez rondo i wbiegł po stopniach na platformę. Szybko ustalił, z której kabiny rozlega się walenie, i podszedł do drzwi. Zasuwka z zewnątrz, z której korzystano podczas transportu toalet, została zamknięta, a jej uszko zablokowano kurzą kością.

- Poczekaj! - zawołał Harry. - Poczekaj!

Spróbował wyciągnąć kość, ale była oblepiona tłuszczem i wysliznęła się mu z palców. Łomot i krzyki nie ustawały. Bosch rozejrzał się za jakimś narzędziem, ale niczego nie wypatrzył. Wyjął w końcu pistolet z kabury, sprawdził bezpiecznik i wybił rękojeścią broni kość z uszka, pilnując, by przez cały czas lufa mierzyła w dół.

Gdy kość wreszcie wypadła, schował pistolet i otworzył zasuwkę. Drzwi natychmiast stanęły otworem i ze środka wypadła Teresa Corazon, o mało nie zwalając Boscha z nóg. Przytrzymał się jej, żeby nie stracić równowagi, ale odepchnęła go szorstko.

- To twoja robota!

- Co? Nie, to nie ja! Cały czas byłem....

- Chcę wiedzieć, czyja to sprawka!

Harry niżył głos. Wiedział, że pewnie wszyscy na rondzie im się przyglądają, w tym przedstawiciele mediów.

- Słuchaj, Tereso, uspokój się. To tylko żart, rozumiesz? Ktokolwiek to zrobił, był to dowcip. Wiem, że nie lubisz zamkniętych przestrzeni, ale ten ktoś nie miał o tym pojęcia. Ktoś miał ochotę rozładować trochę napięcie i wypadło na ciebie...

- To dlatego, że mi zazdroszczą. Właśnie tak.

- Czego?

- Tego, kim jestem, co osiągnęłam.

Bosch poczuł się zdeprimowany.

- Skoro tak sądzisz.

Teresa ruszyła w stronę schodków, po czym nagle zawróciła w jego stronę.

- Odjeżdżam. Jesteś zadowolony?

- Zadowolony? - Harry pokręcił głową. - To nie miało nic wspólnego z tym, co się tu dzieje. Staram się prowadzić dochodzenie i jeśli chcesz znać prawdę, może to i lepiej, gdy ty i twój kamerzysta nikogo nie będziecie rozpraszać.

- No to się doczekałeś. A co do numeru telefonu, pod który do mnie wczoraj dzwoniłeś...

Bosch pokiwał głową.

- Tak? Co z nim?

- Spal go.

Zeszła po schodkach, gniewnym gestem przywołała kamerzystę i ruszyła w stronę samochodu służbowego. Bosch przyglądał się, jak odchodzi.

Kiedy wrócił do stolika, siedzieli przy nim już tylko Edgar i Julia Brasher. Jego partner zamienił dokładkę w kupkę kurzych kości i rozsiadł się z uśmiechem zadowolenia na twarzy.

Harry upuścił na jego tackę kość wybitą z uszka zasuwki.

- Wyszło naprawdę świetnie - powiedział.

Rzucił Edgarowi spojrzenie mówiące, iż wie, że to jego sprawka. Ale Edgar się nie odzywał.

- Im większe ego, tym boleśniejszy upadek - rzeki w końcu. - Ciekawe, czy kamerzysta uwiecznił to wydarzenie.

- Wiesz co? Dobrze byłoby, gdyby pozostała naszym sprzymierzeńcem - odparł Bosch. - Lepiej znosić jej humory, żeby w razie potrzeby była po naszej stronie.

Edgar wziął tackę i zaczął podnosić swoje zwałiste ciało zza stolika.

- Do zobaczenia na wzgórzu - powiedział.

Harry obejrzał się na Julię. Uniosła brwi.

- Myślisz, że on to zrobił?

Nie odpowiedział.

Rozdział 7

Prace na cmentarzysku potrwały tylko dwa dni. Zgodnie z przewidywaniami Kathy Kohl większość szkieletu zlokalizowano pod kępą akacji i usunięto do końca pierwszego dnia. W zaroślach w pobliżu odnaleziono inne kości, rozproszone w sposób zgodny z założeniem, że dokonały tego grasujące zwierzęta. Policjanci i kopacze wrócili w piątek, ale całodzienne poszukiwania na wzgórzu, prowadzone przez nową zmianę kadetów, i dalsze wykopaliska w zasadniczych kwadratach siatki nie dostarczyły nowych kości. Próbkowanie gazów i wykopaliska we wszystkich pozostałych kwadratach również nie doprowadziły do znalezienia kości. Nic nie świadczyło o tym, że pod akacjami zostały zakopane inne ciała.

Kathy Kohl oceniła, że odnaleziono sześćdziesiąt procent szkieletu. Na jej sugestię i za zgodą Teresy Corazon w piątek o zmierzchu zawieszono wykopaliska i przeszukiwanie, uzależniając ich wznowienie od dalszego rozwoju wydarzeń.

Bosch się temu nie sprzeciwiał. Zdawał sobie sprawę, że poszukiwania, mimo wkładanego trudu, przynoszą bardzo mizerne rezultaty, dlatego zgodził się z fachowcami. Zależało mu również na przyspieszeniu śledztwa i identyfikacji kości, a na tym polu praktycznie nie odnotowano postępów. Przez dwa dni on i Edgar działali wyłącznie na Wonderland Avenue, nadzorując gromadzenie dowodów rzeczowych, przepytując sąsiadów i sporządzając wstępne raporty dotyczące sprawy. Była to konieczna praca, lecz Harry pragnął ruszyć dalej.

W sobotę rano spotkał się z Edgarem w holu biura patologa. Powiedział recepcjonistce, że jest umówiony z doktorem Williamem Gollitherem, antropologiem sądowym, zatrudnionym na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles.

- Czeka na panów w sali A - powiedziała recepcjonistka, kiedy upewniła się już o tym telefonicznie. - Traficie panowie?

Bosch kiwnął głową. Przepuszczono ich przez bramkę. Zjechali do podziemia i natychmiast po wyjściu z windy powitała ich woń sal sekcyjnych. Składały się na nią chemikalia i odór rozkładu, nie występujący nigdzie indziej w takiej postaci. Edgar natychmiast wyciągnął papierową maseczkę z dystrybutora na ścianie i ją nałożył. Bosch nie poszedł za jego przykładem.

- Naprawdę powinieneś, Harry - powiedział Edgar, gdy ruszyli dalej korytarzem. - Wiesz, że wszystkie zapachy mają naturę cząsteczkową?

Bosch popatrzył na niego.

- Dzięki za informację, Jerry.

Musieli przystanąć na korytarzu, bo z sali sekcyjnej wytaczano wózek. Leżało na nim owinięte w plastik ciało.

- Zauważyłeś, Harry, że wszystkie zawijają tak samo jak burritos w Taco Belli

Bosch kiwnął głową mężczyźnie pchającemu wózek.

- Dlatego właśnie nie jem burritos.

- Naprawdę?

Bosch ruszył dalej bez słowa komentarza.

Sala A była zarezerwowana dla Teresy Corazon na te nieliczne okazje, gdy rezygnowała z obowiązków administracyjnych i własnoręcznie przeprowadzała sekcję. Najprawdopodobniej pozwoliła Gollitherowi z niej skorzystać, ponieważ zaangażowała się początkowo w tę sprawę osobiście. Po

wypadku z przewoźną toaletą Teresa Corazon nie powróciła jednak na miejsce przestępstwa.

Bosch i Edgar weszli przez podwójne drzwi na salę, gdzie przywitał ich mężczyzna w dzinsach i koszuli hawajskiej.

- Mam na imię Bill - powiedział Gollilier. - Domyślam się, że to były dwa długie dni.

- Bez dwóch zdań - odparł Edgar.

Gollilier pokiwał przyjaźnie głową. Miał około pięćdziesiątki, ciemne włosy i oczy. Zachowywał się dość swobodnie. Wskazał dłonią stół

sekcyjny na środku sali. Zebrane pod kępą akacji kości leżały osobno na powierzchni ze stali nierdzewnej.

- Cóż, pozwólcie, że opowiem wam, co się tutaj działo - powiedział Gollilier. - W miarę jak ekipa w terenie zbierała dowody, fotografowałem części szkieletu, robiłem ich radiogramy i starałem się złożyć tę układankę.

Harry podszedł do stalowego stołu. Kości ułożono tak, że tworzyły niepełny szkielet. Najbardziej rzucił się w oczy brak kości lewej ręki i nogi oraz żuchwy. Zakładano, że dawno temu padły ofiarą zwierząt, które wygrzebały je z płytkiej mogiły i zawlokły gdzieś daleko.

Każda z kości była oznakowana - większe naklejkami, mniejsze etykietami na sznureczkach. Harry wiedział, że odnotowano na nich kod miejsca, w którym znaleziono kość, według diagramu wykreślonego przez Kathy Kohl pierwszego dnia wykopalisk.

- Kości mogą nam wiele powiedzieć o tym, jak dana osoba żyła i umarła - rzekł z powagą Gollilier. - W wypadkach okrucieństwa wobec dzieci kości nie kłamią. Stanowią nasz ostateczny dowód.

Bosch spojrzał na patologa i zorientował się, że w rzeczywistości nie ma on ciemnych oczu. Były niebieskie, lecz głęboko osadzone, wskutek czego ich właściciel wyglądał, jakby dręczyły go upiory. Antropolog patrzył obok Boscha na kości leżące na stole. Po chwili otrząsnął się z zadumy i spojrzał na Harry'ego.

- Bardzo dużo dowiedzieliśmy się na podstawie znalezisk - powiedział antropolog. - Muszę wam powiedzieć, że byłem konsultantem w wielu sprawach, ale ta mnie zupełnie wytrąciła z równowagi. Oglądałem te kości, robiłem notatki, aż wreszcie popatrzyłem na kartkę i zobaczyłem, że atrament się rozmażał. Po prostu się rozbeczałem. Płakałem i nawet nie zdawałem sobie z tego sprawy. - Popatrzył na rozłożone kości z czułością i litością. Bosch czuł, że antropolog ma przed oczyma dziecko, do którego kiedyś należały. - Paskudna sprawa, mówię wam. Naprawdę paskudna.

- W takim razie powiedz nam, co wiesz, to zabierzemy się do swojej roboty - powiedział Bosch głosem brzmiącym jak nabożny szept.

Gollilier pokiwał głową i sięgnął po kołonotatnik.

- W porządku - odparł. - Zaczniemy od rzeczy podstawowych. Co nieco pewnie już słyszeliście, ale jeśli pozwolicie, przedstawię wam wszystkie swoje wnioski.

- Nie ma sprawy - powiedział Bosch.

- Dobrze. No to zaczynamy. Macie przed sobą szczątki młodego przedstawiciela rasy białej. Porównanie ze standardami rozwojowymi Maresha wskazuje, że miał około dziesięciu lat. Nad dzieckiem długo i brutalnie znęcano się fizycznie. Pod względem histologicznym ofiary przewlekłego maltretowania często cierpią na coś, co określa się jako zahamowanie wzrostu. Spowodowane tym spowolnienie rozwoju wywołuje trudności w ocenie wieku ofiary na podstawie kośćca. Często szkielet wygląda jak młodszego dziecka, a ofiara w rzeczywistości była starsza. Wprawdzie ten szkielet sugeruje, że chłopiec miał dziesięć lat, ale przypuszczalnie był to dwunasto-, trzynastolatek.

Bosch obejrzał się na Edgara. Jego partner stał z ciasno splecionymi na piersiach rękami, jakby zbierał siły do zniesienia tego, czego się spodziewał. Bosch wyjął notes z kieszeni marynarki i zaczął spisywać notatki.

- Czas śmierci - kontynuował Gollilier. - Trudna sprawa. Badania radiologiczne są pod tym względem dalekie od dokładności. Mamy monetę, która pozwala ustalić wcześniejszą granicę na tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty piąty rok. To nam pomaga. W mojej ocenie dziecko leżało w ziemi od dwudziestu do dwudziestu pięciu lat. Jestem o tym przekonany, a potwierdzają to pewne ślady chirurgiczne, o których będziemy mogli podyskutować za kilka minut.

- Mamy więc dziesięcio-, trzynastoletniego chłopca, zabitego od dwudziestu do dwudziestu pięciu lat temu - podsumował Edgar z nutą przygnębienia w głosie.

- Wiem, że daję wam bardzo ogólne parametry, detektywie - powiedział Gollilier. - Aktualnie jednak

nauka tylko tyle może zrobić.

- Nie pańska wina, doktorze.

Bosch zanotował wszystko. Mimo szerokiego przedziału czasowego wyznaczenie jego ram i tak miało kluczowe znaczenie dla śledztwa. Według szacunku Gollihera chłopiec został zabity pod koniec lat siedemdziesiątych lub na początku osiemdziesiątych. Boschowi przemknęło przez głowę, jak wyglądał w tamtym okresie Laurel Canyon. Była to rustykalna, modna enklawa, po części dla bohemy, po części dla zamożnych. Prawie wszystkie ulice zamieszkiwali handlarze kokainy i ci, którzy ją brali, twórcy pornografii i wypaleni rockandrollowi hedoniści. Gdzie w tym wszystkim było miejsce na tajemniczą śmierć dziecka?

- Przyczyna zgonu - ciągnął Gollither. - Coś wam powiem; zajmijmy się tym na końcu. Chcę zacząć od kończyn i tułowia, żebyście mieli pojęcie, co ten chłopak zniósł w swoim krótkim życiu.

Przez chwilę popatrzył Boschowi w oczy, a następnie ponownie spojrzął na kości. Harry wciągnął głęboko powietrze, co wywołało ból w nadwerżonych żebrach. Czuł, że obawa, która dręczyła go od chwili znalezienia drobnych kości na wzgórzu, zaraz się potwierdzi. Instynktownie przez cały czas zdawał sobie sprawę, że do tego dojdzie. Wzruszona ziemia ujawni historię koszmaru.

Zaczął zapisywać w notesie słowa Gollihera, mocno przyciskając długopis.

- Po pierwsze, znaleziono jedynie około sześćdziesięciu procent szkieletu - powiedział antropolog. - Mimo to mamy niezaprzeczalne dowody wielokrotnych urazów kośćca i przewlekłego maltretowania. Nie wiem, jak dobrze znacie się na antropologii, ale zakładam, że wiele z tego, co wam powiem, będzie dla was nowością. Zacznę od podstaw. Kości goją się same. Właśnie dzięki badaniom nad regeneracją kości możemy ustalić historię maltretowania. Na tych kościach znajdują się ślady licznych urazów w różnych stadiach wygojenia. Są złamania stare i świeże. Mamy tylko dwie z czterech kończyn, ale obydwie noszą ślady wielokrotnych urazów. Krótko mówiąc, ten chłopiec przez większość życia odnosił obrażenia, które następnie się goiły.

Bosch popatrzył na swój notes i zaciśnięty w dłoni długopis. Zauważył, że zbiegły mu kłykcie.

- Do poniedziałku dostaniecie ode mnie pisemną opinię, ale jeśli chcecie liczb już teraz, to powiem wam, że znalazłem czterdzieści cztery miejsca wskazujące na odrębne urazy w różnym stadium gojenia. A chodzi tu tylko o kości, panowie. Pomijamy uszkodzenia doznane przez narządy wewnętrzne i tkanki miękkie. Bez wątplenia jednak ten chłopiec dzień po dniu cierpiał.

Bosch zapisał cyfry w notesie. Wydało mu się to bezsensownym gestem.

- Skatalogowane przeze mnie obrażenia można wykryć przede wszystkim dzięki zmianom podokostnowym - powiedział Gollither. - Chodzi o cienkie warstwy nowej kości, narastające pod powierzchnią strefy urazu lub krwawienia.

- „Podoko...”. Jak to się pisze? - spytał Bosch.

- Czy to ważne? Będzie w opinii. Bosch pokiwał głową.

- Przyjrzyjcie się - powiedział Gollither.

Podszedł do przeglądarki radiogramów na ścianie i włączył światło. Wisiało już na niej zdjęcie przedstawiające długą, cienką kość. Przesunął palcem wzdłuż jej trzonu, docierając do poła o nieznacznie zmienionej barwie.

- To jedyna odnaleziona kość udowa - powiedział. - Ta linia o nieco innej barwie reprezentuje jedno z obrażeń. To znaczy, iż w to miejsce - na udzie - padł silny cios na kilka tygodni przed śmiercią. Miażdżące uderzenie. Nie złamało kości, ale ją uszkodziło. Tego rodzaju obrażenie na pewno spowodowało powierzchniowe sińce i moim zdaniem odbiło się na chodzie chłopca. Nie mogło pozostać niezauważone.

Bosch podszedł bliżej i przyjrzał się zdjęciu. Edgar został z tyłu. Gdy Bosch skończył oględziny, Gollither zdjął je z przeglądarki i zawiesił trzy kolejne, zakrywając ją w całości.

- Mamy też ubytki okostnej na obu kończynach. Chodzi o zderzenie jej z powierzchnią kości; spotyka się je przede wszystkim w wypadkach maltretowania dzieci, gdy dorosła osoba uderza ukośnie w kończynę ręką lub jakimś narzędziem. Charakter gojenia się wskazuje, że tego rodzaju urazy następowały wielokrotnie w ciągu kilku lat.

Gollither urwał i zajrzał do swoich notatek, po czym obejrzał się na kości na stole. Wziął w rękę prawą kość ramienną i przytrzymał ją przed sobą, nie przestawał przy tym mówić i zaglądać do zapisków. Bosch zauważył, że antropolog nie nałożył rękawiczek.

- Prawa kość ramienną - kontynuował Gollilier. - Widać na niej ślady dwóch oddzielnych, wygojonych złamań. Szczeliny złamań biegną podłużnie. Świadczy to, że były skutkiem wykręcania ręki z wielką siłą. Spotkało to chłopca raz, a potem ponownie.

Odłożył kość i podniósł jedną z kości przedramienia.

- Na kości łokciowej widać wygojone złamanie podłużne. Spowodowało niewielkie odchylenie w przebiegu osi kości. Stało się tak, ponieważ kość zrosła się bez złożenia.

- Nie nastawiono złamania? - zapytał Edgar. - Nie zabrano dziecka do lekarza ani izby przyjęć?

- Właśnie. Tego rodzaju złamania, chociaż zwykle są przypadkowe i spotyka się je na co dzień w izbie przyjęć, mogą powstać podczas obrony; jeśli wystawia się rękę, by zasłonić się przed ciosem, który w rezultacie pada na przedramię. Dochodzi wtedy do złamania. Ze względu na brak śladów opatrzenia chirurgicznego tego złamania wnioskuję, że nie było przypadkowe, lecz stanowiło element systematycznego maltretowania.

Gollilier delikatnie odłożył kość na miejsce, pochylił się nad stołem i przyjrzał klatce piersiowej. Udało się odnaleźć wiele żeber; leżały ułożone w szeregach na blacie.

- Żebra - powiedział. - Ponad dwadzieścia złamań w różnych stadiach gojenia. Moim zdaniem można uznać, że wygojone złamanie dwunastego żebra nastąpiło, kiedy chłopiec miał zaledwie dwa lub trzy lata. Na dziewiątym znajduje się kostnina świadcząca o tym, że do urazu doszło zaledwie kilka tygodni przed śmiercią. Występuje konsolidacja pierwotna złamań w kątach żeber. U niemowląt wskazuje to na gwałtowne potrząsanie. U starszych dzieci dowodzi to zwykle bicia po plecach.

Bosch przypomniał sobie odczuwany przez siebie ból, tak silny, że z jego powodu nie mógł spać. Pomyślał o chłopcu, który cierpiał tak całe lata.

- Muszę obmyć twarz - powiedział nagle. - Proszę mówić dalej.

Wepchnął notes i długopis w ręce Edgarowi i podszedł do drzwi. Na korytarzu skręcił w prawo. Znał rozkład piętra sal sekcyjnych i wiedział, że toalety są za następnym zakrętem korytarza.

Wszedł do otwartej kabiny w toalecie. Czuł mdłości, ale nic z nich nie wynikło. Po długiej chwili ustąpiły.

Bosch wyszedł z kabiny w chwili, gdy do toalety wszedł kamerzysta Teresy Corazon. Popatrzyli na siebie czujnie przez chwilę.

- Niech pan stąd wyjdzie - powiedział Bosch. - Może pan wrócić później.

Mężczyzna bez słowa odwrócił się i wyszedł.

Harry podszedł do umywalki i popatrzył na swoje odbicie w lustrze. Był zaczerwieniony. Pochylił się, złożył dłonie i zanurzył twarz w zimnej wodzie, przemywając oczy. Pomyślał o chrztach i drugich szansach. O odradzeniu się. Uniósł powoli twarz i znowu popatrzył na swoje odbicie.

Dostanę tego człowieka.

O mało nie powiedział tego na głos.

Gdy Harry wrócił na salę A, wszystkie oczy zwróciły się ku niemu. Edgar oddał mu notes, a Gollilier zapytał, czy nic mu nie dolega.

- Nie, w porządku - odrzekł.

- Jeśli to wam pomoże, to konsultowałem przypadki z całego świata - powiedział Gollilier. - Chile, Kosowo, nawet World Trade Center. Ale ten przypadek... - Potrząsnął głową. - Trudno to ogarnąć - dodał. - W takiej sytuacji człowiek zaczyna się zastanawiać, czy nie lepiej, że chłopiec odszedł z tego świata. To znaczy, jeśli wierzy się w Boga i lepsze zaświaty.

Bosch podszedł do kontuaru i wyciągnął z dystrybutora papierowy ręcznik. Zaczął od nowa wycierać twarz.

- A jeśli się nie wierzy?

Gollilier podszedł do niego.

- Cóż, właśnie dlatego trzeba wierzyć - powiedział. - Jeśli chłopiec nie odszedł z tego świata do jakiegoś lepszego, na wyższy poziom egzystencji, to... to myślę, że wszyscy jesteśmy straceni.

- Czy to ci pomagało, kiedy szperałeś wśród kości z World Trade Center?

Bosch natychmiast pożałował swojej szorstkości, jednak Gollilier nie wyglądał na urażonego. Odpowiedział, zanim Bosch zdążył przeprosić.

- Tak, pomagało - rzekł. - Mojej wiary nie nadwątlili zgroza ani to, że zginęło tylu niewinnych ludzi. Na wiele sposobów uczyniły ją jeszcze silniejszą. Tylko dzięki

niej to wytrzymałem.

Harry pokiwał głową i wrzucił ręcznik do otwieranego pedałem kosza na śmieci. Kosz zamknął się z głośnym trzaśnięciem, kiedy zdjął stopę z pedału.

- A przyczyna śmierci? - spytał, wracając do sprawy.

- Możemy przejść do podsumowania, detektywie - powiedział Gollieher. - Wszystkie obrażenia, omówione i jeszcze nieomówione, zostaną zamieszczone w mojej opinii.

Podszedł do stołu i wziął w rękę czaszkę. Wrócił z nią do Boscha i przystawił blisko jego piersi.

- W czaszce mieści się zło i być może dobro - powiedział. - Widać na niej trzy odrębne złamania w różnych stadiach gojenia. Tutaj jest pierwsze.

Wskazał okolicę podstawy z tyłu.

- Złamanie jest małe i wygojone. Widać, że obrażenia uległy całkowitej konsolidacji. Następnie mamy najrozleglejsze złamanie, od prawej okolicy skroniowej do czołowej. Konieczny był zabieg chirurgiczny, zapewne z powodu krwiaka podtwardówkowego. Zaprezentował strefę obrażeń palcem, przesuując nim w stronę szczytu i przodu czaszki. Następnie wskazał pięć małych otworków o gładkich brzegach, tworzących kolisty wzór.

- To ślad trepanu. Trepan to piła medyczna, służąca do otwierania czaszki do zabiegu operacyjnego lub w celu złagodzenia ucisku wywołanego obrzękiem mózgu. W tym wypadku obrzęk był zapewne spowodowany krwiakiem. Samo złamanie i blizna chirurgiczna zaczęły pokrywać się kostniną. Świeżą kością. Powiedziałbym, że do urazu doszło około sześciu miesięcy przed śmiercią chłopca, zaraz potem przeprowadzono zabieg.

- Nie ten uraz spowodował śmierć? - zapytał Bosch.

- Nie. Ten.

Gollieher obrócił czaszkę raz jeszcze i pokazał kolejne złamanie, biegnące u podstawy z tyłu po lewej stronie.

- Małe, pajęczynowate złamanie bez kostniny i konsolidacji. Nastąpiło w tym samym czasie co zgon. Niewielka powierzchnia świadczy, że cios zadano z wielką siłą bardzo twardym przedmiotem. Na przykład kijem baseballowym. Czymś takim.

Bosch pokiwał głową i przyjrzał się czaszce. Gollieher obrócił ją tak, że puste oczodoły wpatrywały się wprost w Harry'ego.

- Były i inne obrażenia głowy, ale nie groziły śmiercią. Kości nosa i wyrostek jarzmowy wykazują ślady tworzenia nowej kości w następstwie urazu. - Gollieher wrócił do stołu sekcyjnego i delikatnie odłożył czaszkę. - Myślę, że nie muszę podsumowywać, panowie. Krótko mówiąc, ktoś regularnie katował chłopaka. W końcu posunął się za daleko. Wszystko znajdzie się w mojej opinii. - Odwrócił się od stołu sekcyjnego i popatrzył na policjantów. - Na szczęście pewien ślad może wam pomóc w poszukiwaniach.

- Operacja - powiedział Bosch.

- Właśnie. Otwarcie czaszki to bardzo poważna operacja. Gdzieś znajduje się jej dokumentacja. Musiały być wizyty kontrolne. Po zabiegu krążek kostny mocowany jest metalowymi kleszczykami. Nie znaleziono ich z czaszką. Domyślam się, że zdjęto je podczas powtórnego zabiegu. To również będzie udokumentowane. Blizna chirurgiczna pomaga nam również datować wiek kości. Otwory po trepanie są za duże według dzisiejszych standardów. Od połowy lat osiemdziesiątych narzędzia stały się bardziej wyrafinowane. Cieńsze. Zostawiają mniejsze otwory. Mam nadzieję, że wszystko to wam pomoże. Bosch skinął głową.

- Co z zębami? - spytał. - Znalazłeś coś przydatnego?

- Brakuje zuchwy - powiedział Gollieher. - Mimo oznak rozkładu przedśmiertnego w ocalałych zębach szczęki nie widać śladów działalności stomatologa. Samo w sobie stanowi to poszlakę. Myślę, że dzięki temu można uznać, iż chłopiec pochodził z niższych warstw społecznych. Nie chodził do dentysty.

Edgar ściągnął maseczkę na szyję. Miał zbolwały wyraz twarzy.

- Dlaczego ten dzieciak nie opowiedział lekarzom, co się z nim dzieje, kiedy trafił do szpitala z krwiakiem? A co z jego nauczycielami, przyjaciółmi?

- Zna pan równie dobrze jak ja odpowiedzi na te pytania, detektywie - odrzekł Gollieher. - Dzieci są zależne od swoich rodziców. Boją się ich i kochają zarazem, nie chcą ich stracić. Czasami nie ma wytłumaczenia, dlaczego nie wołają o pomoc.

- A co z tymi złamaniami i tak dalej? Dlaczego lekarze ich nie zauważyli i czegoś nie zrobili?
- Na tym polega ironia mojego fachu. Widzę wyraźnie historię i tragedię. Może to jednak nie być oczywiste w przypadku żywego pacjenta. Jeśli rodzice podali wiarygodne wyjaśnienie, obrażeń głowy chłopca, jaki lekarz miałby powód, by zlecać prześwietlenie ręki, nogi czy żeber? Żadnego. Dlatego koszmar przechodzi niezauważony.

Nieusatsfakcjonowany Edgar potrząsnął głową i przeszedł w przeciwległy kąt sali.

- Coś jeszcze, doktorze? - spytał Bosch.

Gollither zajął do swoich notatek i skrzyżował ręce na piersiach.

- Na płaszczyźnie naukowej to tyle, dostaniecie opinię. Od siebie mogę dodać, że mam nadzieję, że znajdziecie człowieka, który to zrobił. Zasługuje na to, co go czeka, a nawet jeszcze więcej.

Bosch pokiwał głową.

- Znajdziemy go - powiedział Edgar. - Proszę być spokojnym.

Wyszli z budynku i wsiedli do samochodu Boscha. Harry siedział przez chwilę w bezruchu. Wreszcie rąbnął silnie nasadą dłoni w kierownicę, aż ból przeszył mu poturbowany bok.

- Wiesz co, wcale mnie to nie przekonuje do istnienia Boga, tak jak jego - powiedział Edgar. - Od tego wierzę raczej w obcych, w małych zielonych ludzików z kosmosu.

Bosch spojrzął na niego. Edgar opierał się skronią o boczną szybę i wpatrywał w podłogę samochodu.

- Jak to?

- Bo człowiek nie mógłby zrobić czegoś takiego swojemu dziecku. Musiał wylądować statek z kosmitami, porwali dzieciaka i to wszystko mu zrobili. Jedyne wyjaśnienie.

- Chciałbym, żeby w grę wchodziła taka możliwość, Jerry. Wtedy wszyscy moglibyśmy spokojnie pójść do domu. - Włączył silnik i wrzucił bieg. - Muszę się napić.

Podjechał do bramy parkingu.

- Nie ze mną, człowieku - powiedział Edgar. - Mam ochotę tylko na jedno: wrócić do swojego dzieciaka i przytulać go, aż zrobi mi się lepiej.

Po drodze do Parker Center nie zamienili ani słowa.

Rozdział 8

Bosch i Edgar wjechali windą na czwarte piętro do laboratorium kryminalistycznego, gdzie mieli umówione spotkanie z Antoine'em Jesperem, szefem ekipy przydzielonej do badań kości. Jesper przywitał ich przy bramce kontrolnej i zaprowadził do środka. Był to młody Murzyn z szarymi oczyma i gładką skórą. Miał na sobie biały fartuch laboratoryjny, który łopotał, gdy jego właściciel stawiał długie kroki, czemu towarzyszyły energiczne wymachy rąk.

- Tędy, ludziska - powiedział. - Niewiele mam, ale wszystko należy do was.

Przeprowadził ich przez główne laboratorium, gdzie pracowała tylko garstka innych techników kryminalistycznych, do wielkiego pomieszczenia, w którym utrzymywano stałą wilgotność i temperaturę. Ubrania i inne dowody rzeczowe z różnych spraw rozkładano tu na stołach ze stali nierdzewnej, wyposażonych w dreny, i poddawano badaniom. Pod względem odoru z salą tą mogły rywalizować jedynie pomieszczenia biura patologa.

Jesper zaprowadził policjantów do dwóch stołów, na których leżał otwarty plecak i kilka poczerniałych od ziemi i pleśni kawałków ubrania. Stało tu też plastikowe pudełko na kanapki, pełne niedającej się zidentyfikować czarnej, rozkładającej się masy.

- Do plecaka dostały się woda i błoto - powiedział Jesper. - Domyślam się, że przesączyły się z czasem. - Wyjął z kieszeni fartucha długopis, po rozciągnięciu tworzący teleskopowy wskaźnik. Posługując się nim, ilustrował swoje komentarze. - Mamy tutaj najzwyczajniejszy plecak z trzema kompletami ubrania i kanapką lub jakimś innym pożywieniem. Mówiąc konkretnie: znaleźliśmy w nim trzy koszulki, trzy pary slipów i trzy pary skarpet. I jedzenie. Była również koperta, a raczej jej resztki.

Zabrała ją sekcja dokumentów. Nie róbcie sobie tylko wielkich nadziei. Była w jeszcze gorszym stanie niż kanapka, jeśli to była kanapka.

Bosch pokiwał głową. Zapisał w notesie listę rzeczy z plecaka.

- Coś umożliwiającego identyfikację?

Jesper pokręcił głową.

- Żadnych przedmiotów ze znakami osobistymi ani wśród ubrania, ani w plecaku - odparł. - Warto jednak odnotować dwie rzeczy. Po pierwsze, na tej koszulce znajduje się znak markowy: „Solid Surf”. Tu, na piersi. Teraz jest niewidoczny, ale widać go w ultrafiolecie. Może to pomoże, może nie. Jeśli nie znacie tego terminu, to informuję was, że odnosi się do jazdy na deskorolce.

- Zapamiętam - odparł Bosch.

- Następną sprawą to zewnętrzna kłapa plecaka. - Jesper podważył ją wskaźnikiem. - Oczyszczyłem ją trochę i znalazłem to.

Bosch pochylił się nad stołem, by przyjrzeć się dokładniej. Plecak uszyto z niebieskiego płótna. Na środku kłapy znajdowało się wyraźnie odgraniczone odbarwienie w kształcie litery B.

- Wygląda na to, że w tym miejscu znajdowała się kiedyś jakaś lepka substancja - powiedział Jesper. - Nalepka znikła, ale nie wiem, czy doszło do tego przed zakopaniem plecaka, czy później. Moim zdaniem wcześniej. Wygląda na to, że została zdarta.

Bosch cofnął się od stołu i zapisał kilka słów w notesie, po czym popatrzył na Jespera.

- W porządku, Antoine. Dobra robota. Coś jeszcze?

- Nie na tych rzeczach.

- W takim razie chodźmy do sekcji dokumentów.

Jesper przeprowadził ich z powrotem przez centralne laboratorium do bocznego. By dostać się do niego, musiał wystukać kod na zamku szyfrowym.

W laboratorium sekcji dokumentów stały dwa rzędy biurki o zupełnie pustych blatach. Każde z nich wyposażone było we wpuszczoną w blat

przeglądarkę i szkło powiększające na stelażu. Jesper podszedł do środkowego biurka w drugim rzędzie. Tabliczka z nazwiskiem z boku biurka głosiła: Bernadette Fornier. Bosch ją znał; pracowali wspólnie nad sprawą, w której sfałszowano list samobójcy. Wiedział, że jest specjalistką.

Jesper wziął w rękę leżącą na środku blatu plastikową torbę na dowody. Otworzył ją i wyjął dwa opakowania z przezroczystego tworzywa sztucznego. Jedno z nich zawierało rozłożoną kopertę, zbrązowiałą i pokrytą plamami czarnej pleśni. W drugim znajdowała się złożona uprzednio na trzy części kartka papieru. Rozpadła się wzdłuż załamań i również była fatalnie przebarwiona od rozkładu i pleśni.

- Tak to jest, kiedy papier się zamoczy - powiedział Jesper. - Bernie mordowała się cały dzień nad otworzeniem koperty i oddzieleniem listu. Jak widać, papier rozpadł się na zagięciach. Raczej wątpię, byśmy zdołali odczytać treść kartki.

Bosch włączył przeglądarkę i położył na niej plastikowe koperty. Nasunął nad nie szkło powiększające. Przyjrzał się kopercie i listowi, który niegdyś zawierała. Na żadnym z kawałków papieru nie było nic, co dawałoby się odcyfrować. Zwrócił uwagę na jedno: wyglądało na to, że na kopertę nigdy nie naklejono znaczka.

- Cholera - powiedział.

Odwrócił plastikowe torebki na drugą stronę i przyglądał się dalej. Edgar podszedł do niego, jakby sam chciał się przekonać o tym, co było oczywiste.

- Miło by... - rzekł.

- Co teraz zrobi Bernadette? - spytał Bosch Jespera.

- Hm, pewnie spróbuje różnych barwników, różnych rodzajów oświetlenia. Postara się znaleźć coś, co zareagowałoby z atramentem i pozwoliło go uwidocznić. Wczoraj jednak nie tryskała optymizmem, toteż uważam, że szanse są niewielkie.

Bosch pokiwał głową i zgasił światło.

Rozdział 9

Obok wejścia do komendy wydziału Hollywood stała ława z wielkimi popielnicami po bokach, wypełnionymi piaskiem. Nazywano ją Kod 7 - tak jak brzmiał kryptonim radiowy, określający zejście ze służby lub przerwę w jej pełnieniu. O 23.45 w sobotnią noc Bosch był jedynym człowiekiem siedzącym na ławce. Nie palił, chociaż tego żałował. Czekał. Na ławkę padało mętne światło lamp znajdujących się przy tylnym wejściu do komendy. Widział w ich blasku parking, dzielony przez posterunek policji i remizę straży pożarnej, zajmującą ostatni budynek w kwartale zabudowań.

Bosch patrzył, jak wozy patrolowe zjeżdżają ze zmiany, zaczynającej się o piętnastej i kończącej o dwudziestej trzeciej, a funkcjonariusze wchodzą na posterunek przebrać się, wziąć prysznic i zakończyć służbę - jeśli mieli takie szczęście. Spojrzał na latarkę w rękach, przesunął palcem po zakrętce i poczuł nierówność w miejscu, gdzie Julia Brasher wydrapała numer swojej odznaki.

Uniósł latarkę i podrzucił ją w rękę, wyczuwając jej ciężar. Przemknęło mu przez głowę to, co powiedział Golliver o narzędziu, którym uśmiercono chłopca. Mógł dodać do tej listy latarkę.

Zobaczył, że na parking wjeżdża radiowóz i zatrzymuje się przy garażu dla pojazdów służbowych. Policjant - Harry poznał, że to partner Julii, Edgewood - wysiadł z prawej strony i ruszył do drzwi komendy, trzymając w ręku dubeltówkę wchodzącą w skład wyposażenia. Bosch czekał dalej, nagle niepewny swojego planu. Zastanawiał się, czy nie lepiej z niego zrezygnować i niepostrzeżenie wrócić do środka.

Zanim podjął decyzję, Julia Brasher wysiadła od strony kierowcy i ruszyła w stronę drzwi. Szła ze spuszczoną głową, jak ktoś zmęczony i przybity długim dniem. Chociaż był to drobiazg, fakt, iż Edgewood poszedł przodem i zostawił ją z tyłu, odpowiedział Boschowi, że coś się między nimi nie układa. Julia była nowa, dlatego Edgewood pełnił funkcję szkolącego ją funkcjonariusza, mimo że był co najmniej pięć lat od niej młodszy. A może wynikało to po prostu z układu niezręcznego ze względu na wiek i płeć. Niewykluczone też, że chodziło o coś innego.

Julia nie zauważyła Harry'ego siedzącego na ławce. Dotarła prawie do drzwi komendy, nim się odezwał:

- Hej, zapomniałaś zmyć pawia z tylnego siedzenia.

Obejrzała się, nie zatrzymując się, aż go rozpoznała. Przystanęła na moment, po czym podeszła do niego.

- Oddaję ci latarkę - powiedział Bosch.

- Dzięki, Harry. Nie musiałeś tutaj czekać, żeby...

- Chciałem zaczekać.

Przez chwilę panowało niezręczne milczenie.

- Pracowałeś wieczorem nad sprawą? - zapytała.

- Mniej więcej. Zacząłem papierkową robotę. Dostaliśmy też dzisiaj wyniki sekcji. Jeśli to w ogóle można nazwać sekcją.

- Widzę po twojej minie, że było strasznie.

Bosch pokiwał głową. Czuł się dziwnie. Wciąż siedział, podczas gdy Julia stała.

- Widzę po twojej, że też miałaś ciężki dzień.

- Czyż nie wszystkie są takie?

Zanim Harry zdołał odpowiedzieć, dwaj policjanci, świeżo przebrani w cywilne ubrania po prysznicu, wyszli z komendy i ruszyli do swoich prywatnych samochodów.

- Rozchmurz się, Julio - powiedział jeden z nich. - Do zobaczenia na miejscu.

- Dobrze, Kiko - odparła. Odwróciła się i popatrzyła z góry na Boscha. Uśmiechnęła się. - Paru ludzi ze zmiany spotyka się u Boardnera - powiedziała. - Chcesz się przyłączyć?

- Hm...

- Nie ma problemu. Pomyślałam, że może przydałby ci się drink czy coś takiego.

- Może i tak. Przyda się. Właściwie po to na ciebie czekałem. Nie wiem tylko, czy mam ochotę przysiąść się do całej grupy w barze.

- W takim razie o czym myślałaś?

Bosch popatrzył na zegarek. Było wpół do dwunastej.

- Zależnie od tego, ile czasu spędzisz w szatni, może zdążymy na ostatnią kolejkę martini w „Musso”.

Uśmiechnęła się szeroko.

- Uwielbiam to miejsce. Daj mi kwadrans. Ruszyła do drzwi, nie czekając na jego odpowiedź.
- Będę tutaj - zawołał.

Rozdział 10

Bar „Musso and Frank's” stanowił miejsce, gdzie od stu lat podawano martini mieszkańcom Hollywood - zarówno tym sławnym, jak i tym mniej sławnym. Główną salę wypełniały obite czerwona skórą łóżka, gdzie wokół cicho rozmawiających gości przepływali statecznie wiekowi kelnerzy w szkarłatnych surdutach. W tylnej sali znajdował się długi bar, przy którym przez większość wieczorów można było tylko stać i walczyć o uwagę barmanów, wyglądających jak ojcowie kelnerów. Kiedy Bosch i Julia wchodzili, dwóch gości zsunęło się ze stołków, zbierając do wyjścia. Para funkcjonariuszy szybko ruszyła do szturm i wygrała wyścig z dwoma ubranymi na czarno typami, wyglądającymi na pracowników studia filmowego. Udało się im zdobyć pożądane trofea - miejsca siedzące. Podeszedł do nich barman, który rozpoznał Boscha; zamówili martini z wódką i domieszką soku.

Harry czuł się już swobodnie w towarzystwie Julii. Dwa dni jedli obiady przy stolikach piknikowych niedaleko miejsca przestępstwa; przez cały czas poszukiwań na zboczach Julia w zasadzie wciąż była w zasięgu jego wzroku. Do „Musso” przyjechali jego samochodem; miał wrażenie, jakby to była już ich trzecia czy czwarta randka. Zanim barman przyniósł szklanki do martini i karafkę z koktajlem sidecar, Bosch był już gotów zapomnieć na jakiś czas o kościach, krwi i kijach baseballowych.

Stuknęli się szklankami.

- Za życie - powiedziała Julia.
- Tak jest - odparł Harry. - Za przetrwanie kolejnego dnia.
- Nawet z trudem.

Wiedział, że nadszedł czas, by porozmawiać o tym, co ją dręczy. Ale jeśli nie chciała o tym mówić, nie zamierzał naciskać.

- Ten facet na parkingu, na którego wołałaś Kiko - dlaczego prosił cię, żebyś się rozchmurzyła? - Trochę się przygarbiła. Przez chwilę nie odpowiadała. - Jeśli nie chcesz o tym mówić...

- Nie, nie o to chodzi. Bardziej o to, że nie chcę o tym myśleć.
- Znam to uczucie. Zapomnij, że pytałem.
- Nie, nie ma sprawy. Mój partner zamierza napisać o mnie w raporcie, a ponieważ jestem w okresie próbnym, może mnie to wiele kosztować.

- O czym chce napisać?

- Że przeszłam przed rurą.

Oznaczało to, że znalazła się na linii strzału dubeltówki czy innej broni trzymanej przez kolegę z patrolu.

- Co się stało?

Wzruszyła ramionami. Oboje wzięli po dużym łyku koktajlu.

- Och, awantura domowa - nie znoszę ich. Facet zamknął się w sypialni z pistoletem. Nie mieliśmy pojęcia, czy chce wygarnąć do siebie, do żony czy do nas. Zaczekaliśmy na wsparcie, zamierzaliśmy dostać się do środka. - Upiła kolejny łyk. Bosch się jej przyglądał. Wewnętrzny zamęt wyraźnie odbijał się w oczach Julii. - Edgewood miał dubeltówkę. Kiko miał wykopać drzwi. Partner Kiko, Fennel, i ja obstawialiśmy drzwi. No i stało się. Kiko jest wielki, wywalił drzwi jednym kopnięciem. Fennel i ja wpadliśmy do środka. Facet leżał schlany w trupa na łóżku. Nie kontaktował, więc nie byłoby problemu, gdyby Edgewood się do mnie nie przyczepił. Powiedział, że przeszłam przed rurą.

- Zrobiłaś to?

- Nie sądzę. Jeśli nawet, to Fennel tak samo, ale jemu nie powiedział ani słowa.

- Jesteś nowa. To ty, a nie on jesteś w okresie próbnym.

- No, zaczynam mieć tego dosyć. Jak ty dałeś sobie radę, Harry? Teraz masz pracę, która coś znaczy, a

ja całe dni uganiam się na każde wezwanie przez radio, jadę od jednego śmiecia do drugiego. Mam wrażenie, jakbym pluciem chciała ugasić pożar. Niczego w ten sposób nie naprawiamy, a na domiar wszystkiego trafił mi się nadęty męczydupa, który co dwie minuty uświadamia mi, jak sieprzyłam.

Boschowi nie był obcy stan ducha Julii. Przechodził przez to każdy funkcjonariusz mundurowy. Każdego dnia człowiek babrał się w gównie i wkrótce miał wrażenie, że na świecie nie ma nic innego. Że istnieje tylko to szambo. Dlatego właśnie Bosch nie mógłby wrócić do służby patrolowej. Przypominała zaklekanie plastrem rany po kuli.

- Kiedy byłaś w akademii, wyobrażałaś sobie, że będzie inaczej?

- Nie wiem, co sobie wyobrażałam. Po prostu nie wiem, czy zdołam wytrzymać to wszystko do czasu, kiedy moja robota będzie coś znaczyła.

- Myślę, że możesz. Najgorszych jest kilka pierwszych lat. Jeśli jednak zaciśniesz zęby, ujrzysz świetlistą przyszłość. Będziesz mogła wybierać, o co chcesz walczyć i jaką ścieżką podążać. Poradzisz sobie.

Nie czuł się pewnie, kiedy próbował podbudować jej morale. Niejednokrotnie miewał długie okresy, gdy powątpiewał w samego siebie i w to, co robi. Mówiąc, że Julia wytrzyma, wyczuwał we własnych słowach nutę fałszu.

- Porozmawiajmy o czymś innym - zaproponował.

- Nie mam nic przeciwko temu - odparła.

Upił głęboki łyk ze szklanki, starając się wymyślić, jak by tu skierować rozmowę na inne tory. Odstawił szklankę, obrócił się i uśmiechnął do Julii.

- No więc włożyłaś się po Andach, aż tu nagle powiedziałaś sobie: „Jeju, chciałabym zostać gliną”.

Roześmiała się, widocznie otrząsając z przygnębienia, wywołanego wcześniejszymi słowami.

- Niezupełnie. I nigdy nie byłam w Andach.

- No, w takim razie co z życiem pełnym przygód, jakie wiodłaś przed przyjęciem odznaki? Mówiłaś, że wędrowałaś po świecie.

- Nigdy nie dotarłam do Ameryki Południowej.

- To tam są Andy? Cały czas myślałam, że na Florydzie.

Znow się roześmiała, a Harry poczuł zadowolenie, że udało mu się zmienić temat. Lubił patrzeć na zęby Julii, gdy mówiła. Były odrobinę nierówne i właśnie to w pewien sposób czyniło je idealnymi.

- Mówiąc poważnie, co robiłaś?

Obróciła się na stołku, tak że siedzieli ramię przy ramieniu, patrząc na swoje odbicia w lustrze za wielobarwnymi butelkami z tyłu baru.

- Och, przez pewien czas byłam prawniczką, nie adwokatem, nie denerwuj się. Zajmowałam się prawem cywilnym. Potem dotarło do mnie, że to gówno warte, dlatego to rzuciłam i zaczęłam podróżować. Po drodze pracowałam. Wypalałam ceramikę w Wenecji. Przez jakiś czas byłam przewodniczką wycieczek konnych w Alpach Szwajcarskich. Kucharzyłam na statku turystycznym na Hawajach, wypływającym na jednodniowe podróże. Robiłam inne rzeczy i zobaczyłam kawał świata - z wyjątkiem Andów. Potem wróciłam do domu.

- Do Los Angeles?

- Tu się urodziłam i wychowałam. A ty?

- Tak samo. W Queen of Angels.

- Ja w Cedars-Sinai. Uniosła szklankę i stuknęli się.

- Za dzielnych, dumnych i nielicznych - powiedziała.

Dopił martini i nalał sidecara do szklanki. Pił znacznie szybciej od Julii, ale tym się nie przejmował. Czuł się odprężony. Dobrze było na jakiś czas o wszystkim zapomnieć. Miło było przebywać w towarzystwie kogoś niepowiązanego bezpośrednio ze sprawą.

- Urodziłaś się w Cedars, tak? - spytał. - Gdzie się wychowywałaś?

- Nie śmieję się: w Bel Air.

- Bel Air? Domyślałem się, że pewien tatuś nie jest zbyt zadowolony, że jego pociecha wstąpiła do policji.

- Zwłaszcza dlatego, że to z jego firmy prawniczej odeszła pewnego pięknego dnia i przez dwa lata nie

odzywała się ani słowem.

Harry uśmiechnął się i uniósł szklankę. Znów się stuknęli.

- Dzielna dziewczynka.

- Dajmy sobie spokój z tym odpytywaniem - powiedziała, gdy odstawili szklanki.

- Dobrze - odrzekł. - I co będziemy robić?

- Po prostu zabierz mnie do domu, Harry. Do siebie.

Zaniemówił na chwilę, wpatrywał się w jej lśniące, niebieskie oczy. Sprawy posuwały się z szybkością błyskawicy, czemu sprzyjał alkohol.

Często tak jednak bywało z policjantami - czuli się członkami zamkniętej społeczności, kierowali się własnym instynktem i każdego dnia szli do pracy ze świadomością, że zarabiają na życie w sposób, który może im to życie odebrać.

- Dobrze - rzekł wreszcie. - Myślałem o tym samym.

Pochylił się i pocałował ją w usta.

Rozdział 11

Julia Brasher stała w salonie domu Boscha i przyglądała się płytom kompaktowym w stojakach obok aparatury stereo.

- Uwielbiam jazz.

Harry był w kuchni. Uśmiechnął się, słysząc jej słowa. Skończył nalewać martini z dzbanka, wyszedł do salonu i podał jej szklankę.

- Kogo lubisz?

- Hm, Billa Evansa.

Bosch pokiwał głową, podszedł do stojaka i wyjął „Kind of Blue”. Włożył płytę do odtwarzacza.

- Ja - Billa i Milesa - powiedział. - Nie wspominając o Coltranie i paru innych. Nie ma nic lepszego.

Gdy rozległy się pierwsze dźwięki, wziął szklankę do ręki. Julia podeszła i stuknęła się z nim. Zamiast pić, pocałowali się. W trakcie pocałunku zaczęła się śmiać.

- Co się stało? - spytał.

- Nic. Po prostu czuję się szczęśliwa.

- Tak, ja też.

- Myślę, że to dlatego, że dałeś mi latarkę.

Bosch był zdezorientowany.

- O co ci chodzi?

- Wiesz, to takie falliczne.

Mina Boscha sprawiła, że roześmiała się ponownie i rozlała trochę alkoholu na podłogę.

Później, gdy leżała na brzuchu na łóżku, Harry wodził palcem wzdłuż wytatuowanego na jej krzyżu gorejącego słońca i rozmyślał, jak dobrze czuje się w jej obecności, chociaż jest tak obca. Prawie nic o niej nie wiedział. Tatuaz nieco go zaskoczył, ale kiedy spoglądał na Julię pod coraz to nowym kątem, wciąż odkrywał coś nowego.

- O czym myślisz? - zapytała.

- O niczym. Zastanawiam się tylko, co za facet sprawił, że masz to na plecach. Żałuję, że to nie byłem ja.

- Dlaczego?

- Bo zawsze będziesz o nim pamiętać.

Przekręciła się na bok, ukazując piersi i uśmiech. Rozplótł się jej warkocz, włosy spływały na ramiona. To też mu się podobało. Przyciągnęła go do siebie i złączyli się w długim pocałunku.

- To najmiłsza rzecz, jaką od dawna słyszałam - powiedziała po chwili.

Oparł głowę o poduszkę po jej stronie. Czuł słodką woń perfum, seksu i potu.

- Nie masz żadnych obrazów na ścianach - zauważyła. – To znaczy zdjęć.

Wzruszył ramionami.

Odwrociła się do niego plecami. Sięgnął pod jej ramieniem, ujął jej pierś w dłoń i przyciągnął Julię do siebie.

- Możesz zostać do rana? - zapytał.

- Hm... mąż pewnie będzie się zastanawiał, gdzie się podziałam, ale chyba wystarczy, że do niego zadzwonię.

Harry zamarł.

Po chwili Julia się roześmiała.

- Nie strasz mnie tak.

- No, nawet mnie nie zapytałeś, czy jestem z kimś związana.

- Ty też mnie nie pytałaś.

- Z tobą sprawa jest jasna. Typ samotnego detektywa. - Głębokim, męskim tonem dodała: - Tylko fakty, szanowna pani. Nie mam czasu na panienki. Morderstwo to mój interes. Mam robotę do wykonania i jestem...

Przesunął kciukiem po jej boku, po zagłębieniach między żebrami. Jej słowa zginęły wśród śmiechu.

- Pożyczyłaś mi latarkę - powiedział. - Nie sądziłem, żeby „związana” kobieta mogła tak zrobić.

- Mam dla ciebie nowinę, twardzielu. Widziałam latarkę w twoim bagażniku. W pudle, zanim ją przykryłeś. Nikogo nie nabrałeś.

Zakłopotany przetoczył się na drugą poduszkę. Czuł, że zaczyna się rumienić. Zasłonił twarz dłońmi, by to ukryć.

- Och, Boże... Tak łatwo mnie przejrzeć.

Przysunęła się do niego i oderwała jego ręce od twarzy. Pocałowała go w podbródek.

- Doszłam do wniosku, że to miłe. Dzięki temu mogłam uznać dzień za udany, a na dodatek mogłam się spodziewać czegoś więcej. - Odwróciła jego ręce i zobaczyła blizny na kłykciach. Były stare i mało widoczne. - Ej, co to?

- Po prostu blizny.

- Tyle wiem. Od czego?

- Miałem tatuaże. Usunąłem je. To było dawno temu.

- Jak to się stało?

- Kazali mi je usunąć, kiedy się zaciągnąłem do wojska. Zaczęła się śmiać.

- Co mówiły? „Do dupy z armią” czy coś takiego?

- Nie, nic w tym rodzaju.

- No to co? Powiedz, chcę wiedzieć.

- „H-O-L-D” na jednej ręce, a „F-A-S-T” na drugiej.

- Holdfast? Nie popuszczaj? Co to znaczy?

- Hm, to raczej długa historia...

- Mam czas. Mąż się na mnie nie zezłości. - Uśmiechnęła się.

- Daj spokój, chcę się dowiedzieć.

- Nic wielkiego. Raz, kiedy uciekłem jako dzieciak z domu, wylądowałem w San Pedro. W okolicy przystani rybackiej. Mnóstwo ludzi - rybaków, którzy łowili tuńczyki - miało tam takie tatuaże na rękach. Nie popuszczaj. Zapytałem o to jednego z nich, a on powiedział, że to ich dewiza, ich filozofia. Że chodzi o to, iż gdy są na łodziach całe tygodnie poza domem, przychodzą wielkie fale i robi się strasznie, a wówczas trzeba po prostu się wczepić i mocno trzymać. - Bosch zacisnął ręce w pięści i wystawił je przed siebie. - Mocno trzymać się życia... i wszystkiego, co się ma.

- Zatem kazałeś to sobie wytatuować. Ile miałeś lat?

- Bo ja wiem, z szesnaście. - Pokiwał głową i uśmiechnął się.

- Nie wiedziałem tylko, że poławiacze tuńczyków przejęli to od ludzi z marynarki. Dlatego kiedy rok później znalazłem się w armii z „nie popuszczaj” na dłoniach, sierżant od razu kazał mi to usunąć. Nie zamierzał dopuścić, by któryś z jego chłopaków nosił na łapach tatuaż matrosów.

Chwyliła go za ręce i przyjrzała się kłykciom.

- Nie wygląda na robotę laserem. Bosch potrząsnął głową.

- Wtedy jeszcze nie było laserów.

- To co zrobisz?

- Mój sierżant - nazywał się Roser - wyprowadził mnie z baraku i zabrał pod budynek administracyjny. Ze ścianami z cegieł. Kazał mi w nie walić. Aż poharatałem sobie wszystkie kłykcie. Po tygodniu, kiedy pokryły się strupami, kazał mi to zrobić znowu.

- Jezu Chryste, cholera, to barbarzyństwo.

- Nie, to armia.

Uśmiechnął się na to wspomnienie. Nie było tak strasznie, jak brzmiało to w opowieści. Popatrzył na swoje ręce. Muzyka się skończyła. Przeszedł nago przez dom, żeby zmienić płytę. Kiedy wrócił do sypialni, Julia poznała nowego wykonawcę.

- Clifford Brown?

Kiwnął głową i podszedł do łóżka. Nie przypominał sobie kobiety, która by tak się znała na jazzie.

- Stań tam.

- Dlaczego?

- Chcę na ciebie popatrzeć. Opowiedz mi o innych bliźnach.

Do pokoju wpadało tylko mętne światło z toalety, ale Harry poczuł się niezręcznie przez swoją nagość. Był w dobrej formie, ale miał przeszło piętnaście lat więcej niż Julia. Zadał sobie pytanie, czy kiedykolwiek robiła to z kimś tak starym.

- Świetnie wyglądasz, Harry. Absolutnie mnie podkręcasz, wiesz? A skąd te inne bliźny?

Dotknął grubego powrózka białej tkanki nad lewym biodrem.

- To? Od noża.

- Gdzie to było?

- W tunelu.

- A bark?

- Kula.

- Gdzie? Uśmiechnął się.

- W tunelu.

- Och. Trzymaj się od nich z dala.

- Staram się.

Wsunął się do łóżka i naciągnął prześcieradło. Julia dotknęła jego barku, przesuając kciukiem wzdłuż zgrubiałej bliźny.

- Dokładnie po kości - powiedziała.

- No, miałem szczęście. Obyło się bez trwałych uszkodzeń. Boli w zimie i kiedy pada, ale to wszystko.

- Jakie to wrażenie, kiedy dostajesz kulę?

Bosch wzruszył ramionami.

- Boli jak cholera, a potem wszystko robi się jakby drętwe.

- Ile czasu byłeś w szpitalu?

- Mniej więcej trzy miesiące.

- Nie dostałeś renty?

- Proponowano mi. Nie chciałem.

- Dlaczego?

- Sam nie wiem. Pewnie lubię tę pracę. I miałem nadzieję, że jeśli zostanę, to pewnego dnia spotkam piękną młodą policjantkę, na której zrobią wrażenie moje bliźny.

Szturchnęła go w żebra. Skrzywił się z bólu.

- Och, biedactwo - rzekła ironicznym tonem.

- Bolało.

Dotknęła tatuażu na jego ramieniu.

- A co to takiego, Myszka Miki na kwasie?

- Coś w tym rodzaju. Szczur tunelowy.

Z jej twarzy znikły wszystkie ślady humoru.

- O co chodzi?

- Walczyłeś w Wietnamie - powiedziała, składając w całość to, czego się dowiedziała. - Byłam w tych tunelach.

- To znaczy?

- Kiedy wędrowałam, spędziłam sześć tygodni w Wietnamie. Tunele to teraz atrakcja turystyczna. Płacisz i pozwalają ci tam wejść. Musiało to być... To, co robiłeś, musiało być przerażające.

- Strasznie robiło się dopiero potem. Kiedy człowiek o tym myślał.

- Poprzegradzali je linami, żeby mieć kontrolę, dokąd trafiają turyści. Tak naprawdę nikt ich jednak nie sprawdza. Przeszłam więc pod liną i zapuściłam się dalej. Tam jest tak ciemno, Harry.

Spojrzał jej badawczo w oczy.

- A zagubione światło? - zapytał cicho. - Widziałaś je?

Nie odrywała przez chwilę wzroku od niego, aż wreszcie kiwnęła głową.

- Widziałam. Oczy mi przywykły i zobaczyłam światło. Prawie jak szept. Wystarczyło jednak, żebym znalazła drogę z powrotem.

- Zagubione światło. Tak je nazywaliśmy. Nigdy się nie dowiedzieliśmy, skąd się brało, ale tam było. Jak dym wiszący w ciemnościach. Niektórzy mówili, że to nie światło, tylko duchy wszystkich poległych. Po obu stronach.

Potem już nic nie mówili. Objęli się i Julia wkrótce zasnęła.

Bosch zorientował się, że od ponad trzech godzin nie myślał o sprawie. Z początku wywołało to u niego poczucie winy, lecz wkrótce się go pozbył i sam usnął. Śnił, że posuwa się tunelem. Nie pełził jednak. Miał wrażenie, jakby znajdował się pod wodą i płynął jak węgorz przez podziemny labirynt. Dotarł do ślepego zaułka i natrafił w nim na chłopca, który siedział pod zakrzywioną ścianą tunelu. Chłopiec krył spuszczoną twarz za podciągniętymi kolanami i splecionymi ramionami.

- Chodź ze mną - odezwał się Bosch.

Chłopiec jednym okiem spojrzał znad ramienia na detektywa. Z jego ust wydobył się pojedynczy pęcherzyk powietrza. Potem popatrzył za Boscha na coś, co zbliżało się do nich z tyłu. Bosch się odwrócił, ale zobaczył w tunelu tylko ciemność.

Kiedy obrócił się z powrotem, chłopiec zniknął.

Rozdział 12

Późnym niedzielnym przedpołudniem Bosch odwiózł Julię Brasher pod komendę w Hollywood, żeby mogła zabrać swój samochód. Sam zamierzał wrócić do pracy nad śledztwem. Julia miała wolne niedziele i poniedziałki. Umówili się, że przyjedzie dzisiaj do niej do Venice na kolację. Gdy Harry zatrzymał się obok jej samochodu, na parkingu byli i inni policjanci. Wiedział, że szybko rozniesie się wieść, iż według wszelkiego prawdopodobieństwa spędzili ze sobą noc.

- Przepraszam - powiedział. - Wczoraj wieczorem powinienem to lepiej obmyśleć.

- Naprawdę wszystko mi jedno, Harry. Do zobaczenia wieczorem.

- Słuchaj, nie powinno być ci wszystko jedno. Gliniarze potrafią być okrutni.

- Och, osławiona brutalność policji. - Julia się skrzywiła. - Słyszałam o niej.

- Mówię poważnie. Poza tym to również sprzeczne z przepisami. Z mojej strony. Jestem detektywem trzeciego stopnia. To kierownicze stanowisko.

Przyjrzała mu się przez chwilę.

- No cóż, w takim razie decyzja należy do ciebie. Zobaczymy się wieczorem... mam nadzieję.

Wysiadła i zamknęła drzwi. Bosch podjechał do swojego miejsca i wszedł do biura detektywów, starając się nie myśleć o kłopotach, których sam sobie mógł narobić.

Pokój detektywów był pusty, co go ucieszyło. Pragnął popracować nad sprawą w samotności. Czekają go jeszcze mnóstwo papierkowej roboty, ale chciał również zastanowić się nad dowodami i wszystkimi zdobytymi do tej pory informacjami.

Przede wszystkim musiał sporządzić listę rzeczy do zrobienia. Trzeba było uzupełnić niebieski kołonotatnik, zawierający wszystkie pisemne raporty dotyczące sprawy - nazywany w policyjnej gwarze księgą morderstwa. Bosch musiał też sporządzić wnioski o wydanie dokumentacji medycznej zabiegów

neurochirurgicznych z okolicznych szpitali. Musiał przeprowadzić rutynową kontrolę wszystkich mieszkańców Wonderland Avenue, żyjących w pobliżu miejsca przestępstwa. A także przejrzeć wszystkie zgłoszenia telefoniczne, będące skutkiem nagłośnienia przez media sprawy znalezienia kości. Czekąco go też zebranie raportów o zaginionych i zbiegłych z domu osobach, odpowiadających płcią i wiekiem ofierze.

Wiedział, że jeśli będzie pracował sam, nie upora się z tym w ciągu jednego dnia, ale postanowił nie zmieniać decyzji, iż Edgar będzie miał wolne. Jego partnera, ojca trzynastoletniego chłopca, bardzo wytrąciły z równowagi przekazane poprzedniego dnia przez Gollihera informacje, dlatego Bosch postanowił pozwolić mu odetchnąć. Kolejne dni zapowiadały się na pracowite i wyczerpujące emocjonalnie.

Po sporządzeniu listy przez media wyjął kubek z szuflady i ruszył do dyżurki po kawę. Pięciodolarówka była najmniejszym banknotem, jaki miał przy sobie, ale włożył ją do koszyka, do którego zbierano pieniądze na kawę, nie biorąc żadnej reszty. Doszedł do wniosku, że podczas całodziennej pracy i tak wypije więcej, niż wynosił jego wkład.

- Wiesz, co powiadają? - usłyszał głos za plecami, gdy napełniał kubek.

Odwrócił się. Był to Mankiewicz, pełniący dyżur sierżant.

- O czym?

- O łowieniu z pomostu firmy.

- Nie wiem. Co takiego?

- Ja też nie wiem. Dlatego pytam ciebie.

Mankiewicz uśmiechnął się i podszedł do ekspresu, żeby podgrzać swój kubek.

Plotka zaczęła już krążyć, pomyślał Bosch. Pogłoski i aluzje - zwłaszcza dotyczące czegokolwiek, co miało seksualny podtekst - szerzyły się po komendzie jak sierpniowe pożary na wzgórzach.

- No to daj mi znać, kiedy się dowiesz - powiedział Bosch po drodze do wyjścia.

- Da się zrobić. Och, jeszcze jedno, Harry.

Bosch odwrócił się, czekając na kolejny przytyk Mankiewicza.

- Co?

- Przestań się wydurniać i zamknij sprawę. Mam dosyć tego, że moi chłopcy muszą odbierać masę telefonów.

W jego głosie brzmiała żartobliwa nuta. Za sarkastycznym humorem krył się usprawiedliwiony żal, że jego funkcjonariusze są zawaleni telefonami, dotyczącymi sprawy znalezionych kości.

- Tak, wiem. Były dzisiaj jakieś godne uwagi telefony?

- Trudno powiedzieć. Musisz przekopać się przez raporty i posłużyć swoim detektywistycznym czuciem, żeby to ocenić.

- Czuję?

- Tak, czuję. Och, na dodatek CNN pewnie uznała, że nie ma na rano żadnego tematu, więc podebrała tę sprawę - dobre nagranie wideo, na którym zarejestrowano mnóstwo dzielnych chłopaków, łąjących po schodach na wzgórzu i trzymających skrzynki z kośćmi. Dostajemy więc na dodatek telefony zamiejscowe. Dziś rano dzwoniło z Topeki i Providence. Nie skończy się to, dopóki nie rozwiążesz sprawy, Harry. Wszyscy na ciebie liczymy.

Znów błysnął uśmiech - i przesłanie, które się za nim kryło.

- Dobrze, posłużę się swoim czuciem. Przyrzekam, Mank.

- Na to właśnie liczymy.

Wróciwszy do biurka, Bosch rozmyślał o szczegółach sprawy, popijając kawę. Były w niej anomalie i sprzeczności. Istniała niezgodność między wyborem miejsca i metodą pogrzebu, spostrzeżona przez Kathy Kohl. Wnioski Gollihera wydłużyły jeszcze listę pytań. Gollieher uważał, że to przypadek maltretowania dziecka. Pełen ubrań plecak sugerował jednak, że chłopiec, nim zginął, uciekł z domu.

Bosch rozmawiał o tym z Edgarem tego samego dnia, zanim wrócili na komendę z laboratorium kryminalistycznego. Jego partner nie był przekonany, czy to rzeczywiście sprzeczność. Wysunął natomiast hipotezę, że chłopiec był maltretowany zarówno przez swoich rodziców, jak i niemającego z nimi związku mordercę. Słusznie wskazał, że wiele ofiar przemocy ucieka tylko po to, by dać się wciągnąć w związek oparty na

maltretowaniu w innej postaci. Harry wiedział, że to słuszna teoria, ale nie dopuszczał jej do siebie, bo wiedział, iż jest jeszcze bardziej zniechęcająca niż scenariusz przedstawiony przez Gollihera.

Zadzwoił telefon na bezpośredniej linii Boscha. Podniósł słuchawkę, spodziewając się, że telefonuje Edgar lub porucznik Billets, by sprawdzić, co się dzieje. Był to jednak Josh Meyer, dziennikarz z „Los Angeles Times”. Bosch ledwie go znał i był pewny, że nie dawał mu bezpośredniego numeru. Nie okazał jednak po sobie irytacji. Chociaż kusiło go, by powiedzieć reporterowi, że policja bada tropy nawet w Topece i Providence, rzekł jedynie, że od piątkowej konferencji, urządzonej przez wydział kontaktów z mediami, nie ma żadnych nowych informacji w sprawie śledztwa.

Odłożył słuchawkę, dopił pierwszy kubek kawy i zabrał się z powrotem do roboty. Najbardziej ze wszystkiego nie znosił pracy przy komputerze. Kiedy tylko to było możliwe, wyznaczał do niej podwładnych. Postanowił więc przesunąć na koniec sprawdzenie mieszkańców Wonderland Avenue i zacząć od szybkiego przejrzania zebranych przez dyżurnych informacji, przekazanych przez okolicznych mieszkańców.

Raportów było prawie o czterdzieści więcej niż wtedy, kiedy ostatni raz rzucił na nie okiem w piątek. W żadnym nie znalazł informacji przydatnych ani choćby wartych dokładniejszego wyjaśnienia w tej chwili. Każda z wiadomości pochodziła od rodzica, rodzeństwa czy przyjaciela jakiejś zaginionej osoby. Wszystkie cechowała skrajna rozpacz i pragnienie uzyskania informacji, która rozwiałaby tajemnicę dręczącą dzwoniących.

Bosch przypomniał sobie o czymś i podjechał z fotelem do jednej ze starych maszyn IBM selectric. Wkręcił kartkę papieru i spisał cztery pytania:

Czy bliska pani/panu zaginiona osoba przeszła jakiś zabieg chirurgiczny kilka miesięcy przed swoim zniknięciem ?

Jeśli tak, w jakim szpitalu była leczona?

Na czym polegały jej obrażenia?

Jak się nazywał jej lekarz?

Wykręcił kartkę i zabrał ją do dyżurki. Wręczył ją Mankiewiczowi, by posłużyła jako wzór pytań dla ludzi, którzy dzwoniли w sprawie odnalezionych kości.

- No co, wykazałem dostatecznego czuja?

- Nie, ale na początek wystarczy.

Przed wyjściem Harry nalał kawy do plastikowego kubka. Po powrocie do biura przelał ją do swojego kubka. Zanotował, by w poniedziałek zadzwonić do porucznik Billets i poprosić ją o przydzielenie mu kilku funkcjonariuszy, by skontaktowali się ze wszystkimi osobami, dzwoniącymi przez poprzednie dni, i wypytali je o domniemany zabieg chirurgiczny. Potem pomyślał o Julii Brasher. Wiedział, że ma wolne poniedziałki i w razie potrzeby zgłosiłaby się na ochotnika. Szybko jednak zrezygnował z tego pomysłu, bo wiedział, że do poniedziałku będzie o nich wiedziała cała komenda, a wciągnięcie jej w dochodzenie tylko pogorszy sytuację.

Zabrał się następnie do przygotowywania wniosków o wydanie dokumentacji medycznej. Często sporządzano je w trakcie dochodzeń. Najczęściej żądano dokumentacji od prywatnie praktykujących lekarzy i dentystów, ale czasami i od szpitali. Bosch trzymał wzory takich wniosków, spis wszystkich dwudziestu dziewięciu szpitali aglomeracji Los Angeles oraz listę adwokatów, zajmujących się korespondencją sądową we wszystkich tych placówkach. Dzięki temu, że miał materiały pod ręką, uporał się z dwudziestoma dziewięcioma wnioskami w niecałą godzinę. Zawierały prośbę o wydanie dokumentacji wszystkich chłopców poniżej szesnastego roku życia, którzy przeszli zabiegi neurochirurgiczne z użyciem trepanu w okresie od roku 1975 do 1985.

Po wydrukowaniu wniosków włożył je do neseseru. Chociaż w zwykłych warunkach nie byłoby nic niewłaściwego w przefaksowaniu wniosku sędziemu w niedzielę, by go zaakceptował i podpisał, niewątpliwie przesłanie dwudziestu dziewięciu stanowiłoby drobny nietakt. Poza tym szpitalni prawnicy i tak nie pracowali w niedzielę. Harry postanowił, że zabierze wnioski do sędziego w poniedziałek z samego rana, a potem podzieli się nimi z Edgarem i obydwoj rozwiozą je osobiście do szpitali, dzięki czemu będą mogli nakłonić radców prawnych do potraktowania sprawy jako pilnej. Nawet gdyby wszystko poszło po jego myśli, i tak pierwszych odpowiedzi ze szpitali można było oczekiwać najwcześniej w połowie tygodnia.

Następnie napisał na maszynie raport podsumowujący postępy śledztwa w ciągu ostatniej doby oraz zawierający skrót uzyskanych od Gollihera informacji antropologicznych. Wpiął go do książki dochodzenia, a potem spisał raport na temat dowodów rzeczowych, dotyczący wstępnych wniosków, które się nasuwają po zbadaniu przez laboratorium kryminalistyczne plecaka i jego zawartości.

Gdy skończył, odchylił się na oparcie i pomyślał o niemożliwym do odczytania liście. Nie spodziewał się, że starania sekcji dokumentów okażą się skuteczne. Był to sekret, który na zawsze pozostanie fragmentem tajemnicy. Przełknął ostatni łyk kawy i otworzył książkę dochodzenia na stronie z kopią szkicu miejsca przestępstwa i diagramu poszukiwań. Przyjrzał się mu i spostrzegł, że plecak odnaleziono obok miejsca, w którym zdaniem Kathy Kohl najprawdopodobniej pogrzebano ciało.

Nie był pewny, co to oznacza, lecz instynktownie czuł, że nie wolno stracić z oczu pytań, jakie się teraz nasuwają w związku ze sprawą, bez względu na nowe dowody i szczegóły, które się pojawiają. Powinny stanowić filtr do odsiewania wszelkich ważnych faktów.

Włożył raport z powrotem do książki dochodzenia, po czym zakończył papierkową robotę, uzupełniając rejestr śledczy - dzienny diagram, podzielony na kolejne godziny. Wreszcie schował książkę do neseseru.

Zaniósł kubek do zlewu w toalecie i go umył, później schował do szuflady, zabrał neseser i wyszedł tylnymi drzwiami.

Rozdział 13

Podziemie Parker Center, kwatery głównej Departamentu Policji Los Angeles, służyło jako archiwum dokumentacji wszystkich spraw prowadzonych w czasach współczesnych. Do połowy lat dziewięćdziesiątych akta były przechowywane przez osiem lat, a następnie przenoszone na mikrofilmy i w tej formie bezterminowo magazynowane. Obecnie departament posługiwał się komputerami. Archiwum rozrastało się wszakże systematycznie, ponieważ do cyfrowych banków danych przenoszono coraz dawniejsze sprawy. Proces był jednak powolny i dotarło dopiero do końca lat osiemdziesiątych.

Bosch znalazł się przy kontuarze w archiwum o pierwszej. Miał ze sobą papierową torbę z dwoma pojemnikami z kawą i dwiema kanapki z rostbefem. Popatrzył na urzędnika i uśmiechnął się.

- Wierz mi pan lub nie, ale muszę przejrzeć fiszki z raportami o zaginionych osobach od tysięcy dziewięćset siedemdziesiątego piątego do osiemdziesiątego piątego.

Archiwista gwizdnął. Był starym mężczyzną z cerą wyblakłą od siedzenia w podziemiach.

- Uważaj, Christine, nadchodzą - odezwał się.

Harry odpowiedział uśmiechem i pokiwał głową, chociaż nie miał pojęcia, o co mu chodziło. Za kontuarem nie dostrzegł nikogo więcej.

- Dobre wieści są takie, że raporty zostały posegregowane - powiedział archiwista. - To znaczy, to chyba dobre wieści. Chodzi panu o raporty na temat dorosłych czy młodzieży?

- Młodzieży.

- To trochę upraszcza robotę.

- Dziękuję.

- Nie ma za co.

Archiwista gdzieś poszedł. Harry czekał. Po czterech minutach mężczyzna wrócił z dziesięcioma kopertami, zawierającymi arkusze mikrofilmów, które Harry chciał zobaczyć. Ich plik miał łącznie ponad dziesięć centymetrów grubości.

Bosch podszedł do czytnika mikrofilmów z kopiarką. Odstawił dwa pojemniki z kawą i położył kanapkę, a z drugą wrócił do kontuaru. Archiwista z początku odmówił poczęstunku, ale w końcu się skusił.

Harry wrócił do urzędnika i zaczął przeglądać mikrofilmy, począwszy od roku 1985. Szukał doniesień o zaginięciu lub ucieczce z domu nastolatków w odpowiednim przedziale wiekowym. Gdy tylko wprawił

się w operowaniu czytnikiem, przeglądanie raportów szło mu szybciej. Lekturę zaczynał od szukania pieczęci „sprawa zamknięta”, oznaczającej, że dana osoba wróciła do domu bądź została odnaleziona. Jeśli jej nie było, natychmiast przenosił wzrok na rubryki poświęcone płci i wiekowi. Jeżeli przedział czasowy był taki, jak przyjęty dla ofiary w jego sprawie, czytał podsumowanie, a następnie robił fotokopię doniesienia.

Mikrofilmy zawierały również kopie doniesień o zaginięciu osób, przekazywane Departamentowi Policji Los Angeles przez zewnętrzne organa ścigania i wymiaru sprawiedliwości, jeśli istniało podejrzenie, że ludzie ci trafili do tego miasta.

Mimo szybkości, z jaką Bosch przeglądał doniesienia, sprawdzenie raportów z dziesięciu lat zabrało mu ponad trzy godziny. Gdy skończył, w tacy obok kopiarki leżały wydruki ponad trzystu spraw. Nie miał pojęcia, czy jego trud w ogóle na coś się zda.

Potarł oczy i ścisnął grzbiet nosa. Bolała go głowa od wpatrywania się w ekran urządzenia i czytania jednej po drugiej opowieści o rodzicielskiej udręce i nastoletnim buncie przeciwko światu. Obejrzał się i dotarło do niego, że nie zjadł kanapki.

Zwrócił archiwizację stos kopert i postanowił zająć się pracą przy komputerze w Parker Center, zamiast wracać w tym celu do Hollywood. Było to dla niego o wiele wygodniejsze: z centrali mógł błyskawicznie dostać się na drogę szybkiego ruchu 10 i dotrzeć do Venice na kolację w domu Julii Brasher.

W sali wydziału zabójstw i rabunków było pusto, jeśli nie liczyć dwóch detektywów, którzy oglądali mecz futbolowy. Jednym z nich była uprzednia partnerka Boscha, Kizmin Rider. Drugiego detektywa Bosch nie znał. Na widok Boscha Kizmin podniosła się i uśmiechnęła.

- Harry, co tutaj robisz? - spytała.

- Pracuję nad sprawą. Chciałbym skorzystać z waszego komputera, da radę?

- Chodzi o te kości? - Bosch przytaknął. - Słyszałam o tym w dzienniku. Harry, to Rick Thornton, mój partner.

Bosch uściśnął mu rękę i przedstawił się.

- Mam nadzieję, że będzie pana zachwalała tak samo jak mnie.

Thornton jedynie pokiwał głową i uśmiechnął się. Kizmin zrobiła zakłopotaną minę.

- Chodź do mojego biurka - powiedziała. Zaprowadziła go na miejsce i podsunęła swój fotel.

- Zbijamy baki. Nic się nie dzieje. Nawet nie lubię futbolu.

- Nie narzekaj, że jest luz. Nikt ci nigdy tego nie powiedział?

- Tak, mój dawny partner. Jedyna rzecz, jaką powiedział z sensem.

- Założę się.

- Mogę ci jeszcze jakoś pomóc?

- Po prostu sprawdzam parę nazwisk - to samo co zwykle.

Otworzył neser i wyjął książkę dochodzenia. Otworzył ją na stronie, gdzie miał listę nazwisk, adresów i dat urodzeń mieszkańców Wonderland Avenue, przesłuchiwanym przez funkcjonariuszy chodzących od domu do domu. Sprawdzanie każdej osoby, na którą śledczy natknęli się w trakcie dochodzenia, było rutynowym postępowaniem, którego nie powinno się pomijać.

- Chcesz kawy czy czegoś? - spytała Kizmin.

- Nie, nie potrzeba. Dzięki, Kiz. - Skinął głową w stronę Thorntona, który siedział plecami do nich po drugiej stronie sali. - Jak leci?

Wzruszyła ramionami.

- Od czasu do czasu pozwala mi na prawdziwą detektywistyczną robotę - wyszeptowała.

- Cóż, zawsze możesz wrócić do Hollywood - odparł szeptem z uśmiechem.

Zaczął wpisywać polecenia, by dostać się do NCIC - narodowego rejestru przestępstw. Kizmin Rider natychmiast parsknęła z politowaniem.

- Wciąż piszesz dwoma palcami, Harry?

- Nie umiem inaczej, Kiz. Piszę tak prawie od dwudziestu lat. Spodziewasz się, że nagle zacznę pisać dziesięcioma? Wciąż też nie mówię płynnie po hiszpańsku ani nie umiem tańczyć. Przeniosłaś się dopiero rok temu.

- Lepiej wstań, dinozaurze. Sama to zrobię, bo będziesz tu siedział całą noc.

Uniósł ręce w geście poddańczym i wstał z biurka. Kizmin usiadła i zabrała się do roboty. Uśmiechał

się ukradkiem za jej plecami.

- Jak za starych czasów - powiedział.

- Nie przypominaj mi. Zawsze dostaję gównianą robotę. I przestań szczerzyć zęby.

Nawet nie oderwała wzroku od klawiatury. Jej palce śmigały nad klawiszami. Bosch przyglądał się jej z podziwem.

- Ej, nie zaplanowałem tego. Nawet nie wiedziałem, że tu będziesz.

- No, tak samo jak Tomek Sawyer nie wiedział, że ma pomalować płot.

- Słucham?

- Nieważne. Opowiedz mi o tej podfruwajce. Był zaskoczony.

- Słucham?

- Na tyle tylko cię stać? Słyszałeś, co powiedziałam. O nowej, z którą się... hm, spotykasz.

- Skąd u diabła zdążyłaś się o tym dowiedzieć?

- Mam doskonałe kwalifikacje w zbieraniu informacji. I nadal mam swoje źródła w Hollywood.

Cofnął się od stanowiska pracy Kizmin i pokręcił głową.

- No, miła jest? Tylko tyle chcę wiedzieć. Nie chcę być nachalna.

Bosch przysunął się z powrotem.

- Tak, jest miła. Ledwie ją znam. Wygląda na to, że wiesz o niej więcej ode mnie.

- Jesz z nią dzisiaj kolację?

- Tak, jem z nią dzisiaj kolację.

- Ej, Harry? - Z jej głosu znikły wszelkie ślady wesołości.

- Tak?

- Masz tu niezłe trafienie. Pochylił się i popatrzył na ekran.

- Chyba nie wyjdzie mi dzisiaj ta kolacja - powiedział, przejrzawszy ujrzane informacje.

Rozdział 14

Bosch zatrzymał się przed domem i przyjrzał się spowitym w ciemnościach oknom i gankowi.

- Pasuje - powiedział Edgar. - Faceta nie ma nawet w domu. Pewnie już prysnął.

Edgar był zły na Boscha, który wyciągnął go z domu. Był zdania, że skoro kości leżały w ziemi dwadzieścia lat, to co zaszkodzi zaczekać do poniedziałku rano, żeby porozmawiać z gościem. Bosch uparł się jednak, że jeśli Edgar się nie zjawi, pojedzie tam sam.

Edgar przyjechał.

- Nie, jest w domu - powiedział Bosch.

- Skąd wiesz?

- Po prostu wiem.

Popatrzył na zegarek i zapisał godzinę i adres w małym notesie. Przemknęło mu przez myśl, że dom, pod którym stali, był chyba tym samym, w którym widział pierwszego dnia, jak ktoś opuszcza zasłonkę.

- Chodźmy - powiedział. - Rozmawiałeś z nim pierwszy, dlatego będziesz gadał. Włączę się, jeśli zajdzie potrzeba.

Wysiedli i podeszli chodnikiem do domu. Przyjechali do Nicholasa Trenta. Mieszkał sam w domu oddalonym o dwie posesje od miejsca znalezienia kości i po przeciwnej stronie ulicy. Podczas wstępnego rozpytywania sąsiadów powiedział Edgarowi, że jest dekoratorem planu w studiu filmowym w Burbank. Był kawalerem. Nic nie wiedział o kościach na wzgórzu i nie potrafił nic wniesić do śledztwa.

Edgar zastukał mocno do drzwi. Czekali chwilę.

- Panie Trent, tu policja - powiedział głośno. - Detektyw Edgar. Proszę otworzyć.

Uniósł pięść, by załomotać w drzwi, gdy zapaliła się lampa na ganku. Następnie otworzyły się drzwi i w cieniu wewnątrz pojawił się biały mężczyzna z wygoloną czaszką. Na jego twarz padała smuga światła

z ganku.

- Pan Trent? Jestem detektyw Edgar. To mój partner, detektyw Bosch. Chcielibyśmy wyjaśnić kilka spraw, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

Bosch kiwnął głową na powitanie, ale nie wyciągnął ręki. Trent nie odpowiedział, więc Edgar po prostu popchnął drzwi, by otworzyły się szerzej.

- Możemy wejść? - zapytał, przekraczając próg.

- Nie, proszę! - odrzekł szybko Trent.

Edgar przystanął i zrobił zdziwioną minę.

- Proszę pana, mamy tylko kilka pytań.

- Pewnie. Gówno prawda!

- Słucham?

- Wszyscy wiemy, co się tu dzieje. Rozmawiałem już z moim adwokatem. Może pan nie silić się na udawanie. Nie wychodzi to panu.

Harry zrozumiał, że niczego nie osiągną, jeśli będą zachowywać się niewinnie jak koledzy. Ruszył naprzód i pociągnął Edgara za ramię. Gdy jego partner cofnął się za próg, Harry popatrzył na Trenta.

- Panie Trent, skoro wiedział pan, że wrócimy, na pewno zdawał pan sobie również sprawę, że sprawdzimy pańską przeszłość. Dlaczego nie powiedział pan o niej przedtem detektywowi Edgarowi? Zaoszczędzilibyśmy trochę czasu. Zamiast tego nabieramy podejrzeń. Na pewno potrafi to pan zrozumieć.

- Bo przeszłość to przeszłość. Nie ja ją wywlokłem. Pogrzebałem ją, i niech tak zostanie.

- Nie, jeśli razem z nią są pogrzebane kości - rzekł oskarżycielskim tonem Edgar.

Harry spojrział na niego, jakby chciał powiedzieć, że przydałoby mu się trochę więcej finezji.

- Widzicie? - odparł Trent. - Właśnie dlatego mówię, żebyście sobie poszli. Nie mam wam nic do powiedzenia. Nic. Nic o tym nie wiem.

- Panie Trent, napastował pan dziewięcioletniego chłopca - powiedział Harry.

- Było to w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym szóstym roku i zostałem za to ukarany. To przeszłość. Od tego czasu byłem wzorowym obywatelem. Nie mam nic wspólnego z tymi kośćmi na górze.

Harry odczekał chwilę.

- Jeśli to prawda, proszę odpowiedzieć na kilka pytań - odezwał się cicho i spokojnie. - Im szybciej oczyścimy pana z podejrzeń, tym prędzej będziemy mogli zacząć sprawdzać inne możliwości. Musi pan jednak coś zrozumieć. Kości młodego chłopca zostały znalezione sto metrów od domu człowieka, który napastował inne dziecko w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym szóstym roku. Nie obchodzi mnie, jakim pan był od tego czasu obywatelem. Musimy zadać kilka pytań. I zadamy je. Nie mamy wyboru. Czy odpowie pan na nie u siebie w domu, czy z adwokatem na komendzie, pod którą będzie pełno reporterów, zależy jedynie od pana. - Urwał. Trent wpatrywał się w niego przerażony. - Rozumie pan zatem nasze położenie, a my potrafimy zrozumieć pańskie. Chcemy działać szybko i dyskretnie, ale nie możemy tego zrobić bez pańskiej współpracy.

Trent potrząsnął głową, jakby wiedział, że bez względu na to, co zrobi, jego obecne życie pewnie legnie w gruzy. Wreszcie cofnął się i dał znak, by weszli.

Trent był boso. Miał na sobie powiewną, jedwabną koszulę i workowate, czarne szorty, ukazujące chude, pozbawione owłosienia nogi barwy kości słoniowej. Był zbudowany jak drabina - składał się z samych kątów prostych. Zaprowadził policjantów do zatłoczonego antykami pokoju. Usiadł na środku sofy. Bosch i Edgar zajęli dwa skórzane fotele naprzeciw niego. Harry zdecydował, że to on będzie prowadził rozmowę. Nie podobało mu się zachowanie Edgara przy drzwiach.

- Na wszelki wypadek zapoznam pana z pańskimi prawami konstytucyjnymi - powiedział. - Następnie poproszę pana o podpisanie zrzeczenia się obecności adwokata. W ten sposób wszyscy będziemy kryci. Zamierzam również nagrywać naszą rozmowę, by nikt potem niczego nie przekreślił. Jeśli chce pan dostać kopię taśmy, to ją panu udostępnię.

Trent wzruszył ramionami, co Bosch uznał za niechętną zgodę. Po podpisaniu druku schował go do neseseru i wyjął mały magnetofon. Włączył go, podał nazwiska obecnych, datę i godzinę, po czym skinął głową Edgarowi, by poprowadził dalej przepytanie. Zrobił tak, bo na razie obserwacja Trenta i jego siedziby była dla niego ważniejsza od odpowiedzi.

- Panie Trent, od jak dawna mieszka pan w tym domu?

- Od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego. Po odpowiedzi się zaśmiał.

- Co w tym zabawnego? - spytał Edgar.

- Tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty czwarty. Nie rozumie pan? George Orwell? Wielki Brat?

Wskazał Boscha i Edgara, jakby byli przedstawicielami Wielkiego Brata. Edgar najwidoczniej nie zrozumiał aluzji. Podjął rozmowę na nowo.

- Jest pan lokatorem czy właścicielem?

- Właścicielem. Och, z początku byłem lokatorem, ale w osiemdziesiątym siódmym odkupiłem dom.

- No dobrze. Pracuje pan jako scenograf w branży rozrywkowej?

- Dekorator planu. To różnica.

- Na czym polega?

- Scenograf projektuje scenę i nadzoruje jej konstrukcję. Dekorator wkracza później, uzupełniając ją o szczegóły, przydające charakteru. Rzeczy osobiste postaci, narzędzia i tak dalej.

- Od jak dawna pan się tym zajmuje?

- Dwadzieścia sześć lat.

- Czy pogrzebał pan ciało na wzgórzu?

Trent wstał z rozdrażnieniem.

- Absolutnie nie. Moja stopa nigdy tam nie powstała, a wy robicie wielki błąd, marnując czas na mnie, podczas gdy prawdziwy morderca tego biedactwa wciąż chodzi na wolności.

Harry wychylił się naprzód w fotelu.

- Proszę usiąść, panie Trent - powiedział.

Żarliwe zaprzeczenie Trenta sprawiło, że Bosch instynktownie pomyślał, iż mężczyzna jest albo niewinny, albo to jeden z lepszych aktorów, z którymi się zetknął. Trent powoli usiadł na sofie.

- Jest pan inteligentnym człowiekiem - rzekł Harry, postanawiając przejść od razu do rzeczy. - Wie pan dokładnie, o co nam chodzi. Musimy

pana zgarnąć albo oczyścić z podejrzeń. Wyjątkowo proste, może więc nam pan pomoże? Zamiast bawić się z nami w ciuciubabkę, niech pan nam lepiej powie, jak możemy pana oczyścić.

Trent uniósł szeroko rozstawione dłonie.

- Nie mam pojęcia! Nie wiem nic o tej sprawie! Jak mam wam pomóc, skoro nie mam o niej zielonego pojęcia?

- Pierwsza możliwość nasuwa się od razu. Może pan nam pozwolić na przeszukanie domu. Jeśli zacznę panu ufać, Trent, niewykluczone, że spojrzę na sprawę z pańskiego punktu widzenia. Na razie jednak... jak powiedziałem, mam pańską kartotekę i kości znalezione po drugiej stronie ulicy. - Harry wystawił przed siebie dłonie, jakby ważył w nich dwie rzeczy, o których wspomniał. - Moim zdaniem nie wygląda to najlepiej.

Trent wstał i gwałtownie wskazał ręką wewnątrz domu.

- Proszę bardzo. Czujcie się jak u siebie. Szukajcie do upojenia. Niczego nie znajdziecie, bo nie miałem z tym nic wspólnego. Nic!

Bosch popatrzył na Edgara i kiwnął głową. Był to sygnał, że Edgar ma zajmować uwagę Trenta, podczas gdy Harry będzie się rozglądał.

- Dziękuję panu - powiedział, wstając.

Wchodząc na korytarz, prowadzący na tyły domu, słyszał, jak Edgar pyta Trenta, czy widział jakąś niezwykłą aktywność na wzgórzu, gdzie znaleziono kości.

- Pamiętam tylko, że bawiły się tam dzieci...

Urwał, najwidoczniej zdając sobie sprawę, że każda wzmianka o dzieciach z jego strony sprawia, że wydaje się bardziej podejrzany. Harry obejrzał się, chcąc sprawdzić, czy pali się czerwone światełko na magnetofonie.

- Lubił pan obserwować dzieci bawiące się w lesie? - zapytał

Edgar.

Bosch zatrzymał się na korytarzu poza zasięgiem wzroku Trenta, lecz mógł go słyszeć.

- Nie, nie widziałem ich, jeśli były w lesie. Od czasu do czasu jechałem tam albo wyprowadzałem moją suczkę - kiedy jeszcze żyła - i widziałem, jak dzieciaki się tam wspinały. Dziewczynka z naprzeciwka. Fosterowie z sąsiedniego domu. Wszystkie dzieci z ulicy. To miejska droga - jedyna niezabudowana okolica w sąsiedztwie. Dlatego szły się tam bawić. Niektórzy sąsiedzi podejrzewali, że starsze dzieci tam się kryją, żeby palić papierosy, i

martwili się, że spalą cały stok.

- O jak dawnych czasach pan mówi?

- Kiedy się tutaj wprowadziłem. Nie mieszałem się. Sąsiedzi się z tym uporali.

Harry ruszył dalej korytarzem. Dom był mały, niewiele większy niż jego mieszkanie. Korytarz kończył się drzwiami do trzech pokoi. Po bokach znajdowały się sypialnie, a na wprost - szafa na bieliznę. Zajrzał najpierw do niej, ale nie zauważył nic niezwykłego i otworzył drzwi sypialni po prawej. Spał tu Trent. Była schludnie utrzymana, ale blaty biurka i stolika przy łóżku, należących do tego samego kompletu, były zavalone bibelotami. Harry domyślił się, że dekorator wykorzystywał je do przydawania filmowym wnętrzą pozorów autentyczności.

Zajrzał do szafy. Na górnej półce stało kilka pudełek po butach. Zaczął je otwierać; we wszystkich było stare, znoszone obuwie. Trent najwidoczniej miał zwyczaj po kupieniu nowych butów chować stare do pudełek w szafie. Bosch przypuszczał, że to również wiązało się z jego pracą. Otworzył kolejne pudełko i zobaczył w nim parę obuwia roboczego. Zauważył twarde, zaschnięte błoto w protektorze. Pomyślał o ciemnej ziemi w miejscu, gdzie znaleziono kości. Zebrano jej próbki.

Odłożył buty na miejsce i zanotował w pamięci, by uwzględnić je w nakazie rewizji. Na razie dokonywał tylko pobieżnego przeszukania. Gdyby dekorator został podejrzanym w pełnym znaczeniu tego słowa, wtedy wróciliby z nakazem rewizji i dosłownie rozebrali wszystko na części pierwsze, szukając dowodów wiążących go z kośćmi. Obuwie robocze mogło stanowić dobry punkt wyjścia. Trent zdążył już powiedzieć, że nigdy nie był na wzgórzu. Gdyby błoto na obcasie odpowiadało próbkom gleby z wykopalisk, wówczas Trent wpadłby na kłamstwie. Wstępna gra z podejrzanym polegała na wyciśnięciu jego wersji wydarzeń. Następnie przystępowano do szukania w niej kłamstw.

W szafie nic nie zwróciło uwagi Boscha. Tak samo w sypialni po drugiej stronie korytarzyka. Zdawał sobie oczywiście sprawę, że jeśli Trent był mordercą, miał wiele lat na zatarcie śladów. Miał też trzy dni - od chwili gdy Edgar rozmawiał z nim po raz pierwszy podczas obchodu sąsiednich posesji - na sprawdzenie swoich rzeczy i przygotowanie się na kolejne wizyty policji.

Druga sypialnia służyła jako gabinet i magazyn Trenta. Na ścianie wisiały oprawione plakaty z filmów, przy których zapewne pracował. Bosch widział niektóre z nich w telewizji; rzadko chodził do kina. Zauważył, że w jednej z ram wisi plakat z „The Art of the Cape”. Kilka lat temu prowadził śledztwo w sprawie zamordowania producenta tego filmu. Słyszał, że plakaty z tego filmu zyskały później w hollywoodzkim undergroundzie status kolekcjonerskich rarytasów.

Kiedy skończył przeglądać tyły domu, przeszedł przez drzwi w kuchni do garażu. Było w nim miejsce na dwa samochody; jedno zajmowała furgonetka Trenta. Drugie zastawiono pudłami, oznakowanymi nazwami pokoi. Z początku Harry zdumiał się, że Trent nie skończył się rozpakowywać, chociaż wprowadził się ponad dwadzieścia lat temu. Dopiero później zrozumiał, że zawartość pudeł wykorzystywano do uzupełnienia dekoracji filmowych.

Odwróciwszy się, stwierdził, że cała ściana jest zawieszona łbami dzikich zwierząt. Ich czarne, szklane oczy wpatrywały się w niego nieruchomo. Poczł przebiegający po plecach dreszcz. Przez całe życie nie znoził widoku tego rodzaju eksponatów - sam nie wiedział dokładnie dlaczego.

Spędził w garażu jeszcze kilka minut, głównie na przetrząsaniu pudła z napisem „Pokój chłopca, 9-12”. Były w nim zabawki, modele samolotów, deskorolka i piłka futbolowa. Wyjął deskę i przyglądał się jej kilka chwil, myśląc przez cały czas o plecaku z nadrukiem „Solid Surf”. Wreszcie odłożył deskę do pudła i je zamknął.

Boczne drzwi w garażu wychodziły na tylne podwórko. Większość równego terenu zajmował basen, dalej zaczynał się stromy stok, porośnięty drzewami. Było zbyt ciemno, by coś dokładnie zobaczyć. Postanowił, że rozejrzy się tu za dnia.

Dwadzieścia minut po wyjściu z salonu Harry wrócił do niego z pustymi rękami. Trent spojrział na niego z wyczekiwaniem.

- Zadowolony?

- Na razie zadowolony, panie Trent. Doceniam pańską...

- Widzi pan? Nigdy nie ma końca. „Na razie zadowolony”. Nigdy nie dacie mi spokoju, prawda? Gdybym obrabował bank czy handlował narkotykami, mój dług zostałby uznany za spłacony i byście mnie nie dręczyli, ale tylko dlatego, że prawie czterdzieści lat temu obmacałem chłopca, będąc winny przez całe życie.

- Chyba nie tylko go pan obmacał - powiedział Edgar. - Dostaniemy jednak akta, niech pan się nie martwi.

Trent ukrył twarz w dłoniach i wymamrotał coś świadczącego, że uznał swoją gotowość do współpracy za pomyłkę. Bosch popatrzył na Edgara, który skinął głową na znak, że skończył i mogą już jechać. Harry wziął magnetofon. Wsunął go do kieszeni marynarki, ale nie wyłączył. Podczas sprawy sprzed roku odebrał cenną lekcję - najważniejsze słowa padają, gdy rozmówca uważa wypytywanie za zakończone.

- Dziękujemy za współpracę, panie Trent. Już sobie pojedziemy, ale może jutro będziemy musieli ponownie porozmawiać. Pracuje pan?

- Boże, nie, nie dzwońcie do mnie do pracy! Potrzebuję jej, przez was ją stracę. Wszystko przez was stracę.

Podał Boschowi numer pagera. Bosch go zapisał i podeszedł do drzwi frontowych. Obejrzał się na Edgara.

- Pytałeś o podróże? Nigdzie się nie wybiera, prawda?

Edgar popatrzył na dekoratora.

- Panie Trent, pracuje pan w filmie, zatem wie pan, jak idzie ta kwestia. Niech pan da nam znać, jeśli zechce pan opuścić miasto. Jeśli pan tego nie zrobi, a będziemy musieli pana odszukać... nie skończy się to dla pana najlepiej.

- Nigdzie się nie wybieram - powiedział monotonnym, martwym głosem Trent, patrząc gdzieś w przestrzeń. - Idźcie już wreszcie. Zostawcie mnie samego.

Wyszli. Trent zatrzasnął za nimi drzwi z hukiem. U podnoża podjazdu kwitła bugenwilla. Dopóki Bosch jej nie minął, zasłaniała mu widok na lewą stronę ulicy.

Nagle oślepił go błysk ostrego światła. Do dwóch detektywów podeszła dziennikarka z kamerzystą. Harry przez chwilę nic nie widział, potem jego wzrok zaczął przywykać do blasku.

- Witam panów. Judy Surtain, wiadomości Kanału 4. Czy nastąpił przełom w sprawie kości?

- Bez komentarza - warknął Edgar. - Bez komentarza. I proszę zgasić to cholerne światło.

Bosch dojrzał wreszcie dziennikarkę w blasku reflektora. Rozpoznał ją z wcześniejszych programów, była także wśród dziennikarzy zgromadzonych za kordonem policyjnym otaczającym wzgórze. Uświadomił sobie, że nie może w tej sytuacji ograniczyć się do odmówienia komentarza. Musiał uchronić Trenta przed mediami.

- Nie - powiedział. - Nie było żadnego przełomu. Po prostu wykonujemy rutynowe czynności.

Surtain podstawiła mu mikrofon pod nos.

- Dlaczego znów przyjechał pan na tę ulicę?

- Kończymy rutynowe rozpytywanie sąsiadów. Nie miałem jeszcze okazji porozmawiać z mieszkańcem tego domu. Kończyliśmy tę część śledztwa, to wszystko. - Mówił znudzonym tonem, mając nadzieję, że dziennikarka da się nabrać. - Przykro mi - dodał. - Dziś wieczorem nie będzie żadnego wstrząsającego materiału.

- Cóż, czy ten lub którykolwiek z innych sąsiadów okazał się pomocny w śledztwie?

- Hm, wszyscy byli bardzo chętni do współpracy, ale jeśli chodzi o tropy, które moglibyśmy wykorzystać, na razie niewiele mamy. Większość ludzi nawet tu nie mieszkała, kiedy ciało zostało pogrzebane. Dlatego efekty są mizerne. - Bosch wskazał dom Trenta. - Na przykład ten człowiek. Właśnie się dowiedzieliśmy, że kupił dom dopiero w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym roku, a jesteśmy zupełnie pewni, że kości były już wtedy na wzgórzu.

- W takim razie wracacie do punktu wyjścia?

- Mniej więcej. I to naprawdę wszystko, co mogę powiedzieć. Dobranoc.

Przepchnął się obok dziennikarki w stronę samochodu. Kilka chwil potem reporterka dogoniła go przy drzwiach - bez kamerzysty.

- Potrzebne nam pańskie nazwisko, detektywie.

Harry otworzył portfel i podał dziennikarce wizytówkę, na której znajdował się główny numer komendy, następnie się pożegnał.

- Niech pan posłucha, jeśli jest cokolwiek, co może mi pan powiedzieć - wie pan, nieoficjalnie - nie ujawnię, że dowiedziałam się od pana - rzekła Judy Surtain. - Rozumie pan, nie jesteśmy nagrywani, więc może pan mówić wszystko.

- Nie mam nic do powiedzenia - odparł Harry, otwierając drzwi wozu. - Życzę udanego wieczoru.

Edgar zaklął w chwili, gdy drzwi się zamknęły.

- Skąd, do diabła, wiedziała, że tu będziemy?

- Pewnie dal jej znać któryś z sąsiadów - odparł Bosch. - Była tu przez całe dwa dni wykopalisk. Jest sławna. Przymilała się do mieszkańców, zaprzyjaźniła z niektórymi. Na dodatek przyjechaliśmy wozem służbowym. Równie dobrze mogliśmy zwołać konferencję prasową.

Pomyślał o beznadziejności pracy detektywa, który musi jeździć samochodem w barwach czarnej i białej. Był to efekt programu mającego zapewnić, że obecność policji na ulicach stanie się bardziej widoczna. Detektywi ze wszystkich wydziałów otrzymali w rezultacie do dyspozycji wozy w służbowych barwach - pozbawione świateł na dachach oraz godła, ale i tak rzucające się w oczy.

Patrzyli, jak dziennikarka i kamerzysta podchodzą do drzwi domu Trenta.

- Chce z nim rozmawiać - zauważył Edgar.

Bosch szybko sięgnął do neseseru po telefon komórkowy. Chciał zadzwonić do Trenta i powiedzieć mu, by nie odpowiadał na żadne pytania, kiedy zdał sobie sprawę, że nie ma sygnału.

- Diabli nadali - burknął.

- I tak za późno - powiedział Edgar. - Miejmy tylko nadzieję, że facet zachowa się rozsądnie.

Harry zobaczył Trenta w drzwiach frontowych, całego skąpanego w białym świetle reflektora. Mężczyzna powiedział kilka słów, po czym machnął ręką i zatrzasnął drzwi.

- Dobrze - ocenił Edgar.

Harry uruchomił samochód, zawrócił i ruszył w dół kanionu do komendy.

- I co dalej? - spytał Edgar.

- Musimy wyciągnąć akta jego sprawy i zobaczyć, o co w niej chodziło.

- Zajmę się tym przed wszystkim innym.

- Nie. Najpierw musimy dostarczyć wnioski o wydanie dokumentacji ze szpitali. Czy Trent pasuje na podejrzanego czy nie, i tak najpierw musimy zidentyfikować dzieciaka, żeby go z nim powiązać. Spotykamy się o ósmej w sądzie Van Nuys. Podzielimy się wnioskami, kiedy sędzia je podpisze.

Bosch wybrał sąd w Van Nuys, ponieważ Edgar mieszkał w pobliżu, dzięki czemu mogli rozdzielić się rano od razu po zatwierdzeniu wniosków przez sędziego.

- A co z nakazem rewizji u Trenta? - spytał Edgar. - Widziałeś cokolwiek, czemu warto by się przyjrzeć?

- Niewiele. Ma deskorolkę w pudle w garażu. Do pracy, rozumiesz.

Do dekorowania planu. Na jej widok przypomniałem sobie koszulę ofiary. Trent ma też robocze buty z błotem w podeszwach. Może będzie odpowiadało próbkom ze wzgórza, ale nie liczę na to, że rewizja coś da. Facet miał dwadzieścia lat na zatarcie śladów. Jeżeli to on.

- Nie uważasz tak?

Harry pokręcił głową.

- Chronologia się nie zgadza. Osiemdziesiąty czwarty to trochę za późno. Sam skraj naszego przedziału czasowego.

- Myślałem, że chodzi o okres od siedemdziesiątego piątego do osiemdziesiątego piątego.

- Bo tak jest. Ogólnie rzecz biorąc. Słyszałeś jednak, co powiedział Golliher. Od dwudziestu do dwudziestu pięciu lat temu, czyli w najlepszym razie początek lat osiemdziesiątych. Nie sądzę, żeby można było uznać za początek rok osiemdziesiąty czwarty.

- Cóż, może Trent przeprowadził się tutaj właśnie ze względu na ciało. Zakopał tu wcześniej dzieciaka i chciał być blisko, dlatego się wprowadził. Przecież wiesz, Harry, że tacy goście mają poprzesztawiane we łbach.

Bosch pokiwał głową.

- Coś w tym jest. Tyle że nie czułem, żeby facet kręcił. Uwierzyłem mu.

- Twój szósty zmysł już cię zawodził, Harry.

- Och, pewnie...

- Myślę, że to on. To ten facet. Słyszałeś, jak powiedział: „tylko dlatego, że obmacałem chłopaka”.

Dla niego stosunek z dziewięciolatkiem to pewnie tylko muśnięcie kogoś.

Edgar zachowywał się jak reakcjonista, ale Bosch mu tego nie wytknął. Był ojcem; on - nie.

- Wyciągniemy akta i zobaczymy. Musimy też pojechać do Archiwum Miejskiego i sprawdzić w

odwrotnych rejestrach, kto wtedy tu mieszkał.

Odwrotne rejestry to książki telefoniczne, w których abonenci byli uporządkowani nie według nazwisk, lecz adresów. Wszystkie roczniki rejestrów przechowywano w Archiwum Miejskim. Umożliwiły w tym wypadku ustalenie, kto mieszkał przy Wonderland Avenue w okresie 1975-1985, czyli wtedy gdy zginął chłopiec.

- Zapowiada się mnóstwo zabawy - powiedział Edgar.

- Och tak - odparł Bosch. - Nie mogę się doczekać.

Resztę drogi przejechali w milczeniu. Harry'ego ogarniało przygnębienie. Był rozczarowany samym sobą - tym, w jaki sposób prowadził do tej pory śledztwo. Kości zostały odkryte w środę, a dochodzenie ruszyło na dobre w czwartek. Wiedział, że powinien sprawdzić nazwiska sąsiadów jeszcze przed niedzielą - był to standardowy element śledztwa. Zwlekając, dał fory Trentowi, który miał trzy dni na przygotowanie się na ich pytania. Naradził się nawet z adwokatem. Trent mógł sobie trenować odpowiadanie przed lustrem. Bosch wiedział, co twierdzi jego wewnętrzny wykrywacz kłamstwa. Zdawał sobie jednak sprawę, że dobry aktor mógł go oszukać.

Rozdział 15

Harry wypił piwo na ganku przy rozsuniętych drzwiach, żeby móc słyszeć muzykę Clifforda Browna. Trębacz nagrał prawie pięćdziesiąt lat wcześniej garść płyt, po czym zginął w kraksie samochodowej. Harry rozmyślał o muzyce, której tamten nigdy nie nagrał. Dumał też o chłopięcych kościach w ziemi i tym, co w ten sposób przypadło. Jazz, piwo i ponury nastrój, w który popadał, myśląc o tej sprawie, tworzyły mieszaninę w jego umyśle. Czuł napięcie, jakby jego uwagi uchodziło coś, co miał przed nosem. Było to najgorsze na świecie uczucie dla detektywa.

O jedenastej wieczorem wrócił do środka i ściszył muzykę, by móc obejrzeć wiadomości na Kanale 4. Materiał Judy Surtain był trzeci po pierwszej przerwie na reklamy. Spiker obwieścił: „Nowe wydarzenia w sprawie kości w Laurel Canyon. Łączymy się z Judy Surtain na miejscu”.

- Och, kurwa - mruknął Harry; nie spodobał mu się ton wstępu.

Obraz zmienił się w ujęcie na żywo, kręczone na Wonderland

Avenue. Judy Surtain stała na jezdni pod domem Trenta.

- Znajduję się na Wonderland Avenue w Laurel Canyon, gdzie cztery dni temu pies wygrzebał kość, którą władze uznały za ludzką. Doprowadziło to do znalezienia kolejnych kości młodego chłopca. Organy ścigania uważają, że chłopiec został ponad dwadzieścia lat temu zamordowany, a następnie pogrzebany.

Rozdzwonił się telefon Boscha. Podniósł słuchawkę z oparcia fotela, w którym oglądał telewizję.

- Chwileczkę - powiedział i odsunął słuchawkę od ucha, oglądając dalej wiadomości.

- Dzisiaj wieczorem prowadzący sprawę detektywi wrócili na Wonderland Avenue, by porozmawiać z człowiekiem, mieszkającym niecałe sto metrów od miejsca pogrzebania chłopca - powiedziała Judy Surtain. - Mieszkańcem tym jest Nicholas Trent, pięćdziesięciosiedmioletni dekorator planu w Hollywood. - Pokazano Boscha, jak wypytuje go dziennikarka. Ten fragment wykorzystano jednak tylko jako wypełniacz, podczas gdy Judy Surtain kontynuowała komentarz zza kadru: - Policjanci odmówili komentarza, dlatego przesłuchiwali Trenta, lecz dowiedzieliśmy się... - Harry osunął się ciężko w fotelu i przygotował na to, co spodziewał się usłyszeć - ... że Trent został w przeszłości skazany za molestowanie małego chłopca.

Ścieżkę dźwiękową z nagrania z Boschem przywrócono w chwili, gdy detektyw mówił: „I to naprawdę wszystko, co mogę powiedzieć”.

Po tym ujęciu pokazano Trenta, który stał na progu swojego domu, opędał się od kamery i zamykał drzwi.

- Trent odmówił komentarza, jaki jest jego status w tej sprawie. Sąsiedzi z tej w zasadzie spokojnej okolicy przeżyli szok, gdy dowiedzieli się o jego przeszłości.

Zaprezentowano następnie nagrany rozmowę z mieszkańcem, którego Bosch rozpoznał jako Victora Ulricha. Harry wyłączył dźwięk telewizora pilotem i podniósł słuchawkę do ucha. Dzwonił Edgar.

- Oglądasz to gównu? - zapytał.

- Och, tak.

- Fatalnie wypadliśmy. Jakbyśmy to my jej powiedzieli. Wyjęli twoje słowa z kontekstu, Harry. Mamy przerąbane.

- No, ty nic jej nie powiedziałaś. Prawda?

- Harry, jeśli sądzisz, że wygadałbym się przed jakąś...

- Nie, nie sądzę. Upewniam się tylko. Nie powiedziałaś jej, prawda?

- Prawda.

- Ani ja. No tak, oberwie się nam trochę, ale jesteśmy czyści.

- Ale kto jeszcze wiedział? Wątpię, żeby to Trent ją poinformował. Jakiś milion ludzi wie teraz, że molestował małego chłopca.

Harry uświadomił sobie, że wiedzieli jedynie oni, Kiz, która natrafiła na ten fakt podczas komputerowego sprawdzania sąsiadów, oraz Julia Brasher, której sam o tym powiedział, tłumacząc się, dlaczego nie przyjedzie na kolację. Nagle stanęła mu przed oczyma Judy Surtain, stojąca przed kordonem na Wonderland Avenue. Julia zgłosiła się na ochotnika do pomocy podczas obu dni poszukiwań i wykopalisk na wzgórzu. Było całkiem możliwe, że w jakiś sposób nawiązała kontakt z Judy Surtain. Czy to ona stanowiła źródło przecieku?

- Nie musiało być przecieku - powiedział Edgarowi. - Wystarczyło, by Surtain usłyszała nazwisko Trent. Mogła poprosić jakiegoś znajomego gliniarza, żeby przepuścił go dla niej przez maszynkę. Mogła też sprawdzić CD-ROM z danymi przestępców seksualnych. Jest publicznie dostępny. Poczekaj.

Z aparatu rozległ się sygnał oczekującego połączenia. Przełączył rozmowę i stwierdził, że tym razem dzwoni porucznik Grace Billets. Poprosił ją, by zaczekała, aż skończy rozmawiać z Edgarem. Przełączył się z powrotem.

- Jerry, to Bullets. Oddzwonię do ciebie.

- To dalej ja - powiedziała pani porucznik.

- Och, przepraszam. Jeszcze chwilę.

Spróbował raz jeszcze i tym razem udało mu się przełączyć. Powiedział Edgarowi, że oddzwoni do niego, jeśli tylko Grace Billets powie coś, o czym jego partner powinien się natychmiast dowiedzieć.

- Poza tym trzymamy się planu - dodał. - Widzimy się w Van Nuys o ósmej.

Jeszcze raz zmienił połączenie.

- Bullets? Tak na mnie mówicie? - zapytała pani porucznik.

- Słucham?

- Powiedziałeś „Bullets”. Myślałeś, że to Edgar, i nazwałeś mnie „Bullets”.

- Przed chwilą?

- Tak, przed chwilą.

- Bo ja wiem? Nie mam pojęcia, o czym pani mówi. To znaczy, kiedy chciałem się przełączyć...

- Daj spokój, nieważne. Domyślam się, że oglądałeś Kanał 4?

- Tak. I mogę powiedzieć tylko tyle, że to nie była wina ani moja, ani Edgara. Baba dostała cynk, że tam jesteśmy, i kiedy nas zaczęła, gadaliśmy jak najęci „bez komentarza”. Nie mam pojęcia, skąd...

- Harry, nie mówiłeś tylko „bez komentarza”. Widać cię na taśmie, poruszasz ustami, a potem mówisz: „to wszystko, co mogę powiedzieć”. Skoro tak, to znaczy, że coś jej jednak powiedziałeś.

Bosch potrząsnął głową, mimo że rozmawiał przez telefon.

- Gównu jej powiedziałem. Po prostu wciskałem jej kit. Powiedziałem, że kończymy rutynowe rozpytywanie sąsiadów i do tej pory nie rozmawialiśmy z Trentem.

- To prawda?

- Właściwie nie, ale nie zamierzałem jej mówić, że przyjechaliśmy, bo facet molestował kiedyś dzieciaka. Niech pani posłucha, nie wiedziała o Trencie, kiedy u niego byliśmy. Gdyby tak było, toby mnie o niego wypytywała. Dowiedziała się później i nie mam pojęcia skąd. O tym właśnie rozmawiałem z Jerrym.

Na chwilę zapadło milczenie.

- No, to lepiej poskładaj do jutra swoją wersję tego syfu, żebym miała dla góry pisemny raport -

zapropowała porucznik Billets. - Zanim skończono pokazywać ten materiał, miałam telefon od kapitan LeValley, a ona powiedziała, że już dzwonił do niej zastępca komendanta Irving.

- No tak, typowe. Obowiązuje porządek dziobania.

- Słuchaj, wiesz, że pokątne udzielanie informacji o kryminalnej kartotece obywateli jest sprzeczne z polityką wydziału bez względu na to, czy dany obywatel jest obiektem dochodzenia, czy nie. Mam tylko nadzieję, że twoja wersja historii będzie nie do ruszenia. Nie muszę ci mówić, że w wydziale jest dość ludzi czekających tylko, aż popełnisz błąd, za który będą mogli cię uziemić.

- Pani porucznik, nie zamierzam lekceważyć powagi przecieku. Był poważny i paskudny. Staram się jednak rozwiązać sprawę morderstwa, a teraz muszę się uporać z jeszcze jedną przeszkodą. I to jest typowe, pani porucznik. Zawsze coś trafia w tryby.

- Wobec tego następnym razem powinieneś bardziej uważać.

- Na co? Co zrobiłem źle? Idę za tropami tam, dokąd mnie prowadzą.

Bosch natychmiast pożałował wybuchu gniewu i frustracji. Porucznik Billets na pewno nie było na liście ludzi w wydziale, którzy czekali, aż on sam się zniszczy. W tym momencie była jedynie posłańcem. Równocześnie dotarło do niego, że swój gniew zwraca przeciw sobie, bo wiedział, że Grace Billets ma rację. Powinien inaczej poradzić sobie z Judy Surtain.

- Proszę posłuchać, przykro mi - powiedział spokojnie. - Wszystko przez tę sprawę. Pełno w niej haczyków, rozumie mnie pani?

- Chyba tak - odparła również spokojnie Grace Billets. - A mówiąc o sprawie, co się właściwie w niej dzieje? Cała ta historia z Trentem spadła na mnie jak grom z jasnego nieba. Myślałam, że będziesz mnie informował na bieżąco.

- Wszystko wyszło dzisiaj, i to późno. Zamierzałem poinformować panią rano. Nie miałem pojęcia, że Kanał 4 mnie wyręczy.

- LeValley i Irvingiem na razie się nie przejmuj. Opowiedz mi o tym Trentcie.

Rozdział 16

Minęła północ, gdy Harry dojechał do Venice. Praktycznie nie było gdzie zaparkować przy wąskich uliczkach nad kanałami. Rozglądał się za odpowiednim miejscem przez dziesięć minut, aż wreszcie postawił samochód na parkingu biblioteki przy Venice Boulevard i resztę drogi pokonał pieszo.

Nie wszyscy marzyciele przyjeżdżali do Los Angeles, żeby kręcić filmy. Venice stanowiło efekt marzenia Abbota Kinneya, żyjącego przed stuleciem. Zanim zaczął bić puls Hollywoodu i przemysłu filmowego, Kinney pojawił się na bagniskach nad Pacyfikiem. Miał wizję miasta, zbudowanego na sieci kanałów, spiętych łukowymi mostami, ze śródmieściem we włoskim stylu. W jego wyobraźni miało być to miejsce oddane nauce, kulturze i sztuce. Chciał nazwać je amerykańską Wenecją.

Podobnie jak w przypadku wielu marzycieli z Los Angeles, jego wizji powszechnie nie podzielano i nie pomagano mu w jej realizacji. Większość cynicznych finansistów i inwestorów nie skorzystała z oferty pomocy w budowie Venice, lokując pieniądze w mniej ambitnych projektach. Amerykańską Wenecję ochrzczono mianem „Szaleństwa Kinneya”.

Sto lat później w wodach kanałów odbijało się wiele łukowych mostów, podczas gdy finansiści i czarnowidze ze swoimi planami dawno odeszli w niepamięć. Harry'emu podobało się, że idea Szaleństwa Kinneya przetrwała ich wszystkich.

Nie odwiedził miasta kanałów od wielu lat, chociaż przez krótki okres po powrocie z Wietnamu mieszkał tu w bungalowie wraz z trzema poznanymi za oceanem mężczyznami. Przez ten czas wiele bungalowów zburzono, zastępując je nowoczesnymi dwu- i trzykondygnacyjnymi domami po milion i więcej dolarów.

Julia Brasher mieszkała w domu na rogu kanałów Howland i Eastern. Harry myślał, że to jeden z nowych domów. Sądził, że kupiono go bądź nawet wybudowano za pieniądze firmy prawniczej jej ojca.

Gdy dotarł jednak pod adres Julii, stwierdził, że się mylił. Mieszkała w małym bungalowie, obitym białymi deszczułkami, z otwartym frontowym gankiem, z którego było widać ujście dwóch kanałów.

W oknach paliło się światło. Ponieważ Julia pracowała na zmianie od trzeciej do jedenastej wieczorem, można się było spodziewać, że nie kładzie się przed drugą.

Bosch wszedł na ganek, lecz zawahał się przed zapukaniem. Dopóki w ciągu ostatniej godziny nie wkradły się wątpliwości, myślał wyłącznie dobrze o Julii i ich rozwijającym się związku. Wiedział, że musi zachować się z wyczuciem. Może nie zrobiła nic złego, a on wszystko zepsuje, jeśli postąpi nietaktownie.

Wreszcie uniósł rękę i zapukał. Julia natychmiast otworzyła.

- Zastanawiałam się, czy zastukasza, czy przestoisz tu całą noc.

- Wiedziałaś, że przyjechałem?

- Ganek jest stary. Skrzypi, więc cię usłyszałam.

- Hm, przyjechałem, ale potem pomyślałem, że może jest za późno. Powinienem najpierw zadzwonić.

- Daj spokój, wchodzi. Stało się coś?

Wszedł do środka i rozejrzał się. Nie odpowiedział na pytanie.

Salon miał niedający się z niczym pomylić styl domu nad plażą, włącznie z bambusowymi i rattanowymi meblami oraz stojącą w kącie deską surfingową. Jedynym niepasującym elementem był pas policyjny z kaburą wiszący na wieszaku przy drzwiach. Zostawianie go w takim miejscu było typowym błędem nowicjuszy, ale Bosch przypuszczał, że Julia była tak dumna z wyboru nowej pracy, że miała ochotę przypominać o niej swoim przyjaciołom spoza policyjnego światka.

- Usiądź - powiedziała. - Mam otwartą butelkę wina. Napijesz się?

Zastanawiał się, czy zmieszanie wina z wypitym godzinę wcześniej piwem nie skończy się bólem głowy następnego ranka. Wiedział, że potrzebny mu będzie jasny umysł.

- Czerwone.

- Dobrze, odrobinę.

- Musisz być jutro w formie, prawda?

- Chyba tak.

Przeszła do kuchni. Usiadł na sofie i rozejrzał się. Zobaczył wypchaną rybę z długim, ostrym ogonem, wiszącą nad kominkiem z białej cegły. Ryba miała lśniący niebieski odcień, przechodzący w czerń, oraz białozółte podbrzusze. Nie wzbudzała w nim takich emocji, jak wypchany łeb z porożem, ale mimo to nie miałaby ochoty, by stale wpatrywały się w niego rybnie oczy.

- Sama ją złapałaś? - zawołał.

- Tak. Niedaleko Cabo. Wyciągnięcie jej zajęło mi trzy i pół godziny.

Pojawiła się z dwoma lampkami wina.

- Na lince przetestowanej do dwudziestu pięciu kilogramów - dodała. - Musiałam się sporo nameńczyć.

- Jak się nazywa?

- Marlin czarny.

Uniosła kieliszek w stronę ryby, a następnie - Boscha.

- Nie popuszczaj. - Bosch popatrzył na nią. - To mój nowy toast - wyjaśniła. - Nie popuszczaj. Chyba obejmuje wszystkie ewentualności.

Usiadła na fotelu najbliższym Boscha. Za plecami miała deskę surfingową - krótką, białą, z tęcza obwódka.

- Surfujesz też na ostrych falach.

Obejrzała się na deskę, po czym popatrzyła z uśmiechem na Boscha.

- Staram się. Nauczyłam się tego na Hawajach.

- Znasz Johna Burrowsa?

Pokręciła głową.

- Na Hawajach jest mnóstwo surferów. Na jakiej plaży pływa?

- Nie, tutaj. Jest u nas policjantem. Prowadzi sprawy zabójstw w wydziale Pacific. Mieszka na zamkniętej dla ruchu uliczce przy plaży. Niedaleko stąd. Surfuje. Na desce ma napis: „To Protect and Surf”.

- Klawo. - Roześmiała się. - Podoba mi się. Będę musiała to nadrukować na swojej. - Bosch kiwnął głową. - John Burrows, tak? Muszę go poznać.

Powiedziała to odrobinę flirtującym tonem.

- Może lepiej nie - odparł z uśmiechem Bosch.

Spodobał mu się jej żart. Wszystko mu się tu podobało, dlatego czuł się tym gorzej, że przyjechał nie bez powodu. Popatrzył w swoją lampkę z winem.

- Przez cały dzień łowiłem, ale niczego nie złapałem - powiedział. - Polowałem głównie na mikrofilmy.

- Widziałam cię dzisiaj w dzienniku - odparła. - Starasz się przycisnąć tego gościa, który molestował dzieci?

Bosch upił łyk wina, żeby dać sobie czas do namysłu. Uchyliła drzwi, które musiał bardzo ostrożnie przekroczyć.

- To znaczy? - spytał.

- No, skoro powiedziałeś dziennikarce o jego kryminalnej przeszłości, to domyślam się, że masz w tym swój cel. No wiesz, chcesz wyrzucić na niego presję. Żeby się wygadał lub coś w tym rodzaju. Wydaje się to dość ryzykowne.

- Dlaczego?

- No, po pierwsze, ufanie dziennikarzom zawsze jest ryzykowne. Wiem to z czasów, kiedy byłam prawniczką i się na tym sparzyłam. Po drugie... po drugie, nigdy nie wiadomo, jak człowiek zareaguje, kiedy wyjdzie na jaw jego sekret.

Bosch przyjrzał się jej uważnie przez chwilę i potrząsnął głową.

- Nic jej nie powiedziałem - rzekł. - Zrobił to ktoś inny. - Popatrzył jej w oczy, szukając śladów, że wyczuwa jego podejrzenia. Nic takiego nie ujrzał. - Będą z tego kłopoty - dodał.

Uniosła brwi. Nadal niczym się nie zdradziła.

- Dlaczego? Skoro nie przekazałeś jej żadnych informacji, dlaczego miałyby...

Urwała, a on zorientował się, że dopiero teraz zrozumiała podtekst sytuacji. Dojrzał rozczarowanie w jej oczach.

- Och, Harry...

Spróbował cofnąć się za te drzwi.

- Słucham? O mnie się nie martw. Dam sobie radę.

- To nie ja, Harry. Dlatego tu przyjechałeś? Sprawdzić, czy to ja byłam źródłem przecieku, czy jak to nazywacie?

Nagle odstawiła lampkę z winem na stolik do kawy. Czerwone wino wylało się na blat. Nie zrobiła nic, by je wytrzeć. Bosch zrozumiał, że konfrontacja jest nieunikniona. Spieprzył sprawę.

- Posłuchaj, tylko cztery osoby wiedziały...

- A ja byłam jedną z nich. Pomyślałeś więc, że przyjedziesz tutaj i nieoficjalnie wyciągniesz ze mnie, czy to ja? - Czekwała na odpowiedź. Bosch zdołał się wreszcie zmusić do kiwnięcia głową.

- Nie, to nie ja. I chyba powinieneś już pójść.

Bosch skinął głową i odstawił kieliszek. Wstał.

- Słuchaj, przepraszam. Spieprzyłem. Myślałem, że najlepszym sposobem, żeby niczego nie sparać między nami, będzie...

- Zrobił bezradny gest rękami, idąc w stronę drzwi. - Będzie przyjechanie tu nieoficjalnie - dokończył.

- Po prostu nie chciałem niczego zepsuć. Musiałem jednak wiedzieć. Myślę, że gdybyś była na moim miejscu, zachowałabyś się tak samo. - Otworzył drzwi i obejrzał się. - Przepraszam, Julio. Dziękuję za wino.

Odwrócił się, żeby odejść.

- Harry.

Obrócił się z powrotem. Podeszła do niego i ujęła go za kłapy marynarki. Powoli przyciągnęła go do siebie i odepchnęła, jakby w zwolnionym tempie pokazywała podejrzanemu, czym jest brutalne traktowanie. Opuściła wzrok na pierś Harry'ego i po chwili najwyraźniej podjęła decyzję.

Przestała nim potrząsać, ale nie wypuszczała z rąk jego marynarki.

- Pogodzę się z tym - powiedziała. - Chyba.

Popatrzyła mu w oczy i przyciągnęła go do siebie. Pocałowała go mocno, przeciągle w usta, a potem odepchnęła.

- Mam nadzieję. Zadzwoń jutro.

Bosch kiwnął głową i wyszedł za drzwi. Zamknęła je za nim.

Zszedł na chodnik obok kanału. Zapatrzył się w odbicia domów w wodzie. Dwadzieścia metrów dalej kanał spinał łuk mostu, oświetlonego wyłącznie przez księżyc i idealnie odbijającego się w wodzie. Bosch zawrócił na ganek. Znów zawahał się pod drzwiami, aż Julia otworzyła.

- Ganek skrzypi, pamiętasz?

Kiwnął głową. Czekwała. Nie był pewien, co chce powiedzieć.

- Kiedyś byłem w jednym z tych tuneli, o których wczoraj rozmawialiśmy - zaczął wreszcie. - Wpadłem na człowieka z Wietkongu. Czarny strój, usmarowana twarz. Przez ułamek sekundy wpatrywaliśmy się w siebie. Potem pewnie górę wzięły instynkty. Obydwaj unieśliśmy broń i wystrzeliliśmy. Równocześnie. A później zaczęliśmy spieprzać w przeciwnie strony. Robiliśmy w portki ze strachu i darliśmy się jak głupi w

ciemnościach. - Urwał, zastanawiając się nad tym wydarzeniem; w zasadzie wciąż miał je przed oczami. - Tak czy inaczej, myślałem, że na pewno mnie trafił. Strzelał prawie z przyłożenia, był za blisko, żeby spudłować. Odniosłem wrażenie, że mój pistolet się zaciął, nabój był ślepy czy coś w tym rodzaju. Odrzut nie był taki, jak powinien. Kiedy wyszedłem na powierzchnię, od razu obejrzałem się od stóp do głów. Nie czułem bólu, nie było krwi. Nic. Spudłował. Strzelał prawie z przyłożenia, ale mimo to spudłował.

Julia przeszła przez próg i oparła się o frontową ścianę pod lampą na ganku. Nic nie mówiła.

- Tak czy inaczej, sprawdziłem swoją czterdziestkępiątkę.

Wtedy do mnie dotarło, dlaczego nie oberwałem. Jego kula była w lufie mojego pistoletu. Razem z moją. Wycelowaliśmy w siebie i jego pocisk trafił w lufę mojej broni. Jaka była na to szansa? Milion do jednego? Miliard?

Mówiąc, wyciągnął przed siebie rękę, jakby mierzył w Julię z pistoletu. Wycelował ją prosto w jej pierś. Tamtego dnia w tunelu kula trafiłaby go w serce.

- Pewnie chciałem, żebyś wiedziała, jakie mam szczęście, że z tobą teraz rozmawiam.

Pokiwał głową, odwrócił się i zszedł z ganku.

Rozdział 17

Śledztwo w sprawie morderstwa często trafia w ślepy zaułek, napotyka liczne przeszkody i charakteryzuje się mnóstwem zmarnowanego czasu i wysiłku. Bosch zdawał sobie z tego sprawę każdego dnia pracy, ale przypomniał sobie o tym ponownie tuż przed południem w poniedziałek, kiedy dotarł do swojego biurka. Okazało się, że trud całego ranka najprawdopodobniej poszedł na marne, bo pojawiła się całkiem nowa przeszkoda.

Stanowisko sekcji zabójstw znajdowało się w tylnym kącie pokoju detektywów. Sekcja składała się z trzech zespołów po trzech policjantów. Każdy zespół miał do dyspozycji trzy zestawione ze sobą biurka: dwa tyłem do siebie, trzecie prostopadle do nich. Na miejscu po Kiz Rider siedziała młoda kobieta w dwuczęściowym kostiumie. Miała ciemne włosy i jeszcze ciemniejsze oczy, o tak twardym wyrazie, iż wydawało się, że można nimi łuskać orzechy. Nie spuszczała wzroku z Boscha przez cały czas, gdy podchodził do niej przez salę.

- W czym mogę pomóc? - zapytał, gdy dotarł do biurka.

- Harry Bosch?

- To ja.

- Detektyw Carol Bradley, wydział spraw wewnętrznych. Muszę odebrać od pana zeznanie.

Bosch się rozejrzał. Na sali było kilkoro detektywów, którzy starali się sprawiać wrażenie zajętych, ale przyglądali się im ukradkiem.

- Zeznanie w jakiej sprawie?

- Zastępca komendanta Irving poprosił nas o ustalenie, czy kryminalna kartoteka Nicholasa Trenta została udostępniona w nieprzepisowy sposób mediom.

Bosch na razie nie siadał. Stanął za swoim fotelem i oparł się o niego. Potrząsnął głową.

- Myślę, że można spokojnie założyć, że została udostępniona w nieprzepisowy sposób.
- W takim razie muszę ustalić, kto to zrobił.

Bosch pokiwał głową.

- Staram się tu prowadzić dochodzenie, a wszystkich obchodzi tylko to...

- Niech pan posłucha, wiem, że pańskim zdaniem to zawracanie głowy. Sama mogę myśleć tak samo, ale dostałam polecenie. Przejdźmy więc do któregoś z pokoi, to nagram pańską wersję. Nie potrwa to długo. Potem będzie pan mógł wrócić do swojego śledztwa.

Bosch położył neser na blacie. Wyjął z niego magnetofon. Pamiętał o nim przez cały czas, jeżdżąc po lokalnych szpitalach z wnioskami o wydanie dokumentacji.

- Skoro mówimy o taśmie, może najpierw zabierze pani tę do któregoś pokoju i ją przesłucha? Miałem ją ze sobą wczoraj wieczorem. Powinna błyskawicznie wyjaśnić mój udział w sprawie.

Carol Bradley z wahaniem wzięła magnetofon do ręki. Bosch wskazał korytarz, przy którym znajdowały się trzy pokoje przesłuchań.

- Mimo to będę musiała...
- Doskonale. Niech pani posłucha taśmy, potem porozmawiamy.
- Z pańskim partnerem również.
- Powinien tu być lada chwila.

Carol Bradley wyszła z magnetofonem na korytarz. Bosch wreszcie usiadł przy biurku, na innych detektywów nawet nie spojrzął.

Nie minęło jeszcze południe, a już czuł się wyczerpany. Ranek spędził na czekaniu na sędziego w Van Nuys, by podpisał wnioski o wydanie dokumentacji, a następnie jeździł po mieście i doręczał je radcom prawnym dziewiętnastu różnych szpitali. Edgar wziął dziesięć wniosków i pojechał z nimi poza miasto. Wziął ich mniej, ale później miał pojechać do śródmieścia, by sprawdzić kryminalną kartotekę Nicholasa Trenta

oraz odwrotne rejestry telefoniczne i akty własności domów przy Wonderland Avenue.

Bosch spostrzegł, że czeka na niego stos wiadomości telefonicznych i najnowszych informacji od ludności, przekazanych przez dyżurnych. Najpierw zajął się wiadomościami. Dziewięć z dwunastu zostawili dziennikarze; wszyscy bez wątplenia chcieli dowiedzieć się czegoś więcej o tym, co Kanał 4 podał poprzedniego wieczoru i retransmitował w porannym dzienniku. Pozostałe pochodziły od adwokata Trenta, Edwarda Mortona. Prawnik zadzwonił trzy razy między ósmą i dziewiątą trzydzieści.

Bosch nie znał Mortona, ale spodziewał się, że adwokat dzwoni ze skargą, że kartotekę jego klienta udostępniono mediom. Harry zwykle zwlekał z oddzwanianiem do adwokatów, ale uznał, że tym razem będzie lepiej mieć to z głowy. Zamierzał zapewnić Mortona, że to nie prowadzący śledztwo detektywi byli źródłem przecieku. Chociaż wątpił, by adwokat uwierzył w choć jedno jego słowo, wziął słuchawkę do ręki i wybrał numer. Dowiedział się od sekretarki, że Morton jest w sądzie, ale lada chwila powinien się z nią skontaktować. Bosch oznajmił, że w takim razie czeka na telefon.

Rozłączywszy się, wyrzucił różowe paski papieru z numerami dziennikarzy do kosza na śmieci. Zaczął przeglądać raporty z rozmów oficerów dyżurnych i szybko się zorientował, że zadają teraz pytania, które przekazał poprzedniego ranka Mankiewiczowi.

Jedenasty raport stanowił trafienie w dziesiątkę. Tego ranka o 8.41 zadzwoniła niejaka Sheila Delacroix i powiedziała, że dopiero co obejrzała materiał na Kanale 4. Oznajmiła, że jej młodszy brat Arthur zaginął w Los Angeles w 1980 roku. Miał wówczas dwanaście lat i od tej pory nie dał znaku życia.

W odpowiedzi na pytania natury medycznej kobieta podała, że kilka miesięcy przed zaginięciem jej brat doznał urazu wskutek upadku z deskorolki. Miał obrażenia czaszki, musiał być hospitalizowany i poddany zabiegowi neurochirurgicznemu. Nie pamiętała szczegółów, ale twierdziła, że szpitalem tym był Queen of Angels. Nie potrafiła sobie jednak przypomnieć nazwisk lekarzy zajmujących się bratem. W raporcie znajdowały się tylko te informacje oraz jej adres i numer telefonu.

Zakreślił na kartce słowa „deskorolka”. Otworzył neser i wyjął wizytówkę Billa Golliehera. Zadzwonił pod pierwszy numer; zgłosiła się automatyczna sekretarka w gabinecie antropologa na uniwersytecie. Zatelefonował więc pod drugi numer i zastał Golliehera na lunchu w Westwood Village.

- Mam krótkie pytanie. O obrażenia, przez które trzeba było otwierać czaszkę.

- Krwiak.
- Właśnie. Mógł go spowodować upadek z deskorolki?

Nastąpiło milczenie. Bosch pozwolił Gollitherowi się zastanowić. Pracownik, odbierający telefony na ogólnych liniach, podszedł do stołów detektywów z wydziału zabójstw i pokazał Boschowi pacyfę. Harry zakrył słuchawkę.

- Kto dzwoni?
- Kiz Rider.
- Powiedz, żeby zaczekała. - Odsłonił słuchawkę. - Jest pan tam, doktorze?

- Tak, po prostu się zastanawiam. To możliwe, zależy, na co upadł. Powiedziałbym jednak, że nie, jeśli wywalił się po prostu na ziemię. Złamanie ma małą powierzchnię, co sugeruje, że obszar kontaktu był niewielki. Jest też położone w górnej części czaszki, a nie z tyłu. Obrażenie z tyłu czaszki jest charakterystyczne przy upadku na w miarę płaską powierzchnię. - Bosch poczuł się, jak balon, z którego wypuszczono powietrze. Miał nadzieję, że udało się zidentyfikować ofiarę. - Pyta pan o jakąś konkretną osobę? - spytał Gollither.

- Tak, właśnie dostaliśmy telefon.
- Macie prześwietlenia, dokumentację chirurgiczną?
- Pracuję nad tym.
- Cóż, chciałbym je obejrzeć dla porównania.
- Kiedy tylko je dostanę. A co z innymi obrażeniami? Mogły być skutkiem jeżdżenia na desce?
- Niektóre na pewno tak - odparł Gollither. - Powiedziałbym jednak, że nie wszystkie. Żebra, złamania wskutek skręcenia kończyn - a na dodatek złamania z bardzo wczesnego dzieciństwa. Chyba niewielu trzylatków jeździ na deskorolce.

Bosch pokiwał głową i spróbował jeszcze wymyślić jakieś pytania.

- Wie pan, detektywie, że w przypadkach maltretowania zgłaszane przyczyny obrażeń często nie odpowiadają prawdziwym?

- Zdaję sobie z tego sprawę. Ktokolwiek zabrał chłopaka do izby przyjęć, na pewno nie przyznał się, że uderzył go latarką czy czymś w tym rodzaju.

- Właśnie. Opowiedział zmyśloną historyjkę, a dziecko się jej trzymało.
- O wypadku na desce.
- Możliwe.

- No dobrze, doktorze, muszę kończyć. Dostarczę panu prześwietlenia, kiedy tylko je dostanę. Dzięki. Wcisnął klawisz drugiej linii.

- Kiz?
- Cześć, Harry, co słychać?
- Urwanie głowy. O co chodzi?
- Strasznie się czuję, Harry. Chyba spieprzyłam.

Bosch odchylił się na fotelu. Nie podejrzewałby, że to ona.

- Kanał 4?

- No... Hm, wczoraj, kiedy wyjechałeś już z centrali, mój parter skończył oglądać mecz i zapytał mnie, co tam porabiałeś, no i mu powiedziałam. Wciąż staram się ułożyć z nim jakoś stosunki, rozumiesz, Harry? Powiedziałam mu, że sprawdzałam dla ciebie nazwiska i mieliśmy jedno trafienie. Że jeden z sąsiadów jest notowany za molestowanie dziecka. Tylko tyle mu wygadałam. Przysięgam, Harry.

Bosch westchnął ciężko. W istocie poczuł się lepiej. Instynkt nie zwiódł go co do Kiz Rider. Nie ona była źródłem przecieku. Po prostu powiedziała prawdę komuś, komu powinna ufać.

- Kiz, już mi za to siedzi na karku wydział spraw wewnętrznych. Skąd wiesz, że to Thornton nadał sprawę Kanałowi 4?

- Kiedy dzisiaj rano szykowałam się do pracy, widziałam materiał w telewizji. Wiem, że Thornton zna tę dziennikarkę. Tę Surtain. Pracowałam z nim kilka miesięcy nad pewną sprawą - chodziło o morderstwo w Westside popełnione dla polisy ubezpieczeniowej. Było o niej trochę głośno w mediach, a Thornton przekazywał tej dziennikarce nieoficjalnie informacje. Wczoraj, kiedy wypaplałam mu o trafieniu, powiedział, że musi iść do ubikacji. Zabrał rubrykę sportową z gazety i poszedł, ale nie było go w toalecie. Mieliśmy wezwanie, dlatego udałam się za nim i waliłam w drzwi, że musimy się zwiijać. Nie odpowiadał. Nie zastanawiałam się nad tym, aż dzisiaj rano zobaczyłam wiadomości. Myślę, że nie

poszedł do toalety, ale do innego gabinetu albo do telefonu w holu, żeby do niej zadzwonić.

- No, to wiele tłumaczy.

- Naprawdę mi przykro, Harry. W telewizji przedstawili cię w paskudnym świetle. Zgłoszę się do wydziału spraw wewnętrznych.

- Wstrzymaj się, Kiz. Na razie. Dam ci znać, czy chcę, żebyś się do nich zgłosiła. A ty co zrobisz?

- Poszukam nowego partnera. Nie mogę pracować z tym facetem.

- Uważaj. Zaczyniesz zmieniać partnerów jak rękawiczki, to niedługo zostaniesz zupełnie sama.

- Wolę pracować sama niż z jakiś dupkiem, któremu nie ufam.

- Racja.

- A ty? Oferta wciąż stoi?

- Co, jestem dupkiem, któremu możesz ufać?

- Wiesz, o co mi chodzi.

- Oferta stoi. Wystarczy, że...

- Harry, muszę już kończyć. On tu idzie.

- Dobra, na razie.

Bosch rozłączył się i otarł usta dłonią, myśląc, co powinien zrobić z Thorntonem. Mógł opowiedzieć Carol Bradley, czego dowiedział się od Kiz. Pozostawał jednak zbyt duży margines błędu. Nie czułby się komfortowo, idąc z doniesieniem do wydziału spraw wewnętrznych, póki nie zyska pewności. Sama myśl o jakimkolwiek doniesieniu napełniała go obrzydzeniem, ale w tym wypadku ktoś szkodził śledztwu Boscha. A tego nie mógł puścić płazem.

Po kilku minutach obmyślił plan działania. Popatrzył na zegarek. Była za dziesięć dwunasta. Zadzwonił z powrotem do Kiz Rider.

- Tu Harry. Jest tam?

- Tak. Dlaczego pytasz?

- Powtarzaj za mną, jakbyś była podekscytowana. „Naprawdę, Harry? Udało ci się? Świetnie! Kto to był?”

- Udało ci się, Harry? Świetnie! Kto to był?

- Dobra, teraz słuchasz, słuchasz, słuchasz. Teraz mówisz: „Jak dziesięcioolatek dostał się tutaj z Nowego Orleanu?”

- Jak dziesięcioletni chłopak zdołał tutaj dotrzeć aż z Nowego Orleanu?

- Idealnie. Teraz rozłącz się i nic nie mów. Jeśli Thornton cię zapyta, powiedz mu, że zidentyfikowaliśmy dzieciaka po dokumentacji stomatologicznej. Był to dziesięcioletni uciekinier z Nowego Orleanu, ostatni raz

widziano go w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym roku. Jego rodzice lecą tu właśnie samolotem, a komendant zwołał na czwartą konferencję prasową, żeby o wszystkim opowiedzieć.

- Dobrze, Harry. Trzymaj się.

- Ty też.

Odłożył słuchawkę i rozejrzał się. Po drugiej stronie biurka stał Edgar. Usłyszał ostatnią część rozmowy i uniósł brwi.

- Nie, to wszystko bzdury - powiedział Harry. - Zastawiam pułapkę na źródło przecieku. I tę dziennikarkę.

- Przecieku? Kto to?

- Nowy partner Kiz. Tak sądzimy. - Edgar wsunął się w fotel i w odpowiedzi tylko pokiwał głową. - Niewykluczone, że już wiemy, czyje są kości - dodał Bosch.

Opowiedział Edgarowi o zgłoszeniu w sprawie Arthura Delacroix i swej rozmowie z Billem Gollitherem.

- Tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty? To nie pasuje do Trenta. Sprawdziłem odwrotne rejestry i akty własności. Zamieszkał przy tej ulicy dopiero w osiemdziesiątym czwartym. Tak jak powiedział wczoraj wieczorem.

- Coś mi mówi, że to nie nasz człowiek.

Bosch znów pomyślał o deskorolce. Nie wystarczała, by jego intuicja zmieniła zdanie.

- Powiedz to Kanałowi 4.

Zadzwonił telefon Harry'ego. Była to Kiz Rider.

- Właśnie wyszedł do toalety.
- Powiedziałaś mu o konferencji prasowej?
- Powiedziałam mu wszystko. Ciągłe się wypytywał, zasraniec.
- No, jeśli powie Surtain, że wszyscy mają dowiedzieć się o czwartej, to ona wyrwie się z tym w południe pierwsza. Z radością to obejrzę.

- Daj mi znać.

Rozłączył się i popatrzył na zegarek. Zostało mu jeszcze kilka minut. Spojrzał na Edgara.

- Przy okazji, w jednym z pokoiów przesłuchań jest kobieta z wydziału spraw wewnętrznych. Jesteśmy objęci dochodzeniem.

Edgarowi opadła szczeka. Podobnie jak większość policjantów nienawidził tego wydziału, bo jeśli nawet wykonywało się solidnie i uczciwie swoją pracę, to tamci i tak się mogli przyczepić do człowieka o wiele

rzeczy. Przypominał izbę skarbową tym, iż sam widok koperty z ich nadrukiem sprawiał, że wnętrzości ścisnęły się w kłębek.

- Odpręż się. To z powodu tego materiału na Kanale 4. Za parę minut powinniśmy być już czysti. Chodź ze mną.

Przeszli do gabinetu pani porucznik Billets, gdzie na podstawce stał mały telewizor. Policjantka zajmowała się wypełnianiem dokumentacji.

- Pozwoli pani, że obejrzymy południowe wiadomości na Kanale 4? - spytał Bosch.

- Proszę uprzejmie. Na pewno będzie je oglądać również kapitan LeValley i komendant Irving.

Wiadomości zaczęły się informacją o kolidacji szesnastu samochodów w porannej mgle na Santa Monica Freeway. Nie była to historia dużego kalibru - nikt nie zginął - ale stacja miała dobre nagranie, dlatego od tego zaczęła program. Sprawa „psiej kości” awansowała jednak na drugą pozycję. Lektor powiedział, że za chwilę Judy Surtain przedstawi kolejny materiał, który uzyskała na wyłączność. Po cięciu pokazano dziennikarkę za biurkiem w studiu Kanału 4.

- Kanał 4 uzyskał potwierdzenie, że znalezione w Laurel Canyon kości zidentyfikowano jako należące do dziesięcioletniego chłopca, który uciekł z domu w Nowym Orleanie.

Bosch popatrzył na Edgara, a następnie porucznik Billets, która uniosła się z fotela z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

- Rodzice chłopca, którzy zgłosili jego zaginięcie ponad dwadzieścia pięć lat temu, są w drodze, by spotkać się z policją w Los Angeles. Szczątki zidentyfikowano na podstawie dokumentacji stomatologicznej. Oczekuje się, że po południu komendant policji zwoła konferencję prasową, na której przedstawi tożsamość chłopca i omówi postępy w śledztwie. Jak donosił wczoraj wieczorem Kanał 4, policja koncentruje się na...

Bosch zgasił telewizor.

- Harry, Jerry, co się tu dzieje? - zapytała natychmiast pani porucznik.

- To wszystko lipa. Wykurzyłem źródło przecieku.

- Kogo?

- Nowego partnera Kiz. Nazywa się Rick Thornton.

Wyjaśnił, czego dowiedział się wcześniej od Kiz. Opowiedział następnie o swoim fortelu.

- Gdzie detektyw z wydziału spraw wewnętrznych? - zapytała Grace Billets.

- W jednym z pokoiów przesłuchań. Odtwarza taśmę, którą nagrałem wczoraj wieczorem podczas rozmowy z tą reporterką.

- Taśma? Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym wczoraj wieczorem?

- Zapomniałem.

- No dobrze, dalej ja się tym zajmę. Myślisz, że Kiz nie maczała w tym palców?

Harry pokiwał głową.

- Musiała ufać partnerowi na tyle, żeby mówić mu wszystko. Nadużył tego zaufania i pogonił do Kanału 4. Nie wiem, co dostał w zamian, ale to nieważne. Robił mi koło pióra.

- W porządku, Harry, powiedziałam, że się tym zajmę. Wracaj do śledztwa. Czy o czymś jeszcze powinnam wiedzieć?

- Być może znamy już tożsamość ofiary. Sprawdźmy to dzisiaj.

- A co z Trentem?

- Na razie zostawiamy go w spokoju, dopóki nie dowiemy się, czy znaleźliśmy właściwego chłopaka. Jeśli tak, czas się nie zgadza. Dzieciak zaginął w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym. Trent przeprowadził się na Wonderland Avenue dopiero cztery lata później.

- Świetnie. Na razie osiągnęliśmy tyle, że wywlekliśmy jego sekret i pokazaliśmy faceta w telewizji. Dopiero co słyszałam od patrolu, że dziennikarze urządzili sobie piknik pod jego domem.

Bosch pokiwał głową.

- Porozmawiajcie o tym z Thorntonem - powiedział.

- Na pewno porozmawiamy.

Usiadła z powrotem za biurkiem i wzięła do ręki słuchawkę. Był to dla detektywów znak do wyjścia. Po drodze do swojego biurka Bosch spytał Edgara, czy wyciągnął akta sprawy Trenta.

- Tak, mam je. Akt oskarżenia był wąty. Obecnie prokurator pewnie nawet by go nie wniósł.

Zajęli swoje miejsca przy biurkach. Harry zobaczył, że jeszcze raz zadzwonił адвокат Trenta, kiedy go nie było. Sięgnął po telefon, ale powstrzymał się, aż Edgar skończy składać raport.

- Facet pracował jako nauczyciel w szkole podstawowej w Santa Monica. Inny nauczyciel przyłapał go, gdy trzymał w toalecie członka

ośmiolatka, kiedy ten się załatwiał. Powiedział, że uczył dzieciaka celować, bo chłopak stale sikał na podłogę. Problem w tym, że dzieciak opowiadał najprzeróżniejsze rzeczy, ale nie potwierdził wersji Trenta, a rodzice upierali się, że zdążyli nauczyć go trafiać w muszlę, nim miał cztery lata. Trent dostał dwa lata. Odsiedział piętnaście miesięcy w Wayside. Bosch przemyślał to, nie zdejmując ręki z telefonu.

- Daleko od tego do zakatowania chłopaka na śmierć kijem baseballowym.

- Zgadza się. Dochodzę do wniosku, Harry, że tym razem nos cię nie mylił.

- Chciałbym, żeby tak było.

Podniósł słuchawkę i wybrał numer Edwarda Mortona, adwokata Trenta. Rozmowę przełączono na telefon komórkowy prawnika, który akurat udawał się na obiad.

- Halo?

- Detektyw Bosch.

- Bosch. Tak. Chcę wiedzieć, gdzie on jest.

- Kto?

- Niech pan się ze mną nie bawi, detektywie. Obdzwoniłem wszystkie areszty w okręgu. Chcę móc porozmawiać z moim klientem. Natychmiast.

- Domyślam się, że chodzi o Nicholasa Trenta. Próbował pan zadzwonić do niego do pracy?

- Do domu i do pracy, bez rezultatu. Na pager też. Jeśli go zgarnęliście, to ma prawo do adwokata. A ja mam prawo wiedzieć. Mówię wam, jeśli będziecie tak pogrywać, pójdę do sędziego. I zawiadomię media.

- Nie mamy pańskiego klienta, mecenasie. Nie widziałem go od ubiegłego wieczoru.

- No tak, dzwonił do mnie po waszym odjeździe. Potem raz jeszcze, kiedy obejrzał dziennik. Załatwiliście go na cacy. Powinniście się wstydić.

Twarz paliła Boscha ze wstydu, ale nie odpowiedział. Jeśli nawet osobiście nie zasługiwał na taką reprimendę, to zapracował na nią wydział. Harry musiał na razie przyjąć ten policzek.

- Myśli pan, że uciekł?

- Dlaczego miałby uciekać, skoro jest niewinny?

- Bo ja wiem? Niech pan zapyta O. J. Simpsona.

Boschowi przemknęła przez głowę straszna myśl, od której ścisnęło go w żołądku. Wstał z przyciśniętą do ucha słuchawką.

- Gdzie pan teraz jest, mecenasie?

- Na Bulwarze Zachodzącego Słońca, niedaleko Book Soup. Jadę na zachód.

- To niech pan zawraca. Spotkamy się u Trenta.

- Mam obiad. Mam...

- Spotkamy się pod domem Trenta. Już wyjeżdżam.

Odłożył słuchawkę na widełki. Powiedział Edgarowi, że czas ruszać i wszystko wyjaśni po drodze.

Rozdział 18

Na ulicy pod domem Trenta zebrała się niewielka grupa reporterów telewizyjnych. Bosch zaparkował za furgonetką Kanału 2 i wysiadł z Edgarem. Nie miał pojęcia, jak wygląda Edward Morton, ale nie widział w grupie nikogo, kto by przypominał adwokata. Po ponad dwudziestu pięciu latach służby bezbłędnie identyfikował prawników i reporterów.

- Jeśli będziemy musieli wejść, to z tyłu, bez publiczności - powiedział do Edgara przy samochodzie, kiedy jeszcze ich nie słyszeli dziennikarze.

- Jasne.

Ruszyli w stronę podjazdu i natychmiast zgromadziły się wokół nich ekipy telewizyjne; pracowały kamery i padały pytania, które pozostały bez odpowiedzi. Bosch zauważył, że wśród dziennikarzy nie było Judy Surtain z Kanału 4.

- Przyjechaliście aresztować Trenta?

- Możecie powiedzieć coś o chłopcu z Nowego Orleanu?

- Co z konferencją prasową? Wydział kontaktów z mediami nic o niej nie wie.

- Czy Trent jest podejrzany, czy nie?

Gdy Bosch przedarł się przez tłum i znalazł na podjeździe Trenta, nagle odwrócił się twarzą do kamer. Zawahał się chwilę, jakby zbierał myśli. W istocie dawał reporterom czas na skupienie się i przygotowanie do nagrania jego słów. Nie chciał, by którykolwiek zespół je przepuścił.

- Nie wyznaczono żadnej konferencji prasowej - powiedział. - Jeszcze nie zidentyfikowano kości. Mężczyzna żyjący w tym domu został przesłuchany wczoraj wieczorem na takiej samej zasadzie, jak wszyscy mieszkańcy ulicy. Prowadzący dochodzenie detektywi w żadnym momencie śledztwa nie uznali go za podejrzanego. Informacje, które znalazły się w przecieku do środków przekazu, zostały podane przez osobę niezaangażowaną w dochodzenie i wyemitowane bez ich sprawdzenia. Były całkowicie błędne i zaszkodziły toczącemu się śledztwu. To tyle. Nic więcej nie mam do powiedzenia. Kiedy będziemy mieli rzetelne, sprawdzone wiadomości, prześlemy je przez wydział kontaktów z mediami.

Odwrócił się i ruszył z Edgarem w stronę domu. Dziennikarze zasypywali ich pytaniami, ale Harry nawet nie pokazał po sobie, że je słyszy.

Po dojściu do drzwi Edgar zastukał mocno i zawołał Trenta. Powiedział, że są z policji. Po kilku chwilach zastukał ponownie i powtórzył to samo. Zaczekali, ale i tym razem nikt nie odpowiedział.

- Tylne wejście? - spytał Edgar.

- Tak, a może garaż ma wejście z boku.

Zeszli z podjazdu i skierowali się w tamtą stronę. Reporterzy nadal wykrzykiwali pytania. Bosch przypuszczał, że tak bardzo nawykli do bezskutecznego nawoływania, że przyzwyczaili się, że nikt na nich nie reagował. Jak na psa, który szczeka na podwórku długo po odjeździe swego pana.

Policjanci minęli boczne drzwi garażu. Bosch zauważył, że dobrze pamiętał, iż miały tylko jeden zamek. Dotarli na podwórko za domem. Kuchenne drzwi wyposażono w rygiel i zamek przy klamce. Obok były łatwe do wyważenia rozsuwane drzwi. Edgar podszedł do nich i cofnął się, gdy zobaczył, że prowadnica od środka jest zablokowana klinem, uniemożliwiającym otwarcie drzwi z zewnątrz.

- Tędy się nie dostaniemy, Harry - powiedział.

Bosch wyjął z kieszeni woreczek z zestawem wytrychów. Nie miał ochoty męczyć się z ryglem w kuchennych drzwiach.

- Dostaniemy się przez garaż, chyba że...

Podszedł do kuchennych drzwi i nacisnął klamkę. Okazało się, że są otwarte. Uchylił je. W tym samym momencie nabral przekonania, że w środku znajdują martwego Trenta. Pasowała do niego rola samobójcy, który dba o to, by inni nie musieli włamywać się do środka i zostawia niezamknięte drzwi.

- Kurwa.

Edgar podszedł do Boscha, wyciągając broń z kabury.

- Nie będziesz jej potrzebował - powiedział Bosch.

Wszedł do środka. Przeszli przez kuchnię.

- Panie Trent?! - zawołał Edgar. - Policja! Policja! Jest pan tu, Trent?

- Pójdź na front domu - polecił Harry.

Rozdzielili się. Harry przeszedł krótkim korytarzem do sypialni z tyłu. Znalazł Trenta pod prysznicem w głównej toalecie. Mężczyzna skręcił z dwóch wieszaków na ubrania pętlę, którą zaczepił o rurę. Założył ją na szyję, osunął się po wykładanym terakotą murze i w ten sposób się udusił. Wciąż miał na sobie to sa-

mo ubranie co minionego wieczoru. Nic nie wskazywało na to, że Trent rozmyślił się i zrezygnował z odebrania sobie życia, ponieważ powiesił się w taki sposób, że cały czas mógł dotykać stopami posadzki. Nie chciał się uratować.

Musiał poczekać na raport koronera, ale sądząc po ciemnej barwie wysuniętego z ust języka, Trent nie żył co najmniej od dwunastu godzin. Sugerowało to, że śmierć nastąpiła nad ranem, niedługo po tym, jak Kanał 4 obwieścił światu o jego skrywanej przeszłości i nazwał go podejrzanym w sprawie popełnionego dawno morderstwa.

- Harry?

Bosch mało nie podskoczył. Obrócił się i popatrzył na Edgara.

- Nie rób mi tego, człowieku. Co jest?

- Zostawił trzystronicowy list na stoliku do kawy - powiedział Edgar, nie odrywając wzroku do ciała.

Bosch wyszedł spod prysznic i przepchnął się obok Edgara. Ruszył do salonu, wyjmując z kieszeni lateksowe rękawiczki. Dmuchał w nie, by się rozkleiły.

- Przeczytałeś cały?

- Owszem. Pisze, że nie zabił tego dzieciaka. Napisał, że zabija się, bo policja i dziennikarze zrujnowali jego życie i dłużej nie wytrzyma. Coś w tym sensie. Trochę w tym popierniczonego szajsu.

- Tak leżały?

- Tak. Nie dotykałem ich.

Bosch zaczął czytać kartki. W ostatnich - według wszelkiego prawdopodobieństwa - słowach Trent nieskładnie zaprzeczał, jakoby to on zabił chłopca, i dawał upust gniewowi i rozżaleniu.

Teraz WSZYSCY się dowiedzą! Zrujnowaliście mnie, ZABIŁIŚCIE mnie! Krew na was spadnie, nie na mnie! Nie zrobiłem tego, nie zrobiłem, nie, nie, NIE! Nikogo nie skrzywdziłem. Nigdy, nigdy, nigdy. Ani żywej duszy. Kocham dzieci. KOCHAM!!! Nie, to wy mnie skrzywdziliście. Wy. Ale ja nie mogę życz bólem, którego mi przysporzyliście. Nie mogę.

Trent powtarzał się, zupełnie jakby spisał to wszystko bez przygotowania, a nie usiadł z długopisem i papierem, by przelać nań swoje myśli. W połowie drugiej kartki w ramce wymieniał osoby pod nagłówkiem: „Uznani za odpowiedzialnych”. Lista zaczynała się od Judy Surtain; znajdował się na niej również spiker wieczornego dziennika na Kanale 4, Bosch, Edgar i trzech nieznanym Harry'emu ludzi: Calvin Stumbo, Max Rebner i Alicia Felzer.

- Stumbo w latach sześćdziesiątych prowadził jego sprawę, a Rebner był prokuratorem - wyjaśnił Edgar.

Bosch pokiwał głową.

- A Felzer?

- Nie mam pojęcia.

Długopis, którym najprawdopodobniej napisano list, leżał obok ostatniej strony. Bosch go nie dotykał, bo zamierzał sprawdzić, czy są na nim odciski palców Trenta.

Czytając dalej, zauważył, że każda strona została na dole podpisana przez dekoratora. Pod koniec ostatniej strony Trent zawarł dziwny apel, którego Bosch początkowo nie zrozumiał.

Żałuję jedynie dzieci. Kto zatroszczy się o moje dzieci? Potrzebują jedzenia i ubrania. Mam trochę pieniędzy. Zapisuję je im. Wszystko, co mam. To moja ostatnia wola i testament, podpisane przeze mnie. Dajcie pieniądze dzieciom. Niech Morton je przekaże i nie obciążajcie mnie żadnym podatkiem. Zróbcie to dla dzieci.

- Jego dzieci? - powiedział pytającym tonem Harry.

- Tak, wiem - odparł Edgar. - Niesamowite.

- Co tu robicie? Gdzie Nicholas?

Obejrzeni się w stronę drzwi prowadzących z kuchni do salonu. Stał w nich niski mężczyzna w garniturze. Bosch domyślił się, że to Morton. Wstał.

- Nie żyje. Prawdopodobnie popełnił samobójstwo.

- Gdzie?

- W głównej łazience, ale nie... - Morton już zniknął na korytarzu, zmierzał w stronę toalety. - Niech

pan niczego nie dotyka! - zawołał za nim Bosch.

Skinął głową Edgarowi, by poszedł za adwokatem i tego dopilnował. Usiadł z powrotem i raz jeszcze popatrzył na kartki. Zastanawiał się, ile czasu zabrało Trentowi dojście do wniosku, że zostało mu tylko odebranie sobie życia, a potem spisanie trzech stron. Był to najdłuższy list pożegnalny, z jakim się zetknął.

Morton wrócił do salonu, Edgar szedł tuż za nim. Twarz prawnika przybrała szary odcień; nie odrywał wzroku od podłogi.

- Próbowałem pana ostrzec, żeby pan tam nie szedł – rzekł Bosch.

Adwokat uniósł wzrok i popatrzył Harry'emu prosto w oczy. Był wściekły, wskutek czego jego twarz częściowo się zaczerwieniła.

- Jesteście teraz zadowoleni? Zrujnowaliście go doszczętnie. Dać sępom tajemnicę człowieka, to puszczają ją na antenie i takie są rezultaty. - Zrobił gest w stronę łazienki.

- Myli się pan co do faktów, ale w zasadzie ma pan rację. Całkowicie się z panem zgadzam.

- Bardzo łatwo powiedzieć, skoro nie żyje. Zostawił list? Znaleźliście list?

Harry wstał i dał Mortonowi znak, że może go przeczytać.

- Proszę tylko nic nie dotykać.

Adwokat usiadł, nałożył okulary i zaczął czytać. Bosch podszedł do Edgara.

- Podzwonię z telefonu w kuchni - powiedział cicho.

Edgar kiwnął głową.

- Lepiej daj znać wydziałowi kontaktów z mediami. Będzie niezła awantura.

- Racja.

Bosch zdjął aparat ze ściany w kuchni i zobaczył, że ma klawisz powtórnego wybierania. Nacisnął go. Gdy nastąpiło połączenie, zorientował się, że słyszy głos Mortona - nagrany na automatycznej sekretarce. Morton powiedział, że nie ma go w domu i żeby zostawić wiadomość.

Bosch zadzwonił pod bezpośredni numer Grace Billets. Odebrała od razu, a Harry zorientował się, że jadła.

- Hm, przepraszam, że odrywam panią od posiłku, ale jesteśmy u Trenta. Wygląda na to, że odebrał sobie życie.

Przez długą chwilę panowało milczenie. Potem pani porucznik zapytała Boscha, czy jest pewny.

- Na pewno nie żyje i jestem całkiem pewny, że sam odebrał sobie życie. Powiesił się pod prysznicem na parze wieszaków. Zostawił trzystronicowy list. Zaprzecza, że miał cokolwiek wspólnego z kośćmi. Za swoją śmierć obwinia przede wszystkim Kanał 4 i policję - konkretnie mnie i Edgara. Najpierw dzwonię do pani.

- Cóż, wszyscy wiemy, że to nie ty...

- W porządku, pani porucznik. Nie potrzebuję rozgrzeszenia. Co pani chce, żebym tu zrobił?

- Zajmij się rutynowymi telefonami. Zadzwonię do komendanta Irvinga i powiem mu, co się wydarzyło. Będzie gorąco.

- Tak. A co z wydziałem kontaktów z mediami? Na ulicy już stoi banda reporterów.

- Zadzwonię do nich.

- Zrobiła pani już coś w sprawie Thorntona?

- Sprawa już się toczy. Zajmuje się nią ta Bradley z wydziału spraw wewnętrznych. Po tym, co się teraz stało, założę się, że Thornton nie tylko wyleci z pracy, ale być może zostaną mu postawione zarzuty.

Bosch pokiwał głową. Thornton na to zasłużył. Bosch nadal był zadowolony ze swojego fortelu.

- No dobrze. Będziemy tutaj. Przynajmniej na razie.

- Daj mi znać, jeśli znajdziecie cokolwiek, co wiązałoby Trenta z kośćmi.

Bosch pomyślał o zabłoconych butach i deskorolce.

- Załatwione.

Rozłączył się, po czym natychmiast zadzwonił do biura koro-nera i wydziału kryminalistycznego. W salonie Morton kończył czytać list.

- Proszę pana, kiedy ostatni raz rozmawiał pan z Trentem? - zapytał Harry.

- Wczoraj wieczorem. Zadzwonił do mnie do domu po wiadomościach na Kanale 4. Obejrzała je jego szefowa i zatelefonowała do niego.

Bosch pokiwał głową. Tłumaczyło to ostatni telefon.

- Wie pan, jak się nazywa?
Morton wskazał środkową kartkę na blacie.

- Jest na tej liście. Alicia Felzer. Powiedziała mu, że zamierza go zwolnić. Studio kręci filmy dla dzieci. Nie mogła dopuścić, żeby był razem z nimi na planie. Widzi pan? Przeciek do mediów zrujnował tego człowieka. Zniszczyliście ludzkie życie i...

- Pozwoli pan, że będę zadawał pytania, dobrze? Może pan sobie oszczędzić gniewu na chwilę, kiedy wyjdzie pan porozmawiać z dziennikarzami. Wiem przecież, że tak pan robi. A co z ostatnią stroną? Wspomina o dzieciach. Jego dzieciach. Co to znaczy?

- Nie mam pojęcia. Najwyraźniej jego psychika szwankowała, kiedy to pisał. Może to nic nie znaczy. Harry stał nadal, wpatrując się badawczo w adwokata.

- Dlaczego wczoraj wieczorem zadzwonił do pana?

- A jak pan myśli? Powiedzieć mi, że byliście tutaj, że wszystko puszczono w dzienniku, że jego szefowa to widziała i chce go wywalić.

- Powiedział, czy zakopał tego chłopca na wzgórzu?

Morton zrobił oburzoną minę.

- Oczywiście zaprzeczył, jakoby miał z tym coś wspólnego. Był przekonany, że jest prześladowany za błąd z przeszłości, bardzo odległej przeszłości, i moim zdaniem miał rację. Harry pokiwał głową.

- No dobrze, panie Morton. Może pan już iść.

- O czym pan mówi? Nie zamierzam...

- Ten dom to teraz miejsce przestępstwa. Prowadzimy dochodzenie w sprawie śmierci pana klienta, by ustalić, czy zginął z własnej ręki. Nie jest pan tu już mile widziany. Jerry?

Edgar podszedł do sofy i dał Mortonowi znak, żeby wstał.

- Chodź pan. Czas wyjść pod dom i pokazać się przed kamerami. Przyda się w interesie, prawda?

Morton podniósł się i wyszedł z obrażoną miną. Harry podszedł do frontowego okna i odciągnął na kilkanaście centymetrów zasłonę. Gdy Morton wyszedł z za węgła na podjazd, natychmiast skierował się ku grupie reporterów i zaczął coś gniewnie mówić. Bosch nie słyszał, co takiego. Nie musiał.

Gdy Edgar wrócił do pokoju, Harry polecił mu zadzwonić do oficera dyżurnego, żeby wysłał wóz patrolowy na Wonderland Avenue. Radiowóz był potrzebny do opanowania tłumu. Harry czuł, że horda przedstawicieli mediów będzie stawała się - jak samoreplikujący wirus - z każdą chwilą liczniejsza i bardziej wygłodniała.

Rozdział 19

Dzieci Nicholasa Trenta odnaleziono przy przeszukaniu domu, kiedy już wywieziono jego ciało. Całe dwie szuflady małego biurka w salonie, do którego Bosch nie zajrzał poprzedniego wieczoru, wypełniały teczki z fotografiami i dokumentacją finansową, z kilkoma grubymi kopertami ze zrealizowanymi czekami włącznie. Trent wysyłał co miesiąc niewielkie sumy pieniędzy organizacjom charytatywnym, zajmującym się karmieniem i odziewaniem dzieci od Appalachów przez brazylijską puszcę po Kosowo. Dekorator wspierał je od lat. Żaden z czeków nie opiewał na kwotę większą niż dwanaście dolarów. Bosch znalazł całe tuziny zdjęć dzieci, którym ponoć Trent pomagał, wraz z pisanymi przez nie listami z podziękowaniami.

Harry widział wiele reklam organizacji charytatywnych, które nadawano późną nocą w telewizji. Zawsze odnosił się do nich podejrzliwie. Nie chodziło o to, czy parę dolarów wystarczy na uchronienie dzieci przed głodem i poniewierką, ale czy rzeczywiście do nich trafia. Zastanawiał się, czy zdjęcia w szufladach Trenta nie pochodziły z zapasów rozsyłanych wszystkim ofiarodawcom i czy napisane dziecięcym charakterem listy z podziękowaniami były autentyczne.

- Rany - powiedział Edgar, przeglądając zawartość biurka. - Mam wrażenie, jakby facet odprawiał pokutę, wysyłając forsy wszystkim tym organizacjom.

- Tak. Pokutę, ale za co?

- Pewnie nigdy się nie dowiemy.

Edgar wrócił do przeszukiwania drugiej sypialni. Bosch przyjrzał się kilku zdjęciom rozłożonym na blacie biurka. Przedstawiały chłopców i dziewczynki w wieku najwyżej dziesięciu lat - chociaż trudno to było ocenić, ponieważ cechował je pozbawiony wyrazu wzrok przedwcześnie dojrzałych istot, skazanych na znoszenie wojny, głodu i obojętności. Harry podniósł fotografię młodego białego chłopca i odwrócił. Wedle opisu chłopiec został sierotą w trakcie walk w Kosowie. Sam odniósł obrażenia podczas wybuchu pocisku mózdzierzowego, od którego zginęli jego rodzice. Nazywał się Milos Fidor i miał dziesięć lat.

Bosch został sierotą w wieku jedenastu lat. Popatrzył w oczy chłopca i ujrzał swoje własne.

O czwartej po południu policjanci zamknęli dom Trenta i znieśli do samochodu trzy pudła z zarekwirowanymi materiałami. Przez całe popołudnie pod domem kręciła się mała grupka reporterów, mimo wiadomości z wydziału kontaktów z mediami, że informacje o wszelkich wydarzeniach tego dnia będą udzielane wyłącznie w Parker Center.

Dziennikarze podeszli do policjantów z pytaniami, ale Bosch szybko powiedział, że nie może komentować śledztwa. Schowali pudła do bagażnika i ruszyli w stronę śródmieścia, gdzie czekało ich spotkanie z zastępcą komendanta Irvinem Irvingiem.

Podczas jazdy Harry odczuwał psychiczny dyskomfort. Był zaniepokojony, że samobójstwo Trenta - a obecnie nie miał już wątpliwości, że to było samobójstwo - spowolni dochodzenie w sprawie śmierci chłopca. Bosch spędził pół dnia na przeglądaniu rzeczy Trenta, a wolałby sprawdzić, czy potwierdzi się tożsamość chłopca podana w raporcie z telefonicznego zgłoszenia.

- O co chodzi, Harry? - spytał w pewnym momencie Edgar.

- Słucham?

- Bo ja wiem? Siedzisz ponury i nic nie mówisz. Wiem, że taką masz naturę, ale zwykle lepiej się maskujesz.

Edgar uśmiechnął się, ale Bosch wciąż był ponury.

- Po prostu zastanawiałem się nad kilkoma sprawami. Facet pewnie żyłby dzisiaj, gdybyśmy zachowali się inaczej.

- Daj spokój, Harry. Gdybyśmy pominęli go w śledztwie? Nie było takiej możliwości. Zrobiliśmy, co do nas należało, i stało się. Nic na to nie mogliśmy poradzić. Jeśli ktokolwiek jest odpowiedzialny, to Thornton,

i dostanie za swoje. Prawdę mówiąc, uważam jednak, że świat i tak jest lepszy bez takiego Trenta. Mam czyste sumienie, człowieku. Kryształowo czyste.

- Zazdroścę ci.

Bosch przypomniał sobie decyzję, żeby dać Edgarowi wolną niedzielę. Gdyby tego nie zrobił, być może właśnie Edgar sprawdziłby w komputerze nazwiska sąsiadów. Nie wzięłaby wtedy w tym udziału Kiz Rider i informacja nie trafiłaby do Thorntona.

Westchnął. Wszystko wydawało się funkcjonować według teorii domina. Gdyby - toby, gdyby - toby, gdyby - toby.

- Co ci podpowiada instynkt? - spytał Edgara.

- Czy zabił chłopaka ze wzgórze? - Bosch przytaknął. - Sam nie wiem - odrzekł Edgar. - Trzeba poczekać, co laboratorium powie o błocie, a siostra o deskorolce. Jeśli to rzeczywiście siostra i udało się nam go zidentyfikować.

Bosch nie odpowiedział. Zawsze był niezadowolony, kiedy musiał się opierać na wynikach badań laboratoryjnych przy ustalaniu, jaki kierunek nadać śledztwu.

- A tobie, Harry?

Bosch pomyślał o niezliczonych zdjęciach dzieci; Trent myślał, że im pomaga. O jego akcie skruchy. Szansie na odkupienie.

- Myślę, że tracimy czas - powiedział. - To nie on.

Rozdział 20

Zastępca komendanta Irvin Irving siedział za biurkiem w swoim przestronnym gabinecie na piątym piętrze Parker Center. W gabinecie byli również porucznik Grace Billets, Bosch, Edgar i oficer z wydziału kontaktów z mediami Sergio Medina. Adiutant Irvinga, porucznik Simonton, stała w otwartych drzwiach gabinetu na wypadek, gdyby była potrzebna.

Biurko Irvinga miało szklany blat, na którym leżały tylko dwie kartki papieru. Bosch siedział po drugiej stronie z lewej strony i nie mógł ich odczytać.

- No dobrze - zaczął Irving. - Co wiemy na pewno o Trencie? Wiemy, że był pedofilem notowanym za molestowanie dziecka. Wiemy, że mieszkał rzut kamieniem od miejsca pogrzebania zamordowanego dziecka. Wiemy też, że popełnił samobójstwo tego samego wieczoru, kiedy detektywi przesłuchali go w związku z dwiema sprawami, o których właśnie wspominałem.

Irving wziął w rękę jedną z kartek, ale nie poinformował swoich podwładnych o jej treści.

- Mam tu oświadczenie dla prasy z tymi trzema faktami - wydusił w końcu. - Informujemy, że Nicholas Trent jest obiektem dalszego śledztwa. Ustalenie, czy odpowiada za śmierć pogrzebanej w pobliżu jego domu ofiary, nastąpi na podstawie wyników badań laboratoryjnych i dalszego dochodzenia. - W milczeniu popatrzył znowu na kartkę, po czym ją odłożył. - Zwięźle i elegancko. Niewiele to jednak pomoże w

zaspokojeniu apetytu mediów. Ani w uniknięciu kolejnej kłopotliwej dla wydziału sytuacji. Harry chrząknął. Irving z początku wydawał się to ignorować.

- Tak, detektywie Bosch? - powiedział jednak, nie patrząc na Harry'ego.

- Hm, wydaje się pan nieusatysfakcjonowany tym, jak sprawy stoją. Problem w tym, że oświadczenie dla prasy dokładnie opisuje nasze położenie. Pragnąłbym móc powiedzieć panu, że moim zdaniem facet zabił tego dzieciaka ze wzgórza, że to był on. Daleko nam jednak do tego, a przypuszczalnie dojdziemy do całkowicie odmiennych wniosków.

- Na jakiej podstawie? - warknął Irving.

Dla Harry'ego zaczynało być jasne, jaki jest cel spotkania. Domyślił się, że druga kartka zawiera oświadczenie dla prasy w takiej wersji, jaką Irving miałby ochotę wygłosić; zapewne zwalano w nim wszystko na Trenta i określano jego samobójstwo jako reakcję na to, iż został zdemaskowany. Wersja ta umożliwiała również rozwiązanie sprawy źródła przecieku - Thorntona. Oszczędzała wydziałowi upokarzającego przyznania się, że przeciek informacji spowodował, iż prawdopodobnie niewinny człowiek odebrał sobie życie. Pozwalała również zamknąć sprawę chłopca ze wzgórza.

Harry zdawał sobie sprawę, że wszyscy w gabinecie wiedzą, iż zamknięcie dochodzenia w takiej sprawie graniczyło z cudem, gdyż przyciągnęła uwagę mediów, ale samobójstwo Trenta umożliwiała wybrnięcie z sytuacji. Można było zrzucić podejrzenia na nieżyjącego pedofila; wówczas wydział uznałby dochodzenie za zakończone i zajął się następnym - w sprzyjających warunkach takim, jakie można rozwiązać.

Bosch potrafił to zrozumieć, ale nie zaakceptować. Widział kości. Słyszał, jak Gollither wylicza litanie obrażeń. W sali sekcyjnej Bosch przysiągł sobie, że znajdzie mordercę i rozwiąże sprawę. Względy polityki wydziału i jego wizerunku w środkach przekazu w jego odczuciu schodziły na drugi plan.

Wyjął notes z kieszeni marynarki. Otworzył go na stronie z zagiętym rogiem i utkwiał w niej wzrok, jakby wypełniały ją notatki. W istocie w sobotę na sali sekcyjnej napisał tylko jedną linijkę: „44 oddzielne ślady urazów”.

Nie spuszczał wzroku z zapisanej liczby, aż znów odezwał się Irving:

- Detektywie? Pytałem, na jakiej podstawie?

Bosch podniósł wzrok i zamknął notes.

- Chodzi o przedział czasu - sądzymy, że Trent przeprowadził się na tę ulicę dopiero po tym, jak chłopiec został pogrzebany - i o analizę kości. Chłopak był maltretowany przez długi okres, od kiedy był mały. To zdejmuję winę z Trenta.

- Ani analiza, ani przedział czasu nie są absolutnie pewne - powiedział Irving. - Nieważne, co nam mówią, i tak istnieje możliwość, że sprawcą tej zbrodni był Nicholas Trent.

- Bardzo nikła.

- A dzisiejsza rewizja u Trenta?

- Zabraliśmy parę starych butów z błotem na obcasach. Porównamy je z próbkami z miejsca znalezienia kości. Wyniki też jednak nie wniosą nic niepodważalnego. Nawet jeśli próbki będą pasowały,

to Trent mógł zabić buty, spacerując blisko domu. Pod względem geologicznym to część tych samych osadów.

- Co jeszcze?
- Niewiele. Znaleźliśmy deskorolkę.
- Deskorolkę?

Bosch opowiedział o telefonicznym zgłoszeniu, którego przez samobójstwo Trenta nie miał czasu sprawdzić. W miarę jak mówił, widział, że Irving zapala się do pomysłu, że deskorolkę uda się powiązać z kośćmi ze wzgórza.

- Ma pan to potraktować priorytetowo - powiedział. - Chcę, żeby to wyjaśniono, i proszę mi natychmiast przekazać rezultaty.

Harry jedynie pokiwał głową.

- Tak jest, panie komendancie - rzuciła porucznik Billets.

Irving zamilkł i przyjrzał się dwóm kartkom na biurku.

Wreszcie wziął w rękę tę, z której nie czytał - jak podejrzewał Bosch, tendencyjne oświadczenie dla prasy - i obrócił się z fotelem. Wrzucił kartkę do niszczarki. Urządzenie głośno zawyło, tnąc dokument na wąskie paski. Następnie Irving ponownie się odwrócił.

- Panie Medina, może pan to przekazać prasie.

Podał drugą kartkę przedstawicielowi wydziału kontaktów z mediami, który wstał i ją wziął. Irving popatrzył na zegarek.

- Panie komendancie? - odezwał się Medina.

- Tak?

- Hm, było wiele zapytań o błędne doniesienia na Kanale 4. Powinniśmy...

- Proszę powiedzieć, że komentarze w sprawie jakiegokolwiek wewnętrznego dochodzenia są sprzeczne z przepisami. Może pan również dodać, że wydział nie będzie akceptował ani tolerował przecieków poufnych informacji do mediów. To wszystko.

Medina wyglądał, jakby chciał zapytać o coś jeszcze, był na to jednak zbyt przezorny. Kiwnął głową i wyszedł z gabinetu.

Irving dał znak swojej adiutantce, która zamknęła drzwi, ale sama została w przedpokoju. Zastępca komendanta powiódł wzrokiem po kolei od Grace Billets przez Edgara do Boscha.

- Mamy tu delikatną sytuację - powiedział. - Chyba jasne, jak należy postępować?

- Tak - odpowiedzieli jednocześnie porucznik Billets i Edgar.

Harry milczał. Irving popatrzył na niego.

- Nie ma pan nic do powiedzenia, detektywie?

Harry zastanowił się chwilę.

- Chciałem tylko dodać, że dowiem się, kto zabił tego chłopca i zagrzebał w ziemi. Jeśli to Trent, świetnie. Jeśli jednak to nie on, zamierzam dalej szukać sprawcy.

Irving zauważył na biurku coś drobnego: włos albo pyłek niemal mikroskopijnych rozmiarów. Coś, czego Bosch nie mógł dojrzeć. Irving ujął to w dwa palce i wrzucił do kosza na śmieci za sobą. Bosch patrzył, jak zastępca komendanta ociera palce nad niszczarką i zastanawiał się, czy to nie jest jakaś demonstracja groźby pod jego adresem.

- Nie każda sprawa zostaje rozwiązana, detektywie. Nie każda daje się rozwiązać - powiedział Irving. - Nadchodzi moment, kiedy obowiązki zmuszają nas do zajęcia się pilniejszymi rzeczami.

- Wyznacza mi pan termin?

- Nie, detektywie. Mówię, że pana rozumiem. I mam nadzieję, że pan rozumie mnie.

- Co się stanie z Thorntonem?

- To kwestia wewnętrznego dochodzenia. Nie mogę o tym na razie z panem rozmawiać. - Harry pokręcił głową z frustracji. - Niech pan uważa, Bosch - rzekł Irving. - Wykazałem się dużą cierpliwością w stosunku do pana. Zarówno w tej sprawie, jak i wielu przed nią.

- Przez Thorntona moje śledztwo kręci się w kółko. Powinien...

- Jeśli ponosi odpowiedzialność za przeciek, zajmiemy się nim jak należy. Proszę jednak pamiętać, że nie działał w próżni. Musiał zdobyć tę informację, żeby przekazać ją dziennikarce. Dochodzenie jeszcze się nie skończyło. - Bosch popatrzył na Irvinga. Aluzja była przejrzysta. Gdyby Bosch nie zatańczył tak, jak Irving zagra, to Kiz Rider odpowiedziałaby razem z Thorntonem. - Rozumie mnie pan, detektywie?

- Rozumiem.

Rozdział 21

Przed odwiezieniem Edgara do komendy w Hollywood i pojechaniem do Venice Bosch wyjął z bagażnika pudło na dowody z deskorolką i zaniósł do laboratorium kryminalistycznego Parker Center. Przy wejściu zapytał o Antoine'a Jespera. Czekaając na niego, przyjrzał się desce. Wyglądała na wykonaną z laminowanej sklejki. Była polakierowana i naklejono na nią kilka kalkomanii, z których rzucała się w oczy czaszka ze skrzyżowanymi piszczelami.

Gdy Jesper podeszedł do kontuaru, Bosch pokazał mu pudło.

- Chcę wiedzieć, kto ją wyprodukował oraz kiedy i gdzie została sprzedana - powiedział. - To priorytetowa sprawa. Piąte piętro siedzi mi na karku.

- Nie ma sprawy. Mogę ci podać markę od ręki. To robota Boneya. Już ich nie produkuje. Sprzedał firmę i wyprowadził się. Chyba na Hawaje.

- Skąd to wiesz?

- Bo jako dziecko jeździłem na deskorolce i zawsze chciałem mieć taką, ale nigdy nie wystarczyło mi na nią forsy. Ironia losu, nie?

- Co?

- Deska Boneya i ta sprawa. No wiesz - kości.

- Może i tak. - Bosch pokiwał głową. - Chcę, żebyś jutro przekazał mi, ile tylko zdołasz ustalić.

- Hm, spróbuję. Nie mogę obiecać...

- Jutro, Antoine. Piąte piętro, pamiętasz? Porozmawiamy jutro. Jesper pokiwał głową.

- Daj mi przynajmniej ranek, żeby nad tym popracować.

- Dobrze. Udało się wycisnąć cokolwiek z dokumentów?

- Jeszcze nie. - Jesper pokręcił głową. - Bernadette próbowała barwników, ale nic nie wyszło. Chyba nie powinieneś sobie robić nadziei, Harry.

- W porządku, Antoine.

Bosch wyszedł, zostawiając Jespera z pudłem w rękach.

Pozwolił Edgarowi prowadzić samochód w drodze do Hollywood, sam zaś wyciągnął z neseseru raport z telefonicznego zgłoszenia i wybrał na telefonie komórkowym numer Sheili Delacroix. Szybko odebrała. Bosch przedstawił się i powiedział, że przekazano mu jej zgłoszenie.

- To Arthur? - zapytała z napięciem w głosie.

- Nie wiemy, proszę pani. Dlatego właśnie dzwonię.

- Och.

- Mogę jutro rano przyjechać do pani ze swoim partnerem, żeby zebrać trochę informacji o Arthurze? Pomoże nam to ustalić, czy szczątki rzeczywiście należą do pani brata.

- Rozumiem. Hm, dobrze. Możecie przyjechać tutaj, jeśli wam to odpowiada.

- Czyli gdzie?

- Och. Do mnie do domu. Przy Wilshire na wysokości Miracle Mile.

Bosch popatrzył na adres w raporcie.

- W Orange Grove.

- Tak, zgadza się.

- Czy wpuść do dziewiątej nie będzie za wcześnie?

- Doskonale, proszę pana. Chciałabym pomóc, jeśli tylko potrafię. Męczy mnie myśl, że ten człowiek zrobił coś takiego, a potem żył w spokoju przez te wszystkie lata. Nawet jeśli nie mój brat był ofiarą.

Bosch uznał, że nie warto jej mówić, że Trent prawdopodobnie nie zamordował tego dziecka. Zbyt wielu ludzi wierzyło całkowicie w to, co pokazywano w telewizji. Zamiast tego podał jej swój numer telefonu komórkowego i poprosił, żeby zadzwoniła, jeśli coś jej wypadnie i nie będzie mogła ich przyjąć o

wpół do dziewiątej.

- To dobra pora - odparła. - Pragnę pomóc. Chcę wiedzieć, jeśli to Arthur. Po części chcę się upewnić, czy to on, żeby wreszcie mieć pewność, że to koniec. Ale w zasadzie marzę, żeby to był ktoś inny. W ten sposób będę mogła myśleć, że gdzieś żyje, może nawet z własną rodziną.

- Rozumiem - rzekł Bosch. - Zobaczymy się rano.

Rozdział 22

Jazda do Venice okazała się mordercza i Bosch spóźnił się ponad pół godziny. Do tego doszło bezskuteczne poszukiwanie miejsca do parkowania, aż zrezygnowany wrócił pod bibliotekę. Julia nie przejęła się jednak jego spóźnieniem - właśnie była w krytycznym stadium przygotowań w kuchni. Poleciała Boschowi włączyć jakąś muzykę i nalać sobie lampkę wina z już otwartej butelki, która stała na stoliku do kawy. Nie wykazała chęci, by go pocałować czy choćby dotknąć, ale zachowywała się wobec niego przyjaźnie. Uznał, że sprawy wyglądają nieźle; być może udało mu się zatrzeć ślady gąfy z poprzedniego wieczoru.

Wybrał płytę kompaktową z koncertowymi nagraniami Bill Evans Trio z klubu „Village Vanguard” w Nowym Jorku. Miał ją w domu i wiedział, że nadaje się do cichej kolacji. Nalał sobie lampkę czerwonego wina i powoli obszedł salon, patrząc na to, co Julia uznała za wartę demonstrowania gościom.

Półka na kominku z białej cegły była wypełniona małymi, oprawionymi zdjęciami, którym nie miał okazji przyjrzeć się poprzedniego wieczoru. Niektóre fotografie w stojących oprawkach rzucały się w oczy bardziej od pozostałych. Nie wszystkie przedstawiały ludzi. Na części były miejsca, najpewniej odwiedzone przez Julię w trakcie jej wędrówek. Była tu fotografia wulkanu, góra buchała dymem i wyrzucała płynną lawę.

Było też podwodne zdjęcie rozdziawionej paszczy i spiczastych zębów rekina. Wydawało się, że ryba rzuca się na aparat i osobę go trzymającą. Na skraju fotografii widać było żelazny pręt klatki chroniącej fotografa; Bosch domyślił się, że była nim Julia.

Dostrzegł też zdjęcie Julii z dwoma aborygenami po bokach - jak można było przypuszczać, zrobione w australijskim buszu. Kilka innych zdjęć przedstawiało Julię z towarzyszami wędrówek w egzotycznym terenie, którego Bosch nie potrafił od razu zidentyfikować. Na żadnym ze zdjęć przedstawiających Julię nie patrzyła ona w obiektyw. Zawsze wpatrywała się w horyzont albo którąś z towarzyszących jej osób.

Na ostatnim miejscu na półce, jakby skryte za pozostałymi zdjęciami, stało zdjęcie w złotej ramce, przedstawiające młodszą Julię Brasher z nieco starszym mężczyzną. Bosch sięgnął po zdjęcie, by mu się lepiej przyjrzeć. Para siedziała przy kolacji lub na ślubnym przyjęciu. Julia miała na sobie beżową suknię z wyciętym dekoltem, a mężczyzna frak.

- Wiesz, ten człowiek jest bogiem w Japonii - zawołała z kuchni Julia. Bosch odstawił oprawione zdjęcie na miejsce i przeszedł do kuchni. Julia miała rozpuszczone włosy. Nie potrafił zdecydować, w jakim wydaniu ją woli.

- Bill Evans?

- Tak. Wygląda na to, że mają tam całe kanały, na których puszczają wyłącznie jego muzykę.

- Nie mów mi: spędziłaś trochę czasu również w Japonii.

- Około dwóch miesięcy. Fascynujące miejsce.

Stwierdził, że Julia przygotowuje risotto z kurczakiem i szparagami.

- Ładnie pachnie.

- Dzięki. Mam nadzieję, że i dobrze smakuje.

- No to powiedz, przed czym uciekałaś?

Oderwała się od pracy przy kuchence i popatrzyła na niego, nie wypuszczając z ręki łyżki do mieszania.

- Słucham?

- No wiesz, chodzi mi o te wszystkie podróże. Rzuciłaś firmę tatusia, żeby pływać z rekinami i oglądać z bliska wulkany. Czy chodziło o staruszkę, czy o jego firmę?

- Niektórzy ludzie potraktowaliby to, jakbym uciekała do czegoś.

- Przed facetem we fraku?

- Harry, zdejmij pistolet i zostaw odznakę za drzwiami. Zawsze tak robię.

- Przepraszam.

Wróciła do pracy przy kuchni. Bosch podszedł do niej, położył jej ręce na barkach i nacisnął kciukami zagłębienia u szczytu jej kręgosłupa. Nie sprzeciwiła się. Wkrótce poczuł, że rozluźniają się jej mięśnie. Zauważył pusty kieliszek po winie na blacie.

- Należę ci wina.

Wrócił ze swoją lampką i butelką. Nalał jej wina do kieliszka; stuknęła się z nim.

- Za ucieczkę, bez względu na to, czy przed czymś, czy do czegoś - powiedziała. - Po prostu za ucieczkę.

- Co się stało z „nie popuszczaj”?

- Za to też.

- Za wybaczenie i pogodzenie.

Znów stuknęli się kieliszkami. Stał za nią i zaczął na powrót masować jej kark.

- Wiesz, wczoraj, jak wyszedłeś, myślałam o twojej historii - powiedziała.

- Mojej historii?

- O kuli i tunelu.

- I?

- I nic. - Wzruszyła ramionami. - Po prostu zdumiewająca, i tyle.

- Wiesz, od tamtego dnia nie bałem się już przebywać w ciemnościach na dole. Po prostu wiedziałem, że wyjdę z tego cało. Nie potrafię wytłumaczyć dlaczego, po prostu wiedziałem. Co oczywiście było głupie, bo nie miałem żadnej gwarancji - ani tam, wtedy, ani nigdzie indziej. Przez to zrobiłem się trochę zuchwały. - Na chwilę zatrzymał ręce w jednym miejscu. - Niedobrze jest być zuchwałym - powiedział. - Przejdziesz o jeden raz za dużo przed rurą, to się sparzysz.

- Hm. To wykład dla mnie, Harry? Chcesz zostać moim oficerem szkoleniowym?

- Nie. Zdałem pistolet i odznakę przy drzwiach, pamiętasz?

- To dobrze.

Odwróciła się - nie zdjął rąk z jej karku - i go pocałowała. Potem się odsunęła.

- Wiesz, dobra strona przygotowania risotta jest taka, że możemy trzymać je w piekarniku tak długo, jak chcemy.

Uśmiechnął się.

Później, gdy skończyli się kochać, wstał z łóżka i przeszedł do salonu.

- Dokąd idziesz? - zawołała za nim.

Nie odpowiedział. Krzyknęła, żeby podkręcił piekarnik. Wrócił do pokoju z fotografią w złotej ramce. Wsunął się do łóżka i zapalił lampkę. Żarówka miała małą moc, a abażur był gruby. Sypialnia nadał była pogrążona w ciemnościach.

- Co robisz, Harry? - zapytała Julia tonem ostrzegającym, że dotyka spraw bardzo jej bliskich. - Podkręciłeś piekarnik?

- Tak, na trzysta pięćdziesiąt. Opowiedz mi o tym facecie.

- Po co?

- Po prostu chcę wiedzieć.

- To osobista sprawa.

- Wiem, ale możesz mi powiedzieć.

Spróbowała zabrać mu zdjęcie, ale odsunął je poza zasięg jej ręki.

- To właśnie on? Złamał ci serce i przez niego uciekałaś?

- Myślałam, że zdjąłeś swoją odznakę, Harry.

- Zdjąłem. Razem z ubraniem i całą resztą. Uśmiechnęła się.

- Ale i tak nic ci nie powiem.

Leżała na plecach z głową na poduszce. Bosch odstawił zdjęcie na nocny stolik, odwrócił się i przysunął do Julii. Objął ją ramieniem pod prześcieradłem i przyciągnął do siebie.

- Słuchaj, znów chcesz licytować się bliznami? Dwa razy złamała mi serce ta sama kobieta. I wiesz co? Długo trzymałem jej zdjęcie na półce w moim salonie. Potem w Nowy Rok doszedłem do wniosku, że upłynęło dość czasu. Schowałem jej zdjęcie. Później dostałem wezwanie i spotkałem ciebie.

Popatrzyła na niego, wodząc wzrokiem tam i z powrotem, jakby szukała czegoś w jego twarzy - może drobnych oznak nieszczerości.

- Tak - powiedziała w końcu. - Złamał mi serce. Wystarczy?

- Nie, nie wystarczy. Co to za podlec?

Roześmiała się.

- Jesteś moim rycerzem w znoszonej zbroi, prawda, Harry? - Podciągnęła się, by usiąść. Prześcieradło zsunęło się jej z piersi.

Skrzyżowała na nich ramiona. - Był w firmie. Naprawdę zawrócił mi w

głowie, tak że nic więcej się nie liczyło. A potem... potem uznał, że wystarczy. I zdecydował się zdradzić moje sekrety mojemu ojcu.

- Jakie sekrety? Potrząsnęła głową.

- Rzeczy, których już nigdy nie powiem żadnemu mężczyźnie.

- Gdzie zrobiono to zdjęcie?

- Och, na przyjęciu w firmie - pewnie na noworocznym bankiecie, nie pamiętam. Było ich mnóstwo. - Bosch uniósł się na jednej ręce. Pochylił głowę i pocałował Julię w plecy tuż nad tatuażem. - Nie mogłam tam dłużej wytrzymać, bo on tam był. Dlatego rzuciłam firmę. Mój ojciec myślał, że to kryzys wieku średniego, bo skończyłam trzydzieści lat. Pozwoliłam mu tak myśleć. Potem jednak ruszyłam w podróż. Najpierw pojechałam do Australii. Było to najdalej położone miejsce, jakie przychodziło mi do głowy. - Bosch podciągnął się i wsunął sobie dwie poduszki pod plecy, potem przyciągnął Julię. Ułożyła się mu plecami na piersi. Pocałował ją w czubek głowy i trzymał nos w jej włosach. - Miałam mnóstwo pieniędzy z firmy - kontynuowała. - Nie musiałam się martwić. Po prostu podróżowałam dalej, dokądkolwiek chciałam, łapiąc dorywcze prace, kiedy miałam ochotę. Wróciłam do domu dopiero po czterech latach. Wtedy właśnie zapisałam się na akademię. Przechodziłam i zobaczyłam mały posterunek w Venice. Weszłam do środka i wzięłam broszurę. Później wszystko potoczyło się bardzo szybko.

- Twoja historia świadczy o impulsywnym i prawdopodobnie nieprzemyślanym sposobie podejmowania decyzji. Jak przeszedłeś przez wstępny odsiew?

Delikatnie szturchnęła go w bok, powodując rozbłysk bólu w żebrach. Napiął się.

- Och, przepraszam, Harry. Zapomniałam.

- No pewnie.

Roześmiała się.

- Pewnie cała wasza stara gwardia wie, że wydziałowi przez ostatnie lata bardzo zależało na „dojrzałych” kadetkach, jak je nazywano. Żeby nabrać trochę oglądy, która znika przy nadmiarze testosteronu. - Otarła się biodrami o genitalia Boscha, by podkreślić swoje słowa. - A skoro mowa o testosteronie, nie powiedziałaś mi jeszcze, jak poszło dzisiaj ze starym. - Bosch tylko jęknął. - Wiesz, Irving wystąpił kiedyś przed naszą klasą z mową o odpowiedzialności związanej z noszeniem odznaki - powiedziała Julia. - Wszyscy wiedzieli, że facet w swoim gabinecie na piątym piętrze pewnie robi więcej pokątnych interesów niż rok ma dni. To typowy kombinator. Atmosfera w audytorium przesiąkła ironią.

Słowo „ironia” w jej ustach sprawiło, że Bosch przypomniał sobie uwagę Antoine'a Jespera, łączącą kości ze wzgórze z deskorolką. Czuł, że robi się spięty, bo myśli o sprawie wtargnęły do oazy, gdzie miał od nich wytchnienie. Wyczuła to.

- O co chodzi?

- O nic.

- Nagle się spiąłeś.

- Pewnie przez tę sprawę.

Julia milczała przez chwilę.

- Myślę, że to dość zdumiewające - rzekła w końcu. - Kości leżały na wzgórze przez wszystkie te lata, aż teraz pojawiły się na powierzchni. Jak duch czy coś w tym rodzaju.

- To miasto to cmentarzysko. I wszystkie kości czekają na swoją kolej. - Urwał. - Nie chcę rozmawiać teraz o Irvingu, kościach, sprawie ani niczym innym.

- To czego chcesz?

Nie odpowiedział. Odwróciła się w jego stronę i zaczęła go spychać z poduszek, aż ułożył się płasko na plecach.

- Co powiesz na propozycję, by dojrzała kobieta złagodziła trochę twoje napięcie?

Harry musiał się uśmiechnąć.

Rozdział 23

Harry wyjechał przed świtem. Zostawił śpiącą Julię w łóżku i skierował się najpierw do domu. Przystanął w „Abbot's Habit” po kawę na wynos. Snujące się na ulicach pasma porannej mgły sprawiały, że Venice przypominało miasto-zjawę. W miarę zbliżania się do Hollywood przybywało światła samochodów i Bosch przypomniał sobie, że miasto-cmentarzysko czuwa przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

W domu wziął prysznic i włożył świeże ubranie. Potem wsiadł do samochodu i pojechał do komendy wydziału Hollywood. Dotarł na miejsce o wpół do ósmej. Co dziwne, było tam już kilku detektywów - zajmowali się papierkową robotą i dochodzeniami. Nie dostrzegł wśród nich Edgara. Harry odłożył neseser i poszedł do dyżurki po kawę oraz by sprawdzić, czy jakiś obywatel przyniósł pączki. Prawie każdego dnia jakiś zjadacz chleba, który wierzył jeszcze w policję, przynosił pączki do wydziału. Był to subtelny znak, że niektórzy ludzie na tym świecie znali lub przynajmniej rozumieli trud policyjnej pracy. Co dzień w każdym wydziale policjanci przypinali odznaki i starali się postępować jak najlepiej w społeczeństwie, które ich nie rozumiało, nieszczególnie lubiło, a w wielu wypadkach otwarcie nimi gardziło. Boscha zawsze zdumiewało, jak bardzo pudło pączków potrafiło zmienić postrzeganie rzeczywistości przez policjantów.

Nalał sobie kubek kawy i wrzucił dolara do koszyka. Wziął posypany cukrem pączek z pudła na kontuarze, już przetrzebionego przez funkcjonariuszy z patrolu. Nic dziwnego - pączki pochodziły z „Bob's Donuts” na giełdzie rolniczej. Harry zauważył, że za biurkiem siedzi Mankiewicz i ze ściągniętymi brwiami studiuje kartkę - najprawdopodobniej grafik dyżurów.

- Ej, Mank, chyba mamy pierwszorzędnny ślad dzięki jednemu ze zgłoszeń. Pomyślałem, że chciałbyś o tym wiedzieć.

- Dobrze - powiedział Mankiewicz, nie podnosząc głowy. - Zawiadom mnie, kiedy moi ludzie będą mogli sobie wreszcie dać spokój. Przez kilka dni będzie nam brakowało ludzi.

Harry wiedział, co to znaczy: Mankiewicz został zmuszony do żonglerki personelem. Gdy funkcjonariuszy było za mało, żeby pełnić patrole - bo mieli urlopy, zeznawali w sądzie lub przebywali na zwolnieniach - sierżant dyżurny zawsze sadzał w radiowozach ludzi, którzy powinni zostać w komendzie.

- Masz to jak w banku.

Kiedy wrócił do pokoju detektywów, Edgara jeszcze nie było. Zostawił kawę i pączka obok jednej z maszyn do pisania i ruszył do wspólnej szafki po blankiet wniosku o wydanie dokumentacji. Przez następny kwadrans sporządzał uzupełnienie wniosku, który już dostarczył do archiwum szpitala Queen of Angels. Tym razem występował o całą dokumentację medyczną Arthura Delacroix, obejmującą orientacyjnie lata 1975-1985.

Gdy skończył, przesłał dokument faksem do biura sędziego Johna A. Houghtona, który dzień wcześniej podpisał wszystkie poprzednie wnioski o wydanie dokumentacji szpitalnej. Dołączył notkę z prośbą, by sędzia zajął się uzupełniającym wnioskiem w pierwszej kolejności, bo być może dzięki niemu uda się zidentyfikować kości i w ten sposób przyspieszyć zakończenie sprawy.

Wrócił do stołu i wyciągnął z szuflady stos raportów o zaginionych osobach, skopiowanych z archiwalnych mikrofilmów. Zaczął je szybko przeglądać, sprawdzając tylko rubrykę z nazwiskiem. Skończył po dziesięciu minutach. W pliku nie było doniesienia o zaginięciu Arthura Delacroix. Bosch nie wiedział, co o tym myśleć, ale postanowił wypytać o to siostrę chłopca.

Minęła ósma. Harry mógł już jechać do siostry Arthura. Edgar się jednak nie pokazywał. Zjadł resztę pączka i postanowił dać partnerowi jeszcze dziesięć minut, a potem ewentualnie ruszyć w drogę samemu. Pracował z Edgarem ponad dziesięć lat i wciąż irytował go jego brak punktualności. Spóźnić się na kolację to jedno, ale podczas śledztwa - to zupełnie co innego. Bosch zawsze traktował opieszałość Edgara jako dowód braku zaangażowania w misję, jaką była praca detektywa w wydziale zabójstw.

- Zadzwoił telefon na linii bezpośredniej. Bosch odebrał z pełnym irytacji warknięciem, spodziewając się, że to Edgar, zawiadamiający o swoim spóźnieniu. Nie był to jednak jego partner, lecz Julia Brasher.

- No i proszę, właśnie zostawiłeś niezaspokojoną kobietę w łóżku.

Uśmiechnął się, czując, że szybko opuszcza go irytacja na Edgara.

- Szykuje mi się pracowity dzień - odparł. - Musiałem jechać.

- Wiem, ale mogłeś się przynajmniej pożegnać.

Zobaczył, że Edgar idzie przez salę detektywów. Harry'emu zależało, by ruszyć, nim Edgar zacznie swój poranny rytuał z kawą, pączkiem i kolumną sportową.

- No, na razie muszę się pożegnać, dobrze? Załatwiam właśnie pewną sprawę i muszę już iść.

- Harry...

- Tak?

- Myślałam, że rozłączysz się albo coś w tym rodzaju.

- Nie zamierzałem, ale naprawdę muszę lecieć. Posłuchaj, wpadnij przed objęciem dyżuru, dobrze? Pewnie zdążę już wrócić.

- No dobrze. Do zobaczenia.

Rozłączył się i wstał w chwili, gdy Edgar dotarł do biurka i rzucił na blat gazetę, złożoną na stronie sportowej.

- Jesteś gotowy?

- Tak, właśnie zamierzałem...

- Chodźmy. Nie chcę, żeby kobieta czekała. Pewnie i tak poczęstuje nas kawą.

Po drodze do wyjścia Bosch zajrzał do tacki faksu. Wrócił uzupełniający wniosek o wydanie dokumentacji, podpisany przez sędziego Houghtona.

- Mamy zielone światło - powiedział Bosch Edgarowi, pokazując mu wniosek w drodze do samochodu. - Widzisz? Jak się wcześniej przychodzi, można odwalić sporo pracy.

- Co to ma znaczyć? To przytyk?

- Bo ja wiem?

- Chciałem się tylko napić kawy.

Rozdział 24

Sheila Delacroix mieszkała w okolicy, określanej jako Miracle Mile, sąsiadującej od południa z Wilshire, ale niedorównującej standardem pobliskiemu Hancock Park. Zapelniały ją starannie utrzymane domki i bliźniaki ze skromnymi przeróbkami stylistycznymi, które nadawały im indywidualny charakter.

Zajmowała piętro bliźniaka, utrzymanego w podrabianym stylu beaux arts. Uprzejmie zaprosiła detektywów do środka, gdy jednak Edgar zaczął od pytania o kawę, powiedziała, że to wbrew jej religii. Zapropnowała herbatę i Edgar niechętnie się zgodził. Bosch podziękował za poczęstunek. Zastanawiał się, jaka religia zakazuje pić kawę.

Zajęli miejsca w salonie, podczas gdy gospodyni parzyła Edgarowi herbatę w kuchni. Zawołała do nich, że ma tylko godzinę, a potem musi jechać do pracy.

- Czym się pani zajmuje? - zapytał Harry, gdy pojawiła się z kubkiem gorącej herbaty ekspresowej.

Sheila Delacroix postawiła go na podkładce na bocznym stoliku obok Edgara. Była wysoka, miała lekką nadwagę, krótko obcięte jasne włosy i zdaniem Boscha za mocny makijaż.

- Jestem agentem do spraw obsady - powiedziała, siadając na sofie. - Przeważnie w niezależnych

produkcjach, czasem w serialach telewizyjnych. Tak się składa, że w tym tygodniu zajmuję się obsadą serialu o policjantach.

Bosch patrzył, jak Edgar upija łyk herbaty i krzywi się.

- To mieszanka - powiedziała Sheila Delacroix. - Truskawkowa i darjeeling. Smakuje panu?

Edgar odstawił kubek na podkładkę.

- Bardzo dobra.

- Pani Delacroix? Skoro pracuje pani w branży rozrywkowej, może znała pani przypadkiem Nicholasa Trenta?

- Proszę mówić mi Sheila. Hm, to nazwisko: Trent... Brzmi znajomo, ale nie potrafię go skojarzyć. To aktor, czy pracuje przy obsadzie?

- Ani to, ani to. To człowiek, który mieszkał przy Wonderland Avenue. Był scenografem... to znaczy, dekoratorem planu.

- Och, ten z telewizji. Ten, który się zabił. Och, nic dziwnego, że nazwisko wydało mi się znajome.

- A zatem nie znała go pani z pracy?

- Nie, wcale.

- No dobrze. I tak nie powinienem o to pytać. Zboczyliśmy z tematu. Zaczniemy od pani brata. Proszę nam opowiedzieć o Arthurze. Ma pani jakieś jego zdjęcie, które moglibyśmy zobaczyć?

- Tak - powiedziała, wstała i okrążyła zajmowany przez Boscha fotel. - To on.

Podeszła do sięgającego pasa sekretarzyka, którego Harry wcześniej nie zauważył. Stały na nim oprawione w ramki fotografie, prawie tak samo jak na kominku u Julii Brasher. Sheila wybrała jedną i podała Harry'emu.

W ramce było zdjęcie chłopca i dziewczynki, siedzących na schodach - tych samych, po których detektywi weszli przed zastukaniem do drzwi. Chłopiec był o wiele drobniejszy od dziewczynki. Oboje uśmiechali się do obiektywu jak dzieci, którym kazano to zrobić - widać było mnóstwo zębów, ale nie uniesione kąciki ust.

Harry przekazał fotografię Edgarowi i popatrzył na Sheilę Delacroix, która wróciła na sofę.

- Te schody... Zdjęcie zrobiono tutaj?

- Tak, tu się wychowaliśmy.

- Zniknął właśnie stąd?

- Tak.

- Czy w domu są jeszcze jakieś jego rzeczy?

Sheila Delacroix uśmiechnęła się ze smutkiem i pokręciła głową.

- Nie, nic już nie ma. Przekazałam rzeczy na kiermasz w kościele. Dawno temu.

- W jakim kościele?

- Kościele Natury Wilshire.

Bosch ograniczył się do kiwnięcia głową.

- To oni nie pozwalają pani pić kawy? - zapytał Edgar.

- Niczego, w czym jest kofeina.

Edgar odłożył oprawioną fotografię obok kubka z herbatą.

- Ma pani inne jego zdjęcia? - zapytał.

- Oczywiście. Mam całe pudło starych fotografii.

- Możemy je przejrzeć? W trakcie rozmowy.

Pani Delacroix uniosła brwi zdziwiona.

- Razem ze szczątkami znaleźliśmy resztki ubrań, Sheilo - wyjaśnił Harry. - Chcielibyśmy przejrzeć zdjęcia, żeby sprawdzić, czy któreś z nich pasują. Pomogłoby to w śledztwie.

- Rozumiem. - Kiwnęła głową. - Cóż, w takim razie zaraz wrócę. Muszę tylko przejść do szafy w holu.

- Trzeba pani pomóc?

- Nie, dam sobie radę.

Gdy wyszła, Edgar nachylił się ku Boschowi.

- Herbatka Kościoła Natury smakuje jak siuśki - wyszeptał.

- Skąd wiesz, jak smakują siuśki? - odpowiedział szeptem Bosch.

Edgar zaniemówił - zdał sobie sprawę, że sam się prosił o taki komentarz. Zanim zdołał obmyślić ripostę, do pokoju wróciła Sheila Delacroix ze starym pudełkiem po butach. Postawiła je na stoliku do

kawy i zdjęła pokrywkę. Pudło wypełniały leżące luzem fotografie.

- Nie są ułożone w żadnym porządku, ale Arthur powinien być na wielu z nich.

Bosch skinął głową Edgarowi, który sięgnął do pudełka po pierwszą garść zdjęć.

- Podczas gdy mój partner będzie je przeglądał, może mi pani opowie o bracie i jego zniknięciu?

Sheila pokiwała głową i zebrała myśli, nim zaczęła mówić.

- Czwartego maja tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku. Nie wrócił ze szkoły. I tyle. To wszystko. Myśleliśmy, że uciekł. Mówi pan, że znaleźliście ubranie wraz ze szczątkami. No cóż, ojciec przeszukał jego szuflady i powiedział, że Arthur zabrał ubrania. Dlatego myśleliśmy, że uciekł.

Harry zapisał parę słów w notesie wyciągniętym z kieszeni marynarki.

- Wspomniała pani, że kilka miesięcy wcześniej doznał obrażeń wskutek upadku z deskorolki.

- Tak, rozbił sobie głowę i potrzebna była operacja.

- Czy kiedy zniknął, zabrał ze sobą deskorolkę?

Zastanowiła się długą chwilę przed odpowiedzią.

- Było to dawno temu... wiem tylko, że kochał swoją deskorolkę. Pamiętam jednak ubrania. Ojciec twierdził, że części brakuje.

- Donieśliście o jego zaginięciu?

- Miałam wtedy szesnaście lat, dlatego nic nie robiłam w tej sprawie. Ale ojciec rozmawiał z policją. Jestem tego pewna.

- Nie znalazłem żadnego zgłoszenia o zaginięciu Arthura. Na pewno jego zniknięcie zgłoszono?

- Pojechałam z ojcem na posterunek.

- W Wilshire?

- Pewnie tak, ale dokładnie sobie nie przypominam.

- Gdzie jest pani ojciec, Sheilo? Jeszcze żyje?

- Żyje. Mieszka w Dolinie, ale ostatnio nie miewa się najlepiej.

- Gdzie w Dolinie?

- W Van Nuys. W osiedlu domów na kółkach Manchester Trailer Park.

Zapadło milczenie, podczas gdy Bosch przetrawiał tę informację. Kilkakrotnie odwiedził to osiedle w trakcie różnych dochodzeń. Nie było to wymarzone miejsce do życia.

- Pije... - Bosch popatrzył na Sheilę - odkąd Arthur...

Harry skinął głową na znak, że rozumie.

Edgar wychylił się naprzód i podał mu poślódką fotografię. Przedstawiała chłopca, który jechał po chodniku na deskorolce z uniesionymi dla utrzymania równowagi rękami. Zdjęcie zrobiono pod takim kątem, że widać było tylko brzeg deski. Nie można było zobaczyć, czy zdobi ją kalkomania z czaszką i puszczelami.

- Niewiele tu widać - powiedział, wyciągając rękę ze zdjęciem do Edgara.

- Nie, chodzi o ubranie - koszulkę.

Popatrzył ponownie na zdjęcie. Edgar miał rację. Chłopiec na zdjęciu miał szarą koszulkę z krótkimi rękawami i nadrukiem „Solid Surf” na piersi. Harry pokazał zdjęcie Sheili.

- To pani brat, prawda? Pochyliła się i przyjrzała fotografii.

- Tak, na pewno.

- Ta koszulka - pamięta pani, czy była wśród rzeczy, których brak stwierdził pani ojciec?

- Nie przypominam sobie. - Potrząsnęła głową. - Minęło tyle... Pamiętam tylko, że Arthur bardzo lubił tę koszulkę.

Harry pokiwał głową i oddał zdjęcie Edgarowi. Nie było to tak pewne potwierdzenie, jakie uzyskaliby na podstawie porównania prześwietleń kośćca, ale stanowiło kolejny krok naprzód. Harry nabierał pewności, że uda się im zidentyfikować szczątki. Patrzył, jak Edgar odkłada zdjęcie na niewielki stos fotografii z kolekcji Sheili, które zamierzał wypożyczyć. Popatrzył na zegarek i przeniósł spojrzenie na gospodynię.

- A pani matka?

Natychmiast potrząsnęła głową.

- Nie, odeszła o wiele wcześniej, zanim się to zdarzyło.

- Umarła?

- Zwinęła żagle, kiedy zaczęło być ciężko. Widzi pan, Arthur był trudnym dzieckiem. Od samego

początku. Wymagał mnóstwa uwagi i spadło to na moją matkę. Po jakimś czasie po prostu miała dosyć. Pewnej nocy wyszła po lekarstwo i już nie wróciła. Zostawiła nam listy pod poduszkami.

Bosch opuścił wzrok na notes. Trudno było słuchać tej historii i patrzeć na Sheilę Delacroix.

- Ile pani miała lat? Ile lat miał pani brat?

- Miałam sześć lat, więc Artie miał dwa.

Bosch pokiwał głową.

- Zachowała pani kartkę od niej?

- Nie. Nie potrzebowałam przypomnienia, że rzekomo nas kochała, ale nie aż tak, żeby z nami zostać.

- A co z Arthurem? Zachował swój list?

- Cóż, miał tylko dwa lata... ale zrobił to za niego ojciec. Dał mu go, kiedy Arthur podrosł. Może go zatrzymał, sama nie wiem. Zawsze się bardzo interesował, jaka była, bo właściwie nigdy jej nie znał. Bardzo często mnie o nią wypytywał. Nie zostały żadne jej zdjęcia. Ojciec pozbył się ich, żeby mu jej nie przypominały.

- Wie pani, co się z nią stało? I czy jeszcze żyje?

- Nie mam zielonego pojęcia. I mówiąc prawdę, nie obchodzi mnie, czy żyje, czy nie.

- Jak się nazywa?

- Christine Dorsett-Delacroix. Dorsett to jej panięskie nazwisko.

- Zna pani jej datę urodzenia lub numer ubezpieczenia społecznego? - Sheila potrząsnęła głową. - Ma pani gdzieś pod ręką swoją metrykę urodzenia?

- Jest gdzieś w dokumentach. Mogę poszukać. - Zaczęła wstawać.

- Nie, proszę poczekać. Później do tego wrócimy. Na razie wolę z panią porozmawiać.

- Dobrze.

- Hm, czy po odejściu matki ojciec ożenił się po raz drugi?

- Nie, nigdy. Teraz mieszka sam.

- Czy miał kiedyś przyjaciółkę, kogoś, kto zostawał w domu?

Oczy Sheili były pozbawione wyrazu.

- Nie - odparła. - Nigdy.

Postanowił zmienić temat na mniej bolesny.

- Do której szkoły chodził pani brat?

- W końcu trafił do The Brethren. - Bosch nie odpowiedział. Zapisał nazwę szkoły w notesie, a pod nią wielki inicjał B. Zakreślił literę, rozmyślając o plecaku. Sheila kontynuowała z własnej inicjatywy: - To prywatna szkoła dla chłopców sprawiających kłopoty. Ojciec zapłacił, żeby go tam skierowano. Mieści się w Crescent Heights niedaleko bulwaru Pico. Wciąż tam jest.

- Dlaczego tam poszedł? Dlaczego uważano, że sprawia kłopoty?

- Bo wyrzucano go z innych szkół, przede wszystkim za bójki.

- Za bójki? - spytał Edgar.

- Zgadza się.

Edgar podniósł fotografię ze stosiku i przyjrzał się jej przez chwilę.

- Chłopiec wygląda na lekkiego jak piórko. On wszczynał te bójki?

- Wielokrotnie. Miał trudności z dogadywaniem się z innymi. Interesowało go wyłącznie jeżdżenie na deskorolce. Myślę, że dzisiaj postawiono by diagnozę, że miał zespół deficytu uwagi lub coś podobnego. Po prostu chciał być stale sam.

- Odnosił obrażenia w tych bójkach? - spytał Bosch.

- Czasami. Przeważnie tylko siniaki.

- Złamania?

- Nie przypominam sobie. To były zwykłe bijatyki na boisku.

Harry czuł podekscytowanie. Informacje mogły nadać śledztwu wiele różnych kierunków. Wierzył, że teraz pojawi się wyraźny trop.

- Powiedziała pani, że ojciec przeszukał szuflady w pokoju brata i stwierdził brak ubrań.

- Zgadza się. Niewielu rzeczy, w tym paru zmian bielizny.

- Pamięta pani, czego konkretnie brakowało?

- Nie przypominam sobie. - Pokręciła głową.

- W czym zabrał ubranie? W walizce czy czymś takim?

- Myślę, że w torbie na książki. Wyjął książki i zapakował w ich miejsce ubranie.
- Przypomina pani sobie, jak ona wyglądała?
- To był zwykły plecak. Wszyscy musieli nosić takie same w The Brethren. Wciąż widzę chłopców na bulwarze Pico z plecakami z literą B z tyłu.

Bosch obejrzał się na Edgara i skierował wzrok na Sheilę.

- Wróćmy do deskorolki. Jest pani pewna, że zabrał ją ze sobą?

Zastanowiła się nad tym przez chwilę, po czym pokiwała głową.

- Tak, jestem zupełnie pewna, że zabrał ją ze sobą.

Postanowił skrócić rozmowę i skoncentrować się na identyfikacji. Mogli wrócić do Sheili po uzyskaniu potwierdzenia, że mieli do czynienia ze szczątkami Arthura Delacroix.

Pomyślał o wnioskach Gollihera, dotyczących obrażeń kości - iż powstały na skutek przewlekłego maltretowania. Czy mogły być wynikiem wyłącznie szkolnych bójek i upadków z deskorolki? Wiedział, że musi poruszyć temat znęcania się nad dziećmi, ale czuł, że to nieodpowiednia pora. Nie chciał również wychylić się z tym przed siostrą Arthura, by przypadkiem nie zmieniła nastawienia i nie zawiadomiła ojca. Bosch wolał wycofać się i wrócić później, gdy opracuje solidny plan dochodzenia.

- No dobrze, zaraz kończymy, Sheilo. Jeszcze tylko kilka pytań. Czy Arthur miał przyjaciół? Może najlepszego przyjaciela, któremu mógł się zwierzać?

- Właściwie nie. - Potrząsnęła przecząco głową. - Przeważnie trzymał się na uboczu. - Pokiwał głową i miał już zamknąć notes, gdy Sheila zaczęła mówić dalej: - Był jeden chłopiec, z którym mieszkał w bursie. Nazywał się Johnny Stokes. Mieszkał wcześniej gdzieś niedaleko Pico.

Był większy i trochę starszy od Arthura, ale w The Brethren chodzili do jednej klasy. Mój ojciec był przekonany, że Johnny palił trawkę, dlatego nie chcieliśmy, żeby przyjaźnił się z Arthurem.

- „My” to znaczy pani i ojciec?

- Tak, mój ojciec. Denerwowało go to.

- Czy któreś z was rozmawiało z Johnnym Stokesem po zaginięciu Arthura?

- Tak, tej nocy, kiedy nie wrócił do domu, ojciec zadzwonił do niego, ale Johnny powiedział, że nie widział Artiego. Kiedy następnego dnia ojciec pojechał do szkoły, żeby o niego popytać, rozmawiał po raz drugi z Johnnym o Artiem.

- I co mu powiedział?

- Że go nie widział.

Harry zapisał jego nazwisko w notesie i podkreślił.

- Przypomina pani sobie jakichś innych przyjaciół?

- Nie, właściwie nie.

- Jak się nazywa pani ojciec?

- Samuel. Zamierzacie z nim rozmawiać?

- Najprawdopodobniej. - Sheila opuściła wzrok na ściśnięte na kolanach dłonie. - Czy to jakiś problem?

- Właściwie nie. Po prostu nie miewa się dobrze. Jeśli okaże się, że to kości Arthura.... Myślałam, że lepiej będzie, jeśli się nigdy nie dowie.

- Będziemy o tym pamiętać podczas rozmowy z pani ojcem. Zrobimy to jednak dopiero wtedy, kiedy identyfikacja będzie pewna.

- Jeśli z nim jednak porozmawiacie, to się dowie.

- To może być nieuniknione, Sheilo.

Edgar podał Boschowi kolejne zdjęcie. Przedstawiało Arthura obok wysokiego, jasnowłosego mężczyzny, podobnego nieco do Boscha. Pokazał fotografię Sheili.

- To pani ojciec?

- Tak.

- Wygląda znajomo. Był kiedyś...

- To aktor. Właściwie dawniej nim był. Wystąpił w kilku serialach w latach sześćdziesiątych i paru innych filmach.

- Nie starczyło na utrzymanie?

- Nie, zawsze musiał mieć inną pracę, żebyśmy mogli żyć.

Bosch pokiwał głową i wyciągnął zdjęcie w stronę Edgara,

Sheila je jednak przechwyciła.

- Proszę, nie chcę się z nim rozstawać. Niewiele mam zdjęć ojca.
- Dobrze - odparł Bosch. - Może pani teraz poszukać świadectwa urodzenia?
- Pójdę zobaczyć. Proszę zaczekać.

Wstała i znów wyszła. Edgar skorzystał z okazji, by pokazać Boschowi kilka innych zdjęć, które zamierzał zabrać na czas śledztwa.

- To on, Harry - szepnął. - Nie mam wątpliwości.

Pokazał mu fotografię Arthura Delacroix, najwidoczniej zrobioną w szkole. Chłopiec miał równo przyczesane włosy, niebieski blezer i krawat. Bosch przyjrzał się oczom chłopca. Przypominał sobie zdjęcie chłopca z Kosowa, które znalazł w domu Nicholasa Trenta. Tamten też spoglądał w przestrzeń.

- Znalazłam.

Sheila Delacroix wróciła do salonu z kopertą i rozłożyła poźółkły dokument. Bosch przyjrzał mu się przez chwilę, po czym spisał nazwiska, daty urodzenia i numery ubezpieczenia społecznego rodziców.

- Dziękuję - powiedział. - Pani i Arthur mieliście tych samych rodziców, prawda?
- Oczywiście.

- No dobrze, Sheilo, dziękuję pani. Musimy już jechać. Skontaktujemy się, kiedy tylko będziemy mieli coś pewnego.

Wstał. Edgar zrobił to samo.

- Możemy wypożyczyć te zdjęcia? - zapytał Edgar. - Osobiście dopilnuję, żeby dostała je pani z powrotem.

- No dobrze, jeśli ich potrzebujecie.

Ruszyli do drzwi. Sheila im otworzyła i gdy byli na progu, Bosch zadał ostatnie pytanie:

- Zawsze tu pani mieszkała, Sheilo?

- Całe życie - przytaknęła. - Zostałam tu na wypadek, gdyby wrócił, rozumie pan? Na wypadek, gdyby nie wiedział, od czego zacząć, i wrócił tutaj.

Uśmiechnęła się, ale nie było w tym śladu wesołości. Harry pokiwał głową i wyszedł na zewnątrz za Edgarem.

Rozdział 25

Bosch podszedł do okienka, w którym sprzedawano bilety do muzeum, i powiedział, że ma umówione spotkanie z doktorem Williamem Gollitherem z pracowni antropologicznej. Kobieta zadzwoniła i po kilku minutach zastukała w szkło, czym zwróciła na siebie uwagę stojącego w pobliżu strażnika. Gdy podszedł, poleciła mu zaprowadzić Boscha do laboratorium. Nie musiał płacić za wstęp.

Strażnik nie odzywał się ani słowem, gdy szli przez słabo oświetlone muzeum, mijając wystawę mamutów i całą ścianę wilczych czaszek. Bosch nigdy tu nie był, chociaż w dzieciństwie często jeździł na wycieczki do dołów asfaltowych w La Brea. Muzeum zbudowano właśnie dzięki nim - by pomieścić i zademonstrować wszystkie znaleziska, które wynurzyły się z trzewi ziemi w zbiornikach naturalnego asfaltu.

Gdy po otrzymaniu dokumentacji medycznej Arthura Delacroix Harry zadzwonił do Gollihera na telefon komórkowy, antropolog powiedział, że zajmuje się już inną sprawą i będzie mógł przyjechać do biura patologa w śródmieściu dopiero następnego dnia rano. Harry odparł, że nie może czekać. Gollither powiedział, że ma u siebie kopie prześwietleń i fotografii kości znalezionych przy Wonderland Avenue i jeśli Boschowi to odpowiada, może porównać je z dokumentacją i udzielić mu nieoficjalnej odpowiedzi.

Harry zgodził się na ten kompromis i pojechał do La Brea, podczas gdy Edgar został w komendzie wydziału Hollywood, by popracować przy komputerze i spróbować zlokalizować matkę Arthura i Sheili Delacroix oraz przyjaciela Arthura, Johnny'ego Stokesa.

Harry był ciekaw, nad jaką nową sprawą pracuje Gollither. Doły asfaltowe były czarną dziurą, w której

w zamierchłej przeszłości przez wieki ginęły zwierzęta. Wpadały do sadzawek i stawały się łupem innych bestii, które z kolei też tam wpadały i powoli tonęły - była to posępna reakcja łańcuchowa. Wydawało się, że w laboratorium wszędzie stały pudła z kośćmi. Pół tuzina ludzi w białych fartuchach trudziło się przy stołach nad oczyszczaniem i porównywaniem kości.

W laboratorium jedynie Gollither nie miał fartucha. Włożył inną koszulę hawajską, tym razem z papugami, i pracował przy stole w rogu pomieszczenia. Gdy Harry podszedł bliżej, zobaczył, że antropolog ma przed sobą dwie drewniane skrzynki z kośćmi. W jednej z nich znajdowała się czaszka.

- Witam, detektywie?

- Dzień dobry. Co to?

- Jest to, jak pan niewątpliwie poznaje, ludzka czaszka. Trochę ludzkich kości wydobyto dwa dni temu z asfaltu, który usunięto trzydzieści lat temu, by zrobić miejsce na to muzeum. Poproszono mnie, żebym się im przyjrzał, zanim muzeum wyda oświadczenie.

- Nie rozumiem. Są... stare czy mają tylko trzydzieści lat?

- Och, są bardzo stare. Dzięki metodzie radiowęglowej ustalono, że mają pięć tysięcy lat.

Bosch pokiwał głową. Czaszka i kości w drugiej skrzynce wyglądały, jakby były z mahoni.

- Niech pan się przyjrzy - powiedział Gollither i wyjął czaszkę ze skrzynki.

Obrócił ją tak, by Harry mógł widzieć tył. Przesunął palcem dookoła gwiaździstego złamania blisko wierzchołka.

- Wygląda znajomo?

- Uderzenie tępym przedmiotem?

- Właśnie. Podobnie jak w pana sprawie. No i sam pan widzi. Delikatnie odłożył czaszkę do drewnianej skrzynki.

- Co widzę?

- Że niewiele się zmienia. Ta kobieta - przynajmniej myślimy, że to była kobieta - została zamordowana pięć tysięcy lat temu, a jej ciało prawdopodobnie wrzucono do smoły, żeby ukryć zbrodnię. Ludzka natura się nie zmienia. - Harry zapatrzył się na czaszkę. - Nie była pierwsza. - Przeniósł wzrok na antropologa. - W tysiąc dziewięćset czteremset roku znaleziono w smole kości - a właściwie prawie kompletny szkielet - innej kobiety. Miała takie samo gwiaździste złamanie w tym samym miejscu czaszki. Kości datowano później za pomocą węgla radioaktywnego na pięć tysięcy lat. Tyle samo co w jej przypadku. - Wskazał czaszkę w skrzynce.

- Twierdzi pan zatem, doktorze, że pięć tysięcy lat temu działał tu seryjny morderca?

- Nie sposób tego ustalić, detektywie. Mamy przecież tylko kości.

Bosch popatrzył raz jeszcze na czaszkę. Przypomniał sobie słowa Julii Brasher, iż w swojej pracy usuwał zło ze świata. Nie znała jednak prawdy, z której Harry już dawno zdawał sobie sprawę - iż prawdziwego zła nigdy nie da się usunąć ze świata. W najlepszym razie brodził w ciemnych wodach otchłani z dwoma przeciekającymi wiadrami w rękach.

- Ma pan jednak inne zmartwienia, prawda? - spytał Gollither, przerywając zadumę Boscha. - Przyniósł pan dokumentację szpitalną?

Harry postawił neseser na stole, otworzył go i podał Gollitherowi teczkę. Następnie wyciągnął z kieszeni plik zdjęć wypożyczonych od Sheili Delacroix.

- Nie wiem, czy to pomoże, ale to ten chłopak - powiedział.

Gollither przejrzał szybko fotografie, zatrzymując się nad upozowanym portretem Arthura Delacroix w marynarce i krawacie. Podszedł do krzesła, przez którego oparcie przewieszono plecak. Odszukał teczkę z własną dokumentacją i wrócił do stołu. Otworzył ją i wyjął zdjęcie przedstawiające czaszkę z Wonderland Avenue. Trzymając obok siebie fotografie Arthura Delacroix i czaszki, porównywał je przez długą chwilę.

- Ukształtowanie wału nadczołowego i łuku jarzmowego wydają się podobne - powiedział wreszcie.

- Nie jestem antropologiem, doktorze.

Gollither odłożył zdjęcia na stół. Wyjaśnił, o co mu chodzi, przesuując palcem po lewej brwi chłopca i kości nad oczodołem:

- Grzbiet brwi i zewnętrzny obrys oczodołu są w znalezionej czaszce szersze od normy - rzekł. - Na fotografii chłopca widać, że struktura jego twarzy zgadza się z tym, co tu mamy. - Bosch pokiwał głową. -

Przyjrzyjmy się radiogramom - powiedział Gollieher. - Mamy tutaj przeglądarkę.

Antropolog zebrał dokumenty i zaprowadził Boscha do drugiego stołu z wpuszczonymi w blat świetlówkami. Otworzył teczkę ze szpitala, wyjął z niej prześwietlenia i przystąpił do czytania epikryzy.

Bosch już ją znał. Twierdzono w niej, że chłopiec został przywieziony przez ojca do izby przyjęć o 17.40 jedenastego lutego 1980 roku. Pan Delacroix podał, że znalazł oszołomionego i niereagującego syna, który spadł z deskorolki i uderzył się w głowę. Wykonano zabieg neurochirurgiczny, by zmniejszyć ciśnienie wewnątrzczaszkowe, spowodowane obrzękiem mózgu. Chłopiec pozostał w szpitalu dziesięć dni na obserwacji, a następnie go wypisano, miał pozostawać pod opieką ojca. Dwa tygodnie później został przyjęty w celu powtórzenia zabiegu, podczas którego usunięto kleszcze, utrzymujące w ustabilizowanej pozycji wycięte podczas trepanacji okno kostne.

Nigdzie w dokumentacji nie było wpisów, iż chłopiec skarżył się na maltretowanie przez ojca czy kogokolwiek innego. Podczas rekonwalescencji po pierwszym zabiegu rozmawiała z nim zatrudniona w szpitalu pracownica socjalna. Jej sprawozdanie zajmowało niecałe pół strony. Podała, że chłopiec zrobił sobie krzywdę, spadając z deskorolki. Nie było ani kolejnego przepytania, ani zawiadomienia policji czy władz, zajmujących się nieletnimi.

Skończywszy przeglądać dokumenty, Gollieher potrząsnął głową.

- O co chodzi? - spytał Harry.

- O nic. I w tym właśnie problem. Nie było śledztwa. Przyjęto na wiarę słowa chłopca. Jego ojciec siedział pewnie razem z nim w pokoju, kiedy go wypytywano. Domyśla się pan, jak ciężko było chłopakowi powiedzieć prawdę? Dlatego skończyło się na połataniu dzieciaka i oddaniu go z powrotem człowiekowi, który go maltretował.

- Doktorze, bez spekulacji. Najpierw zajmijmy się identyfikacją, jeśli jest możliwa, a dopiero potem będziemy się martwić, kto katował chłopca.

- Doskonale. Pańska sprawa. Tyle że widziałem już setki takich.

Gollieher odłożył dokumentację i zajął się prześwietleniami. Bosch przyglądał się mu z dyskretnym uśmiechem. Antropolog wyglądał na zdenerwowanego tym, że policjant nie wyciągnął równie szybko jak on takich samych wniosków.

Gollieher położył dwa radiogramy na przeglądarce. Następnie wyjął z teczki prześwietlenie czaszki znalezionej przy Wonderland Avenue. Włączył światło; trzy radiogramy natychmiast stały się wyraźniejsze. Gollieher wskazał wyjęte ze swojej teczki prześwietlenie.

- To radiogram, który zrobiłem, żeby ocenić wewnętrzne elementy czaszki. Możemy go jednak wykorzystać do porównania. Jutro w biurze patologa posłużę się samą czaszką.

Gollieher pochylił się nad przeglądarką i sięgnął po małą, cylindryczną lupę leżącą na półce. Przyłożył jeden jej koniec do oka, a drugi do zdjęcia. Po kilku chwilach przełożył ją na to samo miejsce na prześwietleniu ze szpitala. Powtórzył to kilka razy, dokonując kolejnych porównań.

Gdy skończył, wyprostował się, oparł plecami o sąsiedni stół i złożył ramiona.

- Queen of Angels to szpital dotowany przez państwo. Zawsze brakowało mu pieniędzy. Powinni byli zrobić więcej niż dwa prześwietlenia. Gdyby to zrobili, może widać byłoby i inne obrażenia.

- Ale tego nie zrobili.

- Nie, nie zrobili. Na podstawie tych, które zrobili, i tego, co tutaj mamy, zdołałem dokonać kilku porównań płytki kostnej, linii złamania i szwu łuskowatego. Jeśli o mnie chodzi, nie mam wątpliwości. - Wskazał wciąż podświetlone zdjęcie na przeglądarce. - Przedstawiam panu Arthura Delacroix.

- Dobrze. - Bosch pokiwał głową. Gollieher pochylił się nad przeglądarką i zebrał zdjęcia. - Jest pan pewien?

- Jak powiedziałem, nie ma wątpliwości. Jutro w śródmieściu obejrzę samą czaszkę, ale już mogę panu powiedzieć, że to on. Wszystko się zgadza.

- Jeśli więc kogoś złapiemy i sprawa trafi do sądu, nie czekają nas żadne niespodzianki?

- Żadne. - Gollieher popatrzył na detektywa. - Nie sposób podważyć tych oświadczeń. Sam pan pewnie wie, że prawdziwy kłopot polega na interpretacji obrażeń. Patrząc na te zdjęcia i widząc, że działo się coś strasznego. I tak bym zeznawał. Z satysfakcją. Ma pan jednak oficjalną dokumentację. - Wskazał z lekceważeniem na otwartą teczkę ze szpitala. - Tu jest mowa o deskorolce. O to toczyłaby się walka.

Bosch pokiwał głową. Gollieher włożył dwa prześwietlenia do teczki i ją zamknął. Bosch schował ją do neseseru.

- Cóż, doktorze, dziękuję, że znalazł pan dla mnie czas. Myślę...

- Detektywie?

- Tak?

- Podczas naszego poprzedniego spotkania wyczułem, że zakłopotaly pana moje słowa, iż w naszej pracy potrzebujemy wiary. W gruncie rzeczy od razu zmienił pan temat.

- Rzeczywiście nie lubię o tym rozmawiać.

- Moim zdaniem w pańskiej profesji zdrowie duszy urasta do rangi sprawy najważniejszej.

- Bo ja wiem? Mój partner wini za wszystko, co złe, przybyszów z kosmosu. Pewnie to też zdrowe.

- Wykręca się pan od odpowiedzi.

Harry poczuł irytację, która szybko przechodziła w gniew.

- Jakie było pytanie, doktorze? Dlaczego tak bardzo przejmuję się pan tym, w co wierzę lub nie wierzę?

- Bo to dla mnie ważne. Badam kości. Rusztowanie życia. I doszedłem do wniosku, że istnieje coś więcej niż tylko krew, kości i tkanki. Istnieje coś, co jest naszym spoiwem. Mam w sobie coś, czego nigdy nie zobaczę na prześwietleniu, a dzięki czemu funkcjonuję. Dlatego właśnie kiedy spotykam kogoś, kto w miejscu mojej wiary ma pustkę, boję się o niego.

Harry popatrzył na niego przez długą chwilę.

- Myli się pan co do mnie. Wierzę i mam misję. Niech pan to nazwie policyjną religią czy jak pan chce. To wiara, że to, co się stało, nie ujdzie płazem. Że te kości wyłoniły się z ziemi nie bez powodu. Że wynurzyły się na powierzchnię, bym je odnalazł i coś z tym zrobił. I to sprawia, że trzymam się i nadal funkcjonuję. Tego też nie zobaczy pan na prześwietleniu. Rozumiemy się?

Popatrzył na Gollihera, czekając na odpowiedź. Antropolog jednak milczał.

- Muszę już jechać, doktorze - rzekł wreszcie Bosch. – Dzięki za pomoc. Bardzo wiele mi pan wyjaśnił.

Zostawił naukowca w otoczeniu ciemnych kości, na których zbudowano miasto.

Rozdział 26

Edgara nie było na jego miejscu przy biurku, kiedy Bosch wrócił do pokoju detektywów.

- Harry?

Podniósł głowę i zobaczył, że w drzwiach gabinetu stoi porucznik Billets. Przez tafelę szkła ujrzał, że Edgar siedzi przed jej biurkiem. Bosch odłożył neseser i ruszył w tamtą stronę.

- Co się dzieje? - zapytał po wejściu do gabinetu.

- To ja o to pytam - odparła pani porucznik, zamykając drzwi. - Zidentyfikowaliśmy szczątki?

Obeszła biurko i usiadła, podczas gdy Bosch zajął miejsce obok Edgara.

- Tak, zidentyfikowaliśmy. Arthur Delacroix, zaginął czwartego maja tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku.

- Biuro patologa jest tego pewne?

- Ich spec od kości mówi, że nie ma wątpliwości.

- Jak dokładnie udało się określić czas zgonu?

- Dość dokładnie. Zanim czegokolwiek się dowiedziliśmy, ekspert ustalił, że cios w czaszkę, który spowodował zgon, nastąpił około trzech miesięcy po wcześniejszym urazie i operacji. Dostaliśmy dzisiaj dokumentację tego zabiegu. Jedenasty lutego tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego w szpitalu Queen of Angels. Jak się doda trzy miesiące, data prawie się zgadza - według jego siostry Arthur Delacroix zaginął czwartego maja. Chodzi o to, że Arthur Delacroix zginął cztery lata przedtem, nim Nicholas Trent zamieszkał przy tej ulicy. Myślę, że to oczyszcza go z podejrzeń.

Grace Billets niechętnie pokiwała głową.

- Przez cały dzień sekretariat Irvinga i wydział kontaktów z mediami zatruwały mi życie tą sprawą -

powiedziała. - Nie spodoba im się, gdy zadzwonię do nich z taką informacją.

- Trudno - odezwał się Bosch. - Tak jednak wyszło.

- No dobrze, czyli Trenta nie było w sąsiedztwie w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym. Mamy już jakieś informacje, gdzie się wtedy podziewał?

Wypuścił powietrze i pokręcił głową.

- Nie odpuściecie, co? Musimy skoncentrować się na dzieciaku.

- Nie, bo mnie nikt nie odpuści. Dzisiaj rano dzwonił do mnie osobiście Irving. Dał mi bardzo jasno do zrozumienia, co jest grane, chociaż nie powiedział tego otwarcie. Jeśli okaże się, że niewinny człowiek odebrał sobie życie, bo gliniarz pogonił do mediów z informacją, w wyniku której urządzono na tego człowieka publiczną nagonkę, to wydziałowi znowu się oberwie. Chyba ostatnio mieliśmy dość upokorzeń?

Uśmiechnął się ponuro.

- Mówi pani dokładnie jak Irving, pani porucznik. Naprawdę.

Nie powinien był tego powiedzieć. Natychmiast się zorientował, że ją zranił.

- No, może mówię jak on, bo ten jeden raz się z nim zgadzam. W wydziale jeden skandal goni drugi. Podobnie jak większości przyzwoitych policjantów robi mi się od tego niedobrze.

- Słusznie. Mnie też. Rozwiązanie jednak nie polega na tym, by naginać fakty, żeby pasowały do naszych oczekiwań. To śledztwo w sprawie morderstwa.

- Wiem, Harry. Nie mówię, żeby cokolwiek naginać. Mówię, że musimy mieć pewność.

- Mamy ją. Ja jestem pewny.

Milczeli przez długą chwilę, unikając nawzajem swoich spojrzeń.

- A co z Kiz? - zapytał wreszcie Edgar.

Bosch prychnął.

- Irving jej nie ruszy. Wie, że jeśli to zrobi, będzie wyglądał jeszcze gorzej. Poza tym to pewnie najlepsza policjantka, jaką mają na drugim piętrze.

- Zawsze jesteś tak pewny siebie, Harry - odezwała się porucznik. - Chyba to miłe.

- No, akurat tego jestem pewny. - Wstał. - I chciałbym wrócić do śledztwa. Dzieje się wiele nowych rzeczy.

- Wiem o wszystkim. Jerry mnie informuje. Usiądź jednak, wróćmy na minutę do naszej rozmowy, dobrze? - Bosch usiadł. - Nie mogę rozmawiać z Irvingiem takim tonem, jak ty ze mną. Zrobię tak: podam mu najświeższe wiadomości - o zidentyfikowaniu kości i wszystkim innym. Powiem, że wyjaśniasz sprawę zgodnie z tym, jak rozwija się śledztwo. Potem poproszę, żeby wyznaczył wydział spraw wewnętrznych do dochodzenia co do przeszłości Trenta. Innymi słowami, jeśli nie przekonają go okoliczności identyfikacji, to niech załatwi, by wydział spraw wewnętrznych czy ktokolwiek inny sprawdził Trenta i dowiedział się, gdzie się podziewał w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku.

Bosch popatrzył na nią, nic po sobie nie pokazując.

- Możemy już iść?

- Tak, możecie.

Gdy wrócili do swoich biur, Edgar zapytał Boscha, dlaczego nie wspomniał o teorii, iż być może Trent przeprowadził się na Wonderland Avenue, bo wiedział o pogrzebanych kościach.

- Bo twoja teoria, że był aż takim popaprańcem, jest zbyt wydumana, by na razie wyjść poza ten stół. Jeśli dotrze do Irvinga, to ani się zorientujesz, jak znajdzie się w oświadczeniu dla prasy jako oficjalne stanowisko wydziału. No, załatwiłeś coś czy nic?

- Mam parę rzeczy.

- Na przykład?

- Po pierwsze, potwierdziłem, że Samuel Delacroix mieszka w Manchester Trailer Park. Mamy go więc pod ręką, gdybyśmy chcieli z nim pogadać. W ciągu ostatnich lat został dwa razy zatrzymany za jazdę po pijanemu. Na razie ma warunkowe prawo jazdy. Sprawdziłem również jego numer ubezpieczenia społecznego i trafiłem: pracuje dla miasta.

- Co robi? - Na twarzy Boscha odmalowało się zdziwienie.

- Pracuje na część etatu na polu golfowym w sąsiedztwie swojego osiedla. Zadzwoniłem dyskretnie do wydziału parków i rekreacji. Delacroix jeździ wózkiem i zbiera piłki. No wiesz, wokół pola. To taki gość, w którego wszyscy chcą trafić, kiedy się pokazuje. Pewnie chodzi tam pieszo kilka razy dziennie.

- Dobrze.

- Dalej. Christine Dorsett-Delacroix, nazwisko matki na świadectwie urodzenia Sheili. Sprawdziłem jej numer ubezpieczenia i ustaliłem, że teraz figuruje jako Christine Dorsett Waters. Adres w Palm Springs. Pewnie tam wyjechała, żeby zacząć wszystko od nowa. Nowe nazwisko, nowe życie, co się tylko chce.

Bosch pokiwał głową.

- Wyciągnąłeś orzeczenie rozwodu?

- Mam je. Wystąpiła o rozwód z Samuelem Delacroix w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim. Chłopiec miał wtedy około pięciu lat. Powoływała się na dręczenie fizyczne i psychiczne. Nie zamieszczono szczegółów, na czym polegało. Nie doszło do rozprawy, toteż szczegóły nie wyszły na jaw.

- Facet zgodził się bez walki?

- Wygląda na to, że doszło do ugody. Dostał opiekę nad dziećmi, więc nie protestował. Poszło gładko i bezszmerowo. Akta mają raptem dwanaście stron. Widziałem takie, co mają dwanaście centymetrów. Na przykład moje.

- Skoro Arthur miał pięć lat... według antropologa niektóre z obrażeń były wcześniejsze.

Edgar potrząsnął głową.

- W wyciągu napisano, że rozkład pożycia nastąpił trzy lata wcześniej i obydwójce mieszkali osobno. Czyli Christine dała nogę, kiedy chłopiec miał mniej więcej dwa lata - tak jak mówiła Sheila. Harry, zwykle nie mówisz o zamieszanych w sprawę po imieniu.

- Tak? I co z tego?

- Tylko cię o tym informuję.

- Dzięki. W aktach było coś jeszcze?

- Mniej więcej tyle. Zrobiłem kopie, jeśli chcesz je przeczytać.

- No dobrze, a co z przyjaciółką z deskorolką?

- Jego też namierzyłem. Żyje, wciąż mieszka w okolicy. Jest jednak problem. Przeczesałem te same bazy danych co zwykle i znalazłem trzech Johnów Stokesów w Los Angeles w odpowiednim wieku. Dwóch mieszka w Dolinie, obydwaj są czysti. Trzeci to zakapior. Wielokrotnie aresztowany za drobne kradzieże, kradzież samochodów, włamania i posiadanie narkotyków, do tego dochodził pękata kartoteka z czasów, kiedy był nieletni. Pięć lat temu wreszcie przestano mu dawać kolejną szansę i wysłano go do Corcoran na piąta. Odsiedział dwa i pół, a potem wyszedł na warunkowe.

- Rozmawiałeś z jego kuratorem? Stokes zgłasza się do niego?

- Tak, rozmawiałem. Nie, Stokes urwał się z haczyka dwa miesiące temu. Kurator nie ma pojęcia, co się z nim dzieje.

- Cholera.

- No. Namówiłem go jednak, żeby sprawdził biografię klienta. Stokes wychowywał się głównie w środkowej części Wiltshire. Wędrował od jednego sierocińca do drugiego. Cały czas ładował się w kłopoty. Coś mi mówi, że to będzie on.

- Kurator myśli, że jest jeszcze w Los Angeles?

- Tak sądzi. Musimy go tylko znaleźć. Kazałem już patrolowi sprawdzić jego ostatnie znane miejsce pobytu - wyprowadził się stamtąd natychmiast, kiedy urwał się ze zwolnienia warunkowego-

- Gdzieś się płacze. Cudownie. - Edgar pokiwał głową. - Musimy dać znać ludziom, żeby się za nim rozglądali - powiedział Bosch. - Zacznijmy od...

- Już to zrobiłem - odparł Edgar. - Napisałem też wiadomość dla wozów patrolowych i dałem ją przed sekundą Mankiewiczowi. Obiecał, że przeczyta ją wszystkim kolejnym zmianom. Kazałem też powielić fotki z kartoteki.

- Dobrze.

Bosch był pod wrażeniem. Powielenie zdjęć poszukiwanego, by funkcjonariusze przyczepili je do osłon przeciwsłonecznych w radiowozach, stanowiło dodatkowe działanie, a Edgar na ogół nie lubił się przemęczać.

- Dostaniemy go, Harry. Nie jestem pewien, na co się nam przyda, ale go dostaniemy.

- Może być kluczowym świadkiem. Jeśli Arthur - to znaczy denat - powiedział mu kiedykolwiek, że ojciec go bije, to już coś będziemy mieli.

Bosch popatrzył na zegarek. Dochodziła druga. Zależało mu, żeby śledztwo się toczyło, by nie traciło

impetu. Najtrudniejsze było wyczekiwanie - czy to na wyniki badań laboratoryjnych, czy aby inni policjanci zrobili, co do nich należało. Zawsze wtedy odczuwał największe zdenerwowanie.

- Co robisz dzisiaj wieczorem? - zapytał Edgara.
 - Wieczorem? Nic wielkiego.
 - Będziesz miał dzisiaj syna u siebie?
 - Nie, w czwartek. Dlaczego pytasz?
 - Może się wybiorę do Palm Springs.
 - Teraz?
 - Tak, żeby porozmawiać z byłą żoną.
- Edgar popatrzył na zegarek. Bosch wiedział, że jeśli nawet wyjadą natychmiast, i tak wrócą późno.
- W porządku. Mogę pojechać sam. Daj mi tylko adres.
 - Nie, pojedę z tobą.
 - Jesteś pewny? Nie musisz. Po prostu nie lubię wyczekiwać, aż coś się stanie, wiesz o tym?
 - Tak, Harry, wiem.
- Edgar wstał i zdjął marynarkę z oparcia krzesła.
- W takim razie pójdę powiedzieć pani porucznik - oznajmił.

Rozdział 27

Minęli połowę drogi przez pustynię do Palm Springs, nim któryś z nich się odezwał.

- Nic nie mówisz, Harry - powiedział Edgar.
- Wiem - odparł Bosch.

Tym, co zawsze łączyło ich jako partnerów w pracy, była zdolność znoszenia długotrwałego milczenia. Kiedykolwiek Edgar czuł potrzebę przerwania go, Bosch wiedział, że jego kolega ma ochotę porozmawiać o czymś, co go trapi.

- O co chodzi, J. Edgar?
- O nic.
- O sprawę?
- Nie, człowieku, o nic. Wszystko w porządku.
- No to dobrze.

Mijali rząd wiatraków. Powietrze stało, łopaty pozostawały w bezruchu.

- Twoi rodzice się nie rozeszli? - zapytał Bosch.

- Tak, do samego końca - powiedział Edgar, po czym się roześmiał. - Myślę, że czasami tego żałowali, ale wytrzymali ze sobą. Pewnie tak to właśnie jest. Przetrwają najsilniejsi.

Bosch pokiwał głową. Obydwaj byli rozwiedzeni, ale rzadko rozmawiali o swoich nieudanych małżeństwach.

- Słyszałem o tobie i bucie, Harry. Wieść już się rozniosła.

A więc o tym chciał porozmawiać Edgar. Świeżo upieczonych policjantów często nazywano „butami”. Pochodzenie tego terminu było niejasne.

Jedna szkoła uważa, że jest to nawiązanie do boot camp, slangowej nazwy obozów szkoleniowych armii, inna - że była to sarkastyczna aluzja, iż są to nowe buty faszystowskiego imperium.

- Mówię tylko, że musisz uważać, człowieku. Jesteś od niej starszy stopniem, nie?
- Tak, wiem. Coś wymyślę.
- Z tego, co widziałem i słyszałem, jest warta ryzyka, ale mimo to musisz uważać.

Harry nie odpowiedział. Po kilku minutach minęli tablicę drogową z informacją, że do Palm Springs zostało szesnaście kilometrów. Zbliżał się zmierzch. Bosch miał nadzieję, że zastuka do drzwi Christine Waters, zanim się ściemni.

- Poprowadzisz rozmowę, Harry, kiedy dojedziemy?

- Tak, poprowadzę. Możesz odgrywać obrażonego.

- Nie będę miał z tym żadnych kłopotów.

Gdy minęli granice Palm Springs, kupili plan na stacji benzynowej i kluczyli po mieście, aż znaleźli Frank Sinatra Boulevard. Pojechali nim w stronę gór. Bosch zaparkował pod bramą osiedla Mountaingate Estates. Z planu wynikało, że tu właśnie mieści się ulica, przy której mieszka Christine Waters.

Ze stróżówki wyszedł ochroniarz w uniformie, przyglądając się z uśmiechem samochodowi w policyjnych barwach.

- Trochę daleko was zaniósł od rewiru - powiedział.

Bosch kiwnął głową, siląc się na uprzejmy uśmiech. W rezultacie wyglądał, jakby trzymał coś kwaśnego w ustach.

- Coś w tym rodzaju.

- O co chodzi?

- Jedziemy porozmawiać z Christine Waters, Deep Waters Drive trzysta dwanaście.

- Pani Waters spodziewa się was?

- Nie, chyba że jest jasnowidzem albo pan ją poinformuje.

- To mój obowiązek. Proszę chwilę poczekać.

Strażnik wrócił do stróżówki. Bosch zobaczył, że podniósł słuchawkę.

- Wygląda na to, że Christine Delacroix wymieniła męża na znacznie lepszy model - rzekł Edgar.

Przyglądał się przez przednią szybę kilku domom widocznym z miejsca, w którym stali. Wszystkie były wielkie i miały starannie utrzymane trawniki wielkości boisk piłkarskich.

Ochroniarz wrócił, położył obydwie ręce na wypukłości pod boczną szybą i pochylił się, by przyjrzeć się Boschowi.

- Chce wiedzieć, o co chodzi.

- Proszę jej przekazać, że rozmawiamy o tym w domu. Na osobności. Niech pan jej powie, że mamy nakaz sądowy.

Strażnik wzruszył ramionami w geście oznaczającym „jak tam chcecie” i wrócił do środka. Bosch przyglądał się, jak jeszcze przez kilka chwil rozmawiał przez telefon. Gdy odłożył słuchawkę, brama zaczęła się powoli otwierać. Strażnik stanął w otwartych drzwiach i machnął im ręką - nie potrafił sobie jednak odmówić, ostatnie słowo należało do niego:

- Wiecie, wasza poza twardej pewnie naprawdę przydaje się wam w Los Angeles, ale tu na pustyni to tylko...

Bosch nie usłyszał reszty. Przejechał przez bramę, zamykając równocześnie okno.

Okazało się, że Deep Waters Drive znajduje się na samym końcu osiedla. Pobudowane tu domy wyglądały na warte kilka milionów dolarów i były znacznie okazalsze niż te przy wjeździe do Mountaingate.

- Kto mógł nazwać ulicę na pustyni Deep Waters Drive? - rzucił z zastanowieniem Edgar.

- Może ktoś o nazwisku Waters.

- Cholera - dotarło to do Edgara. - Myślisz? No to rzeczywiście korzystnie zamieniła męża.

W ślepym zaułku na końcu Mountaingate Estates stała rezydencja we współczesnym stylu hiszpańskim. To tu mieszkała Christine Waters. Była to niewątpliwie najlepsza parcela na osiedlu. Dom stał na wzniesieniu, z którego roztaczał się widok nie tylko na pozostałe zabudowania, ale i na okalające je pole golfowe.

Rezydencja miała własną bramę, która stała otworem. Bosch zastanawiał się, czy zawsze tak jest, czy też została otworzona dla nich.

- Zapowiada się ciekawie - powiedział Edgar, gdy wjechali na okrągły parking, wyłożony dopasowanymi do siebie wielokątnymi płytkami.

- Nie zapominaj, że ludzie mogą zmienić adres, ale nie samych siebie - odrzekł Bosch.

- Pewnie. Podstawy podstaw.

Wysiedli z samochodu i weszli pod portyk przed podwójnymi drzwiami frontowymi. Zanim do nich dotarli, otworzyła im kobieta w czarno-białym stroju pokojówki. Powiedziała z silnym hiszpańskim akcentem, że pani Waters czeka w salonie.

Salon miał rozmiary małej katedry i taka też panowała w nim atmosfera. Pod sufitem na wysokości ośmiu metrów widać było gołe belki. Wysoko na wschodniej ścianie znajdowały się trzy wielkie witraże -

tryptyk, przedstawiający wschód słońca, ogród i wschód księżyca. W przeciwnej ścianie znajdował się rząd sześciu rozsuwanych drzwi, przez które widać było dokładnie murawę pola golfowego. W salonie były dwa odrębne zestawy mebli, jakby przyjmowano tu naraz po dwie grupy gości.

Na środku kremowej sofy z pierwszego zestawu siedziała kobieta o jasnych włosach i twarzy o naciągniętej skórze. Obserwowała policjantów, gdy weszli do środka i ujrzeli wielkość pokoju.

- Pani Waters? - rzekł Harry. - Jestem detektyw Bosch, a to detektyw Edgar. Pracujemy w Departamencie Policji Los Angeles.

Wyciągnął rękę. Christine Waters ją ujęła, ale nie uściśnęła. Przytrzymała ją tylko przez moment, a potem to samo zrobiła z wyciągniętą dłonią Edgara. Bosch wiedział ze świadectwa urodzenia, że ma pięćdziesiąt sześć lat, wyglądała jednak na o dekadę młodszą. Jej gładka, opalona twarz stanowiła świadectwo cudów nowoczesnej techniki medycznej.

- Proszę siadać - powiedziała. - Nie zdołam w pełni wyrazić, jakie to kłopotliwe, iż taki samochód stoi pod moim domem. Domyślam się, że jeśli chodzi o policję Los Angeles, dyskrecja nie jest jej najsilniejszą stroną.

- Cóż, proszę pani, sami jesteśmy nieco zakłopotani, ale szefowie każą nam jeździć właśnie czymś takim. - Bosch się uśmiechnął. - Pan każe, sługa musi.

- O co chodzi? Strażnik przy bramie powiedział mi, że macie nakaz sądowy. Mogę go zobaczyć?

Bosch usiadł na sofie naprzeciw niej, po drugiej stronie czarnego stolika do kawy ze złotą intarsją.

- Hm, musiał mnie źle zrozumieć - odparł. - Mówiłem mu, że możemy dostać nakaz sądowy, jeśli odmówi pani rozmowy.

- Na pewno - odpowiedziała tonem głosu świadczącym, że nie uwierzyła Boschowi. - O czym chcecie ze mną rozmawiać?

- Musimy wypytać panią o męża.

- Mój mąż nie żyje od pięciu lat. Poza tym rzadko jeździł do Los Angeles. Co mógł...

- O pani pierwszego męża. Samuela Delacroix. Musimy porozmawiać także o pani dzieciach.

Jej spojrzenie natychmiast przybrało ostrożny wyraz.

- Nie... od lat nie miałam z nimi kontaktu. Prawie trzydziestu.

- To znaczy odkąd wyszła pani po lekarstwo dla chłopca i zapomniała wrócić do domu? - zapytał Edgar.

- Kto to wam powiedział?

- Pani Waters, wolałbym najpierw usłyszeć odpowiedzi, potem będzie pani mogła zadawać pytania - odparł Bosch.

- Nie rozumiem. Jak mnie znaleźliście? O co wam chodzi? Dlaczego tu przyjechaliście?

Jej ton z pytania na pytanie stawał się coraz wyższy od emocji. Życie, które zostawiła za sobą trzydzieści lat temu, nagle wdzierало się w jej starannie uporządkowaną egzystencję.

- Jesteśmy detektywami z wydziału zabójstw, proszę pani. Pracujemy nad sprawą, w którą może być zamieszany pani mąż. Do tego...

- To nie mój mąż. Rozwiódłam się z nim ponad dwadzieścia pięć lat temu. To obłąd: przyjeżdżacie wypytywać mnie o człowieka, z którym nie mam żadnego kontaktu. Nawet nie wiem, czy w ogóle żyje. Myślę, że powinniście sobie pojechać. Chcę, żebyście dali mi spokój.

Wstała i wyciągnęła rękę w stronę wyjścia z salonu.

Bosch obejrzał się na Edgara i popatrzył z powrotem na Christine Waters. Gniew sprawił, że opalenizna na jej twarzy stała się nierównomierna. Zaczęły pojawiać się plamy, dowodzące przebytej operacji plastycznej.

- Proszę usiąść, pani Waters - rzekł surowo Bosch. - Niech pani spróbuje się odprężyć.

- Odprężyć? Wie pan, kim jestem? Mój mąż wybudował to osiedle. Domy, pole golfowe, wszystko. Nie możecie mnie tak po prostu nachodzić. Podniosę słuchawkę i za dwie minuty będę rozmawiała z komendantem...

- Pani syn nie żyje, szanowna pani - wypalił Edgar. - Ten, którego porzuciła pani trzydzieści lat temu. Proszę więc siadać i słuchać naszych pytań.

Christine Waters osunęła się na sofę, zupełnie jakby ją podcięto. Otworzyła usta i po chwili je przyknęła. Przeszła patrzeć na nich; w jej oczach pojawiło się wspomnienie odległych chwil.

- Arthur...

- Właśnie - powiedział Edgar. - Arthur. Cieszę się, że wreszcie sobie pani przypomina.

Przez kilka chwil patrzyli na nią w milczeniu. Wszystkie te lata i odległość nie wystarczyły, by wieść jej nie zraniła. I to mocno. Bosch widział to już wcześniej. Przeszłość, nawet pogrzebana, zwykła wynurzać się z powrotem na powierzchnię. Zawsze tuż pod nogami.

Harry wyjął notes z kieszeni i otworzył go na czystej stronie. Napisał: „Wrzuć na luz” i podał go Edgarowi.

- Może będziesz notował, Jerry? Myślę, że pani Waters jest gotowa z nami współpracować.

Gdy usłyszała swoje nazwisko, otrząsnęła się z posępnej zadumy. Popatrzyła na Boscha.

- Co się stało? Sam to zrobił?

- Nie wiemy. Właśnie dlatego tu jesteśmy. Arthur nie żyje już od dawna. Jego szczątki odnaleziono dopiero w zeszłym tygodniu.

Powoli uniosła pięść do ust. Zaczęła nią lekko uderzać w wargi.

- Jak długo nie żyje?

- Został pogrzebany dwadzieścia lat temu. Zidentyfikowaliśmy go dzięki telefonowi od pani córki.

- Sheili.

Brzmiało to, jakby tak dawno nie wypowiadała tego imienia, że chciała sprawdzić, czy jeszcze się to jej uda.

- Arthur zaginął w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku, proszę pani. Wiedziała pani o tym?

- Nie. - Potrząsnęła głową. - Odeszłam prawie dziesięć lat wcześniej.

- I nie miała pani żadnego kontaktu z rodziną?

- Myślałam...

Nie dokończyła. Harry zaczął.

- Proszę pani?

- Nie mogłam ich wziąć ze sobą. Byłam młoda i nie potrafiłam sobie poradzić... z odpowiedzialnością. Uciekłam. Przyznaję się. Uciekłam. Myślałam, że najlepiej zerwać z nimi kontakt, żeby nawet nie wiedzieli o moim istnieniu.

Bosch pokiwał głową w nadziei, że w ten sposób udało mu się wyrazić, że ją rozumie i zgadza się z jej ówczesnym sposobem myślenia. Nieważne, że w rzeczywistości było inaczej. Nieważne, że jego własna matka stanęła w obliczu podobnego problemu: miała dziecko za wcześnie i w trudnych okolicznościach. Nie opuściła go jednak i wspierała z żarliwością, która stanowiła jego siłę napędową.

- Napisała pani dzieciom listy przed odejściem.

- Skąd pan o tym wie?

- Sheila nam powiedziała. Co pani napisała w liście do Arthura?

- Tylko... Tylko to, że go kocham i zawsze będę o nim myślała, ale nie mogę zostać. Naprawdę nie pamiętam wszystkiego, co napisałam. Czy to ważne?

- Nie wiem. - Bosch wzruszył ramionami. - Syn miał ze sobą list. Być może właśnie ten, który pani napisała. Uległ zniszczeniu i pewnie nigdy się tego nie dowiemy. W pozwie rozwodowym, z jakim wystąpiła pani kilka lat po odejściu, podawała pani jako przyczynę fizyczne okrucieństwo. Musi nam pani o tym opowiedzieć. Na czym polegało?

Potrząsnęła głową, tym razem z lekceważeniem, jakby pytanie było irytująco głupie.

- A jak myślicie? Sam lubił mną poniewierać. Kiedy się upił, musiałam uważać, jakbym stąpała po szkle. Było co powodowało, że wpadał w furję: płacz dziecka, głośniejsze rozmowy i tak dalej. I zawsze ja stanowiłam cel.

- Bił panią?

- Owszem, bił. Stał się potworem. Między innymi dlatego odeszłam.

- Ale zostawiła pani dzieci z potworem - powiedział Edgar.

Tym razem Christine Waters zareagowała, jakby rzeczywiście ją uderzono. Spokojnie popatrzyła Edgarowi w oczy, aż odwrócił wzrok.

- Kim pan jest, żeby kogokolwiek osądzać? - zwróciła się do niego. - Musiałam przeżyć i nie mogłam zabrać ich ze sobą. Gdybym to zrobiła, żadne z nas by nie przeżyło.

- Na pewno to zrozumiały - odrzekł Edgar.

Kobieta znów wstała.

- Nie sądzę, żebym miała ochotę na dłuższą rozmowę. Na pewno znajdziecie drogę do wyjścia.

Ruszyła do łukowatego przejścia w głąb domu.

- Pani Waters - powiedział za nią Bosch. - Jeśli pani z nami nie porozmawia, rzeczywiście uzyskamy ten nakaz sądowy.

- Doskonale - odrzekła, nie odwracając się. - Proszę bardzo. Zajmie się nim któryś z moich adwokatów.

- Trafi do tutejszego sądu i każdy będzie mógł się z nim zapoznać.

Była to ryzykowna zagrywka, ale Bosch uznał, że dzięki niej ma szansę zatrzymać Christine Waters. Domyślał się, że jej życie w Palm Springs zostało zbudowane na pogrzebaniu starych tajemnic i że nie chciała, by ktokolwiek je poznał. Podobnie jak Edgar, miejscowi plotkarze najpewniej zinterpretowały jej działania i motywy odmiennie od niej samej. Mimo upływu wielu lat nawet jej trudno było myśleć o tym, co zrobiła.

Zatrzymała się w przejściu. Opanowała się i wróciła.

- Będę rozmawiała tylko z panem - powiedziała, patrząc na Boscha. - Niech on wyjdzie.

Harry pokręcił głową.

- To mój partner. I nasza wspólna sprawa. Niestety, musi zostać.

- Będę odpowiadała tylko na pańskie pytania.

- Doskonale. Proszę usiąść.

Usiadła - tym razem możliwie najdalej Edgara i bliżej Boscha.

- Wiem, że chce nam pani pomóc w znalezieniu mordercy syna. Postaramy się zająć pani jak najmniej czasu. - Kiwnęła głową. - Proszę opowiedzieć nam o byłym mężu.

- Całą ponurą historię? - spytała retorycznie. - Podam panu skróconą wersję. Spotkałam go na kursie aktorskim. Był starszy o siedem lat, wystąpił już w kilku filmach i na domiar wszystkiego był wyjątkowo przystojny. Można rzec, że szybko uległam jego urokowi. I zaszłam w ciążę, nim skończyłam dziewiętnaście lat. - Bosch obejrzał się na Edgara, czy notuje. Edgar dostrzegł jego spojrzenie i zaczął pisać. - Pobraliśmy się i urodziła się Sheila. Nie starałam się zrobić kariery. Muszę przyznać, że nie wykazałam się dostatecznym uporem. Aktorstwo wydawało mi się wtedy czymś, co warto robić. Dobrze wyglądałam, ale szybko zorientowałam się, że tak samo dobrze wyglądają wszystkie dziewczyny w Hollywood. Z radością zostałam w domu.

- Jak sobie radził pani mąż?

- Z początku bardzo dobrze. Dostał stałą rolę w „First Infantry”. Oglądał pan to kiedyś?

Bosch przytaknął. Był to serial, którego akcja toczyła się w czasie drugiej wojny światowej. Nagrywano go w drugiej połowie lat sześćdziesiątych, dopóki publiczne odczucia wobec Wietnamu i wojny w ogóle nie doprowadziły do spadku oglądalności, wówczas zrezygnowano z jego produkcji. Co tydzień pokazywano w nim dzieje plutonu, przedzierającego się poza niemiecką linię frontu. Harry'emu podobał się ten serial w dzieciństwie i zawsze starał się go oglądać czy to u rodziców zastępczych, czy w schronisku młodzieżowym.

- Sam grał jednego z Niemców, bo miał jasne włosy i aryjski wygląd. Występował przez ostatnie dwa lata. Aż do czasu, kiedy drugi raz zaszłam w ciążę. - Na chwilę zamilkła. - Potem przestano kręcić film z powodu tej durnej wojny w Wietnamie. Skasowano serial, a Sam miał trudności ze znalezieniem pracy. Kojarzono go wyłącznie z rolami Niemców. Wtedy się rozpił. I zaczął mnie bić. Całe dni spędzał na próbach obsady, ale nie dostawał żadnych ról. Potem wieczorami pił i wyżywał się na mnie.

- Dlaczego na pani?

- Bo zachodziłam w ciążę. Najpierw z Sheilą, potem z Arthurem. Żadna nie była planowana i obydwie tylko zwiększały presję na Sama. Odreagowywał to na każdym, kto był pod ręką.

- Maltretował panią.

- Maltretował? Brzmi to tak klinicznie. Zgadza się, maltretował mnie. Wielokrotnie.

- Widziała pani kiedykolwiek, żeby bił dzieci?

Było to kluczowe pytanie, które przyjechali tu zadać. Cała reszta stanowiła tylko przykrywkę.

- Właściwie nie - odparła pani Waters. - Uderzył mnie, kiedy nosiłam Arthura. W brzuch. Odeszły mi wody płodowe. Poród rozpoczął się sześć tygodni przed terminem. Arthur ważył po urodzeniu niecałe dwa kilogramy.

Harry czekał. Słowa Christine Waters sugerowały, że powie znacznie więcej, jeśli tylko da się jej po

temu okazję. Wyjrzał przez rozsuwane drzwi na pole golfowe. Na skraju murawy znajdował się głęboki dół z piaskiem. Mężczyzna w czerwonej koszuli i spodniach w kratę stał w nim i zamachiwał się kijem na niewidoczną piłkę. Strugi piasku wylatywały na trawę, ale piłka się nie pokazywała.

W oddali po drugiej stronie pola golfowego trzech inni gracze wysiadali z dwóch wózków. Skraj dołu z piaskiem zasłaniał ich mężczyźni w czerwonej koszuli. Na oczach Boscha mężczyzna rozejrzał się po polu, czy nie ma świadków, po czym pochylił się po piłkę. Rzucił ją w sposób, który idealnie naśladował wymierzone uderzenie. Piłka potoczyła się po murawie. Mężczyzna wylazł z dołu, trzymając kij oburącz w pozie sugerującej, że właśnie trafił w piłkę.

Christine Waters w końcu zaczęła mówić dalej. Bosch ponownie się do niej odwrócił.

- Arthur przez pierwszy rok był bardzo mały i chorowity. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, ale chyba obydwójce wiedzieliśmy, że chłopcu zaszkodziło to, co zrobił Sam. To było po prostu złe.

- Poza tym incydentem nigdy nie widziała pani, żeby bił Arthura lub Sheilę?

- Może dał klapsa Sheili, naprawdę nie pamiętam. Nigdy nie bił dzieci. Przecież po to miał mnie.

Bosch pokiwał głową - niewypowiedziany wniosek nasuwał się sam: kto został celem, gdy żona odeszła. Przypomniały mu się rozłożone na stole sekcyjnym kości i wszystkie wyliczone przez doktora Gollihera obrażenia.

- Czy mój mąż... czy Sam został aresztowany?

- Nie. - Bosch jej się przyjrzał. - Na razie zbieramy fakty. Szczątki pani syna noszą ślady świadczące o przewlekłym maltretowaniu. Po prostu staramy się ustalić fakty.

- A Sheila? Czy ona...

- Nie pytaliśmy jej, ale to zrobimy. Pani Waters, czy kiedy mąż panią bił, to tylko ręką?

- Czasami różnymi rzeczami. Pamiętam, że raz pobił mnie butem. Przycisnął mnie do podłogi i walił mnie nim. Raz rzucił we mnie neseserem. Trafił mnie w bok.

Potrząsnęła głową.

- O co chodzi?

- O nic. Przypomniałam sobie ten neseser. Nosił go na wszystkie próby. Chyba w ten sposób starał się sprawiać wrażenie kogoś ważnego, kogoś, kto ma mnóstwo spraw na głowie. W środku trzymał jednak tylko kilka zdjęć portretowych i butelkę.

Nawet po tylu latach w jej głosie słychać było gorycz.

- Czy zgłosiła się pani kiedyś do szpitala lub izby przyjęć? Czy istnieje jakaś dokumentacja maltretowania?

Pokręciła głową.

- Nigdy nie zrobił mi takiej krzywdy, żebym musiała. Z wyjątkiem tego razu, kiedy nosiłam Arthura, a wtedy skłamałam. Powiedziałam, że przewróciłam się i odeszły mi wody. Widzi pan, nie chciałam, żeby świat się o tym dowiedział.

- Kiedy pani odeszła, planowała to pani? Czy po prostu pani uciekła?

Nie odpowiedziała przez długą chwilę, jakby oglądała wspomnienie na ekranie projekcyjnym pamięci.

- Napisałam listy do dzieci na długo przedtem, nim odeszłam. Nosiłam je w torebce i czekałam na odpowiednią porę. Tej nocy, kiedy uciekłam, włożyłam je pod poduszki i wyszłam tylko z torebką i w ubraniu, które miałam na sobie. Zabrałam samochód, który mój ojciec dał nam w prezencie ślubnym. I tyle. Miałam dość. Powiedziałam Samowi, że potrzebne jest lekarstwo dla Arthura. Pił. Powiedział, żeby sama po nie szła.

- I już pani nie wróciła.

- Nie. Mniej więcej rok później, zanim przeniosłam się do Palm Springs, któregoś wieczoru przejechałam pod domem. Zobaczyłam, że palą się światła. Nie zatrzymałam się.

Nie przychodziło mu do głowy żadne kolejne pytanie. Chociaż Christine Waters dobrze pamiętała tamte czasy, ta opowieść nie pomagała w zbudowaniu oskarżenia przeciwko jej byłemu mężowi o zbrodnię popełnioną dziesięć lat po tym, gdy widziała go po raz ostatni. Przypuszczalnie Bosch zdawał sobie przez cały czas sprawę, iż Christine Waters nie odegra kluczowej roli w sprawie. Może po prostu chciał sam ocenić kobietę, która zostawiła swoje dzieci z człowiekiem będącym jej zdaniem potworem.

- Jak ona wygląda? - Harry'ego na chwilę zdezorientowało jej pytanie. - Moja córka.

- Hm, tak jak pani jest blondynką. Jest nieco wyższa i mocniej zbudowana. Nie ma dzieci ani męża.

- Kiedy będzie pogrzeb Arthura?

- Nie wiem. Musiałaby pani zadzwonić do biura patologa. Albo dowiedzieć się od Sheili, czy... - Urwał. Nie mógł angażować się w łatanie trzydziestoletniej dziury w życiu dwóch kobiet. - Myślę, że już skończyliśmy, pani Waters. Dziękujemy za pani gotowość do współpracy.

- Zdecydowanie - powiedział Edgar z niezaprzeczalnym sarkazmem.

- Przyjechaliście aż tutaj, żeby zadać niewiele pytań.

- Myślę, że to dlatego, iż zna pani niewiele odpowiedzi - odparł Edgar.

Wyszli na zewnątrz. Christine Waters towarzyszyła im jeszcze kilka kroków. Wychodząc spod portyku, Harry obejrzał się na stojącą w otwartych drzwiach kobietę. Przez chwilę popatrzyli sobie w oczy. Usiłował coś powiedzieć, ale nic mu nie przychodziło do głowy. Wreszcie kobieta zamknęła drzwi.

Rozdział 28

Dotarli na parking pod posterunkiem krótko przed jedenastą. Mieli za sobą szesnastogodzinny dzień pracy, podczas którego zdobyli bardzo niewiele dowodów, nadających się do włączenia w uzasadnienie aktu oskarżenia. Mimo to Bosch był zadowolony. Zidentyfikowali zwłoki, co stanowiło klucz do sprawy. Wszystko inne opierało się na tym jednym fakcie.

Edgar pożegnał się i wsiadł do swojego samochodu. Bosch zamierzał sprawdzić u sierżanta dyżurnego, czy dotarły jakieś informacje na temat Johnny'ego Stokesa. Chciał również dowiedzieć się, czy były jakieś inne wiadomości. Wiedział też, że jeśli zostanie dłużej, to doczeka się Julii Brasher, która skończy zmianę. Miał ochotę z nią porozmawiać.

Na komendzie panował spokój. Odbywała się właśnie odprawa. Byli na niej na pewno sierżanci z obydwóch zmian. Bosch przeszedł korytarzem do pokoju detektywów. Światła były pogaszone, co stanowiło naruszenie rozporządzenia komendanta policji. Najwyższy przełożony nakazał, by w Parker Center i wszystkich posterunkach stale paliło się światło. Myślał, że dzięki temu społeczeństwo poczuje, iż walka z przestępczością nie ustaje ani na chwilę. W rezultacie w całym mieście światła paliły się w pustych gabinetach.

Harry włączył światło. Gdy zapalił się rząd neonówek, podszedł do swojego biurka. Leżał na nim stosik różowych pasków z wiadomościami.

Przejrzał je, ale wszystkie były od dziennikarzy albo dotyczyły spraw prowadzonych przez niego równolegle. Wyrzucił wiadomości od reporterów do kosza na śmieci, a pozostałe włożył do najwyższej szuflady, by zająć się nimi następnego dnia.

Na biurku dostrzegł dwie koperty z materiałami wewnętrznymi. W pierwszej była opinia Gollihera; Bosch ją odłożył, żeby przeczytać później. Wziął w rękę drugą kopertę; przysłała z laboratorium kryminalistycznego. Zdał sobie sprawę, że zapomniał zadzwonić do Antoine'a Jespera w sprawie deskorolki.

Miał właśnie otworzyć kopertę, gdy na podkładce z kalendarzem zobaczył złożoną kartkę. Rozwinął ją i przeczytał krótki liścik. Wiedział, że jest od Julii, chociaż się nie podpisała.

Gdzie jesteś, Twardzielu?

Zapomniał, że prosił ją, by wpadła do pokoju detektywów, nim obejmie służbę. Uśmiechnął się na widok liściku, ale czuł się paskudnie, że o niej zapomniał. Przypomniał sobie też uwagę Edgara, by uważał na ten związek.

Złożył kartkę z powrotem i schował do szuflady. Zastanawiał się, jak zareaguje Julia na to, o czym chciał z nią porozmawiać. Był śmiertelnie znużony po długim dniu, ale nie chciał czekać.

Koperta z laboratorium kryminalistycznego zawierała jednostronicowy wynik analizy Jespera. Bosch przeczytał go szybko. Jesper potwierdził, że deskorolka została wyprodukowana przez Boneyard Boards Inc., firmę z Huntington Beach. Ten model nazywał się „Boney Board” i był produkowany od lutego 1978

do czerwca 1986 roku, kiedy dokonano nieznaczących zmian zadartego nosa deski.

Zanim Bosch zdołał poczuć podniecenie na myśl o zgodności modelu i zakreślonych dla sprawy ram czasowych, przeczytał ostatni akapit raportu, podważający istnienie jakichkolwiek zbieżności.

Osie (mechanizm nośny) to model zastosowany przez firmę Boneyard po raz pierwszy w 1984 roku. Na późniejsze wykonanie wskazują również grafitowe kółka. Rozpowszechniły się w branży dopiero w połowie lat osiemdziesiątych. Jednakże mechanizmy nośne i kółka mają standardowe rozmiary i użytkownicy często je wymieniają, dlatego też trudno jednoznacznie ustalić, kiedy została wyprodukowana deskorolka nadesłana do analizy. Przy braku dodatkowych dowodów najrzetelniesze oszacowanie wskazuje, że powstała między lutym 1978 i czerwcem 1986 roku.

Harry wsunął raport do koperty i rzucił ją na blat. Raport nie był wiążący, ale wymienione przez Jespera szczegóły przemawiały przeciwko temu, że deskorolka należała do Arthura Delacroix. Zdaniem Harry'ego analiza kryminalistyczna raczej dodatkowo potwierdzała, że Nicholas Trent nie był zamieszany w śmierć chłopca. Zamierzał rano napisać raport, w którym zamieści swoje wnioski, i przedstawić go porucznik Billets, by służbowymi kanałami przesłała go wyżej, do biura zastępcy komendanta Irvinga.

Jakby podkreślając zamknięcie tego wątku dochodzenia, na korytarzu rozległo się trzaśnięcie drzwi. Po nich zabrzmiało kilka donośnych męskich głosów - funkcjonariusze wychodzili na zewnątrz. Skończyła się odprawa i nowa zmiana ruszała w teren.

Nie oglądając się na zalecenia komendanta, Bosch zgasił światło i przeszedł korytarzem do dyżurki. W małym biurze siedziało dwóch sierżantów. Lenkov schodził z dyżuru, który przejmował Renshaw. Obydwaj zareagowali ze zdziwieniem na pojawienie się Boscha, lecz nie pytali, co robi na komendzie.

- No, macie coś na temat mojego człowieka, Johnny'ego Stokesa? - zapytał.

- Jeszcze nic, ale szukamy - odparł Lenkov. - Mówimy o nim na wszystkich odprawach, a jego zdjęcia już są w radiowozach. A więc...

- Dacie mi znać.

- Damy ci znać.

Renshaw pokiwał głową na znak zgody.

Bosch miał ochotę zapytać, czy Julia Brasher zgłosiła się już po służbie, ale się rozmyślił. Podziękował sierżantom i wrócił na korytarz. Rozmowa przebiegła dziwnie, jakby podoficerowie nie mogli doczekać się jego wyjścia. Czuł, że to skutek roznoszenia się wieści o nim i Julii. Może wiedzieli, że Julia schodzi ze zmiany, i nie mieli ochoty widzieć ich razem. Czyniło to z nich świadków złamania wewnętrznych przepisów wydziału. Chociaż zasada niewiązania się z kolegami z pracy niewiele znaczyła i rzadko jej przestrzegano, dla sierżantów było lepiej, jeśli nie musieli przymykać oczu na jej naruszenie.

Wyszedł tylnymi drzwiami na parking. Nie miał pojęcia, czy Julia jest w szatni, na patrolu, czy już wróciła i pojechała do domu. Zmiana warty odbywała się płynnie - następowała wtedy, gdy sierżant dyżurny wysyłał zmiennika.

Na parkingu wypatrzył samochód Julii - dzięki temu wiedział, że się z nią nie rozminął. Zawrócił pod budynek, by usiąść na ławce Kod 7. Gdy się do niej zbliżył, zauważył jednak, że siedzi już na niej Julia. Jej włosy były wilgotne po prysznicu. Miała na sobie spłowiałe dżinsy i golf z długimi rękawami.

- Słyszałam, że jesteś na komendzie - powiedziała. - Zajrzałam do ciebie, zobaczyłam zgaszone światło i pomyślałam, że się rozminęliśmy.

- Nie mów tylko komendantowi o świetle. - Uśmiechnęła się. Harry usiadł obok niej. Miał ochotę jej dotknąć, ale się powstrzymał. - Ani o nas - dodał.

- W porządku. Mnóstwo ludzi już wie, prawda?

- Prawda. Chciałem z tobą o tym porozmawiać. Dasz się namówić na drinka?

- Pewnie.

- Chodźmy do „Cat and Fiddle”. Mam dosyć jeżdżenia na dzisiaj.

Zamiast przejść przez komendę i wyjść frontowymi drzwiami, nadłożyli drogi przez parking dookoła budynku. Przeszli dwie przecznice do Bulwaru Zachodzącego Słońca i jeszcze dwie do pubu. Po drodze przeprosił Julię, że nie czekał na nią w pokoju detektywów, i wyjaśnił, że pojechał do Palm Springs. Prawie się nie odzywała, kwitując tylko kiwaniem głowy jego tłumaczenia. Nie rozmawiali o

najważniejszej sprawie, aż dotarli do pubu i siedli w jednej z łóż blisko kominka.

Oboje zamówili po szklance guinnessa. Julia wreszcie wsparła łokcie na stole i utkwiała w Boschu twardy wzrok.

- No dobrze, Harry, piwo już w drodze. Wal. Muszę cię jednak ostrzec, jeśli zamierzasz powiedzieć mi, że możemy być przyjaciółmi, to mam już dość przyjaciół.

Nie zdołał powstrzymać szerokiego uśmiechu. Uwielbiał jej śmiałość i bezpośredniość. Potrząsnął głową.

- Nie, nie chcę być twoim przyjacielem, Julio. Wcale nie.

Sięgnął przez stół i uściśnął jej przedramię. Instynktownie rozejrzał się po pubie, czy nikt z komendy nie zbłądził tu na drinka po pracy. Nie rozpoznał nikogo i obejrzał się na Julię.

- Chcę być z tobą. Tak jak wcześniej.

- Dobrze. Ja też.

- Musimy jednak zachować ostrożność. Za krótko jesteś w wydziale. W odróżnieniu ode mnie. Wiem, jak roznoszą się tu plotki, dlatego to moja wina. Nie powinniśmy odjeżdżać tamtego wieczoru spod komendy twoim samochodem.

- Och, niech się pieprzą, jak się nie znają na żartach.

- Nie, nie o to... - Oczekał, aż kelnerka postawi szklanki z piwem na małych papierowych podkładkach z godłem Guinnessa. - Nie o to chodzi, Julio - powiedział, kiedy znowu zostali sami. - Musimy być ostrożniejsi, jeśli mamy się nadal spotykać. Musimy działać w ukryciu. Koniec spotkań na ławce, koniec karteluszków i wszystkiego w tym stylu. Nie możemy nawet tutaj przychodzić, bo to miejsce odwiedzane przez gliny. Musimy spotykać się w całkowitej tajemnicy. Widywać się poza wydziałem i rozmawiać poza wydziałem.

- Mówisz, jakbyśmy byli parą szpiegów czy kimś w tym rodzaju.

Wziął swoją szklankę, stuknął się z Julią i wypił głęboki łyk.

Po długim dniu piwo smakowało wyśmienicie. Natychmiast musiał stłumić ziewnięcie; Julia je zobaczyła i też nie zdołała się powstrzymać.

- Szpiedzy? To nie takie złe porównanie. Zapominasz, że jestem w wydziale ponad dwadzieścia pięć lat, a ty jesteś żółtodziobem. Mam po tej stronie więcej wrogów niż ty aresztowań na koncie. Niektórzy z tych ludzi chętnie wykorzystaliby każdą okazję, żeby mnie uziemić. Brzmi to tak, jakbym martwił się o własną skórę, ale chodzi o to, że jeśli ci ludzie musieliby pograżyć nową policjantkę, żeby się do mnie dobrać, zrobiliby to bez zmruczenia oka. Wierz mi. Bez zmruczenia oka.

Wcisnęła głowę w ramiona i rozejrzała się na boki.

- No dobrze, Harry - to znaczy tajny agencie zero zero czterdzieści pięć.

Uśmiechnął się i pokręcił głową.

- No tak, myślisz, że to żarty. Zaczekaj, aż będziesz miała pierwszą sprawę w wydziale spraw wewnętrznych. Wtedy cię oświeci.

- Daj spokój, nie myślę, że to żarty. Po prostu cię podpuszczam.

Oboje napili się piwa. Bosch odchylił się na oparcie i spróbował rozluźnić. Dobrze było czuć ciepło kominka po szybkim przemarszu do pubu.

Popatrzył na Julię i zobaczył, że się uśmiecha, jakby znała jakiś dotyczący go sekret.

- O co chodzi?

- O nic. Po prostu nieźle się nakręciłeś.

- Staram się cię ochronić, to wszystko. Mam ponad dwadzieścia pięć lat za sobą, toteż nie ryzykuję tak wiele.

- To znaczy? Słyszałam, jak ludzie mówią, „mam ponad dwadzieścia pięć za sobą” - jakby byli nietykalni lub coś w tym rodzaju.

- Nikt nie jest nietykalny. - Harry potrząsnął głową. - Kiedy jednak przepracuje się dwadzieścia pięć lat, dostaje się emeryturę w największym wymiarze. Nieważne, czy przepracuje się dwadzieścia pięć czy trzydzieści pięć lat, i tak dostaje się tyle samo. A to daje człowiekowi pewne możliwości mówienia górze, że może się odpięprzyć. Nie podoba ci się, co z tobą wyprawiają, zawsze możesz oddać odznakę i podziękować.

Kelnerka wróciła do stolika z prażoną kukurydzą w koszyczku. Julia odczekała chwilę, po czym pochyliła się nad blatem, niemalże dotykając podbródkiem szklanki z piwem.

- To w takim razie co cię tu trzyma?
Wzruszył ramionami i zapatrzył się w swoją szklankę.
- Pewnie sama praca... Nic wielkiego, nic heroicznego. Po prostu szansa, że od czasu do czasu uda mi się coś naprawić w tym popieprzonym świecie. - Kreślił wzór kciukiem na zaparowanym szkle, mówiąc dalej i nie odrywając wzroku od szklanki. - Na przykład ta sprawa...
- Tak? Co w niej takiego?
- Jeśli zdołamy wszystko poskładać i dojść, kto był sprawcą... to może będzie to choć małe zadośćuczynienie. Bo ja wiem? Może to coś znaczy - cokolwiek, choćby odrobinę - w tym świecie.
Pomyślał o czasce pokazanej mu tego ranka przez Gollihera. Ofiara morderstwa, leżąca przez dziewięć tysięcy lat w dole z asfaltem. Cmentarzysko pełne kości, które tylko czekały, by wychynąć na powierzchnię. Po co? Może nikogo już nie obchodzi.
- Sam nie wiem - powiedział. - Może w ostatecznym rozrachunku to i tak nie ma znaczenia. Terrorysty-samobójcy atakują Nowy Jork i trzy tysiące ludzi ginie przed wypiciem pierwszego kubka kawy. Co wobec tego znaczy jeden szkielet z przeszłości?
Julia uśmiechnęła się delikatnie i pokręciła głową.
- Nie rób z siebie egzystencjalisty, Harry. Ważne jest, że to coś znaczy dla ciebie. A skoro tak, najważniejsze, żebyś zrobił wszystko, co w twojej mocy. Bez względu na to, co stanie się ze światem, zawsze będą potrzebni bohaterowie. Mam nadzieję, że któregoś dnia i ja nim zostanę.
- Może. - Pokiwał głową, nie patrząc jej w oczy. Znowu zaczął kreślić palcem po szklance. - Pamiętasz taką reklamę z telewizji, w której staruszka leży na ziemi i mówi: „Upadłam i nie mogę wstać”? Wszyscy się z niej nabijali.
- Pamiętam. W Venice można kupić koszulki z takim napisem.
- No tak... czasami czuję się tak samo. Przepracowałem ponad dwadzieścia pięć lat. Nie można tyle służyć i od czasu do czasu nie spieprzyć. Padasz, Julio, i czasami czujesz, że nie możesz wstać. - Pokiwał głową. - Potem jednak masz szczęście, że dostajesz sprawę i mówisz sobie: to właśnie ta. Po prostu to czujesz. To sprawa, dzięki której mogę wstać.
- To się nazywa odkupienie, Harry. Jak było w tej piosence? „Każdy ma na nie szansę”?
- Tak, coś w tym rodzaju.
- A ta okazja to właśnie ta sprawa?
- Taa... Tak myślę. Taką mam nadzieję.
- W takim razie wypijmy za odkupienie. Uniósł szklankę w toaście.
- Nie popuszczaj - powiedział.
Stuknęła się z nim. Nieco piwa przelało się do jego prawie pustej szklanki.
- Przepraszam. Muszę to poćwiczyć.
- Nic się nie stało. I tak potrzebowałem dolewki. - Uniósł szklankę do ust i wypił do dna. Odstawił ją i otarł usta grzbietem dłoni. - No, pojedziesz dziś ze mną do domu? - spytał.
- Nie. - Pokręciła głową. - Nie z tobą. - Zmarszczył brwi i zaczął się zastanawiać, czy nie uraził jej swoją szczerością. - Pojadę za tobą - dodała. - Pamiętasz? Nie mogę zostawić samochodu pod komendą. Wszystko ma być teraz ściśle tajne łamane przez poufne, tylko dla twoich oczu.
Uśmiechnął się. Piwo i jej uśmiech podziałały na niego jak magia.
- Zażyłaś mnie.
- Mam nadzieję, że nie tylko pod tym względem.

Rozdział 29

Bosch spóźnił się na naradę w gabinecie porucznik Billets. Edgar już tam był, co stanowiło ewenement, podobnie jak Medina z wydziału kontaktów z mediami. Grace Billets wskazała Boschowi miejsce trzymanym w dłoni ołówkiem, po czym podniosła słuchawkę i wystukała numer.

- Mówi porucznik Billets - powiedziała, gdy odebrano. – Może pani przekazać komendantowi Irvingowi, że już wszyscy jesteśmy i możemy zaczynać.

Harry popatrzył na Edgara i uniósł brwi. Zastępca komendanta nadal bezpośrednio nadzorował przebieg śledztwa. Grace Billets odłożyła słuchawkę.

- Oddzwoni, a ja włączę głośnik.

- Chce słuchać, czy mówić? - zapytał Bosch.

- Kto wie?

- Skoro już czekamy: kilka razy pytano mnie o faceta, za którym kazaliście się rozglądać. Johnny'ego Stokesa. Jak mamy to traktować? To nowy podejrzany?

Harry poczuł irytację. Wiedział, że rozdawane podczas odpraw zawiadomienie, by rozglądać się za daną osobą, w końcu trafi do mediów. Nie spodziewał się jednak, że tak szybko.

- Nie, nie jest podejrzany - powiedział Medina. - A jeśli dziennikarze spieprzą, podobnie jak w przypadku Trenta, to nigdy go nie znajdziemy. To po prostu człowiek, z którym musimy porozmawiać. Znał ofiarę. Wiele lat temu.

- W takim razie ją zidentyfikowaliście?

Zanim Harry zdążył odpowiedzieć, zabrzączał telefon. Grace Billets podniosła słuchawkę i włączyła zestaw głośno mówiący.

- Panie komendancie, są tutaj detektywi Bosch i Edgar oraz Medina z wydziału kontaktów z mediami.

- Bardzo dobrze - rozległ się z głośnika grzmiący głos Irvinga. - Na czym stoimy?

Grace Billets zaczęła naciskać klawisz na aparacie, by przyciszyć dźwięk.

- Hm, Harry, może ty odpowiesz?

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki po notes. Nie spieszył się. Podobała mu się myśl, że Irving siedzi w swoim nieskalanym gabinecie w Parker Center i musi czekać przy telefonie na odpowiedź. Otworzył notes na stronie pełnej notatek, spisanych przez niego tego ranka podczas śniadania z Julią.

- Jest pan tam, detektywie? - zapytał Irving.

- Tak, komendancie. Jestem tutaj. Przeglądałem tylko trochę notatki. Najważniejsze, że z całą pewnością zidentyfikowaliśmy ofiarę. To Arthur Delacroix. Zniknął z domu w Miracle Mile czwartego maja tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku. Miał dwanaście lat. - Urwał, spodziewając się pytań. Zauważył, że Medina zapisuje nazwisko. - Nie jestem pewien, czy powinniście to już ogłosić - powiedział.

- Dlaczego? - spytał Irving. - Sugeruje pan, że identyfikacja jest niepewna?

- Nie, jesteśmy jej pewni, komendancie. Ale jeśli podamy nazwisko, to w ten sposób zakomunikujemy również, w jakim kierunku zmierza śledztwo.

- To znaczy?

- Cóż, jesteśmy całkiem pewni, że udało nam się oczyścić Nicholasa Trenta. Rozglądamy się więc gdzie indziej. Obrażenia kości wskazują na przewlekłe maltretowanie, trwające od wczesnego dzieciństwa. Matka odeszła wcześniej, przyjrzymy się więc ojcu. Jeszcze się z nim nie kontaktowaliśmy. Zbieramy informacje. Jeśli oświadczymy, że zidentyfikowaliśmy zwłoki, a ojciec się o tym dowie, będzie to dla niego przedwczesne ostrzeżenie.

- Jeśli to on zakopał tam dziecko, to i tak jest już ostrzeżony.

- W pewnym stopniu. Wie jednak, że jeśli nie zdołamy zidentyfikować ciała, to nigdy go z nim nie powiążemy. Brak identyfikacji gwarantuje mu bezpieczeństwo. W ten sposób zyskujemy czas, żeby mu się przyjrzeć.

- Rozumiem - powiedział Irving.

Przez kilka chwil siedzieli w milczeniu. Harry oczekiwał, że Irving powie coś jeszcze, ale zastępca komendanta milczał. Obejrzał się na Grace Billets i rozłożył ręce w geście oznaczającym: „Co jest grane?”. Wzruszyła ramionami.

- W takim razie... - zaczął mówić - nie ogłaszamy, tak?

Milczenie.

- Myślę, że to przezorne z naszej strony - rzekł wreszcie Irving.

Medina wyrwał zapisaną właśnie w notesie kartkę, zmiął ją i wrzucił do kosza w rogu.

- Czy cokolwiek możemy ogłosić? - zapytał.

- Tak - odparł szybko Bosch. - Możemy oczyścić Trenta.

- Odmawiam - odparł równie szybko Irving. - Zrobimy to na końcu. Kiedy - jeśli - uda się panu znaleźć winnego, wtedy sprostujemy wszystkie niejasności.

Bosch popatrzył na Edgara, a następnie na Grace Billets.

- Jeśli tak postąpimy, komendancie, może to zaszkodzić dochodzeniu - powiedział.

- W jaki sposób?

- To stara sprawa. Im starsza, tym mniejsze szanse na jej rozwiązanie. Nie możemy ryzykować. Jeśli nie wystąpimy z oświadczeniem, że Trent był niewinny, to damy sprawcy linię obrony. Będzie mógł wskazywać na Trenta i upierać się, że Trent to zrobił, bo był pedofilem.

- Będzie mógł tak zrobić bez względu na to, czy go oczyścimy, czy nie.

- Prawda - przytaknął Bosch. - Patrzę na to jednak pod kątem zeznawania na rozprawie. Chcę móc powiedzieć, że sprawdziliśmy Trenta i szybko wyłączyliśmy z grona podejrzanych. Nie chcę, żeby jakiś adwokat dopytywał, dlaczego skoro tak szybko go oczyściliśmy, czekaliśmy dwa tygodnie z ogłoszeniem tego faktu. Będzie to drobiazg, ale mający znaczenie. Członkowie ławy przysięgłych szukają wszelkich powodów, żeby nie wierzyć policji w ogóle, a Departamentowi Policji Los Angeles w szczególności.

- No dobrze, detektywie, przedstawił pan swój punkt widzenia. Podtrzymuję moją decyzję. Nie będzie żadnego oświadczenia w sprawie

Trenta. Nie w tej chwili, dopóki nie mamy solidnego podejrzanego.

Harry potrząsnął głową i osunął się w fotelu.

- Co jeszcze? - zapytał Irving. - Za dwie minuty mam odprawę u komendanta.

Harry popatrzył na Grace Billets i ponownie potrząsnął głową.

- Myślę, że to wszystko, czym dysponujemy w tej chwili, panie komendancie - odezwała się porucznik.

- Kiedy zamierzacie porozmawiać z ojcem?

Harry dał znak swojemu partnerowi.

- Hę, komendancie, tu detektyw Edgar. Wciąż szukamy świadka, z którym chcielibyśmy porozmawiać, zanim przesłuchamy ojca. Zamierzamy dzień z tym poczekać. Chodzi o przyjaciela ofiary z dzieciństwa. Myślimy, że może wiedział o maltretowaniu chłopca. Naszym zdaniem jest w Hollywood i rozgląda się za nim mnóstwo...

- Bardzo dobrze, detektywie. Wrócimy do tej rozmowy jutro rano.

- Tak jest, panie komendancie - powiedziała Grace Billets. - Znów o wpół do dziesiątej?

Odpowiedzi nie było. Irving już się rozłączył.

Rozdział 30

Bosch i Edgar spędzili resztę przedpołudnia na uaktualnianiu raportów w książce dochodzenia oraz dzwonieniu do szpitali w całym mieście w celu odwołania wniosków o wydanie dokumentacji, rozwieszonych w poniedziałek rano. Do południa Bosch miał już jednak dosyć urzędniczej roboty i powiedział, że musi wyrwać się z posterunku.

- Dokąd chcesz jechać? - zapytał Edgar.

- Mam dosyć wyczekiwania - odparł Bosch. - Pojedźmy mu się przyjrzeć.

Użyli prywatnego samochodu Edgara, bo był nieoznakowany, a na parkingu nie stał ani jeden wóz nie w policyjnych barwach. Dojechali autostradą 101 do Doliny, a następnie drogą 405 do zjazdu w Van Nuys. Manchester Trailer Park leżał przy Sepulveda, niedaleko Victory. Przejechali obok niego, następnie zawrócili i wjechali do środka.

Nie było stróżówki, jedynie garb na drodze w żółte pasy. Osiedlowa droga biegła po zewnętrznej stronie domów na kółkach. Przyczepa Sama Delacroix stała z tyłu osiedla i sąsiadowała z siedmiometrowym ogrodzeniem, tłumiącym hałas dobiegający z autostrady. Przynajmniej takie było założenie; faktycznie zmieniało tylko jego tonację i kierunek rozchodzenia się dźwięku.

W przyczepie z większości otworów na nity w aluminiowych ściankach rozchodziły się zacieki rdzy. Pod markizą stał stolik piknikowy oraz grill na węgiel drzewny. Sznur na pranie przeciągnięto od jednego ze wsporników markizy do sąsiedniego domku. W głębi wąskiego podwórka za przyczepą tuliła się do tłumiącego dźwięk ogrodzenia aluminiowa szopa wielkości toalety. Okna i drzwi przyczepy były zamknięte. Pojedyncze miejsce do parkowania było puste. Edgar przejechał obok domku z prędkością dziesięciu kilometrów na godzinę.

- Chyba nikogo nie ma w domu.

- Zajrzyjmy na pole golfowe - zaproponował Bosch. - Jeśli tam jest, to możesz wystrzelać wiaderko piłek albo coś w tym rodzaju.

- Zawsze przyda się poćwiczyć.

Gdy dotarli na pole golfowe, dostrzegli na nim niewielu graczy, wyglądało jednak na to, że rankiem było ich znacznie więcej. Piłki golfowe zaścielały cały trzystumetrowy pas do ćwiczeń - po samo dźwiękoszczelne ogrodzenie, które sąsiadowało z osiedlem. W przeciwnym końcu na wysokich słupach z tablicami ogłoszeniowymi rozpięto siatkę, chroniącą kierowców przed piłkami. W oddali jechał powoli ciągniczek z przyczepionymi z tyłu zgarniarkami i zbierał kule. Kierowcę chroniła szczelna kabina.

Bosch rozglądał się przez kilka chwil, zanim Edgar wrócił z wiaderem piłek wypełnionym do połowy i wyciągniętą z bagażnika torbą z kijami.

- Pewnie to on - powiedział.

- No.

Harry usiadł na ławce i patrzył, jak jego partner przymierza się do wybijania piłek z niewielkiego kwadratu gumy naśladowującej trawę. Po zdjęciu marynarki i krawata Edgar nie wyróżniał się spośród pozostałych ćwiczących. Kilka kwadratów dalej piłki wybijało dwóch mężczyzn w spodniach od dresów i białych koszulach - najwidoczniej korzystali z przerwy obiadowej, by wyrwać się z biura i szlifować formę.

Edgar wsparł torbę na drewnianej podstawce i wybrał jeden z kijów. Włożył wciągniętą z torby rękawiczkę, zrobił kilka zamachów dla rozgrzewki i zaczął wybijać piłki. Z początku kilka razy posłał je za blisko i zaklął. Gdy wreszcie zaczęły lądować dalej, wyglądał na zadowolonego z siebie.

Harry był rozbawiony. Ani razu w życiu nie grał w golfa i nie potrafił pojąć, co w tej grze pociąga tak wielu ludzi. W istocie większość detektywów z wydziału grało w golfa prawie z nabożeństwem, a w stanie

odbywał się cały cykl policyjnych turniejów. Z przyjemnością jednak się przyglądał, jak Edgar się przykłada do tego zajęcia, chociaż ćwiczenie nie wiązało się ze zdobywaniem żadnych punktów.

- Strzel w niego - polecił, kiedy uznał, że Edgar zdążył się już odpowiednio rozgrzać.

- Harry - odparł Edgar. - Wiem, że nie grasz w golfa, ale mam dla ciebie informację. W golfie celuje się do szpilki - czyli porporca. Nie ma ruchomych celów.

- To dlaczego byli prezydenci zawsze trafiają w ludzi?

- Bo im wolno.

- Daj spokój, sam powiedziałeś, że każdy próbuje trafić faceta na traktorze. Wal.

- Wszyscy oprócz poważnych graczy.

Edgar ustawił się jednak tak, iż widać było, że chce trafić w ciągniczek, który dotarł do końca krzyżówki i zawracał. Sądząc po słupkach mierniczych, znajdował się w odległości prawie stu czterdziestu metrów.

Edgar uderzył w piłkę, ale znów wylądowała za blisko.

- Do diabła! Widzisz, Harry? Mogę w ten sposób zepsuć swoje uderzenie.

Bosch zaczął się śmiać.

- Z czego tak rechoczesz?

- To tylko gra, człowieku. Uderz jeszcze raz.

- Daj spokój. To dziecinada.

- Wal.

Edgar nie odpowiedział. Znów przegiął się, celując w ciągniczek, który był teraz w połowie pola. Zamachnął się i uderzył w piłkę, która poszybowała ze świstem we właściwym kierunku, ale z siedem metrów nad ciągniczkiem.

- Ładny strzał - ocenił Bosch. - Chyba że celowałeś w traktor.

Edgar rzucił mu spojrzenie spode łba, ale się nie odezwał.

Przez następnych pięć minut wybijał kolejne piłki w stronę ciągniczka, ale ani razu nie udało mu się sprawić, by minęły go w odległości mniejszej niż dziesięć metrów. Bosch nie odzywał się ani słowem, lecz frustracja Edgara narastała, aż odwrócił się i zapytał ze złością:

- Może spróbujesz?
- Och, nadal chciałeś w niego trafić? Nie wiedziałem.
- Daj spokój, jedźmy.
- Została ci jeszcze połowa piłek.
- Nic mnie to nie obchodzi. Zepsułem sobie grę na cały miesiąc.
- Tylko tyle?

Edgar z gniewem wepchnął kij do torby i znów rzucił Boschowi spojrzenie spode łba. Harry o mały włos nie wybuchnął śmiechem.

- Opanuj się, Jerry, chcę się przyjrzeć facetowi. Możesz wybić jeszcze kilka piłek? Wygląda na to, że wkrótce i tak tu dotrze.

Edgar obejrzał się na pole golfowe. Ciągniczek był na wysokości słupków, oznaczających dystans pięćdziesięciu metrów. Zakładając, że zaczął od ogrodzenia tłumiącego dźwięk, wkrótce powinien dotrzeć do początku pola. Nowych piłek było za mało - strzelał tylko Edgar i dwóch ludzi w białych koszulach - by opłacało się przeczesać jeszcze raz całe pole.

Edgar w milczeniu uległ pokusie. Wyjął kolejny kij i wrócił na zielony kwadrat naśladujący trawę. Posłał piękną piłkę prawie do samego ogrodzenia.

- Tiger Woods całuj mnie w tyłek - powiedział.
- Następna piłka wylądowała w prawdziwej trawie trzy metry od niego.
- Cholera.
- Kiedy gra się na poważnie, też wybija się piłkę ze sztucznej trawy?
- Nie, Harry. Tylko w trakcie ćwiczeń.
- Och, czyli podczas ćwiczeń nie odtwarza się rzeczywistych warunków gry?
- Coś w tym rodzaju.

Ciągniczek zjechał z pola golfowego do szopy za koncesjonowanym stoiskiem, w którym Edgar wykupił swoje wiaderko piłek. Otworzyły się pokryte siatką drzwi i pojawił się w nich mężczyzna w wieku około sześćdziesięciu lat. Zaczął wyciągać spod zgarniarki koszyki z piłkami i nosić je do szopy. Harry kazał Edgarowi dalej wybijać piłki, żeby nie rzucali się w oczy. Sam nonszalancko podszedł do stoiska i wykupił kolejne pół wiadra piłek. Dzięki temu znalazł się w odległości około siedmiu metrów od kierowcy traktora.

Był to rzeczywiście Samuel Delacroix. Harry poznał go na podstawie zdjęcia do prawa jazdy, które Edgar wcześniej wyciągnął z dokumentów.

Mężczyzna, który grał niegdyś jasnowłosego Aryjczyka o niebieskich oczach i oczarował osiemnastoletnią dziewczynę, był obecnie równie dystyngowany jak kanapka z szynką. Wciąż miał jasne włosy, które jednak przerzedzały się na czubku głowy. Jednodniowa szczecina połyskiwała w blasku słońca. Niedopasowane okulary ścisnęły rozdęty od alkoholu i upływu czasu nos. Mężczyzna miał brzuszysko piwosza, dyskwalifikujące go jako żołnierza jakiegokolwiek armii.

- Dwa pięćdziesiąt. - Bosch obejrzał się na kobietę za kasą. - Za piłki.
- No tak, prawda.

Zapłacił i wziął wiaderko. Popatrzył na Delacroix, który obejrzał się w jego stronę. Przez chwilę ich spojrzenia się skrzyżowały, po czym Bosch obojętnie odwrócił wzrok. Doszedł z powrotem do Edgara. W tym samym momencie zaświergotał jego telefon komórkowy.

Szybko podał wiaderko Edgarowi i wyciągnął telefon z tylnej kieszeni. Dzwonił Mankiewicz, pełniący akurat dzienny dyżur.

- Ej, Bosch, co porabiasz?
- Gram w golfa.
- Pasuje. Opierdalacie się, kiedy my odwalamy całą robotę.
- Znaleźliście mojego człowieka?
- Tak sądzimy.
- Gdzie?

- Pracuje w Washaterii. No wiesz, za napiwki i drobniaki.

Washateria była myjnią samochodową przy La Brea. Zatrudniano w niej na dniówki ludzi, którzy odkurzali i myli wozy. Pracowali przeważnie za napiwki i to, co udało im się niepostrzeżenie ukraść ze środka samochodów.

- Kto go wypatrzył?

- Para ludzi z obyczajówki. Są pewni na osiemdziesiąt procent. Chcą wiedzieć, czy mają go zgarnąć, czy wolisz sam tam przyjechać.

- Powiedz im, żeby się nie ruszali i że już jestem w drodze. Aha, wiesz co, Mank? Sądzymy, że facet może próbować zwiać. Możesz podesać jakiś zapasowy wóz na wypadek, gdyby rzeczywiście tak było?

- Hm... - Zapadło milczenie. Harry domyślił się, że Mankiewicz sprawdza grafik. - No, masz szczęście. Kilka zespołów z wieczornej zmiany zgłosiło się wcześniej. Za kwadrans będą po odprawie. Odpowiada ci?

- Idealnie. Przekaż, że spotkamy się na parkingu Checkers na rogu La Brea i Bulwaru Zachodzącego Słońca. Niech tam będą też ludzie z obyczajówki.

Harry dał znak Edgarowi, że odjeżdżają.

- Hm, jeszcze jedno - powiedział Mankiewicz.

- O co chodzi?

- W tym zapasowym radiowozie będzie Brasher. To nie stanowi problemu?

Harry zamilkł na chwilę. Chciał powiedzieć Mankiewiczowi, żeby wysłał kogoś innego, ale wiedział, że nie pozwala mu na to jego stanowisko. Gdyby przez związek z Julią próbował wpływać na skład patroli czy cokolwiek innego, naraziłby się na krytykę lub dochodzenie wydziału spraw wewnętrznych.

- Nie, nie będzie.

- Posłuchaj, sam bym ją zdjął, ale jest zielona. Zrobiła parę błędów i potrzebuje takiego doświadczenia.

- Powiedziałem, że nie ma problemu.

Rozdział 31

Plan aresztowania Johnny'ego Stokesa opracowano na masce samochodu Boscha. Policjanci z obyczajówki, Eyman i Leiby, narysowali plan Washaterii na bloku formatu A-4 i zakreślili miejsce, gdzie go wypatrzyli - pod wiatą do woskowania. Myjnię otaczały z trzech stron betonowe ściany i inne zabudowania. Zajmowała prawie pięćdziesiąt metrów wzdłuż La Brea; biegł tam półtorametrowy mur z wjazdem i wyjazdem na końcach. Gdyby Stokes zdecydował się na ucieczkę, musiałby go sforsować, ale przypuszczalnie wolałby czmychnąć przez wjazd lub wyjazd.

Plan był prosty. Eyman i Leiby mieli kryć wjazd do myjni, a Julia Brasher i jej partner Edgewood - wyjazd. Bosch i jego partner mieli wjechać do środka samochodem Edgara jako klienci i zatrzymać Stokesa. Przełączyli radiostacje na częstotliwość taktyczną i opracowali kod: „czerwone” znaczyło, że Stokes ucieka, a „zielone” - że dał się aresztować bez oporu.

- Pamiętajcie o jednym - powiedział Bosch. - Tutaj prawie każdy człowiek z odkurzaczem, gąbką czy wiadrem z wodą prawdopodobnie przed czymś ucieka - nawet jeśli jest to tylko ła migra. Dlatego jeśli nawet zdejmimy bez problemów Stokesa, pozostali mogą zrobić zadymę. Kiedy w myjni pokazują się policjanci, to jakby krzyknąć w teatrze, że się pali. Wszyscy zaczną uciekać, aż zorientują się, o kogo chodziło.

Pozostali pokiwali głowami, a Harry popatrzył znacząco na najmniej doświadczoną w tym gronie Julię. Zgodnie z tym, co uzgodnili poprzedniego wieczoru, nie okazywali, że łączy ich cokolwiek poza służbą. Teraz chciał jednak wyraźnie zaznaczyć, w jak różny sposób mogło przebiegać takie aresztowanie.

- Zrozumiałas, nowa? - zapytał.

- Tak, zrozumiałam. - Julia się uśmiechnęła.

- No dobrze, skupmy się... Ruszamy.

Wydało mu się, że widzi uśmiech na twarzy Julii, gdy wsiadała z Edgewoodem do radiowozu.

Podszedł ze swoim partnerem do jego lexusa. Zatrzymał się, gdy dotarło do niego, że samochód wygląda na świeżo umyty i wywoskowany.

- Cholera.

- Co mam powiedzieć, Harry? Dbam o swój samochód.

Bosch się rozejrzył. Za jadłodajnią stał otwarty kontener na śmieci w świeżo umytej betonowej niszy. Na chodniku zebrała się czara wody.

- Przejeżdż kilka razy przez tę kałużę - powiedział. - Pochlapiesz samochód.

- Harry, nie będę paćkał tym głównym wozu.

- Daj spokój, samochód musi wyglądać, jakby wymagał mycia, bo ktoś może się zorientować. Sam powiedziałeś, że facet zwieje przy pierwszej okazji. Nie dajmy mu powodu.

- Przecież nie zależy nam na tym, żeby rzeczywiście umyć wóz. Jak pochłapię go tym głównym, to nie da się usunąć.

- Coś ci powiem, Jerry. Jeśli zgarniemy faceta, to każę Eymaonowi i Leiby'emu odwiedzić go na komendę, a ty umyjesz samochód. Nawet za to zapłacę.

- Cholera.

- Daj spokój, wjeżdż tylko w tę kałużę. Tracimy czas.

Gdy Edgar zachlapał samochód, w milczeniu podjechali pod myjnię. Kiedy dotarli do wjazdu, zobaczyli zaparkowany kilka długości wozu dalej samochód policjantów z obyczajówki. Za myjnią widać też było radiowóz, który stał w rzędzie zaparkowanych samochodów. Harry sięgnął po mikrofon.

- No dobrze, wszyscy na miejscach?

Jeden z policjantów z obyczajówki przytknął dwukrotnie przyciskiem nadawania.

- Gotowi - odpowiedziała na głos Julia.

- W porządku. Wjeżdżamy.

Edgar wjechał na pas obsługi, gdzie klienci podstawiali samochody pod stanowisko odkurzania i zamawiali określony rodzaj mycia lub woskowania. Bosch natychmiast zaczął przypatrywać się pracownikom, ubranym w identyczne pomarańczowe kombinezony i czapki baseballowe. Utrudniało to identyfikację, lecz wkrótce dostrzegł niebieską wiatę stanowiska woskowania i Johnny'ego Stokesa.

- Jest tutaj - powiedział do Edgara. - Pracuje przy czarnym bmw.

Zdawał sobie sprawę, że kiedy tylko wysiądą z samochodu, większość recydywistów w myjni pozna, że są policjantami. Potrafili zidentyfikować stróżów prawa, tak samo jak Bosch rozpoznawał kryminalistów z dziewięćdziesięcioosmioprocentową pewnością. Musiał szybko aresztować Stokesa.

Obejrzał się na Edgara.

- Gotowy?

- Zgarniamy go.

Równocześnie uchylili drzwi. Harry wysiadł i obrócił się w stronę Stokesa, stojącego tyłem do niego dwadzieścia pięć metrów dalej. Johnny przykucnął i prysnął czymś na koło czarnego bmw.

Harry usłyszał, jak Edgar mówi komuś, że odkurzanie jest niepotrzebne i że zaraz wróci.

Obydwaj pokonali połowę dystansu do celu, gdy zostali rozpoznani przez któregoś z pracowników. Za ich plecami rozległo się wołanie: „Psy!”.

Dotarło to natychmiast do Stokesa. Wyprostował się i zerwał do biegu. Bosch pognął za nim.

Był pięć metrów za Stokesem, gdy recydywista zorientował się, że jest celem pościgu. Najłatwiej byłoby mu uciekać w lewo, przez wjazd do myjni, ale drogę tarasowało bmw. Skręcił w prawo i zatrzymał się, kiedy dotarło do niego, że to ślepy zaułek.

- Nie! - zawołał Bosch. - Chcemy tylko porozmawiać! Jedynie

pogadać!

Stokes wyraźnie się zgarbił. Bosch ruszył w jego stronę, podczas gdy Edgar zatoczył łuk w prawo na wypadek, gdyby recydywista zdecydował się na dalszą ucieczkę.

Bosch zwolnił i rozłożył szeroko ręce. W jednej z nich trzymał krótkofalówkę.

- Policja Los Angeles. Chcemy tylko zadać kilka pytań, nic więcej.

- O co, człowieku?

- O...

Stokes nagle uniósł rękę i prysnął Harry'emu w twarz środkiem czyszczącym do opon. Skoczył potem w prawo - chociaż wydawało się, że to ślepy zaułek, który kończy się w miejscu, gdzie tylny mur myjni przylega do ściany dwupiętrowego budynku mieszkalnego.

Harry instynktownie podniósł dłonie do oczu. Usłyszał, jak Edgar krzyczy na Stokesa, a następnie szuranie butów po betonie, gdy jego partner ruszył w pościg. Harry nie mógł otworzyć oczu. Przyłożył krótkofalówkę do ust.

- Czerwony! Czerwony! - krzyknął. - Biegnie w róg z tyłu!

Upuścił krótkofalówkę na wystawiony but, żeby nie roztrzaskała się o beton. Otarł rękawem marynarki piekące oczy. Po dłuższej chwili mógł je otworzyć na moment. Wypatrzył skręcony wąż, leżący z tyłu bmw. Dotarł do niego, odkręcił kran i połał sobie twarz, nie przejmując się tym, że moczy ubranie. Wciąż czuł się, jakby oczy wpadły mu do wrzątku.

Po kilku chwilach woda złagodziła pieczenie. Wypuścił wąż, ale wody nie zakręcił. Wrócił po krótkofalówkę. Wszystkie kształty wydawały mu się rozmyte, lecz przynajmniej już widział, gdzie idzie. Gdy nachylił się po krótkofalówkę, usłyszał śmiech któregoś z ludzi w pomarańczowym kombinezonie. Nie zwracając na to uwagi, przełączył się na kanał patrolu Hollywood.

- Jednostki z Hollywood: oficer ściga podejrzanego o napaść, róg La Brea i Santa Monica. Podejrzany to biały mężczyzna, trzydziści pięć lat, ciemne włosy, pomarańczowy kombinezon. Widziany w okolicy Washaterii w Hollywood.

Nie przypominał sobie dokładnego adresu myjni, ale tym się nie przejmował. Na pewno każdy funkcjonariusz wiedział, gdzie to jest. Przełączył się na główny kanał komunikacyjny wydziału i zażądał wysłania ambulansu dla udzielenia pomocy policjantowi. Nie miał pojęcia, co dostało się do jego oczu. Bolały go już wprawdzie mniej, ale nie chciał ryzykować trwałego uszkodzenia wzroku.

Przełączył się wreszcie na kanał taktyczny i zapytał o położenie pozostałych. Zgłosił się jedynie Edgar.

- W rogu z tyłu jest dziura. Stokes przedostał się do zaułka. Jest w jednej z kamienic na północ od myjni.

- Gdzie pozostali?

Odpowiedź Edgara była przerywana - widocznie znalazł się w miejscu, gdzie fale radiowe ulegały wytłumieniu.

- Z tyłu... rozstawili się. Myślę... w garażu. Nic... jest, Harry?

- Poradzę sobie. Wezwałem posiłki.

Nie wiedział, czy Edgar to usłyszał. Wsadził krótkofalówkę do kieszeni i pobiegł w tylny róg kompleksu myjni. Znalazł dziurę, przez którą uciekł Stokes: za paletami pięćdziesięciopięciogalonowych beczek mydła w płynie, stojących w dwóch warstwach w betonowym murze, ziąła wyrwa. Wyglądało na to, że na mur wpadł kiedyś samochód od strony zaułka. Czy było to działanie zamierzone, czy nie, o dziurze na pewno wiedzieli wszyscy poszukiwani ludzie, którzy pracowali w myjni.

Harry skulił się i przelazł na drugą stronę. Zaczepił marynarką o wystający z betonu zardzewiały pręt zbrojeniowy. Po drugiej stronie był zaułek, biegnący za rzędem kamienic przez całą przecnicę.

Czterdzieści metrów dalej w zaułku stał ukośnie radiowóz. Zupełnie pusty, z otwartymi drzwiami. Harry usłyszał radiostację, włączoną na główny kanał komunikacyjny. Dalszy koniec zaułka po tej stronie tarasował samochód policjantów z obyczajówki.

Szybko ruszył w stronę radiowozu, wyciągając słuch i wzrok. Po dojściu do samochodu wyjął krótkofalówkę i spróbował skontaktować się z kimkolwiek na kanale taktycznym. Bez powodzenia.

Zobaczył, że radiowóz stoi przed pochyłym zjazdem do podziemnego garażu pod największą z kamienic. Przypomniawszy sobie, że Stokes zajmował się kradzieżą samochodów, i zrozumiał, po co recydywista uciekał do garażu. Jeśli ukradnie samochód, ma szansę uciec.

Harry zbiegł po rampie w ciemność.

Wielki garaż miał bodajże takie same rozmiary jak budynek nad nim. Samochody stały zaparkowane w trzech rzędach, a kolejna rampa prowadziła na niższy poziom. Nikogo nie było widać. Dobiegało jedynie kapanie z rur pod sklepieniem. Bosch szybko wyszedł na środkowy przejazd. Dopiero teraz wyciągnął broń. Stokes posłużył się już spryskiwaczem jako bronią. W garażu mógł użyć czegoś innego.

Posuwając się naprzód, Bosch zaglądał do środka nielicznych samochodów - domyślał się, że większość mieszkańców była w pracy. Szukał śladów włamania, ale nigdzie ich nie znalazł. Unosił właśnie krótkofalówkę do ust, kiedy usłyszał tupot biegnącego człowieka, dochodzący od wylotu zjazdu

na niższy poziom. Szybko ruszył w tamtą stronę i zaczął iść w dół, starając się to robić jak najciszej.

Na niższym poziomie było jeszcze ciemniej, bo wpadało tu mniej dziennego światła. Gdy Bosch wyszedł na poziomą posadzkę, jego wzrok przyzwyczaił się już do mroku. Nikogo nie zobaczył, ale konstrukcja zjazdu zasłaniała mu widok na połowę piętra. Zaczął ją okrążyć, kiedy usłyszał dobiegający z przeciwległego końca wysoki, przejęty głos Julii Brasher.

- Stój! Stój! Nie ruszaj się!

Bosch z uniesioną bronią ruszył w tamtą stronę wzdłuż skraju zjazdu. Wyszkolenie podpowiadało mu, żeby zawołać, dać znać drugiemu funkcjonariuszowi o swojej obecności. Wiedział jednak, że jeśli Julia jest sam na sam ze Stokesem, jego krzyk przypuszczalnie by ją rozproszył, a wówczas Stokes mógłby rzucić się do ucieczki lub zaatakować policjantkę.

Gdy wszedł pod zjazd, zobaczył ich obojwoje pod przeciwną ścianą, niecałe dwadzieścia metrów od siebie. Julia zmusiła Stokesa do stanięcia z rozpostartymi rękami i nogami pod ścianą. Przyciskała go do niej. Obok jej prawej stopy leżała latarka; snop światła padał na mur, o który opierał się Stokes.

Julia postąpiła zgodnie z procedurą. Bosch poczuł ulgę i prawie natychmiast dotarło do niego, że wywołała ją świadomość, iż nic się jej nie stało. Wyprostował się z półprzysiadu i ruszył w ich stronę, opuszczając broń. Był za nimi. Gdy zrobił kilka kroków, zobaczył, że Julia zdejmuje Stokesowi rękę z ramienia, cofa się i rozgląda na boki. Bosch natychmiast uznał to za błąd. Było to całkowicie sprzeczne z wpajanymi na szkoleniach regułami. Umożliwiło Stokesowi ucieczkę.

Czas jakby zwolnił bieg. Bosch zaczął krzyczeć, ale przerwał mu gwałtowny huk. Julia upadła na posadzkę, Stokes został na miejscu. Echo wystrzału odbiło się od betonowych ścian, uniemożliwiając zorientowanie się, gdzie było jego źródło.

Miał w głowie tylko jedną myśl: skąd strzelano?

Uniósł broń i równocześnie przykucnął w pozycji strzeleckiej. Zaczął się rozglądać, zobaczył jednak, że Stokes odwraca się od ściany. Moment później ujrzał, że Julia unosi rękę znad posadzki, mierząc w obracającego się kryminalistę. Bosch wycelował swojego glocka w Stokesa.

- Nie ruszać się! - krzyknął. - Nie ruszać się!!!

Sekundę potem był już przy nich.

- Nie strzelaj, człowieku! - wrzasnął Stokes. - Nie strzelaj!

Bosch nie spuszczał z niego wzroku. Oczy wciąż go paliły i musiał je przemyć, wiedział jednak, że nawet mrugnięcie mogło być fatalne w skutkach.

- Kładź się! Na ziemię! Już!

Stokes wyciągnął się na brzuchu i rozpostarł ramiona pod kątem prostym do reszty ciała. Bosch stanął nad nim i przeciwionym tysiąc razy ruchem zakuł go w kajdanki.

Schował broń do kabury i obrócił się w stronę Julii. Miała rozszerzone źrenice i wodziła oczami tam i z powrotem. Krew zachlapała jej szyję i przesączyła się już przez przód munduru. Klęknął nad nią i rozdarł jej koszulę. Krwi było tak wiele, że przez chwilę nie potrafił zlokalizować rany. Pocisk trafił ją w lewy bark, parę centymetrów nad rzepem kamizelki kuloodpornej.

Krew wypływała z rany bez przeszkód. Twarz Julii szybko nabierała ziemistej barwy. Poruszała ustami, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk. Bosch rozejrzał się za czymś, by zatamować krwawienie. Dostrzegł ścierkę do mycia samochodów, wystającą z tylnej kieszeni Stokesa. Wyszarpnął ją i przycisnął do rany. Julia jęknęła z bólu.

- Julio, to będzie bolało, ale muszę zatamować krwawienie.

Ściągnął jedną ręką krawat, wsunął go pod jej bark i przeciągnął z wierzchu. Zacisnął węzeł tylko z taką siłą, by ścierka się nie przesunęła.

- No dobrze, trzymaj się, Julio.

Chwytał krótkofalówkę z posadzki i szybko przełączył się na główny kanał.

- Dyspozytor, postrzelony funkcjonariusz, dolny poziom garażu w La Brea Park, róg La Brea i Santa Monica. Potrzebujemy karetki, NATYCHMIAST! Podejrzany zatrzymany. Potwierdź.

Czekał niemal wieczność, aż dyspozytor odpowiedział, że kontakt się rwie i żeby Bosch powtórzył wezwanie. Bosch wyłączył i włączył przycisk nadawania.

- Gdzie sanitariusze?! Został trafiony funkcjonariusz!! - Przełączył się na częstotliwość taktyczną. - Edgar, Edgewood, jesteśmy na dolnym

poziomie garażu. Brasher dostała. Mam Stokesa pod kontrolą. Powtarzam, Brasher dostała.

Upuścił krótkofalówkę i krzyknął „Edgar” tak głośno, jak tylko potrafił. Zerwał z siebie marynarkę i zwinął ją w kłębek.

- Człowieku, ja tego nie zrobiłem! - zawołał Stokes. - Nie wiem, co się...

- Zamknij się! Kurwa mać, zamknij się!

Wsunął Julii pod głowę marynarkę. Zaciśnięta zęby z bólu, zbieleły jej wargi.

- Już jedzie karetka, Julio. Wezwałem ją, zanim jeszcze dostałaś. Jasnowidz ze mnie czy co? Musisz się trzymać, Julio. Trzymaj się!

Uchyliła usta, chociaż widać było, że wiele ją to kosztuje. Zanim jednak zdążyła cokolwiek powiedzieć, znów rozkrzyczał się Stokes.

- To nie moja wina, człowieku! - wołał ze strachem, który graniczył z histerią. - Nie pozwól, żeby mnie zabili! To nie ja ZROBIŁEM!!!

Bosch przechylił się i przycisnął z całych sił Stokesa do posadzki.

- Zamknij ryj, kutasie, albo sam cię zabiję! - krzyknął mu prosto w ucho.

Natychmiast odwrócił się z powrotem do Julii. Miała wciąż otwarte oczy, po policzkach ciekły jej łzy.

- Jeszcze tylko parę minut, Julio. Musisz wytrzymać!

Wyjął jej pistolet z ręki i położył go jak najdalej od Stokesa.

Ujął dłoń Julii w obie ręce.

- Co się stało? Co się stało, do diabła?!

Otworzyła i znowu zamknęła usta. Na rampie rozległ się tupot biegnących ludzi. Bosch usłyszał, że woła go Edgar. - Tutaj! Po chwili byli przy nim Edgar i Edgewood.

- Julia! - zawołał Edgewood. - Och, do diabła!

Bez chwili wahania podszedł do Stokesa i wymierzył mu z furią kopniaka w bok.

- Pierdolony skurwysynu! Przygotował się, by powtórzyć kopnięcie.

- Nie! Cofnij się! Odejdź od niego!

Edgar chwycił Edgewooda i odciągnął go od Stokesa, który po kopniaku był niczym ranne zwierzę, a potem mamrotał i jęczał ze strachu.

- Zabierz Edgewooda na górę i przyprowadź tutaj sanitariuszy - polecił Harry Edgarowi. - Krótkofalówki są tutaj gównem warte. - Obydwaj policjanci stali jak zakłęci. - Idźcie! No już!

Jak na dany znak w oddali rozległo się wycie syren.

- Chcesz jej pomóc? To idź po nich!

Edgar odwrócił Edgewooda. Obydwaj wbiegli po rampie.

Harry obrócił się do Julii. Jej twarz miała teraz barwę płótna - wchodziła we wstrząs. Harry nie rozumiał dlaczego - ostatecznie została trafiona w ramię. Nagle zastanowił się, czy nie padły dwa strzały. Czy huk i echo zagłuszyły drugi? Przyjrzał się Julii, ale nie widział śladów drugiego trafienia. Nie chciał obracać jej na bok, bojąc się, że wyrządzi jej tym większą szkodę. Nie wypływała jednak spod niej krew.

- No, Julio, trzymaj się. Wytrzymasz. Słyszałaś? Sanitariusze zaraz tu będą. Wytrzymaj tylko.

Otworzyła usta i wysunęła przed siebie podbródek.

- Złapał... - zaczęła mówić - ... sięgnął po... - Zaciśnięta zęby i pokręciła głową wspartą na marynarce. Spróbowała powiedzieć coś jeszcze. - To nie... ja nie...

Harry nachylił się nad nią.

- Cicho - powiedział kategorycznie. - Cicho, nic nie mów. Skup się tylko, żeby przeżyć, Julio. Nie popuszczaj. Nie umieraj. Proszę, nie umieraj.

Czuł przenikające garaż wibracje. Po chwili od ścian odbiły się czerwone światła. Obok nich zatrzymała się karetka. Za nią stanął radiowóz. Do garażu zbiegali funkcjonariusze w mundurach, byli z nimi Eymann i Leiby.

- Och, Boże, och, proszę - mamrotał Stokes. - Niech tego nie zrobią...

Przy Boschowi znalazł się sanitariusz. Pierwsze, co zrobił, to położył mu dłoń na ramieniu i delikatnie go odciągnął. Bosch pozwolił na to bez oporu, zdając sobie sprawę, że od tej chwili tylko by przeszkadzał. Cofając się na kolanach w tył, poczuł, że Julia nagle zaciśnięta mu dłoń na przedramieniu i pociągnęła ku sobie.

- Harry, nie pozwól im... - wyszeptała cienkim głosem.

Nie dosłyszał reszty, bo sanitariusz zakrył jej usta maską tlenową.

- Niech pan się odsunie - powiedział zdecydowanie do Harry'ego.

Bosch odpełził jeszcze kawałek na czworakach. Potem wyciągnął dłoń i na chwilę uściśnął kostkę Julii.

- Nic ci nie będzie, Julio.

- Julio? - powiedział drugi sanitariusz, kucając obok niej z wielką torbą z ekwipunkiem medycznym.

- Julio.

- No dobrze, Julio - powiedział sanitariusz. - Jestem Eddie, a to Charlie. Zaraz cię połatamy. Nic ci nie będzie, tak jak powiedział twój kumpel. Musisz być jednak twarda. Musisz tego chcieć, Julio. Musisz walczyć.

Odpowiedziała coś, czego nie dało się zrozumieć. Były to trzy krótkie słowa, miał jednak wrażenie, że je zrozumiał. „Nic nie czuję”.

Sanitariusze podjęli zabiegi zmierzające do wyprowadzenia jej ze wstrząsu. Ten, który nazywał się Eddie, przez cały czas mówił do Julii. Bosch wstał i podszedł do Stokesa. Poderwał go z posadzki i odepchnął od ekipy ratunkowej.

- Mam połamane żebra - poskarżył się Stokes. - Potrzebuję sanitariuszy.

- Nic na to nie poradzą, wierz mi, Stokes. Więc zamknij ryj.

Podeszło do nich dwóch mundurowych. Harry poznał, że byli pośród tych, którzy kilka wieczorów wcześniej mówili Julii, że spotkają się z nią u Boardnera. Byli jej przyjaciółmi.

- Zabierzemy go na komendę.

Harry bez wahania przepchnął Stokesa obok nich.

- Musi pan tu zaczekać na zespół, detektywie.

Mieli rację. Lada chwila powinien zjawić się zespół, wyjaśniający przypadki użycia broni przez policjanta lub przeciwko niemu. Boscha czekało przesłuchanie jako najważniejszego świadka. Nie zamierzał jednak powierzyć Stokesa komuś, komu całkowicie nie ufał. Wszedł z nim po rampie w stronę światła.

- Słuchaj, Stokes, chcesz żyć?

Młodszy mężczyzna nie odpowiedział. Szedł zgarbiony po kopnięciu w żebra. Bosch stuknął go lekko w miejsce, w które kopnął Edgewood. Stokes głośno jęknął.

- Słuchasz mnie? - zapytał Bosch. - Chcesz przeżyć?

- Pewnie, że chcę.

- To posłuchaj. Zostawię cię w pokoju przesłuchań i masz nie odzywać się do nikogo oprócz mnie. Rozumiesz?

- Rozumiem. Nie daj, żeby zrobili mi krzywdę. Nikomu nic nie zrobiłem. Nie wiem, co się stało, człowieku. Powiedziała, żebym stanął pod ścianą, to zrobiłem, co kazała. Przysięgam na Boga, że tylko...

- Zamknij się! - rozkazał Bosch.

Po zjeździe schodzili kolejni policjanci, a jemu w tej chwili zależało najbardziej na tym, żeby wyprowadzić stąd Stokesa.

Gdy wyszli na światło dnia, Harry zobaczył na chodniku Edgara, który rozmawiał przez telefon komórkowy. Drugą ręką kierował do garażu karetkę transportową. Harry pchnął Stokesa w jego stronę. Gdy dochodzili do niego, Edgar złożył telefon.

- Właśnie rozmawiałem z panią porucznik. Już tu jedzie.

- Doskonale. Gdzie twój samochód?

- Wciąż w myjni.

- Idź po niego. Zabieramy Stokesa na posterunek.

- Harry, nie możemy po prostu odjechać z miejsca...

- Widziałeś, co zrobił Edgewood. Musimy zabrać tego zasańca w bezpieczne miejsce. Idź po swój samochód. Jeśli będą nam truć o to dupę, biorę to na siebie.

- W takim razie zgoda.

Edgar pobiegł w stronę myjni.

Harry wypatrzył słup przy narożniku kamienicy. Podszedł tam ze Stokesem i przykuł go do niego.

- Czekaj tutaj - powiedział. Odsunął się i przegarnął ręką włosy.

- Co tu się stało, do cholery?

Nie zdawał sobie sprawy, że mówi to na głos, dopóki Stokes nie zaczął w odpowiedzi jęczeć, że on nic nie zrobił.

- Zamknij się! Nie mówiłem do ciebie.

Rozdział 32

Bosch i Edgar przeprowadzili Stokesa przez salę detektywów na krótki korytarz, od którego odchodziły pokoje przesłuchań. Wepchnęli go do pokoju numer 3 i przykuli do stalowego pierścienia na środku stołu.

- Wrócimy - powiedział Bosch.

- Ej, nie zostawiaj mnie tutaj, człowieku - zaczął Stokes. - Przyjdą po mnie.

- Nikt nie przyjdzie oprócz mnie - odrzekł Bosch. - Tylko siedź cicho.

Wyszli z pokoju i go zamknęli. Harry wrócił do biurka. Pokój detektywów był zupełnie pusty. W razie postrzelenia policjanta wszyscy ruszali na pomoc - to był artykuł wiary policyjnej religii. Gdybyś to ty oberwał, chciałbyś, żeby wszyscy ci pomagali, dlatego zachowywałeś się tak samo.

Harry potrzebował papierosa, czasu na zastanowienie i kilku odpowiedzi. Nie mógł przestać myśleć o Julii. Wiedział jednak, że nie ma żadnego wpływu na jej stan, i musi zająć się czymś, nad czym ma kontrolę.

Zdawał sobie sprawę, że zostało mu niewiele czasu, nim zespół do spraw użycia broni trafi tu tropem jego i Stokesa. Podniósł słuchawkę i zadzwonił na dyżurkę. Zgłosił się Mankiewicz - zapewne jedyny policjant, który został w komendzie.

- Jakie najnowsze informacje? - zapytał Bosch. - Co z nią?

- Nie wiem. Słyszałem, że źle. Gdzie jesteś?

- Na komendzie. Mam zatrzymanego.

- Co ty wyprawiasz, Harry? Zespół włączył się do sprawy. Powinieneś być na miejscu strzelaniny. Obydwaj powinniście.

- Powiedzmy, że bałem się pogorszenia sytuacji. Słuchaj, zawiadom mnie natychmiast, jeśli dowiesz się czegoś o Julii, dobrze?

- Dobrze.

Miał już się rozłączyć, kiedy przypomniał sobie jeszcze o jednym.

- Posłuchaj mnie, Mank. Twój Edgewood próbował skopać podejrzanego. Facet cały czas leżał w kajdankach na ziemi. Pewnie ma cztery czy pięć złamanych żeber. - Bosch zaczekał. Mankiewicz nie odpowiedział. - Wybór należy do ciebie. Mogę zameldować o tym oficjalnie albo pozwolić ci, żebyś załatwił to po swojemu.

- Zajmę się tym.

- Dobra. Pamiętaj, daj mi znać, jeśli będziesz coś wiedział.

Odłożył słuchawkę i popatrzył na Edgara, który pokiwał głową z aprobatą wobec sposobu, w jaki Bosch załatwił sprawę Edgewooda.

- Co ze Stokesem? - spytał Edgar. - Kurwa, Harry, co tam się stało w garażu?

- Nie jestem pewny. Słuchaj, pójde do niego i porozmawiam o Arthurze Delacroix. Zobaczę, ile z niego wycisnę, zanim wedrze się tutaj zespół do spraw użycia broni i go zabierze. Postaraj się ich zatrzymać, kiedy tu dotrą.

- No, tak samo mi to wyjdzie, jak nakopanie w sobotę Tigerowi Woodsowi w tyłek na Rivierze.

- Tak, wiem.

Harry wyszedł na tylny korytarz. Dotarł do drzwi pokoju 3, gdy zdał sobie sprawę, że nie odzyskał swojego magnetofonu od Carol Bradley z wydziału spraw wewnętrznych. Chciał nagrać rozmowę ze Stokesem. Minął drzwi pokoju przesłuchań i wszedł do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie stała aparatura wideo. Włączył kamerę skierowaną na pokój 3 oraz dodatkowy magnetofon.

Zawrócił do pokoju przesłuchań i usiadł naprzeciwko Stokesa. Z młodego mężczyzny jakby uszło życie. Niecałą godzinę temu woskował bmw za parę dolarów. Teraz czekał go powrót do więzienia - jeśli

będzie miał szczęście. Wiedział, że krew policjanta przyciąga niebieskie rekiny.

Wielu podejrzanych zostawało zastrzelonych podczas próby ucieczki lub w niewyjaśniony sposób wieszano się w pokojach przesłuchań. Przynajmniej taką wersję dostawali dziennikarze.

- Wyświadczyć sobie wielką przysługę - powiedział Bosch. - Uspokój się i nie zrób żadnego głupstwa. Nie rób nic, za co ci ludzie mogliby cię zabić. Zrozumiałeś?

Stokes pokiwał głową. Bosch zobaczył paczkę Marlboro w kieszeni na piersi jego kombinezonu. Sięgnął przez stół i Stokes skrzywił się z trwogi.

- Uspokój się.

Wyjął paczkę i zapalił papierosa zapalką wyjętą z pudełka wsuniętego za celofan. Przysunął mały kosz na śmieci z kąta pokoju i wrzucił do niego zapalkę.

- Gdybym chciał ci przywalić, zrobiłbym to w garażu. Dzięki za papierosa.

Bosch posmakował dym. Minęły ponad dwa miesiące, odkąd miał ostatnio papierosa w ustach.

- Mogę zapalić? - zapytał Stokes.

- Nie. Nie zasłużyłeś. Nie zasługujesz nawet na kopa w dupę, ale jestem gotów zawrzeć z tobą mały układ. - Stokes podniósł wzrok na Boscha. - Pamiętasz kopniaka w żebra, którego oberwałeś w garażu? Układ jest taki. Zapomnisz o nim i zniesiesz go jak mężczyzna, to ja zapomnę, że prysnąłeś mi w twarz tym syfem.

- Mam połamane żebra, człowieku.

- A mnie wciąż palą oczy, człowieku. To był przemysłowy środek do czyszczenia. Prokurator zrobi z tego napaść na funkcjonariusza policji, zanim zdążysz powiedzieć pięć do dziesięciu w Corcoran. Pamiętasz odsiadkę w Core, prawda? - Bosch odczekał, aż dotrze to do Stokesa. - To co, umowa stoi?

Stokes kiwnął głową, ale powiedział:

- A co to za różnica? Powiedzą, że to ja do niej strzelałem. Nie...

- Przecież obaj wiemy, że tego nie zrobiłeś. - Zobaczył, że w oczach Stokesa pojawia się na powrót iskierka nadziei. - A ja opowiem dokładnie, co widziałem.

- Dobra - odrzekł niemal szeptem Stokes.

- No to zaczynajmy od początku. Dlaczego uciekałeś?

- Bo to właśnie robię, człowieku. - Stokes potrząsnął głową. Uciekam. Jestem kryminalistą, a ty to pan władza. No to uciekam.

Bosch zdał sobie sprawę, że wskutek zamieszania i pośpiechu nikt jeszcze nie zrewidował Stokesa. Kazał mu wstać. Ponieważ Stokes był przykuty, mógł to zrobić, tylko pochylając się nad stołem. Bosch stanął za nim i zaczął przeszukiwać mu kieszenie.

- Masz jakieś igły?

- Żadnych, człowieku.

- Dobra. Nie chciałbym się ukłuć. Jak się ukłuję, to nie ma żadnej umowy.

Podczas rewizji Stokesa trzymał papierosa w ustach. Dym palił go w już i tak piekące oczy. Wyjął portfel, klucze na kółku i zwitek banknotów - dwadzieścia siedem jednodolarówek, napiwki Stokesa z tego dnia. Nic więcej nie było. Jeśli nawet Stokes nosił narkotyki na sprzedaż czy na własny użytek, wyrzucił je podczas próby ucieczki.

- Policjanci przeszukają teren z psami - powiedział. - Jeśli wyrzuciłeś prochy, to je znajdą i nic nie będę mógł z tym zrobić.

- Niczego nie wyrzuciłem. Jeśli powiedzą, że coś mają, to to podrzucili.

- Pewnie, tak samo jak O. J. Simpsonowi.

Bosch usiadł.

- Pamiętasz, co ci na początku powiedziałem? Chcemy tylko porozmawiać. Tak powiedziałem i to prawda. To wszystko... Tego wszystkiego można było uniknąć, gdybyś mnie tylko posłuchał.

- Gliny nigdy nie chcą tylko rozmawiać. Zawsze chcą czegoś więcej.

Bosch pokiwał głową. Już dawno przestał się dziwić, jak dobrze recydywiści znali życie.

- Opowiedz mi o Arthurze Delacroix.

Stokes zmrużył oczy ze zdziwienia.

- Co? O kim?

- O Arthurze Delacroix. Kumplu, z którym jeździliście na deskorolkach. Z czasów Miracle Mile. Przypominasz sobie?

- Jezu, człowieku, to było...
 - Dawno temu. Wiem. Dlatego pytam.
 - Co z nim? Dawno go nie widziałem.
 - Opowiedz mi o nim. Powiedz, jak to było, kiedy zniknął.
- Stokes popatrzył na skute kajdankami ręce i powoli pokręcił głową.
- To było dawno temu. Nic nie pamiętam.
 - Postaraj się. Dlaczego zniknął?
 - Nie wiem. Może miał dość tego gówna i nawiał.
 - Mówił ci, że zamierza to zrobić?
 - Nie, człowieku, po prostu nawiał. Pewnego dnia zniknął, i już nigdy go nie widziałem.
 - Jakiego gówna?
 - Że co?
 - Powiedziałeś, że miał dość tego gówna i nawiał. Jakiego gówna? O co ci chodziło?
 - Och, wie pan, swojego gównianego życia.
 - Miał kłopoty w domu?

Stokes się roześmiał.

- Miał kłopoty w domu? - powtórzył, naśladując Boscha. - A kto ich nie ma, człowieku.
- Czy był maltretowany - fizycznie - w domu? O to mi chodzi.

Stokes znów się zaśmiał.

- A kto nie był? Mój stary wolał mi przyłożyć, zamiast o czymkolwiek ze mną pogadać. Kiedy miałem dwanaście lat, rzucił we mnie przez pokój pełną puszką piwa. Tylko dlatego, że zjadłem taco, na które miał ochotę. Zabrali mnie potem od niego.

- To naprawdę godne potępienia, ale mówimy o Arthurze Delacroix. Mówił ci kiedyś, że ojciec go bije?

- Nie musiał, człowieku. Widziałem siniaki. Z tego, co pamiętam, zawsze miał limo podbite.

- Od jazdy na deskorolce. Często z niej spadał.

- Gówno prawda, człowieku. - Stokes potrząsnął głową. - Artie był mistrzem. Nic innego nie robił. Był za dobry, żeby zrobić sobie krzywdę.

Bosch trzymał podeszwy płasko na podłodze. Wyczuł wibrację - po pokoju detektywów chodzili teraz ludzie. Wyciągnął rękę za siebie i zamknął drzwi pokoju przesłuchań.

- Pamiętasz, kiedy był w szpitalu? Miał obrażenia głowy. Mówił ci, że to od upadku z deskorolki?

Stokes zmarszczył brwi i wbił wzrok w podłogę. Bosch najwidoczniej obudził w nim wyraźne wspomnienie.

- Pamiętam, że miał ogoloną czachę i szwy jak jakiś pieprzony zamek błyskawiczny. Nie pamiętam, co po...

Ktoś chwycił z zewnątrz za klamkę, po chwili rozległo się walenie w drzwi.

- Detektywie Bosch, tu porucznik Gilmore z zespołu do spraw użycia broni - rozległ się stłumiony głos. - Proszę otworzyć.

Stokes nagle wyprostował się z paniką w oczach.

- Nie! Niech pan nie pozwoli, żeby...

- Zamknij się! - Bosch wychylił się przez stół, złapał Stokesa za kołnierz i przyciągnął do siebie. - Słuchaj, to ważne. - Znów rozległo się stukanie do drzwi. - Twierdzisz, że Arthur nigdy nie mówił ci, że ojciec go bije?

- Słuchaj, człowieku, pomóż mi, kurde, a powiem ci, co tylko zechcesz. Dobra? Jego ojciec to był zasraniec. Mam powiedzieć, że Artie mówił mi, że ojciec toił go kijem od miotły, to tak powiem. Ma być kij do baseballu? Dobra jest, powiem...

- Cholera jasna, chcę, żebyś gadał wyłącznie prawdę. Mówił ci o tym kiedyś czy nie?

Drzwi się otwały - policjanci wzięli klucz z gablotki przy wejściu. Do środka weszło dwóch mężczyzn w cywilnych ubraniach: znajomy Boschowi Gilmore i nieznany mu drugi detektyw z zespołu do spraw użycia broni.

- No, koniec tego dobrego - oświadczył Gilmore. - Co ty, do cholery, wyprawiasz, Bosch?

- Mówił ci? - zapytał raz jeszcze Harry Stokesa.

Drugi detektyw wyjął klucze z kieszeni i przystąpił do rozkuwania Stokesa.

- Nic nie zrobiłem! - zaczął protestować Stokes. - Nic...

- Mówił ci kiedyś? - krzyknął Harry.

- Zabierz go stąd - warknął Gilmore do drugiego detektywa. - Wsadź go do innego pokoju.

Detektyw siłą ściągnął Stokesa z krzesła i częściowo poniósł, a częściowo powlókł do drzwi. Na stole zostały kajdanki Harry'ego, który zapatrzył się w nie, myśląc o tym, co usłyszał od Stokesa, i czując straszliwy ciężar świadomości, że wszystko poszło na marne. Stokes nie wniósł nic do sprawy, a Julia została postrzelona.

Popatrzył wreszcie na Gilmore'a, który zamknął drzwi i odwrócił się w jego stronę.

- Teraz odpowiedz, Bosch, na moje pytanie: co ty, do cholery, wyprawiasz?

Rozdział 33

Gilmore obracał ołówek w palcach i stukał gumką w blat. Bosch nigdy nie ufał śledczym, sporządzającym notatki ołówkiem. Zespół do spraw użycia broni miał dopasowywać zeznania i fakty tak, aby odpowiadały wersji, jaką wydział chciał zaprezentować ogółowi. Była to ołówkowa drużyna - uzyskanie pożądanego rezultatu wymagało korzystania z ołówka i gumki, ale nigdy z atramentu czy maszyny do pisania.

- Przeróbmy to jeszcze raz - powiedział Gilmore. - Opowiedz mi raz jeszcze, co zrobiła posterunkowa Brasher?

Harry popatrzył za niego. Znalazł się na krześle dla podejrzanych w pokoju przesłuchań i miał przed sobą jednostronne lustro. Był pewien, że stoi za nim co najmniej pół tuzina ludzi, może nawet zastępca komendanta Irving. Zastanawiał się, czy ktokolwiek zauważył włączoną kamerę wideo. Jeśli tak, to natchmiast ją wyłączyli.

- W jakiś sposób się postrzeliła.

- A ty to widziałeś.

- Niezupełnie. Stała tyłem do mnie. Widziałem tylko jej plecy.

- W takim razie skąd wiesz, że się postrzeliła?

- Bo nie było tam nikogo oprócz niej, mnie i Stokesa. Ani ja, ani Stokes nie strzelaliśmy do niej. Sama się postrzeliła.

- Podczas szarpaniny ze Stokesem.

- Nie. - Harry pokręcił głową. - W chwili kiedy padł strzał, nie było żadnej szarpaniny. Nie wiem, co się wydarzyło, zanim tam dotarłem, ale w momencie strzału Stokes opierał się dłońmi o mur i stał do niej odwrócony plecami. Posterunkowa Brasher przytrzymała go w miejscu, opierając mu dłoń na plecach. Zobaczyłem, że się cofa i zdejmuje rękę. Nie widziałem broni, ale usłyszałem strzał i błysk przed nią. Potem upadła. - Gilmore zastukał głośno ołówkiem po stole. - To pewnie psuje nagranie - dodał. - Och, prawda, wy nigdy nic nie nagrywacie.

- Tym się nie przejmuj. Co stało się potem?

- Podeszedłem w ich stronę do ściany. Stokes zaczął się odwracać, żeby zobaczyć, co się dzieje. Leżąc na posadzce, posterunkowa Brasher uniosła rękę z bronią i wycelowwała ją w Stokesa.

- Ale nie strzeliła, prawda?

- Nie. Krzyknąłem: „Nie ruszać się!” do Stokesa. Nie wystrzeliła, a on ani drgnął. Następnie podeszedłem bliżej, kazałem Stokesowi położyć się na beton i go skułem. Potem wezwałem pomoc przez krótkofalówkę i starałem się opatrzyć ranę Brasher.

Gilmore żuł gumę w głośny, denerwujący Boscha sposób. Popracował przez chwilę szczękami, nim się odezwał:

- Widzisz, nie potrafię pojąć, dlaczego miałyby do siebie strzelać.

- Musisz ją o to zapytać. Mówię tylko to, co widziałem.

- Tak, ale pytam ciebie. Byłeś tam. Jak myślisz?

Zwlekał długą chwilę z odpowiedzią. Wszystko potoczyło się bardzo szybko, a on odkładał zastanowienie się nad wydarzeniami w garażu, gdyż koncentrował się na Stokesie. W tej chwili odżyły mu przed oczyma obrazy tego, co się stało. W końcu wzruszył ramionami.

- Nie wiem.

- Coś ci powiem: przyjmijmy na minutę twoją wersję. Załóżmy, że posterunkowa Brasher chowała broń - co byłoby sprzeczne z przepisami, ale przyjmijmy, że tak właśnie robiła. Chowała broń, żeby móc zakuć faceta. Miała kaburę na prawym biodrze, a ranę wlotową ma na lewym ramieniu. Jak to możliwe?

Harry przypomniał sobie, jak kilka nocy wcześniej Julia wypytywała go o ranę na jego lewym barku. O to, jak to jest dostać kulę. Poczł duszność, jakby ściany zaciskały się wokół niego. Zaczł się pocić.

- Nie wiem - powtórzył.

- Niewiele wiesz, prawda, Bosch?

- Wiem tyle, ile widziałem. Powiedziałem ci.

Harry pożałował, że nie zabrano paczki papierosów Stokesa.

- Co cię łączyło z posterunkową Brasher?

Harry utkwil wzrok w blacie.

- O co ci chodzi?

- Z tego, co slyszalem, bzykales ja. O to mi chodzi.

- A co to ma wspolnego?

- Bo ja wiem? Moze ty mi powiesz.

Nie odpowiedzial. Wiele kosztowalo go ukrycie narastajacej furii.

- Cól, po pierwsze, wasz zwiázek stanowił pogwałcenie wewnętrznych zasad funkcjonowania wydziału - rzekl Gilmore. - Wiedziales o tym, prawda?

- Jest w patrolu. Ja jestem detektywem.

- Myślisz, że to istotne? Nieważne. Jesteś detektywem trzeciego stopnia. To stanowisko kierownicze. Ona jest zwykłą funkcjonariuszką, na dodatek nową. Gdybyśmy byli w armii, czekałoby cię na początek wydalenie ze służby. Moze nawet odsiadka.

- Ale to Departament Policji Los Angeles - więc co za to dostanę, awans?

Był to pierwszy ofensywny ruch Boscha - i ostrzeżenie dla Gilmore'a, żeby zajął się czymś innym. Była to też zawoalowana aluzja do kilku lepiej bądź gorzej znanych zwiázków, które łączyły wysokich rangą oficerów i zwykłych funkcjonariuszy. Wiadomo było, że zwiázek zawodowy policjantów, reprezentujący ich do stopnia sierżanta, czekał tylko, żeby przeciwstawić się jakimkolwiek posunięciom dyscyplinarnym władz wydziału, podejmowanym pod przykrywką tak zwanej polityki wewnętrznej wymierzonej przeciwko napastowaniu seksualnemu.

- Nie potrzebuję cwaniackich uwag z twojej strony - odparł Gilmore. - Staram się prowadzić dochodzenie.

Przez dłuższą chwilę bębnil miarowo ołówkiem po stole, wpatrując się w nieliczne zapiski w swoim notesie. Harry wiedział jednak, że Gilmore prowadzi w istocie przeciwieństwo dochodzenia: zaczyna od wniosku, a potem zbiera pasujące do niego fakty.

- Jak twoje oczy? - zapytał wreszcie Gilmore, nie podnosząc wzroku.

- Jedno ciągle piecze mnie jak diabli. Czuję się, jakbym zamiast nich miał sadzone jajka.

- No tak. Twierdzisz, że Stokes prysnął ci w nie środkiem czyszczącym.

- Zgadza się.

- I na chwilę cię oślepił.

- Zgadza się.

Gilmore wstał i zaczął krążyć po ciasnej przestrzeni za krzesłem.

- Ile czasu minęło od chwili, kiedy zostałeś oślepiony, do momentu kiedy dotarłeś do garażu i rzekomo widziales, jak posterunkowa Brasher się postrzelila?

Harry zastanowil się przez chwilę.

- No, przepłukałem oczy wodą z węża, a potem ruszyłem w pościg. Mogło minąć nie więcej niż pięć minut, ale niewiele mniej.

- A zatem w ciągu pięciu minut ze ślepca zrobił się z ciebie Sokole Oko i mogłeś wszystko zobaczyć?

- Nie określiłbym tego w ten sposób, ale czas się zgadza.

- Cól, przynajmniej jedno wyjaśniłem. Dzięki.

- Nie ma sprawy, poruczniku.

- Twierdzisz zatem, że nie widziałeś szarpaniny o broń posterunkowej Brasher, zanim nastąpił strzał. Zgadza się?

Gilmore złożył ręce za sobą, trzymając ołówek w dwóch palcach jak papierosa. Harry oparł się o stół. Rozumiał prowadzoną przez Gilmore'a grę.

- Te słowne gierki są niepotrzebne, poruczniku. Nie było żadnej szarpaniny. Nie widziałem jej, bo jej nie było. Gdyby była, to bym ją zobaczył. Czy to dostatecznie jasne? - Gilmore się nie odezwał. Dalej chodził za stołem. - Słuchaj, dlaczego po prostu nie zrobisz Stokesowi próby parafinowej? Na rękach i kombinezonie powinny zostać ślady. Nic nie znajdziesz. Szybko powinienes się upewnić.

Gilmore wrócił do krzesła i wsparł się o nie. Popatrzył na Harry'ego i pokręcił głową.

- Wiesz, że z radością bym to zrobił, detektywie. W normalnych warunkach od razu szukamy śladów prochu. Problem polega na tym, że spaprałeś sprawę. Przyszło ci do głowy, żeby zabrać Stokesa z miejsca przestępstwa i przywieźć go tutaj. Zerwałeś łańcuch dowodowy, rozumiesz? Mógł się umyć, przebrać, bo ja wiem, co jeszcze, bo wpadło ci do głowy, żeby go zabrać z miejsca przestępstwa.

Harry był na to przygotowany.

- Uznałem, że chodzi o jego bezpieczeństwo. Mój partner to potwierdzi. Tak samo Stokes. Poza tym ani na chwilę nie straciłem go z oczu, dopóki nie władowaliście się do tego pokoju.

- To nie zmienia faktu, iż uznałeś, że twoja sprawa jest ważniejsza niż zebranie przez nas informacji w sprawie postrzelenia funkcjonariuszki wydziału. Tak?

Na to nie miał gotowej odpowiedzi. Zaczynał jednak w pełni pojmować, do czego zmierza Gilmore. Dla niego i departamentu liczyła się możliwość zaprezentowania wniosku, że Julia została postrzelona podczas szamotaniny. W ten sposób wychodziła na bohaterkę, a to mogła wykorzystać wydziałowa machina propagandowa. Nic tak jak postrzelenie dobrego policjanta podczas pełnienia obowiązków - a już tym bardziej świeżo upieczonej funkcjonariuszki - nie pomagało w przypomnieniu społeczeństwu o wszystkim, co dobre i szlachetne w wydziale oraz co niebezpieczne w pracy policji.

Z kolei oświadczenie, że Julia Brasher postrzeliła się przypadkowo - albo jeszcze gorzej - byłoby dla wydziału żenujące. Jeszcze jedna z wielu publicznych wpadek.

Na drodze do upragnionego przez Gilmore'a - a tym samym przez Irvinga i kierownictwo departamentu - wniosku stali oczywiście Stokes oraz w następnej kolejności Bosch. Ze Stokesem nie było kłopotu. Cokolwiek mówił skazany kryminalista, któremu groził kolejny wyrok za postrzelenie policjantki, mogło zostać zbagatelizowane jako służące chronieniu własnej skóry. Bosch był jednak naocznym świadkiem z odznaką. Gilmore musiał nakłonić go do zmiany zeznań, a gdyby to się nie udało - podważyć wiarygodność Boscha. Pierwszym czułym punktem była kondycja fizyczna Boscha w kluczowym momencie. Zważywszy na to, że spryskano mu oczy żrącym środkiem, czy rzeczywiście mógł widzieć to, przy czym się upierał? Zawsze jeszcze pozostawał atak na zawodową postawę Boscha: sugestia, że tak bardzo Stokes był mu potrzebny do prowadzonego śledztwa, iż był gotów skłamać w sprawie postrzelenia przez recydywistę policjantki.

Dla Harry'ego było to tak niedorzeczne, że aż koszmarnie. Przez lata napatrzył się jednak na o wiele gorsze rzeczy, które spotykały policjantów stających na drodze machinie prezentującej społeczeństwu obraz wydziału.

- Zaczekaj chwilę, ty... - Harry zdołał powstrzymać się od epitetu pod adresem wyższego rangą oficera. - Jeśli starasz się zasugerować, że potrafiłbym skłamać, iż Stokes nie postrzelił Julii - to znaczy posterunkowej Brasher - żeby uchronić go dla mojego śledztwa, to - z całym należnym szacunkiem - zupełnie ci odbiło.

- Detektywie, sprawdzam tylko wszelkie ewentualności. To należy do moich obowiązków.

- No to możesz je sprawdzać beze mnie. Wstał i podszedł do drzwi.

- Dokąd się wybierasz?

Obejrzał się na lustro i otworzył drzwi, po czym popatrzył na Gilmore'a.

- Mam dla ciebie wiadomość, poruczniku. Twoja teoria jest głównie warta. Stokes nic nie wnosi do mojej sprawy. Zero. Julia została postrzelona, ale na nic się to nie zdało.

- Ale nie wiedziałeś tego, dopóki go tu nie przywiozłeś, prawda?

Bosch popatrzył na niego jeszcze chwilę i powoli potrząsnął głową.

- Życzę miłego dnia, poruczniku.

Odwrócił się, by wyjść, i o mało nie wpadł na Irvinga. Zastępca komendanta stał sztywno jak struna na

korytarzu za drzwiami.

- Proszę na chwilę zawrócić, detektywie - odezwał się spokojnie. - Nalegam.

Harry cofnął się do pokoju. Irving wszedł za nim.

- Proszę zostawić nas samych, poruczniku - polecił Irving. - I niech pan opróżni sąsiedni pokój. - Przy tych słowach wskazał na lustro.

- Tak jest - odrzekł Gilmore, wyszedł i zamknął drzwi za sobą.

- Niech pan usiądzie - powiedział Irving.

Harry wrócił na miejsce naprzeciw lustra. Irving stał. Po chwili i on zaczął chodzić tam i z powrotem przed zwierciadłem. Bosch widział jego podwojoną postać.

- Uznamy ten postrzał za wypadek - rzekł Irving, nie patrząc na Boscha. - Posterunkowa Brasher zatrzymała podejrzanego i przypadkowo wystrzeliła podczas chowania broni.

- Tak powiedziała? - spytał Harry.

Irving wyglądał przez chwilę na zakłopotanego, potem potrząsnął głową.

- O ile mi wiadomo, rozmawiała tylko z panem i nie powiedziała nic konkretnego na temat strzału.

Harry przytaknął.

- A zatem to koniec?

- Nie widzę potrzeby, żeby to przeciągać.

Boschowi przypomniała się fotografia rekina na kominku u Julii. To, czego dowiedział się o niej w tak krótkim czasie. Znów w zwolnionym tempie stanęły mu przed oczami sceny z garażu. Obraz całości wciąż był niespójny.

- Jeśli nie będziemy szczerzy wobec samych siebie, jak możemy w ogóle mówić ludziom prawdę?

Irving odchrząknął.

- Nie zamierzam urządzić z panem debaty, Bosch. Decyzja zapadła.

- Pan ją podjął.

- Tak, ja.

- A co ze Stokesem?

- To zależy od prokuratury. Można go oskarżyć o nieumyślne spowodowanie śmierci. Bądź co bądź jego ucieczka doprowadziła do strzelaniny. Wszystko będzie zależało od szczegółów. Jeśli zostanie ustalone, że w chwili śmiertelnego postrzału był już aresztowany, wówczas może zdoła...

- Chwilę - powiedział Bosch, wstając z krzesła. - Chwilę. Powiedział pan: spowodowanie śmierci? Śmiertelny postrzał?

Irving odwrócił się twarzą ku niemu.

- Porucznik Gilmore panu nie powiedział?

Bosch opadł z powrotem na krzesło, oparł łokcie na stole i ukrył twarz w dłoniach.

- Kula odbiła się od kości jej barku, rykoszetem pokoziołkowała przez klatkę piersiową i przebiła na wylot serce. Posterunkowa Brasher zmarła w karetce.

Bosch opuścił głowę tak, że sięgnął dłońmi do jej czubka. Poczul zawrót głowy i przestraszył się, że spadnie z krzesła. Oddychał głęboko, aż wziął się w garść. Po kilku chwilach dotarły do niego dalsze słowa Irvinga:

- Detektywie, niektórzy pracownicy wydziału są nazywani „magnesami dla gówna”. Na pewno słyszał pan to określenie. Osobiście uważam je za niesmaczne. Chodzi jednak o to, że tych policjantów stale spotykają złe rzeczy. Raz za razem. Zawsze. - Bosch czekał w ciemności na to, co musiało teraz nastąpić.

- Niestety, detektywie, jest pan jednym z nich.

Bosch podświadomie pokiwał głową. Przypomniał mu się moment, gdy sanitariusz zakładał maskę tlenową Julii. Próbowwała wtedy coś powiedzieć.

Nie pozwól im...

O co jej chodziło? Nie pozwól im na co? Zaczynał składać wszystko w całość i domyślać się, o co jej chodziło.

- Detektywie - powiedział Irving, ucinając swym donośnym głosem myśli Boscha. - W ciągu minionych lat przy wielu sprawach okazywałem panu niezwykłą cierpliwość. Znużyło mnie to już. Departament również. Chcę, by zastanowił się pan nad przejściem na emeryturę. Jak najszybciej, detektywie.

Harry nie unosił głowy. Nie odpowiedział. Po chwili usłyszał, jak drzwi się otwierają i zamykają.

Rozdział 34

Zgodnie z wolą rodziny Julia Brasher została pogrzebana według obrządku swego wyznania przed południem następnego dnia na cmentarzu Hollywood Memorial Park. Ponieważ zginęła podczas wypadku na służbie, uhonorowano ją kompletnym policyjnym pogrzebem, łącznie z kawalkadą motocykli, strażą honorową, salutem dwudziestu jeden strażów i obecnością wielu przedstawicieli kierownictwa policji. Nad cmentarzem przeleciała też eskadra powietrzna wydziału - pięć helikopterów w formacji symbolizującej śmierć człowieka.

Ponieważ jednak pogrzeb odbył się po niecałych dwudziestu czterech godzinach, nie przyszło na niego wielu ludzi. Śmierć podczas pełnienia obowiązków sprawiała, że na pogrzeby przybywały przynajmniej symboliczne reprezentacje służb policyjnych z całego stanu i południowego zachodu. Tym razem było inaczej. Pośpieszna ceremonia i okoliczności zgonu spowodowały, że pogrzeb był stosunkowo niewielki - według policyjnych standardów. Śmierć w strzelaninie sprawiłaby, że na całym małym cmentarzu zaroiliby się od funkcjonariuszy. Policjantka, która zabiła się podczas chowania broni, nie przyczyniała się jednak do tworzenia mitu ryzykownej służby. Taki pogrzeb nie stanowił dostatecznej atrakcji.

Bosch przyglądał się ceremonii ze skraju grupy żałobników. Głowa pulsowała mu po całej nocy picia; chciał w ten sposób stępić ból i poczucie winy. Z ziemi wyłonił się szkielet, a teraz dwoje ludzi nie żyło z powodów, których sensu Bosch nie potrafił pojąć. Miał przekrwione i opuchnięte oczy, ale wiedział, że w razie potrzeby mógł zwałić za to winę na płyn do czyszczenia, którym poprzedniego dnia opryskał go Stokes.

Zobaczył Teresę Corazon, przynajmniej raz bez swojego kamerzysty, siedzącą w pierwszym rzędzie z grubymi rybami z departamentu i dygnitarzami - tymi nielicznymi, którzy się zjawili. Teresa była w ciemnych okularach, ale Bosch wyczuł, kiedy go spostrzegła. Jej usta zacisnęły się w wąską, surową kreskę. Idealny uśmiech na pogrzeb.

Pierwszy odwrócił wzrok.

Był piękny dzień na pogrzeb. Rzeński nocny wiatr znad Pacyfiku na jakiś czas rozwiął smog znad miasta. Z domu Boscha było nawet widać tego ranka Dolinę. Cirrusy przemykały między smugami kondensacyjnymi wysoko lecących odrzutowców. Powietrze na cmentarzu pachniało od ułożonych wokół grobu wieńców. Ze swojego miejsca Bosch widział nierówne litery napisu „Hollywood” pod szczytem Mount Lee, jakby przewodniczył on ceremonii.

Komendant policji nie wygłosił mowy pogrzebowej, co zwykle czynił w wypadkach śmierci na służbie. Zamiast niego wygłosił ją komendant akademii policyjnej. Wykorzystał sytuację, by przypomnieć, iż niebezpieczeństwo w pracy policjanta zawsze pojawia się z niespodziewanej strony i że śmierć posterunkowej Brasher powinna uzmysłwić innym, że zawsze należy zachowywać ostrożność. Podczas całej dziesięciominutowej oracji mówił o Julii wyłącznie jako o posterunkowej Brasher, co powodowało, że słowa miały żenująco bezosobowy wydźwięk.

Harry przez cały czas rozmyślał o rekinach z otwartymi paszczami i tryskających lawą wulkanach. Zastanawiał się, czy Julia udowodniła sobie wreszcie, że jest taka, jaką pragnęła się widzieć.

Pośród otaczających srebrzystą trumnę niebieskich mundurów widać było połać szarości - prawników. Ojca Julii w otoczeniu sporego zastępu pracowników jego firmy. W drugim rzędzie za ojcem Harry wypatrzył człowieka ze zdjęcia na kominku bungalowu w Venice. Przez chwilę wyobrażał sobie, że podchodzi do niego i wali go w twarz lub kopie kolanem w krocze. Że robi to na oczach wszystkich w trakcie pogrzebu, a potem pokazuje trumnę i mówi temu człowiekowi, że to on pchnął Julię na drogę, która do tego doprowadziła.

Przestał jednak o tym myśleć. Zdawał sobie sprawę, że takie wytłumaczenie i przypisanie komuś winy było niewłaściwym uproszczeniem. Wiedział, że w ostatecznym rozrachunku ludzie sami wybierają własną drogę. Można ich na nią nakierować i pchnąć, ale ostateczny wybór zależy od nich samych. Każdy

ma klatkę chroniącą przed rekinami. Ci, którzy otwierają drzwi i wychodzą na zewnątrz, robią to na własne ryzyko.

Do oddania salutu wybrano siedmiu kadetów z rocznika Julii. Wymierzyli karabiny w błękitne niebo i oddali po trzy strzały ślepą amunicją. Wyrzucane z broni łuski szybowały łukiem i padały na trawę jak łyzy. Gdy echo strzałów odbijało się jeszcze od nagrobków, przeleciały helikoptery i pogrzeb dobiegł końca.

Bosch podszedł powoli w stronę grobu, mijając idących w przeciwną stronę ludzi. Poczł szarpnięcie za łokieć i się odwrócił. Był to partner Julii, Edgewood.

- Chciałem przeprosić za wczorajsze... za to, jak się zachowałem - powiedział. - Więcej się to nie powtórzy.

Harry zaczekał, aż Edgewood popatrzy mu w oczy, po czym kiwnął głową. Nie miał mu nic do powiedzenia.

- Domyślam się, że o niczym nie powiedziałaś zespołowi. Jestem ci za to wdzięczny.

Bosch popatrzył na niego bez słowa. Zakłopotany Edgewood kiwnął głową i odszedł. Gdy się oddalił, przed Harrym znalazła się kobieta, która stała tuż za nim - latynoska ze srebrzystymi włosami. Minął moment, nim ją rozpoznał.

- Pani doktor Hinojos.

- Jak pan się czuje, detektywie?

Zmyliły go włosy. Prawie siedem lat wcześniej, gdy regularnie odwiedzał ją w gabinecie, w jej brązowych włosach nie było śladu siwizny. Mimo siwizny wciąż była atrakcyjną kobietą, ale przemiana go zaskoczyła.

- Tak sobie. Co słysząc w psychiatryku?

- Wszystko dobrze. - Uśmiechnęła się.

- Słyszałem, że pani nim teraz kieruje.

Przytaknęła. Harry poczuł, że się denerwuje. Poznał ją, kiedy wbrew jego woli wysłano go na zwolnienie. Musiał zgłaszać się do niej dwa razy w tygodniu na sesje terapeutyczne i mówić o rzeczach, którymi nie dzielił się z nikim nigdy wcześniej ani później. Kiedy wrócił na służbę, więcej się z nią nie kontaktował. Do tej chwili.

- Znała pani Julię Brasher? - zapytał.

Obecność policyjnego psychiatry na pogrzebie poległego podczas służby funkcjonariusza nie była niczym dziwnym - stwarzała możliwość porady na miejscu osobom bliskim zmarłemu.

- Właściwie nie. Nie osobiście. Jako kierowniczka działu przejrzałam jej podanie o przyjęcie do akademii i protokół rozmowy kwalifikacyjnej. Napisałam, że ją akceptuję. - Odczekała chwilę na reakcję Boscha. - Z tego, co wiem, byliście sobie bliscy. I że pan tam był. Był pan świadkiem.

Harry przytaknął. Z obydwóch stron mijali ją odchodzący z pogrzebu ludzie. Doktor Hinojos podeszła krok bliżej, żeby nikt ich nie słyszał.

- To nie czas ani miejsce, ale chcę z panem o niej porozmawiać, Harry.

- O czym tu mówić?

- Chcę wiedzieć, co się stało. I dlaczego.

- To był wypadek. Niech pani porozmawia z Irvingiem.

- Już rozmawiałam i nie jestem usatysfakcjonowana. Wątpię też, by pan był.

- Niech pani posłucha, ona nie żyje. Zgadza się? Nie zamierzam...

- Napisałam, że akceptuję jej podanie. Dzięki mojemu podpisowi dostała odznakę. Jeśli coś pominęliśmy - jeśli ja coś pominęłam - chcę to wiedzieć. Jeżeli były jakieś sygnały, powinniśmy byli je dostrzec.

Harry pokiwał głową i popatrzył na trawę między nimi.

- Niech pani się nie przejmuj. Były sygnały, które ja powinienem zauważyć, ale też tego nie zrobiłem.

Podeszła jeszcze krok bliżej. Bosch musiał spojrzeć na nią.

- A więc mam rację. Było w tym coś więcej.

Pokiwał głową.

- Nic wyraźnego. Po prostu żyła na krawędzi. Ryzykowała - przeszła przed rurą. Starła się coś udowodnić. Nie sądzę, by w ogóle była pewna, że chce być policjantką.

- Udowodnić coś komu?

- Nie wiem. Może sobie, może komuś innemu.

- Harry, wiem, że ma pan doskonały instynkt. O co jeszcze chodziło?

- O rzeczy, które mówiła i robiła... - Wzruszył ramionami. - Mam na ramieniu bliznę od postrzału.

Wypytywała mnie o nią. Pewnej nocy. Pytała, jak zostałem postrzelony. Powiedziałem jej, że miałem szczęście, że dostałem właśnie w to miejsce, bo tam są same kości. Potem... strzeliła sobie w to samo miejsce. Tyle że... kula zrykoszetowała. Nie spodziewała się tego. - Doktor Hinojos pokiwała głową i czekała dalej. - Nie mogę znieść tego, co myślę, rozumie pani?

- Niech pan mi o tym opowie, Harry.

- Ciągle odtwarzam to w myślach. Co widziałem i co wiem. Wycelowała pistolet w podejrzanego. I myślę, że gdyby mnie tam nie było i nie krzyknąłbym, to by go zastrzeliła. Potem pewnie zacisnęłaby mu rękę na pistolecie i strzeliła znowu w sufit albo w samochód. A może znowu w niego. Nieważne, byle tylko próba parafinowa wypadła dodatnio i mogła powiedzieć, że wyrwał jej pistolet.

- Sugeruje pan, że postrzeliła się, bo chciała go zabić i wyjść na bohaterkę?

- Sam nie wiem. Mówiła, że świat potrzebuje bohaterów. Zwłaszcza teraz. Mówiła, że ma nadzieję któregoś dnia nim zostać. Myślę jednak, że w tym wszystkim chodziło jeszcze o coś innego. Chyba chciała mieć bliznę, doświadczyć, jak to jest.

- I była gotowa dla czegoś takiego zabić?

- Nie mam pojęcia. Nie wiem, czy w ogóle mam rację. Wiem tylko, że chociaż była nowa, to już osiągnęła punkt, gdzie świat dzieli się na nas i ich, gdzie każdy bez odznaki to łobuz. Zdawała sobie sprawę, co się z nią dzieje. Może szukała wyjścia... - Bosch potrząsnął głową i odwrócił wzrok. Cmentarz już prawie opustoszał. - Sam nie wiem. Kiedy głośno o tym mówię, brzmi to jak... Bo ja wiem? Obłądny świat. - Odsunął się trochę od lekarki. - Pewnie nigdy nie można nikogo dostatecznie poznać, prawda? - spytał. - Można mieć takie wrażenie. Można być na tyle blisko, żeby z kimś spać, ale nigdy się nie wie, co naprawdę dzieje się wewnątrz.

- Nie. Nie wie się. Każdy ma swoje tajemnice. - Bosch pokiwał głową, chciał już odejść. - Niech pan zaczeka, Harry. - Otworzyła torebkę i zaczęła w niej szperać. - Mimo wszystko chcę o tym porozmawiać - powiedziała, wyjęła wizytówkę i podała ją Boschowi. - Niech pan do mnie zadzwoni. Pogadamy całkowicie nieoficjalnie i poufnie. Dla dobra departamentu.

O mało się nie roześmiał.

- Departamentu to nie obchodzi. Interesuje się tylko swoim wizerunkiem, nie prawdą. A jeśli prawda zagraża wizerunkowi, to do diabła z nią.

- Cóż, mnie to obchodzi. Pana też.

Popatrzył na wizytówkę, pokiwał głową i włożył ją do kieszeni.

- No dobrze, zadzwonię.

- Jest na niej numer telefonu komórkowego. Zawsze mam go ze sobą.

Kiwnął głową. Podeszła bliżej, ujęła go za ramię i ścisnęła.

- A co z panem, Harry? Radzi pan sobie?

- No, pominiawszy to, że ją straciłem, a Irving kazał mi zastanowić się nad emeryturą, to sobie radzę.

Doktor Hinojos zmarszczyła brwi.

- Niech pan się trzyma, Harry.

Odeszła. Bosch podszedł bliżej grobu. Myślał, że został już sam. Wziął w rękę garść ziemi z kopca i pochylił się. Na trumnie leżał cały bukiet i kilka pojedynczych kwiatów. Harry'emu przypomniało się, jak dwie noce wcześniej tulił Julię. Żałował, że nie wyczuł, co się zbliża. Żałował, że nie zdołał poskładać ulotnych śladów w jasny obraz tego, co robiła Julia i do czego zmierzała.

Powoli wyciągnął rękę i pozwolił ziemi przesypać się między palcami.

- Cmentarzysko - wyszeptał.

Patrzył, jak ziemia wpada do grobu niczym znikające sny.

- Domyślam się, że znał ją pan.

Harry szybko się odwrócił. Powiedział to jej ojciec. Ze smutnym uśmiechem. Jedynie oni obydwaj zostali na cmentarzu. Harry pokiwał głową.

- Od niedawna. Dopiero ją poznawałem. Przykro mi, że ją pan stracił.

- Frederick Brasher.

Ojciec Julii wyciągnął rękę. Harry chciał ją ująć, w ostatniej chwili jednak uniósł dłoń.

- Mam brudną rękę.

- Co z tego? Ja też. Uścisnęli sobie dłonie.

- Harry Bosch.

Brasher przestał potrząsać jego ręką, gdy dotarło do niego nazwisko.

- Ten detektyw - powiedział. - Był pan tam wczoraj.

- Tak. Próbowałem... robiłem, co mogłem, żeby jej pomóc. Nie...

Urwał. Nie wiedział, co powiedzieć.

- Niewątpliwie. Na pewno było to straszne.

Bosch kiwnął głową. Poczucie winy przeniknęło go jak promienie rentgenowskie. Zostawił Julię, myśląc, że nic jej nie będzie. Bolało to prawie tak samo jak jej śmierć.

- Nie potrafię zrozumieć, jak to się stało - odezwał się Brasher. - Taka drobna pomyłka. Jak mogła przez to zginąć? Na dodatek prokuratura twierdzi, że ten człowiek, Stokes, nie zostanie oskarżony mimo tego, co się stało. Jestem prawnikiem, ale tego nie pojmuję. Wypuszczają go.

Harry popatrzył na starszego mężczyznę i zobaczył cierpienie w jego oczach.

- Przykro mi. Chciałbym móc panu odpowiedzieć. Mam te same pytania co pan.

Brasher pokiwał głową i zapatrzył się we wnętrze grobu.

- Już pójdę - powiedział po długiej chwili. - Dziękuję za przybycie, detektywie.

Harry pokiwał głową. Uścisnęli sobie ręce znowu ręce i Brasher zbierał się do odejścia.

- Proszę pana - odezwał się Harry.

Brasher odwrócił się w jego stronę.

- Wie pan, kiedy ktoś z rodziny będzie w jej domu?

- Prawdę mówiąc, dostałem dzisiaj jej klucze. Chciałem teraz pojechać. Rozejrzeć się. Zastanowić się, jaka była teraz. W ostatnich latach nie...

Nie skończył. Bosch przysunął się bliżej niego.

- Chodzi o jedną rzecz. Oprawioną fotografię. Jeśli nie... jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałbym ją zatrzymać.

Brasher pokiwał głową.

- Może pojedzie pan od razu? Spotkamy się w jej domu. Pokaże mi pan to zdjęcie.

Bosch popatrzył na zegarek. Porucznik Billets wyznaczyła na wpół do drugiej odprawę, by omówić stan śledztwa. Pewnie zdążyłby dojechać do Venice i wrócić na komendę. Nie miałyby czasu na obiad, ale i tak nie wyobrażał sobie, że mógłby coś zjeść.

- Dobrze, pojedę.

Rozeszli się do swoich samochodów. Po drodze Harry zatrzymał się w miejscu, skąd oddano salut. Grzebał w trawie stopą, aż dostrzegł błysk mosiądzu. Pochylił się po jedną z łusek. Trzymał ją w dłoni i oglądał przez kilka chwil. Zacisnął w końcu dłoń i wrzucił ją do kieszeni. Zabierał łuskę z każdego pogrzebu policjanta, na którym był. Miał ich pełen słoik.

Odwrócił się i opuścił cmentarz.

Rozdział 35

Jerry Edgar umiał stukać do drzwi podejrzanego jak żaden ze znanych Boschowi policjantów. Potrafił włożyć w walenie do drzwi całą energię swego studziwieńdziesięciocentymetrowego ciała, jak utalentowany sportowiec w zamach kijem baseballowym czy rzut piłką do kosza. Miało się wrażenie, że w jego lewej ręce skupia się jak w soczewce cała moc i gniew sprawiedliwości. Zapierał się stopami o ziemię, ustawiał bokiem do drzwi, unosił ramię, zginał łokieć pod kątem niecałych trzydziestu stopni i walił płasko dłonią w drzwi. Poruszał tylko nadgarstkiem, ale jego mięśnie pracowały z taką szybkością, że brzmiało to jak terkot karabinu maszynowego. Więcej - jak głos Sądu Ostatecznego.

Aluminiowa przyczepa Samuela Delacroix cała się zakołysała, gdy Edgar rąbnął pięścią w jej drzwi o wpół do czwartej w czwartkowe popołudnie. Odczekał kilka sekund i walnął ponownie, tym razem uzupełniając to wołaniem: „POLICJA!”. Następnie zszedł z przedproża, czyli szeregu niczym niespojonych pustaków.

Bosch i Edgar czekali. Żaden z nich nie wyjął broni, lecz Harry wsunął rękę pod marynarkę i zacisnął na rękojeści glocka. Była to jego standardowa taktyka przy wręczaniu nakazu osobie uznanej za niegroźną.

Nastłuchiwał przez kilka chwil, by wychwycić ruch w środku, ale hałas z autostrady zagłuszał wszelkie dźwięki. Zajrzał do okien - żadna z firanek się nie poruszyła.

- Wiesz co? - szepnął. - Dochodzę do wniosku, że człowiek odczuwa ulgę, kiedy po zastukaniu wołasz, że to tylko policja. Przynajmniej wiadomo, że nie trzęsienie ziemi.

Edgar nie odpowiedział. Zapewne domyślał się, że to tylko nerwowe dowcipkowanie. Nie wynikało z lęku, co będzie po zastukaniu do drzwi - Harry był praktycznie pewien, że Delacroix nie sprawi kłopotów. Jego napięcie wynikało ze świadomości, że od kilku następnych godzin spędzonych z Delacroix zależy los śledztwa. Miał zrewidować z Edgarem przyczepę, a potem podjąć decyzję - głównie na podstawie wypracowanego z partnerem kodu znaków - czy aresztować Samuela Delacroix za morderstwo syna. Po drodze musieli jednak znaleźć dowody lub wycisnąć z podejrzanego przyznanie się do winy, by sprawa opierająca się przede wszystkim na hipotezach zamieniła się w odporne na adwokackie sztuczki oskarżenie.

Harry czuł więc, że zbliża się chwila prawdy, a to zawsze budziło w nim nerwowość.

Podczas wcześniejszej narady u porucznik Billets, dotyczącej stanu śledztwa, uznano, że nadszedł czas przesłuchać Sama Delacroix. Jako ojciec ofiary był głównym podejrzanym. Skąpe dowody mimo wszystko wskazywały na niego. Bosch i Edgar spędzili następną godzinę na sporządzeniu nakazu rewizji przyczepy Delacroix i dostarczeniu go do sądu karnego w śródmieściu sędziemu, który zwykle bez problemu uwzględniał takie wnioski.

Musieli się jednak natrudzić, by przekonać nawet tego sędziego. Problem polegał na tym, iż sprawa była stara, a dowody wiążące ofiarę z podejrzanym - skąpe. Na dodatek policjanci chcieli przeszukać nie to miejsce, w którym mogła zostać popełniona zbrodnia; podejrzanym w chwili śmierci nawet tam nie mieszkał.

Na korzyść detektywów przemawiała dołączona lista obrażeń, których chłopiec doznał w ciągu swojego krótkiego życia. Ostatecznie właśnie ona przekonała sędziego do podpisania nakazu.

Policjanci pojechali najpierw na pole golfowe, ale tam dowiedzieli się, że Delacroix skończył już pracę.

- Walnij jeszcze raz - powiedział Harry do Edgara.

- Chyba idzie.

- Nic mnie to nie obchodzi. Chcę, żeby miał zszarpane nerwy.

Edgar wszedł z powrotem na schodek i raz jeszcze rąbnął w drzwi.

Nie stanął pewnie na pustakach, zachwiały mu się pod nogami. Wskutek tego trzeci atak na drzwi nie był tak potężny i nie wzbudzał równej grozy. Edgar się cofnął.

- To nie była policja - szepnął Bosch. - To sąsiad, żeby poskarżyć się na psa czy coś w tym rodzaju.

- Przykro mi, ale...

Drzwi się uchyliły. Edgar zamilkł. Harry natychmiast stał się maksymalnie czujny. Z przyczepami bywały kłopoty. Drzwi otwierały się na zewnątrz, by nie uszczuplać miejsca w środku. Harry stał po stronie zawiasów, więc otwierający drzwi człowiek widział Edgara, ale nie jego. Problem polegał na tym, że Harry ze swej strony również nie mógł zobaczyć osoby wewnątrz. Gdyby były kłopoty, Edgar miał krzyknąć ostrzeżenie i odskoczyć do tyłu. Harry bez wahania opróżniłby magazynek prosto w drzwi; kule przebiłyby cienkie aluminium jak papier, trafiając człowieka za nimi.

- Czego? - rozległ się męski głos.

Edgar podniósł odznakę. Bosch przyglądał się uważnie partnerowi, czy jego mina nie zwiastuje kłopotów.

- Policja, panie Delacroix.

Nie widząc niczego niepokojącego, Bosch zrobił krok do przodu, chwycił klamkę i otworzył drzwi na całą szerokość. Nie spuszczał drugiej ręki z broni.

W drzwiach stał mężczyzna, którego poprzedniego dnia widzieli na polu golfowym. Miał na sobie

stare spodnie w kratę i spraną brązową koszulkę z krótkimi rękawami i zastarzałymi plamami pod pachami.

- Mamy nakaz rewizji tej przyczepy - powiedział Bosch. - Możemy wejść?

- To wy... - rzucił Delacroix. - To wy byliście wczoraj na polu.

- Proszę pana - przerwał mu kategorycznie Bosch. - Powiedziałem, że mamy nakaz rewizji. Możemy wejść i dokonać przeszukania?

Bosch wyjął z kieszeni złożony nakaz i wyciągnął go przed siebie, pozostawiając wszakże poza zasięgiem rąk Delacroix. Był to fortel: żeby dostać nakaz, musieli wyłożyć przed sędzią wszystkie karty, ale nie musieli tego samego robić przed podejrzanym. Przynajmniej nie od razu. Chociaż Delacroix miał prawo dokładnie zapoznać się z nakazem przed wpuszczeniem detektywów do środka, Harry miał nadzieję, że nie przyjdzie mu to do głowy. Delacroix i tak miał wkrótce poznać fakty, ale

Harry wolał kontrolować przekazywanie informacji, by móc oceniać jego reakcje i wyrobić sobie na tej podstawie opinię.

Po chwili schował nakaz do wewnętrznej kieszeni marynarki.

- O co chodzi? - zapytał ze stłumionym protestem Delacroix. - Mogę przynajmniej zobaczyć ten papier?

- Nazywa się pan Samuel Delacroix? - spytał szybko Bosch.

- Tak.

- To pańska przyczepa, zgadza się?

- Moja. Wynajmuję miejsce. Chcę przeczytać...

- Panie Delacroix - włączył się Edgar. - Wolelibyśmy nie dyskutować z panem na oczach sąsiadów. Na pewno i pan wolałby tego uniknąć. Wpuści nas pan, żebyśmy zgodnie z prawem dokonali rewizji, czy nie?

Delacroix przeniósł spojrzenie z Boscha na Edgara i z powrotem. Kiwnął głową.

- Pewnie tak.

Harry pierwszy wszedł na schodek. Przecisnął się do środka obok Delacroix. Poczul natychmiast woń bourbona, nieświeżego oddechu i kociego moczu.

- Wcześniej pan zaczyna, Delacroix.

- Tak, piłem drinka - odrzekł Delacroix tonem, który stanowił mieszaninę pogardy dla samego siebie i wyzwania. - Jestem już po pracy. Wolno mi.

Edgar wszedł do środka; było mu znacznie trudniej przecisnąć się obok Delacroix. Bosch rozejrzał się po mętnie oświetlonym wnętrzu przyczepy. Na prawo od wejścia znajdował się pokój dzienny z boazerią na ścianach, sofą obitą sztuczną skórą i stolikiem do kawy z obdrapanym blatem, spod którego wierzchniej warstwy wycierała płyta wiórowa. Był tu też do kompletu stolik pod lampę - bez lampy. Stał na nim niepewnie telewizor i magnetowid. Na wierzchu telewizora leżał stosik kaset. Po przeciwnej stronie stołu stała kanapa z obdartymi - pewnie przez kota - poręczami i wyłazającą wyściółką. Pod stołem leżała sterta gazet, głównie brukowców z krzykliwymi nagłówkami.

Po lewej zamontowano przypominającą kambuz kuchenkę ze zlewem, szafkami, piecykiem i lodówką z jednej strony oraz kąciakiem jadalnym na cztery osoby z drugiej. Na stole stała butelka bourbona Ancient Age.

Na podłodze pod stołem walało się trochę okruchów karmy dla kotów. Stało też stare pudełko po margarynie, napełnione do połowy wodą. Ale kota nie było widać, pozostał tylko smród.

Za kuchnią biegł wąski korytarz, prowadzący do jednej lub dwóch sypialni i łazienki.

- Zostawmy otwarte drzwi i uchylmy parę okien - powiedział Bosch. - Może pan siądzie na tej sofie, panie Delacroix?

Delacroix podszedł do niej posłusznie.

- Panowie posłuchają, nie ma tu czego przeszukiwać - powiedział. - Wiem, dlaczego przyjechaliście.

Bosch obejrzał się na Edgara i popatrzył znowu na Delacroix.

- Tak? - spytał Edgar. - Niby dlaczego?

Delacroix osunął się ciężko na środek sofy. Sprężyny były nic niewarte; zapadł się, a boki sofy uniosły się jak dzioby tonących bliźniaczych „Titaniców”.

- Chodzi wam o benzynę - powiedział Delacroix. - I tak prawie jej nie używałem. Nigdzie nie jeżdżę, tylko na pole i z powrotem. Mam ograniczone prawo jazdy za prowadzenie pod wpływem.

- Benzyna? - zapytał Edgar. - O czym pan...

- Panie Delacroix, nie przyjechaliśmy dlatego, że kradnie pan benzynę - wyjaśnił Bosch.

Wziął do ręki jedną z kaset ze stosu na telewizorze. Na kawałku taśmy na grzbiecie napisano: „First Infrantry”, odcinek 46. Bosch odłożył ją i przyjrzał się napisom na niektórych pozostałych kasetach. Na wszystkich były odcinki serialu, w którym Delacroix występował ponad trzydzieści lat temu.

- To i tak nie nasza działka - odezwał się, nie patrząc na Delacroix.

- To o co chodzi? Czego chcecie?

Harry popatrzył na niego.

- Jesteśmy tu w sprawie pana syna.

Delacroix utkwił w nim wzrok na długą chwilę. Powoli rozchylił usta, pokazując żółte zęby.

- Arthura - powiedział wreszcie.

- Tak. Znaleźliśmy go.

Delacroix opuścił wzrok. Wydawało się, że przestał widzieć wnętrza przyczepy, a zamiast tego ogląda dawne wspomnienie. On wiedział. Harry to zauważył; instynkt mówił mu, że to, co powiedzą teraz Delacroix,

nie będzie dla niego nowiną. Obejrzał się na Edgara, żeby zorientować się, czy i on to dostrzegł. Jego partner kiwnął głową.

- Nie wygląda pan na zbyt podekscytowanego jak na ojca, który nie widział syna od ponad dwudziestu lat - powiedział.

Delacroix podniósł na niego wzrok.

- Pewnie dlatego, że wiem, że nie żyje.

Harry przyjrzał mu się uważnie przez dłuższy moment, nie wypuszczając powietrza z płuc.

- Dlaczego pan tak powiedział? Dlaczego pan tak sądzi?

- Bo wiem. Cały czas wiedziałem.

- O czym?

- Że nie wróci.

Sytuacja rozwijała się odmiennie od wszystkich scenariuszy, jakie przychodziły wcześniej Harry'emu do głowy. Miał wrażenie, że Delacroix czekał na nich, spodziewał się ich przybycia, może od lat. Uznał, że chyba powinni zmienić taktykę, aresztować Delacroix i odczytać mu jego prawa.

- Jestem aresztowany? - zapytał Delacroix, jakby czytał w jego myślach

Bosch obejrzał się na Edgara, zastanawiając się, czy partner wyczuwa, że sytuacja wymyka się im z rąk.

- Pomyśleliśmy, że najpierw z panem porozmawiamy. Wie pan, nieoficjalnie.

- Równie dobrze możecie mnie aresztować - rzekł spokojnie Delacroix.

- Tak pan sądzi? To znaczy, że nie chce pan z nami rozmawiać?

Delacroix powoli pokręcił głową i znowu utkwił wzrok w oddali.

- Nie, porozmawiam - odparł. - Opowiem wam wszystko.

- O czym pan opowie?

- Jak to się stało.

- Jak co się stało?

- Z moim synem.

- Wie pan, co się stało?

- Pewnie, że wiem. Ja to zrobiłem.

Bosch o mało nie zaklął na głos. Podejrzany dosłownie się przyznał, zanim przedstawili mu jego prawa, łącznie z prawem do odmowy składania obciążających zeznań.

- Panie Delacroix, na razie przerwiemy. Odczytam panu teraz pańskie prawa.

- Chcę tylko...

- Nie, proszę nic więcej nie mówić. Na razie. Załatwmy najpierw jak należy wstępne formalności, a potem chętnie posłuchamy, co ma pan nam do powiedzenia.

Delacroix machnął ręką, jakby to - i wszystko inne - się dla niego nie liczyło.

- Jerry, gdzie masz magnetofon? Nie odebrałem jeszcze swojego z wydziału spraw wewnętrznych.

- W samochodzie. Nie wiem, jak tam baterie.

- Idź sprawdzić.

Edgar wyszedł z przyczepy. Bosch czekał w milczeniu. Delacroix oparł łokcie na kolanach i ukrył twarz w dłoniach. Bosch przyglądał się jego pozie. Nieczęsto się to zdarzało, ale nie po raz pierwszy Harry uzyskiwał przyznanie się podczas pierwszego kontaktu z podejrzanym.

Edgar wrócił z magnetofonem, ale pokręcił głową.

- Padły. Myślałem, że masz swój.

- Kurczę. W takim razie będziemy notować.

Bosch wyjął etui z odznaką, a z niego jedną z wizytówek. Kazał je wydrukować z prawami podejrzanego na odwrocie i linią na podpis. Przeczytał Delacroix jego prawa i zapytał, czy je rozumie. Delacroix pokiwał głową.

- Czy mam to uznać za potwierdzenie?

- Tak. Rozumiem.

- W takim razie proszę się podpisać pod tym, co panu właśnie przeczytałem. - Podał Delacroix wizytówkę i długopis. Po podpisaniu schował karteczkę do etui. Obszedł stolik i usiadł na skraju sofy. - Raczy pan teraz powtórzyć to, co powiedział pan nam parę minut temu?

Delacroix wzruszył ramionami, jakby chodziło o drobnostkę.

- Zabiłem mojego syna. Arthura. Wiedziałem, że kiedyś się zjawicie. Wiele czasu wam to zajęło.

Bosch obejrzał się na Edgara, który pisał w notesie. Dzięki temu mieli przynajmniej pewne świadectwo przyznania się podejrzanego. Wrócił wzrokiem do Delacroix i milczał, mając nadzieję, że będzie to dla niego zachętą do kontynuowania. Starszy mężczyzna jednak znowu ukrył twarz w dłoniach. Zaczęły mu drżeć ramiona - rozplakał się.

- Boże, pomóż mi... Ja to zrobiłem.

Bosch znowu obejrzał się na Edgara i uniośł brwi. Jego partner pokazał, że jest dobrze. Mieli więcej niż dość, by przejść do następnego stadium:

nagrania w kontrolowanych warunkach w pokoju przesłuchań na komendzie.

- Ma pan kota, panie Delacroix? - zapytał Bosch. - Gdzie jest?

Mokre oczy Delacroix wyjrzały spomiędzy palców.

- Gdzieś tutaj. Pewnie śpi na łóżku. Dlaczego pan pyta?

- No cóż, zadzwonimy do schroniska dla zwierząt, żeby się nim zajęto. Pojedzie pan z nami. Został pan właśnie aresztowany. Będziemy dalej rozmawiać na komendzie.

Delacroix opuścił ręce, wyraźnie wytrącony z równowagi.

- Nie, w schronisku się nim nie zajmą, uspią go natychmiast, kiedy się zorientują, że po niego nie wrócę.

- No, nie może pan go po prostu tutaj zostawić.

- Pani Kresky się nim zajmie. Mieszka obok. Może tu przychodzić i go karmić.

Bosch potrząsnął głową. Wszystko waliło się z powodu kota.

- Nie możemy na to pozwolić. Musimy opieczetować przyczepę, dopóki jej nie zrewidujemy.

- Dlaczego teraz tego nie zrobicie? - zapytał Delacroix z autentycznym gniewem w głosie. - Powiedziałem wam to, co chcieliście wiedzieć. Zabiłem swojego syna. To był wypadek. Pewnie uderzyłem go za mocno. Ja... - Zasłonił twarz rękami i ze łzami wymamrotał: - Boże... co ja narobiłem?

Edgar pisał dalej. Harry wstał. Chciał, żeby Delacroix jak najszybciej znalazł się w pokoju przesłuchań na posterunku. Minęło jego zdenerwowanie; zastąpiła je niecierpliwość. Chciał, żeby przyznanie Delacroix znalazło się na taśmie - magnetofonowej i wideo - nim porozmawia z adwokatem i dotrze do niego, że łąduje się na resztę życia do celi o wymiarach dwa na trzy metry.

- No dobrze, później wymyślimy, co z kotem - powiedział. - Na razie zostawimy mu dosyć jedzenia. Niech pan wstanie, Delacroix. Jedziemy.

Delacroix wstał.

- Mogę się przebrać w coś porządniejszego? To stare łachy, które noszę po domu.

- Niech pan się tym nie przejmie - rzekł Bosch. - Później dostanie pan ubrania.

Nie fatygował się informowaniem go, że nie będą to jego ubrania. Na

Delacroix czekał więzienny kombinezon z numerem na plecach. Żółtej barwy, identyfikującej więźniów z maksymalnie strzeżonego piętra - morderców.

- Skujecie mnie? - zapytał Delacroix.

- Takie są przepisy - odparł Bosch. - Musimy.

Obszedł stół i odwrócił Delacroix plecami do siebie, żeby nałożyć mu kajdanki.

- Wiecie, byłem aktorem. Grałem kiedyś więźnia w jednym z odcinków „Ściganego”. W pierwszej serii, z Davidem Janssenem. Małą rolę. Siedziałem obok Janssena na ławie. To wszystko. Udawałem, że jestem naćpany.

Bosch nic nie odpowiedział. Delikatnie pchnął Delacroix do wyjścia.

- Sam nie wiem, dlaczego to sobie przypomniałem - powiedział Delacroix.

- Nic się nie stało - odparł Edgar. - Ludzie w takiej chwili przypominają sobie najdziwniejsze rzeczy.

- Niech pan tylko uważa na schodku - ostrzegł Bosch.

Wyprowadzili go na zewnątrz; Edgar szedł z przodu, Bosch z tyłu.

- Ma pan klucz? - zapytał Bosch.

- Leży na blacie w kuchni.

Harry wrócił do środka i odszukał klucz. Zaczął otwierać szafki w kuchni, aż znalazł pudełko karmy dla kotów. Otworzył je i wysypał zawartość na papierową tackę pod stołem. Karmy było niewiele; będzie musiał później zająć się zwierzęciem.

Gdy wyszedł z przyczepy, Edgar wsadził już Delacroix na tylne siedzenie samochodu. Zobaczył, że przygląda się im sąsiadka z otwartych drzwi drugiej przyczepy. Odwrócił się i zamknął drzwi na klucz.

Rozdział 36

Bosch wetknął głowę do gabinetu porucznik Billets. Siedziała bokiem przy biurku i pracowała przy komputerze stojącym na bocznym stoliku. Posprzątała z blatu - kończyła urzędowanie na ten dzień.

- Tak? - spytała, nie podnosząc głowy.

- Wygląda na to, że mieliśmy szczęście - powiedział Bosch.

Grace Billets odwróciła się od komputera i popatrzyła na Boscha.

- Pozwól, że zgadnę. Delacroix zaprosił was do środka, usiadł i od razu się przyznał.

- Mniej więcej - przytaknęła Bosch.

Jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

- Kurczę, nabijasz się ze mnie.

- Mówi, że to zrobił. Musieliśmy go uciszyć, żeby go tu przywieźć i nagrać zeznanie. Tak jakby czekał, aż po niego przyjedziemy.

Grace Billets zadała jeszcze kilka pytań. Bosch opisał cały pobyt w przyczepie, z problemem, jakim był brak magnetofonu, na którym mogliby nagrać przyznanie się Delacroix, łącznie. Pani porucznik zmartwiła się i zdenerwowała, w równym stopniu na Boscha i Edgara za brak przygotowania, jak na Carol Bradley z wydziału spraw wewnętrznych, że nie zwróciła magnetofonu Harry'ego.

- Mogę sobie tylko życzyć, żeby ta łyżka dziegciu nie zepsuła miód - powiedziała, nawiązując do ryzyka, że przyznanie się Delacroix może zostać podważone, jako że nie nagrano go na taśmie. - Jeśli przegramy tę sprawę dlatego, że schrzanił się robotę...

Nie dokończyła, nie musiała.

- Niech pani posłucha, chyba nie będzie problemów. Edgar zapisywał każde słowo. Przerwaliśmy, kiedy mieliśmy dosyć, żeby go zgarnąć, a teraz uwiecznimy wszystko na taśmie wideo.

Grace Billets wydawała się nieco uspokojona.

- A co z jego prawami? Jesteś pewny, że nie będzie z tym żadnych kłopotów.

- Nie sądzę. Facet zaczął gadać, zanim mieliśmy szansę mu je przeczytać. Potem mówił dalej. Czasami tak bywa. Człowiek wybiera się z taranem, a po prostu otwierają mu drzwi. Kiedy Delacroix będzie miał adwokata, może dostać zawału i wrzeszczeć, że wcale nie chciał, ale nic z tego nie wyjdzie. Ale mam jego podpis. Czysta sprawa, pani porucznik.

Grace Billets pokiwała głową - był to znak, że Bosch zdołał ją przekonać.

- Szkoda, że nie zawsze idzie tak łatwo - powiedziała. - Co z prokuraturą?

- Zaraz tam zadzwonię.
- No dobrze; jeśli zechcę się przyjrzeć, to w którym pokoju będziecie?
- W trójce.
- Dobra, Harry, idź i dopnij wszystko na ostatni guzik.

Odwróciła się z powrotem do komputera.

Bosch zaszalutował i już miał wyjść, gdy przystanął. Wyczuła, że nie wyszedł, i obróciła się ku niemu.

- O co chodzi?

- Sam nie wiem. - Wzruszył ramionami. - Całą drogę tutaj zastanawiałem się, ile rzeczy można by uniknąć, gdybyśmy po prostu pojechali po niego, zamiast kręcić się z daleka i zbierać obciążające go dowody.

- Wiem, o czym myślisz, Harry. W żaden sposób na świecie nie mogłeś wiedzieć, że facet po dwudziestu paru latach po prostu czeka, aż zastukasz do jego drzwi. Postąpiłeś jak należy i gdybyś miał to zrobić ponownie, zachowałbyś się tak samo. Wokół ofiary trzeba najpierw pokrzyżać. Cokolwiek spotkało posterunkową Brasher, nie miało nic wspólnego z tym, jak prowadziłeś tę sprawę.

Popatrzył na nią przez chwilę i pokiwał głową. Jej słowa przynosiły pewną ulgę jego sumieniu.

Pani porucznik odwróciła się do komputera.

- Jak powiedziałam, idź i dopnij wszystko na ostatni guzik.

Harry wrócił do pokoju detektywów, żeby zadzwonić do prokuratury okręgowej z wiadomością o aresztowaniu podejrzanego w sprawie morderstwa oraz o jego przyznaniu się do winy. Rozmawiał z przewodniczącą wydziału O'Brien. Powiedział, że albo on, albo jego partner przyjedzie jeszcze dzisiaj przedstawić zarzuty. O'Brien, znająca sprawę tylko z doniesień środków masowego przekazu, powiedziała, że wyśle któregoś z prokuratorów na komendę, żeby nadzorował odebranie przyznania się do winy i dalszy bieg śledztwa.

Harry wiedział, że o tej porze dnia prokuratora można spodziewać się najwcześniej za trzy kwadranse. Powiedział O'Brien, że prokurator będzie mile widziany, ale że nie zamierza czekać na niego z odebraniem przyznania się do winy. O'Brien zasugerowała jednak, żeby to zrobił.

- Proszę posłuchać, facet chce mówić - odparł Bosch. - Za czterdzieści pięć minut czy godzinę może mu się odmienić. Nie możemy czekać. Proszę powiedzieć swojemu człowiekowi, żeby po przyjeździe zastukał do pokoju trzeciego. Wpuścimy go do środka.

W idealnym świecie Harry zaczekałby na prokuratora, ale po latach pracy wiedział, że poczucie winy czasami ulatnia się bez śladu. Nie czeka się, gdy ktoś chce się przyznać do morderstwa. Włącza się magnetofon i mówi: „Proszę o tym wszystko opowiedzieć”.

O'Brien niechętnie się zgodziła, powołując się na własne, identyczne doświadczenia. Rozłączyli się. Harry natychmiast wybrał numer wydziału spraw wewnętrznych i poprosił Carol Bradley. Przełączono go.

- Tu Bosch z wydziału Hollywood. Gdzie, do diabła, mój magnetofon?

Odpowiedzią było milczenie.

- Pani porucznik? Halo? Jest pani...

- Jestem. Mam tu pański magnetofon.

- Może go pani przywiezie? Powiedziałem, żeby przesłuchała pani taśmę. Nie mówiłem, żeby zabrała pani magnetofon, bo go już nie potrzebuję.

- Chciałam ją przesłuchać i sprawdzić taśmę, czy nagranie nie było przerywane.

- No to niech pani wyjmie kasetę. Nie potrzebuje pani całego magnetofonu.

- Czasami potrzeba oryginalnego magnetofonu, żeby potwierdzić autentyczność nagrania, detektywie.

Harry potrząsnął głową z frustracji.

- Jezu, dlaczego pani to robi? Wie pani, kto był źródłem przecieku, dlaczego więc marnuje pani czas?

Znów minęła chwila, nim padła odpowiedź.

- Muszę sprawdzić wszystkie aspekty sprawy. Prowadzę dochodzenie tak, jak uważam za stosowne, detektywie.

Tym razem Harry zastanowił się przez chwilę, czy coś nie uszło jego uwagi - czy nie dzieje się coś, o czym powinien wiedzieć. Uznał wreszcie, że nie ma czasu się tym przejmować. Nie mógł tracić z oczu zasadniczego celu - swojego śledztwa.

- Wszystkie aspekty, a to dobre - powiedział. - O mało nie straciłem dzisiaj przyznania się

podejrzanego do winy, bo nie miałem ze sobą magnetofonu. Byłbym naprawdę wdzięczny, gdyby mi go pani zwróciła.

- Już go nie potrzebuję. Natychmiast wyślę go przez gońca wydziałowego.
- Dziękuję. Do widzenia.

Odłożył słuchawkę w momencie, gdy Edgar poszedł do biurka z trzema kubkami kawy. Przypomniało to Boschowi o czymś, co powinni zrobić.

- Kto ma dyżur? - zapytał.
- Mankiewicz tam był - odrzekł Edgar. - I Young.

Bosch przelał kawę ze styropianowego pojemnika do kubka, który wyjął z szuflady. Potem podniósł słuchawkę i wybrał numer dyżurki. Odebrał Mankiewicz.

- Masz kogoś w jaskini nietoperzy?
- Bosch? Myślałem, że wziąłeś trochę wolnego.
- Źle myślałeś. Co z jaskinią?
- Nie, nie ma nikogo do ósmej. Czego potrzebujesz?
- Zamierzam nagrać przyznanie się do winy i nie chcę, żeby jakikolwiek adwokat zdołał je odkręcić.

Facet cuchnie bourbonem, ale chyba nie jest zupełnie pijany. Mimo to chcę, żebyś to odnotował.

- Chodzi o te kości?
- No.
- Przeprowadź go, to każę mu dmuchać. Mam uprawnienia.
- Dzięki, Mank.

Odłożył słuchawkę i popatrzył na Edgara.

- Zabierzemy go do jaskini i zobaczymy, ile nadmucha. Na wszelki wypadek.
- Dobry pomysł.

Zanieśli kubki do pokoju przesłuchań numer 3, gdzie wcześniej przykuli Delacroix do pierścienia na środku stołu. Otworzyli mu kajdanki i dali napić się parę łyków kawy. Potem zaprowadzili go tylnym korytarzem do małego aresztu. Składały się na niego praktycznie dwie duże cele do przetrzymywania pijaków i prostytutek. Aresztantów w poważniejszych sprawach zwykle zabierano do głównego więzienia miejskiego lub okręgowego. Trzecią celkę, nazywaną jaskinią nietoperzy, wykorzystywano do pomiaru stężenia alkoholu we krwi.

Spotkali Mankiewicza na korytarzu i weszli za nim do jaskini, gdzie włączył alkomat i kazał Delacroix dmuchnąć w dołączoną do urządzenia rurkę z przezroczystego tworzywa sztucznego. Bosch zauważył, że Mankiewicz ma czarną wstążkę na odznace - symbol żałoby po Julii Brasher.

Minęło kilka minut, nim otrzymali rezultat. Delacroix miał trzy dziesiąte promila - o wiele mniej, niż wynosił nawet limit dla kierowców. Do przyznania się do morderstwa nie odnosiły się żadne standardy.

Gdy wyprowadzali Delacroix z celi, Harry poczuł, że Mankiewicz klepnął go w ramię. Odwrócił się w jego stronę, a Edgar poszedł dalej z aresztantem.

Mankiewicz kiwnął głową.

- Chciałem ci tylko powiedzieć, że mi przykro, Harry - powiedział. - No wiesz, po tym, co się stało.

Bosch wiedział, że chodzi mu o Julię. Odpowiedział skinieniem głowy.

- Tak, dzięki. Ponura sprawa.

- Rozumiesz, że musiałem ją wysłać. Wiedziałem, że jest zielona, ale...

- Dobrze zrobiłeś, Mank. Łatwo być mądrym po szkodzie. - Mankiewicz tylko pokiwał głową. - Muszę już iść - dodał Bosch.

Gdy Edgar wprowadził Delacroix do pokoju przesłuchań, Bosch przeszedł do pokoju obserwacyjnego. Poprawił ostrość obiektywu kamery przed jednostronnym lustrem i włożył nową kasetę, którą wyjął z szafki. Włączył kamerę oraz zapasowy magnetofon. Przygotowania były zakończone. Wrócił do pokoju przesłuchań, żeby dopiąć wszystko na ostatni guzik.

Rozdział 37

Bosch przedstawił wszystkie trzy osoby obecne w pokoju przesłuchań i podał datę oraz godzinę, chociaż i tak nagrywały się na dole kadru taśmy wideo. Położył na stole formularz zrzeczenia się obecności adwokata i powiedział Delacroix, że odczyta mu jeszcze raz jego prawa. Gdy skończył, poprosił go o podpisanie formularza, a potem odsunął na bok. Upił łyk kawy i zaczął przesłuchanie.

- Panie Delacroix, kilka godzin temu wyraził pan chęć opowiedzenia, co stało się z pana synem, Arthurem, w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku. Nadal chce pan z nami o tym rozmawiać?

- Tak - powiedział Delacroix bez wahania czy cienia emocji.

- Zabił go pan?

- Tak, zabiłem. Nie chciałem, ale to zrobiłem. Tak.

- Kiedy do tego doszło?

- To było w maju... chyba w maju tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku. Myślę, że właśnie wtedy. Pewnie wiecie to lepiej ode mnie.

- Proszę niczego nie zakładać. Niech pan odpowiada na każde pytanie najdokładniej, jak pan potrafi.

- Postaram się.

- Gdzie zginął pana syn?

- W domu, w którym wtedy mieszkaliśmy. W swoim pokoju.

- Jak zginął? Uderzył go pan?

- Och, tak. Ja...

Rzeczowe podejście Delacroix do przesłuchania nagle wyparowało. Jego twarz się ściągnęła; grzbietami dłoni otarł kąty oczu.

- Uderzył go pan?

- Tak.

- Gdzie?

- Chyba pobiłem go całego.

- Z głową włącznie?

- Tak.

- Mówi pan, że to było w jego pokoju?

- Tak, w jego pokoju.

- Czym go pan bił?

- To znaczy?

- Pięściami czy jakimś przedmiotem?

- I tak, i tak. Moje pięści to też jakiś przedmiot.

- Czym bił pan swojego syna?

- Naprawdę nie pamiętam. Musiałem... po prostu czymś, co miał u siebie. W pokoju. Muszę się zastanowić.

- Możemy wrócić do tego później. Dlaczego właśnie tego dnia... po pierwsze, kiedy to było? O jakiej porze?

- Rano. Po tym, jak Sheila - to moja córka - poszła do szkoły. Naprawdę tylko to pamiętam. Sheili już nie było.

- A pana żona, matka chłopca?

- Och, odeszła o wiele wcześniej. To przez nią właśnie zacząłem...

Urwał. Harry domyślił się, że chce obciążyć żonę winą za swoje pijaństwo, a tym samym za wszystko, co z niego wynikało, z morderstwem włącznie.

- Kiedy ostatni raz miał pan kontakt z żoną?

- Była żoną. Nie rozmawiałem z nią od dnia, kiedy znikła. To było...

Nie dokończył. Nie przypominał sobie, ile czasu minęło.

- A co z pańską córką? Kiedy ostatnio z nią pan rozmawiał?

Delacroix oderwał wzrok od Boscha i wbił go w swe dłonie spoczywające na stole.

- Dawno temu - powiedział.

- Jak dawno?

- Nie pamiętam. Nie rozmawiamy ze sobą. Pomogła mi kupić przyczepę. To było pięć czy sześć lat temu.

- Nie rozmawiał pan z nią w tym tygodniu?

Delacroix podniósł na niego zaciekawiony wzrok.

- W tym tygodniu? Nie. Dlaczego miałbym...

- Pozwoli pan, że to ja będę zadawał pytania. A co z wiadomościami? Czytał pan w ostatnich kilku tygodniach gazety albo oglądał dzienniki w telewizji?

Delacroix potrząsnął głową.

- Nie lubię tego, co teraz pokazują. Wolę oglądać kasety.

Harry zdał sobie sprawę, że zbacza z tematu. Postanowił wrócić do rzeczy najważniejszych. Najistotniejsze dla niego było jasne przyznanie się Delacroix do zamordowania syna. Musiało być pewne i wystarczająco szczegółowe, żeby nie można go było podważyć. Wiedział bez cienia wątpliwości, że kiedy Delacroix dostanie adwokata, wcześniej czy później wycofa przyznanie się do winy. Zawsze tak się działo. Przyznanie zostanie zakwestionowane na wszystkich frontach - od prawidłowości proceduralnej po stan psychiczny podejrzanego, a obowiązkiem Harry'ego było dopilnowanie, by mimo to ostało się i mogło zostać w końcu przedstawione dwunastu członkom ławy przysięgłych.

- Wróćmy do pana syna, Arthura. Pamięta pan, czym go pan bił w dniu jego śmierci?

- Myślę, że chyba jego małym kijem. Miniaturą kija baseballowego, pamiątką z meczu Dodgersów.

Bosch pokiwał głową. Wiedział, o czym mówi Delacroix. W kioskach z pamiątkami sprzedawano kije wielkości patek, jakie nosili policjanci, zanim dostali nowe, metalowe. Taki kij mógł stanowić narzędzie zbrodni.

- Dlaczego go pan bił?

Delacroix popatrzył na swoje ręce. Bosch zobaczył, że brakuje mu kilku paznokci. To musiało boleć.

- Och, nie pamiętam. Pewnie byłem pijany. Ja... - Znów zalał się łzami i ukrył twarz w dłoniach. Bosch czekał, aż wreszcie Delacroix się uspokoi i kontynuował: - Powinien... powinien być w szkole. Ale nie poszedł. Wszedłem do jego pokoju i on tam był. Wściekłem się. Płaciłem spore pieniądze za tę szkołę, a nam się nie przelewało. Zacząłem wrzeszczeć, później biłem, a potem... potem po prostu złapałem ten kij i go walnąłem. Pewnie za mocno. Nie chciałem.

Bosch czekał dalej, ale Delacroix zamilkł.

- Wtedy umarł? - Delacroix kiwnął głową.

- To znaczy: tak?

- Tak. Tak.

Rozległo się dyskretne stukanie do drzwi. Bosch kiwnął głową Edgarowi, który podszedł do wejścia. Harry domyślił się, że to prokurator, ale nie zamierzał przerywać przesłuchania przedstawianiem obecnych. Ciągnął dalej.

- Co pan wtedy zrobił? Kiedy Arthur już nie żył?

- Zniosłem go schodami z tyłu do garażu. Nikt mnie nie widział. Wsadziłem go do bagażnika. Potem wróciłem do jego pokoju, posprzątałem i wsadziłem trochę jego ubrań do torby.

- Jakiej?

- Tej, z którą chodził do szkoły. Plecaka.

- Jakie ubrania pan do niego schował?

- Nie pamiętam. Co wyciągnąłem z szuflady, rozumie pan?

- W porządku. Może pan opisać ten plecak?

Delacroix wzruszył ramionami.

- Nie pamiętam. To był zwyczajny plecak.

- No dobrze. Co pan zrobił, kiedy wrzucił pan do niego ubrania?

- Schowałem go do bagażnika.

- Jaki to był samochód?

- Impala, rocznik siedemdziesiąty drugi.

- Ma go pan jeszcze?

- Żałuję, że nie, to klasyk. Ale go rozwaliłem. Wtedy pierwszy raz zgarnęli mnie za jazdę po pijanemu.

- Co to znaczy: rozwaliłem?

- Skasowałem go. Wylądowałem na palmie w Beverly Hills. Odholowano go na jakieś złomowisko.

Wytropienie trzydziestoletniego samochodu i tak byłoby trudne, ale wiadomość, że samochód został skasowany, kładła kres wszelkim nadziejom na odnalezienie auta i poszukanie dowodów rzeczowych w bagażniku.

- Wróćmy w takim razie do pana opowieści. Ciało było w bagażniku. Kiedy pan się go pozbył?
- Tej samej nocy. Późno. Zaczęliśmy go szukać, kiedy nie wrócił ze szkoły.
- My?
- Sheila i ja. Jeździliśmy i rozglądaliśmy się. Dotarliśmy we wszystkie miejsca, gdzie jeżdżono na deskorolkach.

- A Arthur był przez cały czas w bagażniku samochodu, którym jeździliście?
- Zgadza się. Widzi pan, nie chciałem, żeby się dowiedziała, co zrobiłem. Chroniłem ją.
- Rozumiem. Złożył pan na policji zawiadomienie o zaginięciu chłopca?
- Nie. - Delacroix potrząsnął głową. - Pojechałem na posterunek w Wilshire i rozmawiałem z policjantem. Siedział przy biurku, zaraz za wejściem. Powiedział, że Arthur pewnie nawiał i sam wróci. Żebym poczekał kilka dni. Dlatego nie złożyłem zawiadomienia.

Bosch starał się omówić jak najwięcej zagadnień, zbierał fakty, które można było zweryfikować i w ten sposób poprzeć nimi zeznanie Delacroix, kiedy za namową adwokata wycofa swoje przyznanie się do winy. Najlepsze byłyby niepodważalne dowody lub wyniki analiz laboratoryjnych. Istotna była jednak również zgodność wersji różnych osób. Sheila Delacroix powiedziała już Boschowi i Edgarowi, że pojechała z ojcem na posterunek tego wieczoru, kiedy Arthur nie wrócił do domu. Jej ojciec wszedł na posterunek, ona zaś została w samochodzie. Bosch nie znalazł jednak zawiadomienia o zaginięciu. Ten szczegół wydawał się pasować, pomagał uwiarygodnić zeznanie.

- Panie Delacroix, nie denerwuje się pan rozmową ze mną?
- Oczywiście, że nie.
- Nie uważa pan, że wywieram na pana presję lub panu grożę?
- Nie, wszystko w porządku.
- Rozmawia pan ze mną z własnej woli?
- Zgadza się.
- No dobrze. Kiedy wyjął pan ciało syna z bagażnika?
- Później. Gdy Sheila poszła spać, wyszedłem i pojechałem gdzieś, gdzie mogłem je ukryć.
- Czyli dokąd?
- Na wzgórze. Do Laurel Canyon.
- Pamięta pan, dokąd dokładnie?
- Nie bardzo. Przejechałem koło szkoły na Lookout Mountain. Gdzieś w tej okolicy. Było ciemno, a ja... no, wie pan, piłem, bo strasznie się czułem po tym wypadku. Rozumie pan?
- Wypadku?
- Tym, że za mocno uderzyłem Arthura.
- Ach. Minął więc pan szkołę. Pamięta pan, jaka to była ulica?
- Wonderland.
- Wonderland? Na pewno?
- Nie, ale chyba tak. Przez wszystkie te lata... starałem się zapomnieć z tego jak najwięcej.
- Mówi pan zatem, że był pan pijany, kiedy ukrył pan ciało?
- Byłem pijany. Nie sądzi pan, że musiałem się upić?
- Nieważne, co ja sądzę.

Harry poczuł pierwszy dreszcz niepokoju. Chociaż Delacroix prezentował kompletne przyznanie się do winy, udzielał równocześnie informacji mogących zaszkodzić oskarżeniu. Ponieważ był pijany, mogło to tłumaczyć, dlaczego ciało zostało najwidoczniej pośpiesznie porzucone na zboczu i przysypane ziemią i igliwem. Harry jednak pamiętał, jak trudno jemu samemu było wspiąć się po stoku, i nie wyobrażał sobie, żeby pijany człowiek mógł to zrobić, niosąc lub wlokąc ciało syna.

Do tego dochodził plecak. Czy Delacroix zaniósł go razem ze zwłokami, czy wrócił po niego i jakimś cudem zdołał odnaleźć w ciemności miejsce, gdzie zostawił ciało?

Harry przyjrzał się uważnie Delacroix, starając się obmyślić, jak ma postąpić. Musiał bardzo uważać. Uzyskanie odpowiedzi, nad którą adwokat mógłby pastwić się całymi dniami w sądzie, byłoby strzałem do własnej bramki.

- Pamiętam tylko, że zabrało mi to wiele czasu – powiedział nagle nieproszony Delacroix. - Nie było mnie prawie całą noc. I pamiętam, że przytuliłem go z całych sił, zanim wrzuciłem do dołu. Jakbym urządził mu pogrzeb.

Delacroix pokiwał głową i poszukał oczyma oczu Boscha, jakby pragnął uzyskać od niego potwierdzenie, że słusznie postąpił. Harry odpowiedział beznamiętnym spojrzeniem.

- Zaczniemy od tego - powiedział. - Ta dziura, do której pan go wrzucił - jaką miała głębokość?

- Była niegłęboka, miała może trochę ponad pół metra.

- Jak pan ją wykopał? Miał pan ze sobą narzędzia?

- Nie. Nie myślałem o tym. Musiałem wykopać ją rękami. Dlatego nie była bardzo głęboka.

- A co z plecakiem?

- Też go wrzuciłem. Do dołu. Ale nie jestem pewny.

- No dobrze. - Harry pokiwał głową. - Przypomina pan sobie coś jeszcze z tego miejsca? Było strome, płaskie, błotniste?

- Nie pamiętam.

- Były tam zabudowania?

- Niedaleko stały domy, owszem, ale nikt mnie nie widział, jeśli o to panu chodzi.

Harry doszedł do wniosku, że za bardzo ryzykuje, podążając tym tropem. Musiał się cofnąć, by wyjaśnić jeszcze kilka szczegółów.

- A co z deskorolką syna?

- Nie rozumiem.

- Co pan z nią zrobił?

Delacroix pochylił się naprzód, by się nad tym zastanowić.

- Wie pan, naprawdę sobie nie przypominam.

- Zakopał ją pan razem z nim?

- Nie mogę... Nie pamiętam.

Bosch czekał długą chwilę ciekaw, czy uda mu się uzyskać coś więcej. Delacroix jednak milczał.

- No dobrze. Panie Delacroix, zrobimy przerwę, żebym mógł porozmawiać z moim partnerem. Chcę, żeby zastanowił się pan nad tym, o czym właśnie rozmawialiśmy. O miejscu, dokąd zabrał pan ciało syna. Musi pan sobie przypomnieć więcej szczegółów. I zostaje jeszcze sprawa deskorolki.

- Dobrze, spróbuję.

- Przyniosę panu więcej kawy.

- Byłbym bardzo wdzięczny.

Bosch wstał, zabierając puste kubki. Natychmiast przeszedł do pokoju obserwacyjnego. Został w nim Edgara w towarzystwie drugiego, nieznanego mu mężczyzny. Obydwaj patrzyli przez jednostronne lustro na Delacroix. Edgar wyciągał właśnie rękę, żeby wyłączyć kamerę.

- Nie gaś - powiedział Bosch. Edgar cofnął dłoń. - Niech się nagrywa. Jeśli przypomni sobie coś więcej, nie chcę, żeby ktoś mógł twierdzić, że mu to podpowiedzieliśmy w przerwie.

Edgar pokiwał głową. Drugi mężczyzna odwrócił się od szyby i wyciągnął rękę. Wyglądał na niecałe trzydzieści lat. Miał ciemne, zaczesane gładko do tyłu włosy i bardzo jasną skórę. Uśmiechał się szeroko.

- Witam. George Portugal z prokuratury okręgowej. - Bosch odstawił puste kubki na stół i uściśnął mu dłoń. - Wygląda na to, że macie tu ciekawą sprawę - dodał Portugal.

- Z każdą chwilą ciekawszą - odparł Harry.

- Cóż, z tego, co widziałem przez ostatnich dziesięć minut, nie macie się czym martwić. Trafienie bez pudła.

Harry pokiwał głową, ale nie uśmiechnął się w odpowiedzi. Chciało mu się śmiać z naiwności Portugala. Widział zbyt wiele, żeby ufać instynktowi początkującego prokuratora. Przypomniało mu się, co się wydarzyło, zanim Delacroix znalazł się w pokoju po drugiej stronie szyby. Wiedział też, że w jego pracy nie ma czegoś takiego, jak trafienie bez pudła.

Rozdział 38

O siódmej wieczorem Bosch i Edgar przewieźli Samuela Delacroix do Parker Center, by tam przedstawić mu zarzut zamordowania syna. Przy udziale Portugala przesłuchiwali Delacroix jeszcze przez godzinę, lecz uzyskali już tylko kilka nowych szczegółów dotyczących morderstwa. Dwadzieścia lat poczucia winy i whisky nadwerżyły staremu pamięć.

Portugál wyszedł z pokoju nadal przekonany, że trafili w dziesiątkę. Bosch nie był jednak tego taki pewny. Nigdy nie odnosił się do dobrowolnych przyznań do winy równie ochoczo jak prokuratorzy i inni detektywi. Wierzył, że prawdziwa skrucha to rzadkość w tym świecie. Podchodził do nieoczekiwanych wyznań z wyjątkową ostrożnością, zawsze szukając czegoś, co może kryć się za słowami. Dla niego każda sprawa przypominała dom w budowie. Gdy dochodziło do przyznania się do winy, była to betonowa płyta, na której wznoszono resztę konstrukcji. Jeśli jednak cement został źle wymieszany lub wylany, dom mógł nie przetrzymać pierwszego trzęsienia ziemi. Kiedy jechał z Delacroix do Parker Center, mimowolnie przyszło mu na myśl, że w fundamentach tego domu są niewidoczne szczeliny. I że zbliża się trzęsienie ziemi.

Rozmyślania Boscha przerwało brzęczenie telefonu komórkowego. Dzwoniła Grace Billets.

- Wymknęliście się, zanim mieliśmy okazję porozmawiać.
- Wieziemy Delacroix do aresztu.
- Wyglądasz na zadowolonego.
- No... Nie bardzo mogę rozmawiać.
- Jesteś z nim w samochodzie?
- Tak.
- Jakież kłopoty czy tylko bawisz się w kwokę?
- Jeszcze nie wiem.
- Wydzwanają do mnie Irving i wydział kontaktów z mediami. Pewnie rozeszły się już wieści z biura rzecznika prokuratury, że szykuje się akt oskarżenia. Jak mam się zachować?

Bosch popatrzył na zegarek. Uznał, że po dostarczeniu Delacroix dojadą na ósmą do domu Sheili. Kłopot polegał na tym, iż w razie oświadczenia dla mediów dziennikarze mogli trafić tam wcześniej.

- Coś pani powiem. Najpierw chcielibyśmy porozmawiać z córką. Może pani zadzwonić do prokuratury i poprosić, żeby wstrzymali się do dziewiątej? To samo z wydziałem kontaktów z mediami.

- Nie ma sprawy. Posłuchaj, kiedy go zostawicie, zadzwoń z miejsca, gdzie będziesz mógł rozmawiać. Chcę wiedzieć, jeśli są jakieś problemy.

- Załatwione.

Złożył telefon i obejrzał się na Edgara.

- Portugál pewnie od razu zadzwonił do rzecznika prasowego.
- Przypuszczalnie. Przypuszczalnie to jego pierwsza duża sprawa. Chce z niej wycisnąć, ile tylko zdoła.
- No.

Przez kilka minut jechali w milczeniu. Harry zastanawiał się nad tym, co zasugerowała porucznik Billets. Nie potrafił określić powodów swojego niezadowolenia. Sprawą przestawały się zajmować organy ścigania, a zabierał się do niej system sądowy. Zostało jeszcze mnóstwo detektywistycznej pracy, ale każde śledztwo zmieniało charakter, gdy podejrzanego zatrzymano i przedstawiono mu zarzuty. Harry przeważnie doznawał uczucia ulgi w momencie, gdy zabierał mordercę na przedstawienie zarzutów. Czuł się wspaniale, miał wrażenie, że jego praca coś znaczy. Tym razem było jednak inaczej i nie bardzo wiedział dlaczego.

Wreszcie przypisał swoje emocje własnym błędom i nieprzewidywalnym zmianom biegu śledztwa. Uznał, że nie może świętować ani

czuć się wspaniale, skoro sprawa kosztowała go tak wiele. Owszem, mieli w samochodzie mordercę dziecka, który przyznał się do zbrodni, i wieźli go do aresztu. Nicholas Trent i Julia Brasher jednak nie żyli. W budowanym domu zawsze będą pokoje nawiedzane przez ich duchy. Zawsze będą nawiedzały jego - Boscha.

- Mówił pan o mojej córce? Chcecie z nią rozmawiać?

Harry popatrzył w lusterko wsteczne. Delacroix garbił się, bo miał ręce skute za plecami. Harry musiał poprawić lusterko i włączyć światło pod sufitem, żeby zobaczyć jego oczy.

- Tak. Musimy przekazać jej, co się stało.

- Musicie? Musicie ją w to wciągać?

Bosch przyjrzał mu się przez chwilę w lusterku. Delacroix nerwowo spoglądał na boki.

- Nie mamy wyboru - powiedział Bosch. - Chodzi o jej brata i ojca.

Skręcił na zjazd prowadzący do Los Angeles Street. Do wejścia dla zatrzymanych w Parker Center zostało im pięć minut jazdy.

- Co zamierzacie jej powiedzieć?

- To, co pan nam. Że zabił pan Arthura. Chcemy jej to powiedzieć, zanim dowie się od reporterów albo z dziennika.

Zajrzał w lusterko. Delacroix skinął z aprobatą głową. Potem podniósł wzrok i popatrzył na Boscha w lusterku.

- Przekażecie jej coś ode mnie?

- Co takiego?

Bosch sięgnął do kieszeni po magnetofon, ale zdał sobie sprawę, że wciąż go nie ma. Przeklął w duchu Carol Bradley i swoją decyzję, by zgodnie współpracować z wydziałem spraw wewnętrznych.

Delacroix milczał przez chwilę. Wodził głową z boku na bok, jakby szukał tego, co chce przekazać córce. Wreszcie znowu popatrzył w lusterko.

- Powiedzie jej tylko, że wszystkiego żałuję. Tylko tyle. Wszystkiego żałuję. Powiedzie jej.

- Żałuję pan wszystkiego. Zrozumiałem. Coś jeszcze?

- Nie, tylko to.

Edgar poprawił się w fotelu, by móc spojrzeć na Delacroix.

- Żałuje pan, tak? - zapytał. - Po dwudziestu latach to trochę późno, prawda?

Bosch skręcił w prawo w Los Angeles Street i nie dojrzał reakcji Delacroix.

- Nic nie wiecie - rzucił gniewnie Delacroix. - Przez te dwadzieścia lat ciągle płakałem.

- Pewnie - rzekł Edgar. - W swoją whisky. Ale nie dosyć, żeby cokolwiek zrobić, zanim się pojawiliśmy. Nie dosyć, żeby wyleźć z butelki, zgłosić się na policję i zadbać, by chłopaka wydobyto z ziemi, kiedy jeszcze zostało z niego tyle, że nadawało się na przyzwoity pogrzeb. Zostały tylko kości, wie pan? Tylko kości.

Harry spojrzął w lusterko. Delacroix potrząsnął głową i pochylił się jeszcze bardziej, aż dotknął głową oparcia fotela przed sobą.

- Nie mogłem - powiedział. - Nawet nie...

Urwał. Harry zobaczył, że zaczęły mu dygotać ramiona. Płakał.

- Co: nawet nie? - zapytał. Delacroix nie odpowiedział. - Co: nawet nie? - powtórzył głośniejsze.

Usłyszał, że Delacroix wymiotuje na podłogę samochodu.

- Och, kurwa! - krzyknął Edgar. - Wiedziałem, że tak będzie!

Wóz wypełnił kwaśny odór celi dla pijaków: wymiociny, których głównym składnikiem był częściowo przetrawiony alkohol. Mimo styczniowego chłodu Harry całkiem opuścił okno. Edgar zrobił tak samo. Skręcili pod Parker Center.

- Chyba twoja kolej - powiedział Harry. - Ostatnim razem była moja. Po tym mędrku, którego wywlekliśmy z baru „Marmount”.

- Wiem, wiem - powiedział Edgar. - Tylko o tym marzyłem przed kolacją.

Bosch zaparkował na jednym z miejsc zarezerwowanych dla konwojów aresztanckich. Stojący przy drzwiach funkcjonariusz, zajmujący się przyjmowaniem więźniów, ruszył w ich stronę.

Bosch przypomniał sobie, jak Julia skarżyła się na konieczność sprzątnięcia wozu patrolowego po pijakach. Poczul się prawie tak, jakby znów szturchnęła go w obolałe żebra, zmuszając mimo cierpienia do uśmiechu.

Rozdział 39

Sheila Delacroix otworzyła drzwi domu, w którym mieszkała ona i brat, ale tylko ona dorastała. Miała na sobie czarne legginsy i sięgającą prawie do kolan koszulkę z krótkimi rękawami. Zmyła makijaż i Harry dopiero teraz zauważył, że bez pudru i farby ma miłą twarz. Oczy rozszerzyły się jej na widok policjantów.

- Panowie? Nie spodziewałam się was.

Nie zaprosiła ich do środka.

- Sheilo, zdołaliśmy ustalić, że szczątki z Laurel Canyon należą do twojego brata Arthura - przemówił Harry. - Przykro nam, że przyjeżdżamy z tą informacją. Możemy wejść na kilka minut?

Pokiwała głową, przyjmując informację, i oparła się na chwilę o futrynę. Harry zastanawiał się, czy Sheila się wyprowadzi, skoro nie było już szansy na powrót Arthura.

Odsunęła się na bok i dała znak, by weszli do środka.

- Proszę.

Gdy znaleźli się w salonie, zaprosiła ich, by usiedli. Wszyscy troje zajęli te same miejsca co poprzednim razem. Bosch zauważył, że przyniesione przez Sheilę pudło ze zdjęciami wciąż stoi na stoliku do kawy. Fotografie były teraz poukładane w równe stosiki. Sheila zauważyła jego spojrzenie.

- Zrobiłam w nich jaki taki porządek. Od dawna się do tego zabierałam.

Pokiwał głową. Zaczekał, aż usiądzie pierwsza. Po drodze opracował z Edgarem plan wizyty. Sheila Delacroix odgrywała ważną rolę w sprawie. Dysponowali przyznaniem się jej ojca oraz dowodami w postaci obrażeń kości. Trzeba było to jednak powiązać w przekonującą całość. Sheila musiała opowiedzieć, jak wyglądało dzieciństwo w domu Delacroix.

- Hm, jest coś jeszcze, Sheilo. Chcieliśmy o tym porozmawiać, zanim dowie się pani tego z dziennika. Późno po południu pani ojciec został aresztowany pod zarzutem zamordowania Arthura.

- Och, mój Boże.

Pochyliła się do przodu i wsparła łokcie na kolanach, zacisnęła dłonie w pięści i przycisnęła do ust. Zamknęła oczy i spuściła głowę; włosy zakryły jej twarz.

- Jest w areszcie w Parker Center, a jutro prokuratura postawi go oficjalnie w stan oskarżenia i zapadnie decyzja, czy może wyjść za kaucją. Sądząc po sytuacji pani ojca - to znaczy tym, jakie życie prowadzi - zapewne nie zdoła wnieść takiej kaucji, jaka będzie wchodziła w rachubę.

Sheila otworzyła oczy.

- To musi być jakaś pomyłka. A co z tamtym człowiekiem, z drugiej strony ulicy? Zabił się, to na pewno on.

- Nie sądzimy, Sheilo.

- Mój ojciec nie mógł tego zrobić.

- W istocie sam się przyznał - powiedział delikatnie Edgar.

Wyprostowała się, a na jej twarzy pojawiło się zaskoczenie.

To z kolei zdezorientowało Boscha. Myślał, że Sheila zawsze o to ojca podejrzewała.

- Powiedział nam, że uderzył go kijem baseballowym, bo Arthur poszedł na wagary - rzekł Harry. - Pani ojciec twierdzi, że wtedy pił, stracił panowanie nad sobą i po prostu za mocno go uderzył. Według niego to był wypadek. - Sheila patrzyła na niego bez słowa, starając się przetrwać tę informację. - Potem schował ciało pani brata do bagażnika samochodu. Powiedział, że kiedy jeździliście go szukać tamtego wieczora, Arthur przez cały czas leżał w bagażniku.

Sheila znowu zamknęła oczy.

- Później tej samej nocy, podczas gdy pani spała, wymknął się, pojechał na wzgórze i zakopał ciało - dokończył Edgar.

Sheila zaczęła potrząsać głową, jakby broniła się przed tymi słowami.

- Nie, nie, on...

- Widziała pani kiedykolwiek, jak ojciec bił Arthura? - zapytał Harry.

Sheila popatrzyła na niego, najwyraźniej otrząsając się z oszołomienia.

- Nie, nigdy.

- Jest pani tego pewna?

Pokręciła głową.

- Najwyżej dał mu klapsa w tyłek, kiedy Arthur był mały i naprzykrzał się, to wszystko.

Bosch popatrzył na Edgara i z powrotem na Sheilę. Znowu pochyliła się do przodu i wpatrywała w

podłogę między swoimi nogami.

- Wiem, że mówimy o pani ojcu, Sheilo. Chodzi jednak także o pani brata. Nie dano mu szansy żyć tyle, ile powinien, prawda? - Czekał na odpowiedź. Po długiej chwili Sheila potrząsnęła głową, nie podnosząc wzroku. - Mamy przyznanie się pani ojca do winy i dowody. Kości Arthura mówią jasno, co się z nim działo, Sheilo. Są na nich ślady obrażeń. Mnóstwo. Z całego życia. - Pokiwała głową. - Potrzebujemy potwierdzenia. Ktoś musi zaświadczyć, jak wyglądało dzieciństwo Arthura w tym domu.

- Pozór dzieciństwa - dodał Edgar.

Sheila wyprostowała się i wytarła dłońmi łzy z policzków.

- Mogę wam tylko powiedzieć, że nigdy nie widziałam, by ojciec bił mojego brata. Ani razu. - Wytarła znowu łzy. Jej twarz robiła się lśniąca, skażona płaczem. - Niewiarygodne - powiedziała. - Chciałam tylko... Chciałam się tylko dowiedzieć, czy to był Arthur. A teraz... Nie powinnam była do was dzwonić. Powinnam...

Nie dokończyła. Ścisnęła grzbiet nosa, starając się powstrzymać łzy.

- Sheilo - powiedział Edgar. - Jeśli pani ojciec tego nie zrobił, to dlaczego powiedział nam coś innego? Gwałtownie potrząsnęła głową, wyraźnie wpadając w podniecenie.

- Dlaczego kazał nam przekazać pani, że żałuje?

- Nie wiem. Jest chory. Pije. Może chce zwrócić na siebie uwagę, sama nie wiem. Wiecie, że był aktorem.

Bosch przysunął do siebie pudełko z fotografiami i przejrzał jeden ze stosików, podważając zdjęcia palcem. Natrafił na zdjęcie Arthura w wieku około pięciu lat. Wyciągnął je i obejrzał. Nic na fotografii nie sugerowało, że chłopca czeka zagłada i że kości pod skórą już noszą ślady złamań.

Wsunął fotografię na miejsce i popatrzył na Sheilę. Przez chwilę nie odrywali od siebie wzroku.

- Pomoże nam pani, Sheilo?

Odwróciła od niego spojrzenie.

- Nie mogę.

Rozdział 40

Bosch zatrzymał samochód przed rowem odwadniającym i szybko zgasił silnik. Nie chciał przyciągnąć uwagi mieszkańców Wonderland Avenue. I tak zdradzały go policyjne barwy samochodu. Miał jednak nadzieję, że o tak późnej porze wszystkie zasłonki będą zaciągnięte.

Harry był sam; jego partner wrócił już do domu. Nacisnął guzik blokady bagażnika. Wychylił się przez boczne okienko i popatrzył w ciemność na wzgórzu. Drużyna służb specjalnych już wcześniej rozebrała rusztowania i schody prowadzące na miejsce przestępstwa. Na tym właśnie mu zależało. Chciał, by warunki były podobne do tych, w których Samuel Delacroix w środku nocy wciągał na górę ciało syna.

Zapalenie się latarki wystraszyło go na chwilę. Nie zorientował się, że oparł kciuk na włączniku. Zgasił latarkę i rozejrzał się po cichych domach usadowionych przy rondzie. Wracając w miejsce, gdzie wszystko się zaczęło, kierował się instynktem. Aresztował człowieka za popełnione ponad dwadzieścia lat temu morderstwo, ale nie odczuwał spokoju ducha. Coś się nie zgadzało i właśnie od tego miejsca zamierzał zacząć wyjaśniać co.

Zgasił lampkę pod sufitem samochodu. Cicho otworzył drzwi i wysiadł, nie zapalając latarki.

Stanął za samochodem, rozejrzał się raz jeszcze i otworzył bagażnik. Był w nim wykorzystywany w testach manekin, pożyczony od Jespera

z laboratorium kryminalistycznego. Manekinów używano od czasu do czasu przy wizjach lokalnych, zwłaszcza dotyczących podejrzanych samobójstw przez skok z wysokości oraz wypadków drogowych. Laboratorium miało cały komplet manekinów: od niemowląt po dorosłych ludzi. Masę każdego z nich można było skorygować przez dodawanie półkilogramowych woreczków z piaskiem do zamykanych na

zamki błyskawiczne kieszeni na tułowiu i kończynach.

Manekin w bagażniku miał na piersiach inicjały wydziału kryminalistycznego - SID. Był pozbawiony twarzy. Bosch wraz z Jesperem obciążyli go do masy trzydziestu pięciu kilogramów - tyle przypuszczalnie ważył Arthur Delacroix - określonej przez Gollihera na podstawie analizy zdjęć i rozmiarów kości. Manekin miał założony kupiony w sklepie plecak, podobny do tego, który znaleziono podczas wykopalisk. Plecak wypchany był starymi szmatami z bagażnika - na podobieństwo pogrzebanych wraz z ciałem ubrań.

Bosch odłożył latarkę, chwycił manekin pod pachy i wyciągnął z samochodu. Przerzucił go sobie przez lewe ramię, zrobił krok w tył, żeby nie stracić równowagi, i sięgnął do bagażnika po latarkę - tanią, nabytą w drogerii. Samuel Delacroix zeznawał, że taką właśnie kupił tej nocy, kiedy pogrzebał syna. Bosch zapalił latarkę, zszedł z krawężnika i ruszył pod górę.

Gdy zaczął się wspinać, natychmiast zorientował się, że musi przytrzymywać się obydwoma rękami pni i podciągać w ten sposób. Wepchnął latarkę do kieszeni z przodu; snop światła padał głównie na korony drzew, na nic nie przydawała się przy wyszukiwaniu drogi.

Harry wywalił się dwa razy w ciągu pierwszych pięciu minut. Poczul wyczerpanie, nim wspiał się dziesięć metrów. Nie zauważył małej, nieulistnionej gałązki, która rozorała mu policzek. Zaklął, ale szedł dalej.

Po pokonaniu niecałych dwudziestu metrów zrobił pierwszą przerwę. Upuścił manekin obok pnia sosny kalifornijskiej i usiadł mu na piersi. Wyciągnął sobie koszulkę ze spodni i przycisnął poję do twarzy, żeby zahamować krwawienie. Rana piekła go od zalewającego twarz potu.

- Dobra, Sid, idziemy dalej - powiedział, kiedy złapał oddech.

Przez następne siedem metrów wciągał manekin po stoku. Było to bardziej czasochłonne, lecz łatwiejsze niż dźwiganie. Poza tym Delacroix mówił, że właśnie tak zrobił.

Po kolejnej przerwie pokonał ostatnie dziesięć metrów do równego miejsca i wciągnął manekin pod kępkę akacji. Opadł na kolana, a po chwili usiadł w kucki.

- Gówno prawda - powiedział, łapiąc oddech. - Gówno prawda, i tyle.

Nie wyobrażał sobie, żeby Delacroix mógł to zrobić. Harry był mniej więcej dziesięć lat starszy od Delacroix, kiedy ten rzekomo tego dokonał, ale w odróżnieniu od niego był w dobrej formie. Był również trzeźwy - tak samo w odróżnieniu od podejrzanego.

Chociaż zdołał przetransportować manekin w miejsce, gdzie zostało pogrzebane ciało, instynkt podpowiadał mu, że Delacroix kłamał. Nie zrobił tego w taki sposób, w jaki twierdził. Albo miał pomoc, albo w ogóle nie wniósł ciała na górę. Istniała trzecia możliwość: że Arthur Delacroix jeszcze żył i sam wszedł na wzgórze.

Oddech Harry'ego wrócił w końcu do normy. Detektyw odchylił głowę i popatrzył w lukę między koronami drzew. Zobaczył nocne niebo i kawałek księżyca za chmurą. Poczul woń dymu i domyślił się, że w którymś z domów przy rondzie pali się w kominku.

Wyjął latarkę z kieszeni i ujął pasek wszyty w plecy manekina. Znoszenie go nie wchodziło w skład próby, więc zamierzał po prostu ściągnąć go w ten sposób. Miał właśnie wstać, kiedy usłyszał szmer w poszyciu około dziesięciu metrów od siebie.

Natychmiast wystawił latarkę w kierunku odgłosu. Przez chwilę mignął mu przemykający przez chaszczkę kojot. Zwierzę szybko uciekło ze snopu światła. Bosch wodził latarką na boki, ale nie zdołał go odszukać. Wstał i zaczął ciągnąć manekin po zboczu.

Grawitacja czyniła schodzenie łatwiejszym, ale było to równie zdradliwe. Ostrożnie stawiając przed sobą nogi, myślał o kojotach. Zastanawiał się, jak długo żyją i czy ten, którego dzisiaj zobaczył, mógł dwadzieścia lat temu przyglądać się zakopywaniu ciała w tym samym miejscu.

Zszedł ze wzgórza bez upadku. Kiedy wyniósł manekin na krawężnik, zobaczył, że koło jego wozu stoi pies doktora Guyota. Na smyczy. Szybko wrzucił manekin do bagażnika i go zatrasnął. Zza samochodu wyłonił się Guyot.

- Dobry wieczór, detektywie.

Najwidoczniej wiedział, że nie ma sensu zadawać policjantowi pytania, co tutaj robi.

- Dobry wieczór, doktorze. Jak pan się miewa?

- Podejrzewam, że lepiej niż pan. Znowu zrobił pan sobie krzywdę. Wygląda to na paskudne skaleczenie.

Harry dotknął policzka. Wciąż go palił.

- Nic mi nie będzie. To tylko zadrapanie. Niech pan lepiej trzyma Calamity na smyczy. Widziałem właśnie na górze kojota.

- No tak, nigdy nie spuszczam jej wieczorem. Na wzgórzach grasuje pełno kojotów. Słysząc je po nocach. Lepiej niech pan zajdzie do mnie. Opatrzę panu ranę. Jeśli nie, może zostać blizna.

Harry'emu nagle przypomniała się Julia, wypytująca go o blizny. Popatrzył na Guyota.

- Dobrze.

Zostawili samochód na rondzie i podeszli do domu lekarza. W gabinecie na tyłach domu Bosch usiadł na biurku, a Guyot oczyścił rozcięcie policzka i założył mu ósemkowy opatrunek.

- Myślę, że się zagoi - powiedział Guyot, zamykając zestaw do pierwszej pomocy. - Nie wiem, jak będzie z koszulką.

Bosch opuścił wzrok. Spód koszulki był poplamiony krwią.

- Dzięki za opatrzenie, doktorze. Ile czasu mam to nosić?

- Kilka dni. Jeśli pan wytrzyma.

Harry ostrożnie dotknął policzka. Opuchł lekko, ale rana przestała go palić. Guyot przeniósł wzrok na niego. Harry domyślił się, że lekarz chce coś powiedzieć. Podejrzał, że chce zapytać o manekin.

- O co chodzi, doktorze?

- O tę policjantkę, która była tutaj pierwszego dnia. To ona zginęła?

- Tak - przytaknął.

Guyot potrząsnął głową z autentycznym smutkiem. Powoli obszedł biurko i usiadł w fotelu.

- Dziwne, jak czasami się układa - rzekł. - Jakby to była reakcja łańcuchowa. Pan Trent z naprzeciwna, ta policjantka - a wszystko przez to, że pies wygrzebał kość. A przecież to nic nadzwyczajnego.

Harry mógł jedynie pokiwać głową. Zaczął wpychać koszulkę w spodnie, starając się ukryć plamy krwi.

Guyot popatrzył na swojego psa, który położył się obok fotela.

- Żałuję, że w ogóle spuszczałem ją ze smyczy - powiedział. - Naprawdę.

Harry zsunął się z biurka. Popatrzył na swój brzuch. Plam krwi nie było widać, ale co z tego, skoro koszulka i tak była przesiąknięta potem.

- Nie wiem, czy warto tak myśleć, doktorze - odparł. - Jeśli zacznie się pan nad tym zastanawiać, to niedługo w ogóle przestanie pan wychodzić z domu.

Popatrzyli na siebie i pokiwali głowami. Bosch wskazał swój policzek.

- Jeszcze raz dziękuję - powiedział. - Trafię do wyjścia.

Ruszył do drzwi.

- W telewizji była zjawka dziennika - zatrzymał go Guyot. - Podobno policja dokonała aresztowania w tej sprawie. Zamierzałem obejrzeć wydanie o jedenastej.

Bosch obejrzał się na niego od wyjścia.

- Niech pan nie wierzy we wszystko, co mówią w telewizji.

Rozdział 41

Telefon zadzwonił w chwili, gdy Bosch skończył oglądać pierwszą część przesłuchania Samuela Delacroix. Wziął pilota do ręki, wyciszył dźwięk i podniósł słuchawkę. Dzwoniła porucznik Billets.

- Myślałam, że do mnie zadzwonisz.

Harry upił łyk piwa z trzymanej w dłoni butelki i odstawił ją na stolik przy fotelu, z którego oglądał telewizję.

- Przepraszam, zapomniałem.

- Wciąż masz takie same wątpliwości?

- Jeszcze większe.

- O co chodzi, Harry? Chyba jeszcze nigdy nie widziałam detektywa przejmującego się przyznaniem do winy.

- O wiele rzeczy. Coś się dzieje.

- To znaczy?

- To znaczy, że zaczynam dochodzić do wniosku, że Delacroix tego nie zrobił. Że może o coś mu chodzi, a ja nie mam pojęcia o co.

Grace Billets milczała przez chwilę, najwidoczniej nie wiedząc, jak odpowiedzieć.

- A co myśli Jerry? - spytała w końcu.

- Nie wiem. Jest szczęśliwy z powodu wyjaśnienia sprawy.

- Wszyscy jesteśmy, Harry. Pod warunkiem że złapaliśmy właściwego człowieka. Masz coś konkretnego? Cokolwiek na poparcie swoich wątpliwości?

Bosch ostrożnie dotknął policzka. Opuchlizna się zmniejszyła, ale rana nadal była wrażliwa na dotyk. Nie mógł się jednak powstrzymać od jej obmacywania.

- Pojechałem dzisiaj na miejsce znalezienia kości. Z manekinem z laboratorium kryminalistycznego. Trzydziestopięciokilogramowym. Dostałem się na górę, ale kosztowało mnie to cholernie dużo wysiłku.

- No to udowodniłeś, że to możliwe. W czym problem?

- Wciągałem manekin, a facet trupa swojego syna. Byłem trzeźwy, Delacroix mówi, że był nawalony. Byłem tam wcześniej, on nie. Nie sądzę, żeby to zrobił. Przynajmniej nie sam.

- Myślisz, że ktoś mu pomagał? Może córka?

- Może ktoś mu pomagał, a może nigdy go tam nie było. Sam nie wiem. Rozmawialiśmy dzisiaj wieczór z córką. Nie będzie zeznawała przeciwko tatusiowi. Ani jednego złego słowa. Człowiek zaczyna się zastanawiać: a może zrobili to we dwoje? Ale nie. Gdyby brała w tym udział, to po co miałyby do nas dzwonić i umożliwić nam zidentyfikowanie kości? Bez sensu.

Grace Billets nie odpowiedziała. Harry popatrzył na zegarek. Była jedenasta. Chciał obejrzeć dziennik. Wyłączył magnetowid i włączył Kanał 4.

- Ogląda pani wiadomości? - zapytał Grace Billets.

- Tak. Na czwórcie.

Był to główny temat: ojciec morduje syna, grzebie ciało i przez psa dwadzieścia lat później zostaje aresztowany. Idealna historia z Los Angeles. Bosch oglądał w milczeniu, podobnie jak porucznik Billets. Sprawozdanie Judy Surtain nie zawierało żadnych nieścisłości, które rzuciłyby się w oczy. Zdziwiło go to.

- Nieźle - powiedział, gdy materiał się skończył. - Wreszcie powiedzieli prawdę.

Wyciszył ponownie dźwięk w chwili, gdy spiker przeszedł do następnego tematu. Bosch przez chwilę milczał, patrząc w ekran. Tym razem chodziło o ludzkie kości, znalezione w dołach asfaltowych w La Brea. Pokazano Gollihera na konferencji prasowej, stojącego przed wianuszkami mikrofonów.

- Odezwij się, Harry - powiedziała Grace Billets. - Co jeszcze cię dręczy? Musi chodzić o coś więcej niż tylko przecucie, że facet tego nie zrobił. Jeżeli idzie o córkę, nie dziwię się, że zadzwoniła z informacją o bracie. Przecież oglądała dziennik. Materiał o Trencie. Może pomyślała, że uda mu się to przyczepić. Po dwudziestu latach zamartwiania się wreszcie mogła zwalić to na kogoś innego.

Potrząsnął głową, chociaż wiedział, że jego rozmówczyni tego nie widzi. Nie sądził, by Sheila była zdolna zadzwonić na policję z informacją o swoim bracie, jeśli uczestniczyła w jego zamordowaniu.

- Bo ja wiem? - powiedział. - Naprawdę mi się to nie zgadza.

- To co zamierzasz zrobić?

- Jutro przejrzę wszystko od nowa. Zacznę od początku.

- Kiedy Delacroix zostanie postawiony w stan oskarżenia? Jutro?

- Tak.

- Nie masz dość czasu, Harry.

- Wiem, ale i tak to zrobię. Już wypatrzyłem sprzeczność, której wcześniej nie dostrzegałem.

- Co?

- Delacroix powiedział, że zabił chłopaka rano, kiedy zorientował się, że nie poszedł do szkoły. Gdy przesłuchiwałem po raz pierwszy córkę, powiedziała, że Arthur nie wrócił ze szkoły. To różnica.

Billets odchrząknęła prosto w słuchawkę.

- To drobiazg, Harry. Minęło ponad dwadzieścia lat, a Delacroix był pijany. Domyślam się, że sprawdzisz dziennik w szkole?

- Jutro.

- No to wyjaśnisz tę sprawę. Jak siostra może mieć zresztą pewność, czy chłopak poszedł do szkoły, czy nie? Wie tylko, że później nie było go w domu. Nie przekonałeś mnie.

- Wiem. Nawet się nie staram. Mówię pani tylko, czemu muszę się przyjrzeć.

- Czy znaleźliście cokolwiek podczas rewizji w przyczepie?

- Jeszcze jej nie zrobiliśmy. Delacroix zaczął mówić, kiedy tylko weszliśmy. Pojedziemy tam jutro po postawieniu go w stan oskarżenia.

- Ile jest ważny nakaz?

- Czterdzieści osiem godzin. Zmieścimy się w czasie.

Rozmowa o przyczepie nagle przypomniła Harry'emu o kocie Delacroix. Tak pochłonęło ich przyznanie się podejrzanego do winy, że zapomniał o załatwieniu opieki dla zwierzęcia.

- Cholera.

- Słucham?

- Nie, nic. Zapomniałem o kocie. Delacroix miał kota. Powiedziałem, że poproszę sąsiadkę, żeby się nim zajęła.

- Powinieneś być zadzwonić do schroniska.

- Facet prosił, żebyśmy tego nie robili. Ma pani koty, chyba go pani rozumie.

- No tak, ale nie wezmę jeszcze jednego.

- Nie, nie o to mi chodziło. Chcę tylko wiedzieć, ile kot może wytrzymać bez jedzenia i wody.

- To znaczy, że nie zostawiłeś mu nic do jedzenia?

- Zostawiliśmy, ale pewnie już nic nie ma.

- No, jeśli dzisiaj go nakarmicie, to pewnie do jutra wytrzyma, chociaż nie będzie zbyt zadowolony. Może narobić trochę bałaganu.

- Widać było, że już to zrobił. Chyba już skończymy, dobrze? Chcę obejrzeć resztę taśmy i zorientować się, na czym stoimy.

- No dobrze, nie zatrzymuję cię, ale nie zagłądaj darowanemu koniowi w zęby, Harry. Wiesz, o co mi chodzi?

- Chyba tak.

Skończyli rozmowę i Bosch włączył ponownie nagranie z przesłuchania. Natychmiast je jednak wyłączył. Nie potrafił przestać myśleć o kocie. Powinien był zapewnić mu jakąś opiekę.

Postanowił, że wyjdzie jeszcze raz.

Rozdział 42

Zbliżając się do przyczepy Delacroix, Bosch zobaczył, że we wszystkich oknach pali się światło. Było pogaszone, gdy dwanaście godzin wcześniej odjeżdżali z podejrzanym. Przejechał obok i zaparkował na pustym miejscu kilka przyczep dalej. Zostawił pudełko z kocią karmą w samochodzie, zawrócił pod przyczepę Delacroix i stanął w tym samym miejscu co w chwili, gdy Edgar walił w drzwi. Mimo późnej pory od strony autostrady dobiegał stały szum, który skutecznie tłumił odgłosy dochodzące z wnętrza przyczepy.

Wysunął pistolet z kabury i podszedł do drzwi. Uważnie stanął na pustakach i nacisnął klamkę. Drzwi były otwarte. Bosch nachylił się ku drzwiom, ale i teraz nic nie usłyszał. Zaczekał jeszcze chwilę, po cichu i powoli drugi raz nacisnął klamkę, uchylił drzwi i uniósł broń.

Pokój dzienny był pusty. Wszedł do środka i omiół przyczepę wzrokiem. Nikogo. Zamknął bezgłośnie drzwi za sobą.

Zajrzał do kuchni, a potem przez korytarzyk do sypialni. Jej drzwi były wpół zamknięte i nikogo nie

dojrzał w środku, lecz usłyszał łoskot, jakby ktoś gwałtownie zamykał szuflady. Przeszedł przez kuchnię. Czuć było obrzydliwy odór kociego moczu. Zauważył, że tacka pod stołem została wylizana do czysta, a miska z wodą też była prawie opróżniona. Wyszedł na korytarzyk. Gdy był półtora metra od drzwi sypialni, nagle otworzyły się na całą szerokość i pojawiła się w nich pochylona postać.

Sheila Delacroix krzyknęła, gdy podniosła głowę i zobaczyła Boscha. Detektyw uniósł pistolet i opuścił go natychmiast, gdy ją rozpoznał. Sheila uniosła ręce do piersi, jej oczy rozszerzyły się z lęku.

- Co pan tu robi? - zapytała.

Schował pistolet do kabury.

- Zamierzałem zapytać panią o to samo.

- To dom mojego ojca. Mam klucz.

- I?

Potrząsnęła głową i wzruszyła ramionami.

- Byłam... Martwiłam się o kota. Szukałam go. Co pan sobie zrobił w twarz?

Minął ją w ciasnym przejściu i wszedł do sypialni.

- Miałem wypadek.

Rozejrzał się po pokoju. Nie zobaczył ani kota, ani nic innego, co zwróciłoby jego uwagę.

- Chyba jest pod łóżkiem. - Bosch obejrzał się na nią. - Kot. Nie mogłam go wydostać.

Bosch zawrócił do drzwi i dotknął ramienia Sheili, kierując ją do pokoju dziennego.

- Usiądźmy.

W pokoju dziennym Sheila usiadła na kanapie, Harry natomiast stał.

- Czego pani szukała?

- Już mówiłam: kota.

- Słyszałem, jak otwierała pani i zamykała szuflady. Kot się w nich chowa?

Sheila potrząsnęła głową, jakby zwracał jej głowę drobiazgami.

- Byłam po prostu ciekawa, jak żył mój ojciec. Rozejrzałam się, skoro już tu przyjechałam, to wszystko.

- A gdzie pani samochód?

- Zostawiłam przy administracji. Nie wiedziałam, czy będę mogła tu zaparkować, dlatego tam się zatrzymałam i przyszedłam na piechotę.

- I zamierzała pani wyprowadzić kota na smyczy, tak?

- Nie, zanieść go. Dlaczego mnie pan tak wypytuje?

Przyjrzał się jej uważnie. Widział, że kłamie, ale nie miał pewności, co mógł czy powinien wobec tego zrobić. Postanowił ją zaskoczyć.

- Niech pani posłucha, Sheilo. Jeśli uczestniczyła pani w jakikolwiek sposób w tym, co stało się z bratem, nadeszła pora powiedzieć o tym. Może zawrzemy jakąś umowę.

- O czym pan mówi?

- Pomogła pani ojcu tamtej nocy? Pomogła mu pani wnieść brata na wzgórze i zakopać?

Podniosła ręce do twarzy tak szybko, jakby prysnął jej w oczy kwasem.

- Och, Boże! - zawołała. - Och, mój Boże, nie mogę w to uwierzyć! Co pan chce... - Równie nagle oderwała ręce od twarzy i popatrzyła na Boscha zdezorientowanym wzrokiem. - Myśli pan, że miałam z tym coś wspólnego? Jak pan może?!

Zaczął chwilę, aż się uspokoi.

- Myślę, że nie mówi mi pani prawdy, co się tu dzieje - odpowiedział. - Dlatego robię się podejrzliwy i muszę zastanowić się nad wszystkimi możliwościami.

Sheila nagle wstała.

- Jestem aresztowana?

- Nie, nie jest pani. - Pokręcił głową. - Byłbym jednak wdzięczny, gdyby powiedziała mi pani...

- W takim razie wychodzę.

Obeszła stolik do kawy i ruszyła pewnym krokiem do drzwi.

- A co z kotem? - zapytał.

Nie zatrzymała się. Znikła za drzwiami. Zza drzwi rozległa się jej odpowiedź:

- Niech pan się nim zajmie.

Podszedł do drzwi i patrzył, jak Sheila idzie osiedlową alejką w stronę budynku administracji, pod

którym stał jej samochód.

- Pewnie - powiedział sam do siebie.

Oparł się o futrynę i odetchnął czystym powietrzem. Zastanawiał się, co Sheila tu robiła. Po chwili popatrzył na zegarek i obejrzał się na wnętrze przyczepy. Była jedenasta piętnaście. Czuł zmęczenie, postanowił jednak zostać i rozejrzeć się za tym, czego szukała Sheila.

Poczuł, że coś ociera mu się o nogę. Opuścił wzrok i zobaczył czarnego kota. Ostrożnie odepchnął go stopą. Niezbyt lubił koty.

Zwierzę wróciło i z uporem ponownie otarło się łbem o jego nogę. Harry wrócił do przyczepy. Kot ostrożnie cofnął się kilka kroków.

- Zaczekaj tutaj - powiedział Harry. - Mam trochę jedzenia w samochodzie.

Rozdział 43

W sądzie w śródmieściu, w którym przedstawiano podejrzanym zarzuty, zawsze było rojno jak w ulu. Gdy Bosch wszedł na salę za dziesięć dziesiąta w piątek rano, sędziego jeszcze nie było, ale pod drzwiami uwijał się już tłum prawników, zupełnie jakby ktoś wetknął kij w mrowisko. Tylko zahartowany weteran mógł zrozumieć, co się tu w danej chwili działo.

W pierwszych rzędach dla publiczności poszukał wzrokiem Sheili Delacroix, ale jej nie zobaczył. Następnie rozejrzał się za swoim partnerem i prokuratorem Portugalem, lecz ich też nie było na sali. Zauważył jednak dwóch kamerzystów, rozstawiających sprzęt obok biurka woźnego sądowego - w miejscu, skąd był dobry widok na szklaną klatkę dla więźniów.

Bosch minął bramkę i wszedł na część sali dla urzędników wymiaru sprawiedliwości. Wyjął odznakę i pokazał ją woźnemu, który przeglądał komputerowy wydruk wokandy na ten dzień.

- Ma pan tam Samuela Delacroix? - zapytał.

- Aresztowany w środę czy czwartek?

- W czwartek. Wczoraj.

Woźny przewrócił pierwszą kartkę i przesunął palcem po liście. Zatrzymał go na nazwisku Delacroix.

- Mam.

- O której rozprawa?

- Najpierw trzeba dokończyć kilka śródowych spraw. Kiedy dojdziemy do czwartku, to będzie jeszcze zależało, kto jest jego adwokatem. Wynajęty czy z urzędu?

- Chyba z urzędu.

- Mają kolejkę do brania spraw. Potrwa to co najmniej godzinę, jeżeli sędzia zacznie o dziesiątej. Słyszałem, że jeszcze nie dotarł.

- Dzięki.

Harry podszedł do stołu oskarżycieli. Musiał po drodze wyminąć grupki adwokatów, opowiadających sobie historie z sali rozpraw w oczekiwaniu na pojawienie się sędziego. Główne miejsce za stołem zajmowała nieznana Harry'emu kobieta. Zapewne była to pani prokurator, wyznaczona do kolejnych spraw. Owi „dyżurni” oskarżyciele przedstawiali zwykle zarzuty w osiemdziesięciu procentach spraw, ponieważ w większości były błahie i nie wyznaczono jeszcze prowadzących ich prokuratorów. Kobieta miała przed sobą stertę teczek - sprawy na ten dzień. Harry i jej pokazał odznakę.

- Wie pani, czy George Portugal przyjdzie przedstawić zarzuty Samuelowi Delacroix? Czwartkowa sprawa.

- Tak, przyjdzie - odpowiedziała, nie podnosząc wzroku. - Właśnie z nim rozmawiałam.

Wreszcie podniosła spojrzenie i natychmiast dostrzegła rozcięcie na policzku Harry'ego. Zdjął tego ranka opatrunki przed przysznicem, ale skaleczenie nadal było wyraźne.

- Trzeba czekać co najmniej godzinę. Delacroix ma obrońcę z urzędu. Pewnie to boli?

- Tylko kiedy się uśmiecham. Mogę skorzystać z pani telefonu?

- Tylko do chwili wejścia sędziego.

Podniósł słuchawkę i zadzwonił do prokuratury trzy piętra wyżej. Poprosił o Portugala i go przełączył.

- Tu Bosch. Mogę wjechać na górę? Musimy porozmawiać.

- Będę tutaj, dopóki nie zostaną wezwani na przedstawienie zarzutów.

- Przyjdę za pięć minut.

Po drodze do wyjścia powiedział woźnemu, że jeśli zgłosi się detektyw nazwiskiem Edgar, ma pojechać do prokuratury. Woźny odparł, że nie ma problemu.

Na korytarzu pod salą tłoczyli się prawnicy i obywatele, którzy z tego czy innego powodu znaleźli się w sądzie. Wydawało się, że wszyscy mają telefony komórkowe. Każdy głos odbijał się wielokrotnie od marmurowej posadzki i wysokiego sufitu, tak iż słychać było wyłącznie stały szum. Harry wpadł do barku z przekąskami i musiał czekać ponad pięć minut, nim dostał kubek kawy. Po wyjściu z barku wbiegł na górę schodami przeciwpożarowymi, bo nie miał ochoty stracić kolejnych pięciu minut na czekanie na jedną z koszmarnie wolnych wind. Gdy wszedł do miniaturowego gabinetu Portugala, Edgar już tam był.

- Zaczynaliśmy się zastanawiać, gdzie się pan podział - rzekł Portugal.

- Cholera, co ci się stało? - dodał Edgar na widok policzka partnera.

- Długa historia. Zaraz ją opowiem.

Usiadł na drugim krześle naprzeciw Portugala i odstawił kawę na podłogę obok siebie. Zdał sobie sprawę, że nie przyniósł kubków dla Portugala i Edgara, dlatego postanowił nie pić przy nich.

Otworzył neser na kolanach i wyjął złożony „Los Angeles Times”. Zamknął neser i odstawił go na podłogę.

- No, co się stało? - zapytał Portugal, wyraźnie zaintrygowany, dlaczego Bosch poprosił o spotkanie.

Harry zaczął rozkładać gazetę.

- To, że aresztowaliśmy niewłaściwego człowieka. Lepiej odkręćmy to, zanim zostanie postawiony w stan oskarżenia.

- Ej, cholera. Wiedziałem, że pan coś takiego powie - odparł Portugal. - Nie wiem, czy mam ochotę tego słuchać. Psuje pan dobrą sprawę, Bosch.

- Nie obchodzi mnie, co robię. Jeśli facet tego nie zrobił, to nie zrobił, i tyle.

- Przecież powiedział, że zrobił. Kilka razy.

- Chwilę - zwrócił się Edgar do Portugala. - Niech Harry powie, co ma do powiedzenia. Nie chcemy spieprzyć.

- Może być za późno mimo chęci Pana Chcącego Jak Najlepiej.

- Mów, Harry, i nie przejmuj się. Co się stało?

Opowiedział o zabraniu manekina na Wonderland Avenue i odtworzeniu domniemanej drogi Samuela Delacroix na górę.

- Dotarłem tam, ale ledwo, ledwo - powiedział, dotykając ostrożnie policzka. - Chodzi o to, że Del...

- No tak, dotarł pan - przerwał Portugal. - Dotarł pan, więc i Delacroix mógł to zrobić. W czym problem?

- W tym, że byłem trzeźwy, a on twierdzi, że nie. Wiedziałem też, dokąd idę. Wiedziałem, że na szczycie jest płasko. On z tego sobie nie zdawał sprawy.

- Szukanie dziury w całym.

- Nie, to historyjka Delacroix jest pełna dziur. Nikt nie zaciągnął tam ciała chłopaka. Żył jeszcze, kiedy dostał się na górę. Ktoś go zabił właśnie tam.

- To wszystko bardzo wydumane, detektywie. - Sfrustrowany Portugal potrząsnął głową. - Nie zamierzam zatrzymać procesu tylko dlatego...

- Nie takie znowu wydumane. - Bosch obejrzał się na Edgara, ale partner z ponurą miną unikał jego spojrzenia. Harry wrócił wzrokiem do Portugala. - Niech pan posłucha, jeszcze nie skończyłem. To nie wszystko. Kiedy wczoraj wieczorem wróciłem do domu, przypominałem sobie o kocie Delacroix. Zostawiliśmy go w przyczepie. Powiedziałem Delacroix, że się nim zajmujemy, ale o tym zapomnieliśmy. Dlatego tam wróciłem.

Bosch usłyszał ciężki oddech Edgara i domyślił się, o co chodzi. Własny partner go nie wtajemniczył.

Było dla niego przykre słyszeć te informacje równocześnie z Portugalem. W idealnych warunkach Harry opowiedziałby mu o wszystkim przed przyjściem do prokuratora. Nie było jednak na to czasu.

- Chciałem tylko nakarmić kota. Kiedy jednak tam przyjechałem, ktoś był w przyczepie. Córka.

- Sheila? - zapytał Edgar. - A co ona tam robiła?

Wiadomość była dla niego widocznie na tyle zaskakująca, że przestał się przejmować, czy Portugal wie, że on nie był na bieżąco.

- Przeszukiwała przyczepę. Twierdziła, że ona też przyjechała z powodu kota, ale grzebała w środku, kiedy tam dotarłem.

- Czego szukała? - spytał Edgar.

- Nie chciała mi powiedzieć. Twierdziła, że niczego nie szukała. Zostałem jednak po jej wyjściu i znalazłem kilka rzeczy.

Harry podniósł gazetę.

- To kolumna miejska z niedzieli. Jest tu spory artykuł o sprawie, głównie z ogólnym komentarzem, jak przebiegają badania kryminalistyczne w takich wypadkach. Jest jednak dużo szczegółów o naszej sprawie, które podało niewymienione z nazwiska źródło. Głównie o miejscu, gdzie znaleziono kości.

Poprzedniego wieczoru po pierwszym przeczytaniu artykułu pomyślał, że źródłem tym była Teresa Corazon, ponieważ cytowano udzielone

przez nią ogólne informacje o historii, kiedy miało się do czynienia z kośćmi. Harry zdawał sobie sprawę z dobijanych między informatorami i dziennikarzami targów: jedne informacje zostaną zacytowane z wymienieniem źródła, inne podane anonimowo. Tożsamość informatora była jednak w tym momencie nieistotna, toteż nie poruszał tej sprawy.

- No dobrze, był artykuł. I co z tego wynika? - spytał Portugal.

- Cóż, podano w nim, że kości pogrzebano płytko i najwyraźniej bez użycia jakichkolwiek narzędzi. Podano też, że razem z ciałem zakopano plecak. I wiele innych szczegółów. Niektóre pominięto, na przykład nie wspomniano o deskorolce.

- A wniosek z tego? - spytał znudzonym głosem Portugal.

- Że jeśli Delacroix przyszła ochota na fałszywe przyznanie się do winy, to miał tutaj mnóstwo potrzebnych informacji.

- Och, niech pan da spokój. Delacroix powiedział o wiele więcej poza szczegółami na temat miejsca pochówku. Opowiedział o samym morderstwie, jeźdzeniu z ciałem, tym wszystkim.

- Cała reszta była prosta. Nie można jej dowieść ani wykluczyć. Nie było świadków. Nigdy nie dowiemy się, jak było z samochodem, bo został sprasowany do rozmiarów skrzynki pocztowej na jakimś złomowisku w Dolinie. Mamy tylko jego słowa. Każdy istotny fakt, który nam podał, mógł przeczytać w tym artykule.

Rzucił gazetę na biurko Portugala, ale prokurator nawet na nią nie spojrział. Wsparł łokcie na blacie i złożył płasko dłonie z szeroko rozstawionymi palcami. Bosch zobaczył mięśnie napinające się pod jego koszulą z krótkimi rękawami i domyślił się, że to jakaś forma ćwiczenia.

- W ten sposób pozbywam się napięcia - powiedział Portugal, nadal ściskając ręce.

Oderwał je w końcu od siebie, głośno wypuścił powietrze z piersi i odchylił się na oparcie.

- No dobrze, miał możliwość zmyślić przyznanie się, jeśli tak chciał. Ale dlaczego miałby to zrobić? Mówimy o jego synu. Dlaczego miałby twierdzić, że go zabił, jeśli tego nie zrobił?

- Z powodu tego - odparł Bosch.

Wyjął z wewnętrznej kieszeni złożoną na pół kopertę. Pochylił się naprzód i delikatnie położył ją na wierzchu gazety przed Portugalem.

- Myślę, że tego właśnie szukała wczoraj wieczorem Sheila - powiedział, gdy prokurator uchylał róg koperty. - Znalazłem ją przy łóżku.

Była pod najniższą szufladą szafki. Jest tam skrytka; trzeba wyjąć szufladę, żeby się do niej dostać. Sheila tego nie zrobiła.

Portugal wyciągnął z koperty plik zdjęć z polaroida i zaczął je przeglądać.

- Och, Boże - powiedział po krótkiej chwili. - To ona? Córka?

Nie chce na to patrzeć.

Szybko przewertował pozostałe zdjęcia i odłożył je na blat. Edgar wstał i pochylił się nad biurkiem. Rozpostarł je palcem, by móc się im przyjrzeć. Zaciśnęły się mu szczęki, ale nic nie powiedział.

Fotografie były stare. Białe obwódki pożółkły, kolory spłowiwały tak, że zdjęcia były prawie monochromatyczne. Bosch stale korzystał w pracy z polaroidów. Po ubytku barw poznał, że zdjęcia mają co najmniej dziesięć lat, a niektóre są jeszcze starsze. Było ich łącznie czternaście. Każde z nich przedstawiało nagą dziewczynkę. Po przemianach, jakie dokonywały się w jej ciele i długości włosów, można było uznać, że fotografie obejmują okres co najmniej pięciu lat. Na niektórych ze zdjęć dziewczynka uśmiechała się niewinnie. Na innych w jej oczach widać było smutek, a może nawet gniew. Od pierwszej chwili Bosch nie miał wątpliwości, że jest to Sheila Delacroix.

Edgar usiadł ciężko. Harry nie miał pewności, czy w tej chwili jego partner jest jeszcze zdenerwowany tym, że nie wiedział o najnowszych wydarzeniach, czy też wstrząsnęły nim zdjęcia.

- Wczoraj to było trafienie w dziesiątkę - rzekł Portugal. - Dzisiaj - puszka Pandory. Domyślam się, że chce mi pan przedstawić swoją teorię na temat tych fotografii, detektywie?

Harry skinął głową.

- Trzeba zacząć od rodziny - powiedział. Wychylił się, zebrał zdjęcia, wyrównał brzegi i włożył je do koperty. Nie miał ochoty, by były dłużej na widoku. Nie wypuszczał koperty z ręki. - Z takiego czy innego powodu matka jest słaba - kontynuował. - Za młoda na małżeństwo, za młoda na dzieci. Jej syn okazuje się zbyt trudny w wychowaniu. Matka widzi, do czego zmierza jej życie, i uznaje, że nie ma na to ochoty. Znika, a Sheila zostaje... powinna była sprzymierzyć się z bratem, żeby bronić się przed ojcem. - Bosch przeniósł wzrok z prokuratora na Edgara, by ocenić, jak mu do tej pory idzie. Obaj wyglądali na zasłuchanych. Bosch uniósł kopertę z fotografiami. - Piekielny żywot, bez cienia wątpliwości.

I co może z tym zrobić? Winić matkę, ojca, brata. Na kim jednak może się wyładować? Matka nawiała. Ojciec jest dorosły; nie może mu podskoczyć. On ma kontrolę. Zostaje jedynie... Arthur.

Zauważył subtelne kiwnięcie głową Edgara.

- Co pan chce powiedzieć? Że to ona go zabiła? To nie ma sensu. Przecież to ona zadzwoniła z informacjami, które umożliwiły identyfikację zwłok.

- Wiem. Jej ojciec jednak nie wie o tym telefonie.

Edgar zmarszczył brwi. Portugal wychylił się do przodu i znów zaczął ćwiczenie dłoni.

- Chyba za panem nie nadążam, detektywie - powiedział. - Co to ma wspólnego z tym, czy zabił swojego syna?

Bosch również wychylił się, czując ożywienie. Znów uniósł kopertę, jakby była odpowiedzią na wszystko.

- Nie rozumie pan? Kości. Ślady tych wszystkich obrażeń. Myliliśmy się. To nie ojciec go maltretował, ale ona. Sheila. Była wykorzystywana, więc znalazła kogoś, kogo sama mogła dręczyć. Arthura.

Portugal opuścił dłonie na biurko i potrząsnął głową.

- Twierdzi pan zatem, że zabiła chłopaka, a dwadzieścia lat później zadzwoniła z informacją kluczową dla śledztwa? Niech pan nie mówi, że dostała amnezji i nie pamięta, że go zamordowała.

- Nie. - Bosch nie zareagował na sarkazm. - Nie mówię, że go zabiła. To, jak go dręczyła, wzbudziło jednak w ojcu podejrzania, że to zrobiła. Przez wszystkie lata od zniknięcia Arthura ojciec myślał, że to jej dzieło. I wiedział dlaczego. - Bosch jeszcze raz wystawił przed siebie kopertę. - Delacroix żył z poczuciem winy, że spowodowało to właśnie jego postępowanie wobec Sheili. Wreszcie kości się odnalazły, przeczytał o tym w gazecie i dodał dwa do dwóch. Przyjechaliśmy do niego i przyznał się, zanim znaleźliśmy się metr za progiem.

- Dlaczego? - Portugal rozłożył szeroko ręce.

Od chwili znalezienia zdjęć Bosch rozpatrywał to z najrozmaitszych punktów widzenia.

- Dla odkupienia.

- Och, niech pan da spokój.

- Mówię poważnie. Facet jest załamany, robi się coraz starszy. Kiedy ma się więcej za sobą niż przed sobą, człowiek zaczyna rozmyślać nad tym, co zrobił, i stara się poprawić błędy. Delacroix myśli, że to przez

niego córka zabiła syna. Gotów jest zatem wziąć winę na siebie. Ostatecznie co ma do stracenia? Żyje w przyczepie koło autostrady i zbiera piłki na polu golfowym. To człowiek, który miał niegdyś szansę na fortunę i sławę. A co ma teraz? Pewnie tylko ostatnią szansę na odkupienie za wszystko, co narobił.

- I myli się co do niej, ale o tym nie wie.

- Właśnie.

Portugal odsunął się pchnięciem nóg od biurka. Fotel na kółkach wpadł z rozpadu na ścianę.

- Na dole czeka facet, którego mógłbym wsadzić do celi śmierci z jedną ręką przywiązaną do jaj, a pan tu przychodzi i mówi mi, żebym wywalił go jednym kopniakiem z kicia.

Harry pokiwał głową.

- Jeśli się mylę, zawsze będzie można oskarżyć go później. Jeśli jednak mam rację, to przyzna się do winy i pójdzie na ugodę. Bez procesu, bez adwokata. Zamierza to zrobić, a jeśli sędzia mu pozwoli, to jesteśmy załatwieni. Ktokolwiek zabił Arthura, będzie bezpieczny. - Harry obejrzał się na Edgara. - A ty jak myślisz?

- Myślę, że znowu odezwał się twój czuj.

Portugal uśmiechnął się, ale nie dlatego, że uważał sytuację za humorystyczną.

- Dwóch na jednego. To nieuczciwe.

- Możemy zrobić dwie rzeczy, żeby się upewnić - rzekł Bosch. - Delacroix siedzi pewnie teraz w celi dla aresztantów. Możemy tam zejść, powiedzieć, że to Sheila umożliwiła nam zidentyfikowanie zwłok, i otwarcie go zapytać, czy ją kryje.

- I?

- Poprosić go, żeby poddał się badaniu wykrywaczem kłamstw.

- Są bezwartościowe. Nie możemy posłużyć się wynikami w...

- Nie mówię o sądzie. Chodzi o blef. Jeśli kłamie, nie podda się badaniu.

Portugal przysunął fotel do biurka. Wziął do ręki gazetę i przez chwilę przyjrzał się artykułowi. Potem wodził wzrokiem po blacie, aż wreszcie podjął decyzję.

- Dobrze. Biercie się do roboty. Rezygnuję z oskarżenia. Na razie.

Rozdział 44

Bosch i Edgar weszli do niszy przed windą. Edgar nacisnął guzik i czekali w milczeniu.

Harry popatrzył na swoje niewyraźne odbicie w drzwiach z nierdzewnej stali. Przeniósł spojrzenie na odbicie Edgara, a potem popatrzył wprost na swojego partnera.

- Jak mocno jesteś wkurwiony? - zapytał.

- Gdzieś pomiędzy bardzo i niezbyt.

Harry pokiwał głową.

- Naprawdę wystawiłeś mnie ze spuszczonej gaciami, Harry.

- Wiem. Przepraszam. Wolisz zejść po schodach?

- Trochę cierpliwości, Harry. Co się stało wczoraj wieczorem z twoją komórką? Zepsułeś ją czy co?

- Nie. - Bosch potrząsnął głową. - Chciałem tylko... Sam nie jestem pewien, co myślałem, dlatego wolałem najpierw sprawdzić parę rzeczy samemu. Poza tym wiem, że w czwartki masz dzieciaka. Potem wpadłem na Sheilę w przyczepie, a tego zupełnie się nie spodziewałem.

- A kiedy zacząłeś przeszukiwać przyczepę? Dlaczego po mnie nie zadzwoniłeś? Mój chłopak spał już wtedy u siebie.

- Tak, wiem. Powinienem był zadzwonić, Jerry.

Edgar pokiwał głową i to był koniec rozmowy na ten temat.

- Wiesz, że przez twoją teorię wracamy do punktu wyjścia - powiedział.

- Owszem, do punktu wyjścia. Powinniśmy jeszcze raz przyjrzeć się wszystkiemu od początku.

- Będiesz pracował w ten weekend?

- Pewnie tak.

- To zadzwoń po mnie.

- Dobrze.

- Kurwa mać. - W Harrym wzięło wreszcie górę zniecierpliwienie. - Idę po schodach. Zobaczmy się na dole.

Poszedł w stronę klatki schodowej.

Rozdział 45

Od asystentki w firmie Sheili Delacroix Bosch i Edgar dowiedzieli się, że Sheila była w tymczasowym biurze produkcji na Westside, gdzie ustalała obsadę pilota telewizyjnego serialu „The Closers”.

Policjanci zostawili samochód na zarezerwowanym parkingu, pełnym jaguarów i bmw. Weszli do magazynu z cegły, podzielonego na dwa piętra gabinetów. Do ścian przyklejono papierowe plansze z napisem CASTING i wskazującymi drogę strzałkami. Detektywi przeszli długim korytarzem i po schodach z tyłu wspięli się na górę.

Na pierwszym piętrze trafili na kolejny długi korytarz, pełen mężczyzn w ciemnych i wymiętych garniturach, które wyszły z mody. Niektórzy z mężczyzn mieli prochowce i kapelusze. Inni krążyli po korytarzu, gestykulowali i mamrotali pod nosem.

Kierując się strzałkami, Bosch i Edgar weszli do dużej sali z krzesłami pod ścianami, zajętej przez następnych mężczyzn w podłych garniturach. Wszyscy oni przyglądali się, jak detektywi podchodzą do biurka w przeciwnym końcu, za którym siedziała młoda kobieta, wpatrująca się w listę nazwisk. Przed nią leżał stos fotografii oraz kartki scenariusza. Zza zamkniętych drzwi za plecami kobiety rozlegały się stłumione, napięte głosy.

Policjanci zaczekali, aż kobieta oderwie wzrok od podkładki na dokumenty.

- Musimy widzieć się z Sheilą Delacroix - powiedział Bosch.

- Nazywacie się?

- Detektywi Bosch i Edgar.

Zaczęła się uśmiechać. Harry pokazał jej odznakę.

- Dobrzy jesteście - powiedziała. - Macie już profile?

- Słucham?

- Profile. A gdzie wasze zdjęcia portretowe?

Harry domyślił się, o co chodziło.

- Nie jesteśmy aktorami, ale prawdziwymi policjantami. Zechce jej pani przekazać, że musimy natychmiast porozmawiać?

Kobieta dalej się uśmiechała.

- Ta szrama na policzku jest prawdziwa? - spytała. - Wygląda na autentyczną.

Harry obejrzał się na Edgara i popatrzył znacząco za kobietę. Równocześnie okrążyli biurko z obu stron i podeszli do drzwi.

- Ej! Sheila ma próbę! Nie możecie...

Bosch otworzył drzwi i wszedł do małego pokoju. Sheila Delacroix zajmowała miejsce za biurkiem i przyglądała się mężczyźnie siedzącemu na środku na składanym krześle, czytającemu dialog z kartki. W kącie za kamerą wideo na trójnogu stała młoda kobieta. W drugim rogu na składanych krzesłach siedziało dwóch ludzi, którzy obserwowali próbę.

Mężczyzna nie przestał czytać scenariusza, gdy policjanci weszli do pokoju:

- Gra skończona, draniu! Twój DNA był wszędzie na miejscu zbrodni. No, wstawaj i pod...

- Już dobrze - odezwała się Sheila. - Wystarczy, Frank. - Popatrzyła na Boscha i Edgara - Co to ma znaczyć?

- Przepraszam, Sheilo! - Kobieta zza biurka bezceremonialnie wepchnęła się obok Boscha do środka. - Ci faceci władowali się bez pytania, jakby byli prawdziwymi gliniarzami czy coś w tym rodzaju.

- Musimy z panią porozmawiać, Sheilo - powiedział Harry. - Natychmiast.

- Mam właśnie próbę. Nie widzicie, że...

- A my mamy właśnie śledztwo w sprawie morderstwa, pamięta pani?

Sheila cisnęła pióro na biurko i przeczesała włosy rękami. Odwróciła się w stronę kobiety za kamerą wideo, wycelowaną teraz w Boscha i Edgara.

- No dobrze, wyłącz kamerę, Jennifer - poleciła. - Kilka minut przerwy dla wszystkich. Bardzo cię przepraszam, Frank. Byłeś świetny. Możesz poczekać kilka minut? Obiecuję, że kiedy tylko skończę, od razu się tobą zajmę.

- Nie ma sprawy, Sheilo. - Frank wstał i uśmiechnął się promiennie. - Zaczekam na zewnątrz.

Wszyscy wyszli z pokoju, zostawiając policjantów samych z Sheilą.

- Cóż, z takim wejściem naprawdę powinniście zostać aktorami - powiedziała, gdy drzwi się zamknęły.

Spróbowała się uśmiechnąć, ale jej to nie wyszło. Bosch podszedł do biurka. Edgar oparł się o drzwi. Umówili się po drodze, jak przeprowadzą tę rozmowę.

- Ustalam obsadę do serialu o dwóch detektywach, nazywanych „zamykaczami”, bo w stu procentach rozwiązują sprawy, z którymi nie poradził sobie nikt inny - oznajmiła Sheila. - Pewnie w prawdziwym życiu nie ma czegoś takiego?

- Nikt nie jest idealny - odparł Bosch. - Nawet w przybliżeniu.

- Co takiego ważnego się stało, że musieliście wpakować się tutaj i mi narobić wstydu?

- Kilka rzeczy. Uznałem, że pewnie chciałaby pani wiedzieć, że znalazłem to, czego szukała pani wczoraj wieczorem, a...

- Mówiłam panu, że nie...

- ...pani ojciec został mniej więcej godzinę temu zwolniony z aresztu.

- Co to znaczy: zwolniony? Sam pan mówił wczoraj, że nie wyjdzie za kaucję.

- Nie zdołałby. Tyle że nie jest już o nic oskarżony.

- Przecież się przyznał. Powiedział pan, że...

- Ale dziś rano odwołał przyznanie. Kiedy powiedzieliśmy, że posadzimy go na wykrywaczu kłamstwa, i wspomnieliśmy, że to pani zadzwoniła do nas z informacją, która umożliwiła zidentyfikowanie pani brata.

- Nie rozumiem. - Wolno potrząsnęła głową.

- Myślę, że rozumie pani, Sheilo. Ojciec myślał, że to pani zabiła Arthura. To pani biła go cały czas, to pani go maltretowała. To przez panią wylądował w szpitalu wtedy, kiedy walnęła go pani kijem baseballowym. Kiedy zniknął, ojciec myślał, że może poszła pani na całość i w końcu go zabiła, a potem ukryła ciało. Poszedł nawet do pokoju Arthura i pozbył się tego kija, na wypadek gdyby miała pani okazję użyć go ponownie. - Sheila oparła łokcie na blacie i ukryła twarz w dłoniach. - Dlatego właśnie przyznał się, kiedy się u niego zjawiliśmy. Był gotów wziąć winę na siebie, bo pożałował tego, co z panią robił. Tego.

Bosch wyjął z kieszeni kopertę ze zdjęciami. Upuścił ją na biurko między rękami Sheili. Powoli opuściła dłonie, ujęła ją, ale jej nie otworzyła. Nie musiała.

- No, jak wypadła nasza próba, Sheilo?

- Właśnie... właśnie to robicie? Wpychacie się z buciorami w ludzkie życie? To znaczy w ich sekrety, we wszystko?

- Jesteśmy zamykaczami, Sheilo. Czasami musimy.

Dojrzał skrzynkę z butelkami wody mineralnej na podłodze obok biurka. Wyjął jedną z nich i otworzył, żeby Sheila się napiła. Obejrzał się na Edgara, który potrząsnął głową. Bosch wziął drugą butelkę dla siebie, przyciągnął krzesło, na którym siedział Frank, i usadowił się na nim.

- Niech pani posłucha, Sheilo. Była pani ofiarą. Dzieckiem. Ojciec był silny i miał nad panią kontrolę. Nie musi się pani wstydzić, że była ofiarą. - Milczała. - Jakiegolwiek brzemie pani dźwiga, czas wreszcie je zrzucić. Powiedzieć nam, co się wydarzyło. Wyjawić wszystko. Wróciliśmy do punktu wyjścia i potrzebujemy pani pomocy. Chodzi o pani brata.

Otworzył butelkę i upił duży łyk. Dopiero teraz zauważył, jak ciepło jest w pokoju.

- Coś wreszcie zrozumiałam... - powiedziała Sheila, gdy ponownie przytknął butelkę do ust.

- Co takiego?

Wpatrywała się w swe ręce.

- Od kiedy Arthur zniknął, ojciec mnie nawet nie dotknął - zaczęła mówić takim tonem, jakby

zwracała się do siebie. Lub do nikogo. - Nigdy... Myślałam, że to dlatego, że stałam się w jakiś sposób niepociągająca. Byłam brzydka, gruba. Teraz myślę, że może dlatego... że ojciec bał się tego, co zrobiłam lub co mogę zrobić.

Odłożyła kopertę z powrotem na biurko. Harry znowu wychylił się naprzód.

- Sheilo, czy jest coś jeszcze, czego nie powiedziała nam pani wcześniej o tamtych czasach? O tamtym dniu? Coś, co mogłoby nam pomóc?

Skinęła bardzo nieznacznie głową i pochyliła twarz, ukrywając się za uniesionymi pięściami.

- Wiedziałam, że szykuje się do ucieczki - powiedziała powoli. - I nie zrobiłam nic, żeby go zatrzymać.

Harry przesunął się na skraj siedzenia.

- Skąd wiedziałaś, Sheilo? - zapytał delikatnie.

Minęła długa chwila, nim odpowiedziała:

- Arthur był w domu, kiedy tamtego dnia wróciłam ze szkoły. W swoim pokoju.

- A więc wrócił do domu?

- Tak. Na krótko. Drzwi do jego pokoju były odrobinę uchylone. Zajrzałam do środka. Nie zauważył mnie. Pakował swoją torbę na książki. Chował ubrania i różne drobiazgi. Domyśliłam się, co zamierza. Pakował się, żeby uciec. A ja... wróciłam do swojego pokoju i zamknęłam drzwi. Pewnie go nienawidziłam, sama nie wiem. Ale chciałam, żeby zniknął. Dla mnie był przyczyną wszystkiego. Po prostu chciałam, żeby go nie było. Zostałam w swoim pokoju, aż usłyszałam, jak zamykają się drzwi frontowe.

Uniosła twarz i popatrzyła na Boscha. Miała wilgotne oczy. Harry często jednak widział, że wyjawienie prawdy daje siłę. Dostrzegł to też teraz w oczach Sheili.

- Mogłam go zatrzymać, ale tego nie zrobiłam. I właśnie z tym muszę żyć. Teraz, kiedy wiem, co się z nim stało...

Przeniósła wzrok gdzieś poza ramię Boscha, jakby dostrzegała tam nadciągającą falę poczucia winy.

- Dziękuję, Sheilo - powiedział cicho Bosch. - Czy wiesz coś jeszcze, co mogłoby nam pomóc? - Potrząsnęła głową. - W takim razie zostawimy cię teraz samą.

Wstał i przeniósł krzesło z powrotem na środek pokoju. Potem wrócił do biurka po kopertę z fotografiami. Podszedł do drzwi; Edgar otworzył je przed nim.

- Co się z nim stanie? - zapytała Sheila.

Odwrócili się i popatrzyli na nią. Edgar zamknął drzwi. Oczywiście chodziło o jej ojca.

- Nic - odparł Bosch. - To, co pani robił, było tak dawno temu, że uległo przedawnieniu. Wróci do swojej przyczepy. - Pokiwała głową, nie patrząc na niego. - Sheilo, być może twój ojciec umiał kiedyś tylko niszczyć, ale czas wiele zmienia. Zatacza krąg. Odbiera siły tym, którzy je mieli, i daje tym, którzy byli ich pozbawieni. W tej chwili to twój ojciec jest zniszczony. Proszę mi wierzyć. Nie robi pani już żadnej krzywdy. Jest niczym.

- Co zrobicie ze zdjęciami?

Harry popatrzył na kopertę w ręce i z powrotem na Sheilę.

- Muszą trafić do akt. Nikt ich nie zobaczy.

- Chcę je spalić.

- Niech pani spali wspomnienia.

Pokiwała głową. Harry odwracał się do wyjścia, gdy usłyszał jej śmiech i obejrzał się w jej stronę. Potrząsała głową.

- O co chodzi?

- O nic. Tyle tylko, że muszę tu siedzieć cały dzień i słuchać ludzi starających się mówić jak pan. Żadnemu z nich to tak naprawdę nie wychodzi. Nikt nie zdoła zrobić tego tak, jak należy.

- Taki jest show-biznes - odparł Bosch.

Przechodząc korytarzem w stronę schodów, znowu minęli aktorów. Na schodach ten, na którego Sheila wołała Frank, recytował na głos swoje kwestie. Uśmiechnął się do prawdziwych detektywów, gdy go mijali.

- Ej, wy jesteście prawdziwi, tak? Jak myślicie, jak mi wyszło?

Bosch nie odpowiedział.

- Byłeś świetny, Frank - rzekł Edgar. - Zamykacz z ciebie, człowieku. Gra skończona.

Rozdział 46

O drugiej po południu w piątek Bosch i Edgar wrócili do pokoju detektywów. Drogę z Westside do Hollywood pokonali w całkowitym milczeniu. Był dziesiąty dzień dochodzenia. Policjanci nie byli ani trochę bliżej znalezienia zabójcy Arthura Delacroix. Dziesięć dni ich wysiłków ukoronowały jak na razie jedynie śmierć policjantki i samobójstwo przypuszczalnie zreformowanego pedofila.

Jak zwykle na Boscha czekał stos różowych kartek z informacjami telefonicznymi. Na jego biurku leżała też koperta z pocztą międzywydziałową. Wziął ją pierwszą, domyślając się, co jest w środku.

- Najwyższy czas - powiedział.

Otworzył kopertę i wyjął z niej swój magnetofon na mikrokasety. Nacisnął klawisz odtwarzania, żeby sprawdzić baterie. Natychmiast usłyszał własny głos. Ściszył dźwięk i wyłączył urządzenie. Wsunął magnetofon do kieszeni i wyrzucił kopertę do kosza na śmieci przy biurku.

Przewertował wiadomości telefoniczne. Prawie wszystkie były od dziennikarzy. Żyć z mediami i z nimi umieraj, pomyślał. Zamierzał zostawić wydziałowi kontaktów z mediami tłumaczenie świata, dlaczego człowiek, który przyznał się do morderstwa i miał być o nie oskarżony, następnego dnia został oczyszczony z zarzutów i wypuszczony.

- Wiesz, w Kanadzie policjanci nie muszą mówić dziennikarzom ani słowa o sprawie, dopóki się nie zakończy - powiedział do Edgara. - Każde śledztwo jest objęte całkowitą tajemnicą.

- Na dodatek mają tam okrągły boczek - odparł Edgar. - Co my tutaj robimy, Harry?

Pośród wiadomości była informacja od doradcy rodzinnego z biura patologa, iż szczątki Arthura Delacroix przekazano jego rodzinie w celu pochówku, który odbędzie się w niedzielę. Harry odłożył ją na bok, by zapoznać się ze szczegółami pogrzebu oraz dowiedzieć się, kto z rodziny zgłosił się po szczątki.

Wrócił do reszty wiadomości i natychmiast jedna przyciągnęła jego uwagę. Odchylił się w fotelu i przeczytał ją dokładnie. Poczł mrowienie, przechodzące z głowy na kark. Wiadomość nadeszła o dziesiątej trzydziści pięć i pochodziła od porucznika Bollenbacha z wydziału operacyjnego - zwanego popularnie 0-3. Wydział zajmował się wszystkimi przenosinami i oddelegowaniami funkcjonariuszy. Gdy przed dziesięcioma laty Bosch został przeniesiony do wydziału Hollywood, nastąpiło to w trybie natychmiastowym na podstawie pisma z wydziału operacyjnego. Tak samo było rok temu z przeniesieniem Kiz Rider do wydziału zabójstw i rabunków.

Harry pomyślał o tym, co trzy dni wcześniej powiedział mu Irving w pokoju przesłuchań. Domyślał się, że wydział operacyjny postara się teraz zrealizować wolę zastępcy komendanta, by przeszedł na emeryturę. Potraktował wiadomość jako zapowiedź przeniesienia z wydziału Hollywood - pewnie na terapię autostradową, czyli stanowisko wymagające czasochłonnych dojazdów. Była to często stosowana metoda przekonywania policjantów przez kierownictwo, iż lepiej oddać odznakę i zająć się czymś innym.

Obejrzał się na Edgara. Jego partner przeglądał własny zbiór telefonicznych wiadomości; bodajże żadna z nich nie zaprzętnęła dłużej jego uwagi. Harry postanowił na razie nie dzwonić do wydziału operacyjnego ani nie mówić o wezwaniu Edgarowi. Złożył kartkę i wsunął ją do kieszeni. Rozejrzał się po krzątających się po sali detektywach. Żałowałby, gdyby przydzielono mu miejsce bez takich przypiływów i odpływów adrenaliny. Nie przejmował się terapią autostradową. Mógł znieść bez narzekania wszystkie administracyjne szykany. Obchodziła go jedynie praca - jego misja. Wiedział, że bez niej byłby stracony.

Wrócił do przeglądania wiadomości. Ostatnia ze stosu - czyli pierwsza nadesłana - pochodziła od Antoine'a Jespera z laboratorium kryminalistycznego, który zadzwonił o dziesiątej rano.

- Cholera - zaklął Harry.

- Co się stało? - spytał Edgar.

- Muszę jechać do centrum. Nie oddałem jeszcze manekina, którego wypożyczyłem wczoraj wieczorem. Mam go w bagażniku. Pewnie Jesper go potrzebuje.

Podniósł słuchawkę i już miał zadzwonić do laboratorium, kiedy usłyszał, że ktoś z przeciwnego końca sali woła po nazwisku jego i Edgara. Była to porucznik Billets. Dała znak, żeby przeszli do jej gabinetu.

- Zaczyna się - powiedział Edgar, wstając. - Możesz pełnić honory. Powiedz jej, na czym stoimy. A raczej nie stoimy.

Harry tak zrobił. W ciągu pięciu minut zreferował pani porucznik wszystkie najnowsze wydarzenia w śledztwie, łącznie z ostatnią zasadniczą zmianą jego toku i brakiem dalszych postępów.

- I co dalej? - zapytała Grace Billets, gdy skończył.

- Zaczynamy od początku, przyglądamy się wszystkiemu, co mamy, i sprawdzamy, co przegapiliśmy. Pojedziemy do szkoły chłopaka, przejrzymy tam dokumentację, zajrzemy do roczników szkolnych, postaramy się skontaktować z kolegami z klasy. I tak dalej.

Porucznik Billets pokiwała głową. Jeśli nawet wiedziała o telefonie z wydziału operacyjnego, nie dała tego po sobie poznać.

- Myślę, że najważniejsze jest to miejsce na wzgórzu - dodał Harry.

- Dlaczego?

- Myślę, że chłopak jeszcze żył, kiedy na nie trafił. Tam właśnie został zamordowany. Musimy ustalić, co go tam zaciągnęło albo kto go tam zabrał. Trzeba będzie sprawdzić, kto mieszkał wtedy przy całej ulicy. Skontrolować wszystkich ówczesnych sąsiadów. Zabierze to trochę czasu.

- Cóż, nie ma możliwości, żebyście pracowali wyłącznie nad tą sprawą - powiedziała Grace Billets, kręcąc głową. - Przez dziesięć dni nie brałście spraw z kolejki. To nie wydział zabójstw i rabunków. I tak jeszcze nigdy nie udało mi się utrzymać równie długo zespołu bez przydzielania mu nowych zadań.

- Wracamy w kolejkę?

Przytaknęła.

- Właśnie na was wypadła. Następna sprawa jest wasza.

Harry domyślał się, że to ich czeka. W ciągu dziesięciu dni śledztwa obydwie zespoły detektywów z wydziału Hollywood, zajmujące się morderstwami, dostały następne sprawy. Znowu była ich kolej. I tak mieli szczęście, że udało im się zajmować tak długo sprawą bez przerwy. Był to wręcz luksus. Szkoda, że mimo to nie rozwiązały sprawy, pomyślał Harry.

Wiedział również, że włączenie ich z powrotem do kolejki stanowi ze strony pani porucznik ciche przyznanie, że nie spodziewa się zakończenia sprawy. Z każdym dniem dochodzenia szanse na jego pomyślny rezultat znacznie spadały. Był to pewnik w śledztwach w sprawach o morderstwo, odnoszący się do wszystkich detektywów. Zamykacze po prostu nie istnieli.

- No dobrze - powiedziała Grace Billets. - Ktoś ma coś jeszcze?

Popatrzyła na Boscha z uniesioną brwią. Nagle pomyślał, że może pani porucznik wie coś o telefonie z wydziału operacyjnego. Zawahał się, po czym potrząsnął głową równocześnie z Edgarem.

- W porządku. No to dzięki.

Wrócili do swoich biurów. Harry zadzwonił do Jespera.

- Manekinowi nic się nie stało - powiedział, gdy kryminolog odebrał. - Przywiozę go dzisiaj, ale później.

- Kławo, człowieku, ale nie dlatego dzwoniłem. Chciałem ci przekazać, że mamy jedno uściślenie w raporcie dotyczącym tej deskorolki. To znaczy, jeśli to jeszcze istotne.

Harry zawahał się przez chwilę.

- Właściwie nie, ale mów, Antoine?

Otworzył przed sobą książkę dochodzenia i wertował ją, aż dotarł do raportu z laboratorium. Przyglądał się mu, słuchając Jespera.

- Hm, napisałem, że możemy określić datę wyprodukowania deskorolki na luty siedemdziesiątego ósmego do czerwca osiemdziesiątego szóstego roku, pamiętasz?

- Zgadza się. Mam raport przed sobą.

- No dobrze. Udało mi się zawęzić ten okres o ponad połowę. Ta konkretna deskorolka została wyprodukowana między siedemdziesiątym ósmym i osiemdziesiątym rokiem. W ciągu tych dwóch lat. Nie wiem, czy ma to dla śledztwa jakieś znaczenie.

Harry przejrzał raport. Poprawka Jespera wydała się nieistotna, skoro

Trent przestał być podejrzanym, a deskorolki nie udało się powiązać z Arthurem Delacroix. Harry był jednak mimo wszystko zadowolony.

- Jak ci się to udało? Tu jest napisane, że ten model produkowano do osiemdziesiątego szóstego.
- Owszem, ale na tej desce jest data. Tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt.
- Zaczekaj chwilę. - Harry był zdziwiony. - Gdzie? Nie widziałem nigdzie...
- Zdjąłem rolki - no, kółka. Miałem trochę wolnego czasu i chciałem sprawdzić, czy są znaki produkcyjne na elementach. No, wiesz, kody patentowe czy symbole firmowe. Nie było, ale w drewnie na dolnej stronie jest wydrapana data. Wygląda na to, że zdjęto rolki, żeby to zrobić.
- To znaczy przy produkcji?
- Nie. Nie sądzę. To niefachowa robota. Prawdę mówiąc, trudno to w ogóle odczytać. Musiałem przyjrzeć się temu pod lupą i przy bocznym świetle. Myślę, że po prostu pierwotny właściciel oznakował w ukryty sposób deskę na wypadek, gdyby musiał dowieść, że jest jego własnością. Na przykład, gdyby mu ją ukradziono. Przez jakiś czas deskorolki Boney stanowiły szczyt mody. Trudno było je dostać - pewnie nawet łatwiej było ją ukraść, niż kupić w sklepie. Chłopak, który ją miał, zdjął rolki - oryginalne, nie obecne - i wydrapał datę. Tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt A. D.
- Harry obejrzał się na Edgara. Jego partner rozmawiał przez telefon, otuliwszy słuchawkę ręką - widocznie prowadził prywatną rozmowę.
- Powiedziałeś: A. D.?
- No, wiesz, Anno Domini czy jak tam to idzie po łacinie. Rok pański. Musiałem to sprawdzić.
- Nie. To znaczy Arthur Delacroix.
- Tak? A kto to taki?
- Ofiara, Antoine. Arthur Delacroix. Czyli A. D.
- Do diabła! Nie miałem nazwiska ofiary, Bosch. Przekazałeś te dowody, kiedy był jeszcze NN i nigdy tego nie skorygowałeś. Nawet nie wiedziałem, że udało się wam zidentyfikować chłopaka.
- Harry go nie słuchał. Poczul przyspieszający puls i dostał zastrzyk adrenaliny.
- Nie ruszaj się nigdzie, Antoine. Jadę do ciebie.
- Będę tu.

Rozdział 47

Na autostradzie roilo się od ludzi wyjeżdżających wcześniej na weekend. Bosch cały czas przyspieszał po drodze do śródmieścia. Czuł palącą potrzebę szybkiej jazdy. Wiedział, że wynika to z odkrycia Jespera i wiadomości z wydziału operacyjnego.

Przekreślił nadgarstek, nie zdejmując ręki z kierownicy. Sprawdził datę - wiedział, że przeniesienia zwykle następują wraz z końcem okresu płacy. Wypłata była dwa razy w miesiącu - pierwszego i piętnastego. Jeśli przeniesienie Boscha było natychmiastowe, zostawały mu jedynie trzy lub cztery dni na dokończenie śledztwa. Nie chciał, by mu je odebrano i powierzono Edgarowi czy komukolwiek innemu. Pragnął sam je dokończyć.

Sięgnął do kieszeni po kartkę z wiadomością. Rozłożył ją, trzymając grzbiety dłoni na kierownicy. Przez chwilę się jej przyglądał, po czym wyjął telefon. Wybrał podany w wiadomości numer i zaczął na połączenie.

- Wydział operacyjny, przy telefonie porucznik Bollenbach.

Bosch się rozłączył. Poczul gorąco na twarzy. Zastanawiał się, czy Bollenbach ma w swoim aparacie identyfikator numeru, z którego dzwoniono. Wiedział, że zwlekanie z telefonem to idiotyzm, bo już się stało, co miało się stać, bez względu na to, kiedy zdecyduje się wreszcie przyjąć to do wiadomości.

Schowwał telefon i kartkę do kieszeni. Spróbował skupić się na sprawie, zwłaszcza na ostatniej wiadomości, przekazanej przez Antoine'a Jespera i dotyczącej znalezionej w domu Nicholasa Trenta deskorolki. Uświadomił sobie, że po dziesięciu dniach zupełnie stracił kontrolę nad śledztwem. Człowiek, o którego oczyszczenie z podejrzeń walczył z przełożonymi wydziału, stał się znowu jedynym podejrzanym: dowody rzeczowe zdawały się świadczyć o

jego powiązaniu z ofiarą. Przez tę świadomość natychmiast przebiła się myśl, że może Irving miał mimo wszystko rację. Nadszedł czas, by Bosch odszedł.

Zaświergotał telefon. Natychmiast przyszło mu do głowy, że dzwoni Bollenbach. Nie chciał odbierać, ale w końcu uznał, że jego los jest nieunikniony. Rozłożył telefon. Dzwonił jednak Edgar.

- Co robisz, Harry?

- Mówiłem ci, musiałem pojechać do laboratorium.

Nie chciał mówić mu o najnowszym odkryciu Jespera, dopóki sam go nie zobaczy.

- Mogłem pojechać z tobą.

- Straciłbyś tylko czas.

- No, może. Posłuchaj, Harry. Bullets rozglądała się za tobą i, hm, krążą plotki, że podłapałeś przeniesienie.

- Nic o tym nie wiem.

- No, powiesz mi, jeśli coś się będzie działo, prawda? Przecież od dawna pracujemy razem.

- Będiesz pierwszy, Jerry.

Bosch dojechał do Parker Center i poprosił jednego z funkcjonariuszy w holu o pomoc we wniesieniu manekina do laboratorium kryminalistycznego. Zwrócił manekin Jesperowi, który bez trudu zaniósł go do szafy, gdzie go przechowywano.

Jesper zaprowadził Boscha do pokoju, gdzie na stole laboratoryjnym leżała deskorolka. Zapalił lampę na stelażu przy stole i zgasił górne światło. Nasunął szkło powiększające nad deskę i zaprosił Boscha bliżej. W padającym z boku świetle widać było nikłe cienie na powierzchni deski, układające się w wyraźne: 1980 A. D.

Bosch bez trudu pojął, dlaczego Jesper doszedł do wniosku, że litery A. D. znaczyły „Anno Domini”, zwłaszcza że kryminolog nie znał nazwiska ofiary.

- Wygląda na to, że ktoś próbował zetrzeć napis papierem ściernym - powiedział Jesper, podczas gdy Bosch nadal przyglądał się deskorolce. - Załóż się, że wtedy kiedy całą deskę poddano renowacji. Polakierowano ją i zamontowano nowe kółka.

- Dobrze - rzekł Bosch, prostując się. - Będę musiał zabrać ją ze sobą, pewnie pokazać paru ludziom.

- Już z nią skończyłem - odparł Jesper. - Należy do ciebie. Włączył z powrotem lampy pod sufitem.

- Zajrzałeś pod drugie kółka?

- Pewnie. Nic tam nie ma, dlatego założyłem rolki z powrotem.

- Masz pudło albo coś takiego?

- Och, myślałem, że wyjedziesz stąd na niej, Harry. - Bosch się nie uśmiechnął. - To żart.

- Wiem.

Jesper wyszedł z sali i wrócił z pustym kartonowym pudłem na akta, wystarczająco długim, by deskorolka się w nim zmieściła. Włożył ją do środka wraz z odkręconymi kółkami i śrubami w małej plastikowej torebce. Bosch podziękował.

- Pomogłem w czymś, Harry?

- Tak myślę, Antoine - odrzekł po chwili wahania.

Jesper pokazał na policzek Harry'ego.

- Przy goleniu?

- Coś w tym rodzaju.

Droga powrotna do Hollywood autostradą okazała się jeszcze bardziej czasochłonna. Bosch wreszcie wybrał zjazd przy Alvarado i dojechał miejskimi ulicami do Bulwaru Zachodzącego Słońca. Dotarł nim do celu wcale nie szybciej, z czego zdawał sobie sprawę.

Po drodze cały czas rozmyślał o deskorolce i Nicholasie Trencie, starając się dopasować ramy czasowe do posiadanych dowodów. Nie wychodziło. W równaniu brakowało jakiegoś elementu. Wiedział, że na jakimś poziomie wszystko układa się w sensowną całość, i był pewien, że dotrze do sedna, jeśli tylko wystarczy mu czasu.

O wpół do piątej otworzył tylne drzwi komendy, trzymając w rękach pudło z deskorolką. Przechodził szybko korytarzem w stronę pokoju detektywów, kiedy Mankiewicz wystawił głowę z dyżurki.

- Ej, Harry.

Bosch obejrzał się na niego, ale się nie zatrzymał.

- Co jest?

- Słyszałem pogłoski. Będzie cię nam brakowało.

Wieści szybko się rozchodziły. Bosch przytrzymał pudło pod prawym ramieniem i lewą ręką zrobił parę kolistych gestów, symbolizujących pływanie po wymyślonym oceanie. Był to gest z reguły zarezerwowany dla kierowców mijających się na ulicach radiowozów. Oznaczał: pomyślnych wiatrów. Bosch ruszył dalej.

Całe biurko Edgara i większą część biurka Boscha zajmowała płaska, biała tablica. Edgar wyrysowywał na niej coś, co przypominało termometr. W istocie był to plan Wonderland Avenue; bańka u dołu termometru odpowiadała rondu na końcu ulicy. Kontury przy ulicy symbolizowały poszczególne domy. Od nich odchodziły linie z nazwiskami, wypisanymi zielonym, niebieskim i czarnym mazakiem. Czerwony krzyżyk oznaczał miejsce znalezienia kości.

Bosch na stojąco przyjrzał się diagramowi, nie zadając żadnych pytań.

- Powinniśmy od tego zacząć - powiedział Edgar.

- Na czym to polega?

- Nazwiska na zielono to mieszkańcy z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku, którzy się później przeprowadzili. Niebieskie to wszyscy, którzy wprowadzili się po osiemdziesiątym, ale już się przenieśli. Nazwiska na czarno to obecni mieszkańcy. Wszędzie, gdzie jest tylko czarne nazwisko - jak na przykład Guyot tutaj - znaczy to, że ci ludzie mieszkali tu cały czas.

Bosch kiwnął głową. Były tylko dwa czarne nazwiska: doktor Guyot i niejaki Al Hutter, mieszkający na końcu ulicy położonym dalej od miejsca znalezienia ciała.

- Dobrze - powiedział Bosch, chociaż nie wiedział, czy diagram się teraz na coś przyda.

- Co masz w pudle? - zapytał Edgar.

- Deskorolkę. Jesper coś znalazł.

Bosch odstawił pudło na swoje biurko i zdjął pokrywkę. Powiedział Edgarowi o wydrapanej dacie oraz inicjałach i mu je pokazał.

- Musimy znowu przyjrzeć się Trentowi. Sprawdzić twoją teorię, że przeprowadził się na Wonderland właśnie dlatego, że pogrzebał tu chłopaka.

- Jezu, Harry, to w zasadzie był żart.

- Cóż, teraz trzeba to potraktować poważnie. Musimy cofnąć się, opracować kompletny profil Trenta, sięgający co najmniej tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku.

- A tymczasem dostaniemy następną sprawę. Naprawdę klawo.

- Słyszałem w radiu, że przez weekend ma padać. Przy odrobinie szczęścia wszyscy będą siedzieć spokojnie w domach.

- Harry, większość morderstw jest popełnianych w domach.

Bosch popatrzył przez pokój detektywów. Zobaczył, że porucznik Billets stoi w drzwiach swojego gabinetu i przyzywa go machaniem ręki. Zapomniał, że Edgar powiedział mu, iż go szukała. Wskazał palcem Edgara i siebie, pytając, czy pani porucznik chce widzieć ich obu. Grace Billets potrząsnęła głową i wskazała tylko na niego. Wiedział, o co jej chodzi.

- Muszę iść do Bullets.

Edgar podniósł na niego wzrok. On też wiedział, na co się zanoszą.

- Powodzenia, partnerze.

Przeszedł przez pokój detektywów do gabinetu przełożonej. Siedziała już za biurkiem.

- Harry, masz natychmiast skontaktować się z wydziałem operacyjnym - powiedziała, nie patrząc na niego. - Zadzwoń do porucznika Bollenbacha, zanim weźmiesz się do czegokolwiek. To rozkaz.

Pokiwał głową.

- Pytała go pani, dokąd zostają przeniesiony?

- Nie, Harry, za bardzo jestem wkurwiona. Bałam się, że jeśli zapytam, to się z nim pożrę, a przecież to nie jego wina. Bollenbach to tylko posłaniec.

- Jest pani wkurwiona? - Uśmiechnął się.

- Pewnie. Nie chcę cię stracić. Zwłaszcza dlatego, że ktoś na górze ma do ciebie jakieś gówniane pretensje.

Pokiwał głową i wzruszył ramionami.

- Dziękuję, pani porucznik. Może zadzwoni pani z tego aparatu? Ma zestaw głośno mówiący. Będziemy mieli to obydwój z głowy.

- Jesteś pewny? - Grace Billets podniosła wzrok. - Mogę pójść po kawę, żebyś miał gabinet dla siebie.
- Nie ma sprawy. Niech pani dzwoni.

Włączyła zestaw i zadzwoniła do gabinetu Bollenbacha. Zgłosił się natychmiast.

- Poruczniku, tu Grace Billets. Jest u mnie w gabinecie detektyw Bosch.
- Bardzo dobrze, pani porucznik. Niech tylko znajdę rozkaz. - Rozległ się szelest papierów, a potem chrząknięcie Bollenbacha. - Detektyw Hign... Hieronymim... jakoś tak...
- Hieronymus - powiedział Bosch.
- No dobrze, Hieronymus. Detektyw Hieronymus Bosch zostaje zobowiązany do stawienia się o ósmej zero zero piętnastego stycznia do służby w wydziale zabójstw i rabunków. To wszystko. Czy rozkaz jest dla pana jasny?

Był oszołomiony. Przeniesienie do wydziału zabójstw i rabunków stanowiło awans. Ponad dziesięć lat temu zdegradowano go, przenosząc do wydziału Hollywood. Popatrzył na Grace Billets, na której twarzy odmalowało się zaskoczenie i podejrzliwość.

- Powiedział pan: wydział zabójstw?
- Tak, detektywie, wydział zabójstw i rabunków. Czy rozkaz jest jasny?
- Jakże będę miał stanowisko?
- Właśnie powiedziałem. Ma pan stawić się...
- Nie, chodzi o to, co będę robił? Jakże mam objąć stanowisko?
- Dowie się pan tego od przełożonego rano piętnastego stycznia. To wszystko, co mam panu przekazać, detektywie. Otrzymał pan rozkaz. Życzę udanego weekendu.

Bollenbach się rozłączył. Z głośnika rozległ się ciągły sygnał. Harry popatrzył na porucznik Billets.

- Jak pani myśli? To jakiś żart?
- Jeśli tak, to udany. Gratulacje.
- Przecież trzy dni temu Irving powiedział mi, żebym odszedł. Potem zmienia front i wysyła mnie do centrali?
- Cóż, może chce cię mieć na oku. Nie bez powodu nazywają Parker Center szklaną klatką, Harry. Lepiej uważaj. - Pokiwał głową. Grace Billets dodała: - Z drugiej strony obydwójce wiemy, że tam jest twoje miejsce. W ogóle nie powinni cię tu przenosić. Może krąg się zamyka. O cokolwiek chodzi, będzie nam cię brakowało. Mnie też, Harry. Dobrze pracujesz.

Podziękował skinieniem głowy. Ruszył do wyjścia, ale obejrzał się i uśmiechnął.

- Nie uwierzy pani, zwłaszcza w świetle tego, co właśnie się stało, ale znowu przyglądamy się Trentowi. Laboratorium kryminalistyczne zdołało powiązać deskorolkę z chłopakiem.

Grace Billets odchyliła w tył głowę i roześmiała się wystarczająco głośno, by zwrócić uwagę wszystkich w pokoju detektywów.

- No, kiedy Irving o tym usłyszy, na pewno zmieni zdanie i nie trafisz do wydziału zabójstw i rabunków, ale do Southeast - powiedziała.

Chodziło jej o rojącą się od gangów dzielnicę na przeciwległym końcu miasta. Byłby to czysty przykład terapii autostradowej.

- Nie wątpię - odparł.

Grace Billets spoważniała. Wypytała Harry'ego o ostatnie wydarzenia w śledztwie. Słuchała uważnie jego planu, sprowadzającego się w zasadzie do kompleksowego zbadania przeszłości nieżyjącego dekoratora.

- Coś ci powiem - rzekła, gdy skończył. - Zdejmę was z kolejki. Nie ma sensu, żebyście brali nową sprawę, skoro przechodzisz do wydziału zabójstw. Zezwalam wam też na nadgodziny w weekend. Zabierzcie się więc ostro do Trenta i informujcie mnie. Masz cztery dni, Harry. Nie zostawiaj tej sprawy nierozwiązanej.

Pokiwał głową i wyszedł z gabinetu. Po drodze do swojego biurka wiedział, że wszyscy detektywi na sali patrzą za nim. Nie dał nic po sobie poznać i usiadł za biurkiem, nie podnosząc wzroku.

- I? - wyszeptał w końcu Edgar. - Co ci dali?
- Wydział zabójstw i rabunków.
- Wydział zabójstw i rabunków?

Edgar praktycznie krzyknął. Wszyscy w pokoju detektywów musieli to słyszeć. Harry poczuł, że się czerwieni. Wiedział, że wszyscy patrzą na niego.

- Jezu Chryste - powiedział Edgar. - Najpierw Kiz, a teraz ty. A ja to co, do cholery, siekana wątróbka?

Rozdział 48

Z aparatury stereo rozlegało się „Kind of Blue”. Harry trzymał w ręce butelkę piwa i z przymkniętymi oczyma na wpół leżał w fotelu. Miał za sobą pełen zamętu dzień po pełnym zamętu tygodniu. Teraz pragnął jedynie czuć, jak przenika go muzyka i oczyszcza jego wnętrze. Był pewien, że już ma to, czego szukał. Musiał tylko wszystko uporządkować i pozbyć się zaśmiecających pole widzenia nieistotnych drobiazgów.

Pracował z Edgarem do siódmej, nim postanowili zrobić sobie wolny wieczór. Edgar nie potrafił się skoncentrować. Wieść o przeniesieniu partnera podziałała na niego silniej niż na samego Harry'ego. Edgar traktował jako osobistą urazę to, iż nie jego przydzielano do wydziału zabójstw i rabunków. Harry próbował uspokoić partnera, mówiąc, że czeka go wejście w kłębowski węży, ale na nic się to nie zdało. W końcu dał sobie spokój. Powiedział partnerowi, żeby jechał do domu, strzelił sobie drinka i dobrze się wyspał. Przez weekend mieli zająć się zbieraniem informacji o Trencie.

W tej chwili to właśnie Harry pił alkohol i zasypiał w fotelu. Czuł, że znalazł się na pewnego rodzaju progu. Zaczynał się nowy, wyraźnie zdefiniowany okres w jego życiu. Czas większego bezpieczeństwa, wyższych stawek i większych nagród. Uśmiechnął się, bo wiedział, że nikt go nie widzi.

Zadzwoił telefon. Bosch poderwał się na fotelu. Wyłączył odtwarzacz i przeszedł do kuchni. Gdy podniósł słuchawkę, kobiecy głos polecił mu czekać na połączenie z zastępcą komendanta. Irving odezwał się dopiero po długiej chwili.

- Detektyw Bosch?

- Tak?

- Dostał pan dzisiaj decyzję o przeniesieniu?

- Tak, dostałem.

- Dobrze. Chciałem, żeby pan wiedział, że to ja podjąłem decyzję o pańskim powrocie do wydziału zabójstw i rabunków.

- Dlaczego, panie komendancie?

- Bo po naszej ostatniej rozmowie postanowiłem dać panu ostatnią szansę. Jest nią właśnie pana nowe stanowisko. Będę miał tam okazję przyglądać się z bliska pańskim posunięciom.

- Co to za stanowisko?

- Nie powiedziano panu?

- Przekazano mi tylko, że jutro mam się zgłosić do wydziału zabójstw i rabunków, kropka. Nic więcej.

W słuchawce zapadło milczenie. Bosch pomyślał, że znajdzie teraz dziegieć w beczce miodu. Przenoszono go z powrotem do wydziału zabójstw i rabunków, ale w jakim charakterze? Starał się zastanowić, jakie jest najgorsze z najlepszych stanowisk.

- Wraca pan do swojej dawnej pracy - rzekł w końcu Irving. - Sekcja specjalna wydziału zabójstw. Zwolniło się miejsce, bo detektyw Thornton zdał wczoraj odznakę.

- Thornton.

- Zgadza się.

- Będę pracował z Kiz Rider?

- To będzie zależało od porucznika Henriqueza. Detektyw Rider nie ma jednak obecnie partnera, a pan już z nią współpracował.

Harry pokiwał głową. Czuł uniesienie, ale nie chciał, żeby Irving się zorientował.

- Może pan mieć wrażenie, jakby wpadł pan w szambo, ale wyszedł z niego, pachnąc różami - kontynuował Irving, jakby odgadując jego myśli. - Proszę tak nie uważać. Niech pan niczego nie zakłada. Nie wolno panu popełnić żadnego błędu. Jeśli pan to zrobi, będzie miał pan ze mną do czynienia. Jasne?

- Jak słońce.

Irving rozłączył się, nie mówiąc więcej ani słowa. Harry stał w ciemności ze słuchawką przy uchu, aż usłyszał w niej głośny, denerwujący pisk. Odłożył ją i wrócił do salonu. Pomyślał, żeby zadzwonić do Kiz

i dowiedzieć się od niej, czy słyszała jakieś plotki, ale uznał, że może to poczekać.

Gdy usiadł na fotelu, poczuł, że coś twardego wbija się mu w biodro. Wiedział, że to nie pistolet - zdjął go wcześniej. Sięgnął do kieszeni i natrafił na magnetofon.

Włączył go i usłyszał wymianę zdań z Judy Surtain, dziennikarką z telewizji, pod domem Trenta tej nocy, kiedy dekorator odebrał sobie życie. Biorąc pod uwagę to, co się stało, Harry poczuł się winny, że nie zrobił czy nie powiedział czegoś więcej, co mogłoby powstrzymać reporterkę.

Gdy usłyszał z taśmy trzaśnięcie drzwi samochodu, zatrzymał ją i przewinął do tyłu. Uświadomił sobie, że nie słyszał całej rozmowy z Trentem, bo wyszedł w pewnym momencie rozejrzeć się po pozostałej części domu. Postanowił potraktować ją teraz jako punkt wyjścia do dochodzenia przez weekend.

Słuchając taśmy, starał się analizować słowa i zdania Trenta w poszukiwaniu nowych znaczeń - drobiazgów, zdradzających mordercę. Słuchając prawie otwarcie zdesperowanego Trenta, nadal czuł, że to nie zabójca, że jego zapewnienia o niewinności są prawdziwe. Oczywiście było to sprzeczne z tym, czego ostatnio się dowiedział. Na deskorolce - znalezionej w domu Trenta - były inicjały chłopca i rok, kiedy ją kupił i zginął. Deska stała się swego rodzaju nagrobkiem Arthura Delacroix. Znakiem dla Boscha.

Skończył słuchać rozmowy z Trentem, ale nic, łącznie z nieznaną mu wcześniej częścią, nie nasunęło mu żadnych pomysłów. Przewinął taśmę i postanowił ją raz jeszcze przesłuchać. Już na początku drugiego podejścia dotarło do niego coś, od czego nagle poczuł gorąco na twarzy, prawie jakby ogarniała go gorączka. Szybko cofnął taśmę i przesłuchał fragment rozmowy Edgara i Trenta, który przykuł jego uwagę. Pamiętał, że w tym momencie stał na korytarzu domu Trenta i przysłuchiwał się wymianie zdań. Do tego momentu jej znaczenie umykało jego uwagi.

„Lubił pan obserwować dzieci bawiące się w lesie?”

„Nie, nie widziałem ich, jeśli były w lesie. Od czasu do czasu jechałem tam albo wyprowadzałem moją suczkę - kiedy jeszcze żyła - i widziałem, jak dzieciaki się tam wspinały. Dziewczynka z naprzeciwka. Fosterowie z sąsiedniego domu. Wszystkie dzieci z ulicy. To miejska droga - jedyna niezabudowana okolica w sąsiedztwie. Dlatego szły się tam bawić. Niektórzy sąsiedzi podejrzewali, że starsze dzieci tam się kryją, żeby palić papierosy, i martwili się, że spalą cały stok”.

Harry wyłączył magnetofon i wrócił do telefonu w kuchni. Edgar odebrał po pierwszym sygnale. Harry poznał, że jego partner jeszcze nie spał. Ostatecznie była dopiero dziewiąta.

- Nie zabrałeś nic do domu?

- Na przykład?

- Odwrotnych rejestrów telefonicznych.

- Nie, Harry, są w biurze. Co jest grane?

- Sam nie wiem. Przypomnij sobie, jak układaliśmy dzisiaj schemat na tablicy. Czy przy Wonderland mieszkał ktoś nazwiskiem Foster?

- Foster. Nazwisko, nie imię?

- Tak, nazwisko. Czekał. Edgar milczał.

- Pamiętasz, Jerry?

- Nie gorączkuj się, Harry. Zastanawiam się. Milczenie trwało dalej.

- Hm - powiedział wreszcie Edgar. - Żadnego Fostera. Nikogo takiego sobie nie przypominam.

- Jesteś pewny?

- Daj spokój, Harry. Nie mam tu ani tablicy, ani listy. Myślę jednak, że przypomniałbym sobie nazwisko. Dlaczego to takie ważne? Co się dzieje?

- Oddzwonię do ciebie.

Harry przeniósł telefon ze sobą do jadalni, gdzie zostawił swój neseser. Wyjął z niego książkę dochodzenia. Szybko otworzył ją na stronie z listą obecnych mieszkańców Wonderland Avenue wraz z adresami i numerami telefonów. Nie było na niej Fosterów. Wybrał jeden z numerów. Po czterech

sygnałach usłyszał znajomy głos.

- Pan doktor Guyot? Tu Harry Bosch. Dzwonię za późno?

- Witam, detektywie. Nie, dla mnie nie za późno. Przez czterdzieści lat odbierałem telefony o najróżniejszych porach nocy. Dziewiąta wieczór? To dla amatorów. Jak pana liczne obrażenia?

- W porządku, doktorze. Trochę się spieszę i muszę zadać panu parę pytań o sąsiadów.

- No to niech pan zaczyna.

- Cofnijmy się w przeszłość. Czy około tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku mieszkała przy pańskiej ulicy rodzina lub małżeństwo nazwiskiem Foster?

Zapadło milczenie, podczas gdy Guyot zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Nie, nie sądzę - powiedział w końcu. - Nie pamiętam nikogo o takim nazwisku.

- No dobrze. A może mi pan powiedzieć, czy ktokolwiek przy tej ulicy przygarniał sieroty*?[Nieprzetłumaczalna gra słów: Foster kids może znaczyć zarówno „dzieci adoptowane”, jak i „dzieci Fosterów” (przyj. tłum.).]

- Och, tak - odpowiedział tym razem prawie bez zastanowienia Guyot. - Blaylockowie, tak się nazywali. Pomogli przez lata wielu dzieciom, przygarniając je do siebie. Bardzo ich podziwiałem.

Harry zapisał nazwisko na czystej stronie książki dochodzenia. Odszukał następnie stronę z podsumowaniem rozmów z sąsiadami i stwierdził, że Blaylockowie nie mieszkali obecnie przy Wonderland Avenue.

- Pamięta pan ich imiona?

- Don i Audrey.

- Kiedy wyprowadzili się z sąsiedztwa? Pamięta pan?

- Co najmniej dziesięć lat temu. Nie potrzebowali dłużej tak dużego domu, kiedy dorosło ich ostatnie dziecko. Sprzedali go i przeprowadzili się.

- Wie pan może dokąd? Wciąż mieszkają w okolicy?

Guyot zamilkł. Harry czekał na jego odpowiedź.

- Staram się sobie przypomnieć - rzekł lekarz. - Pamiętam, że wiedziałem.

- Niech pan się nie spieszy, doktorze - powiedział Harry, chociaż była to ostatnia rzecz, jakiej pragnął.

- Och, wie pan co, detektywie? - odrzekł Guyot. - Gwiazdka. Składałam do pudełka wszystkie kartki świąteczne, żeby wiedzieć, komu wysłać pocztówki w następnym roku. Zawsze tak robiła moja żona. Odłożę słuchawkę i pójdę po pudło, dobrze? Audrey przysyła mi jeszcze co roku kartkę.

- Niech pan po nie idzie, doktorze. Zaczekam.

Usłyszał odkładaną słuchawkę. Pokiwał głową. Prawie miał adres w ręku. Starał się obmyślić, co może znaczyć nowa informacja, ale ostatecznie zdecydował się poczekać. Wiedział, że lepiej będzie najpierw zebrać fakty, a dopiero potem je posegregować.

Minęło kilka minut, nim Guyot wrócił do telefonu. Przez cały czas Harry trzymał długopis nad notesem, żeby zapisać adres.

- No dobrze, detektywie. Już panu dyktuję.

Guyot podał adres, a Harry prawie westchnął na głos. Don i Audrey Blaylockowie nie przeprowadzili się ani na Alaskę, ani w jakiś inny odległy zakątek świata. Mieszkali nie tak znowu daleko. Podziękował Guyotowi i rozłączył się.

Rozdział 49

O ósmej rano w sobotę Harry siedział w swoim służbowym samochodzie, wpatrując się w niewielki, drewniany dom przecnicę od głównej ulicy miasteczka Lone Pine u podnóży gór Sierra Nevada. Harry pił chłodną kawę z plastikowego kubka; drugi czekał na desce rozdzielczej na swoją kolejkę. Bolały go kości po nocy spędzonej w drodze i próbach zaśnięcia w samochodzie. Dotarł do miasteczka za późno, żeby znaleźć otwarty motel. Wiedział zresztą z doświadczenia, że do Lone Pine nie ma co wybierać się w

weekend bez rezerwacji.

Gdy nastał świt, zobaczył wylaniającą się z mroku za miastem szarosiwą górę, pomniejszającą je i ukazującą jego faktyczną znikomość w obliczu czasu i naturalnego porządku rzeczy. Harry miał przed sobą Mount Whitney, najwyższy szczyt w Kalifornii. Stał tu na długo przedtem, nim ujrzały go ludzkie oczy i równie długo postoi, gdy zniknie stąd ostatni człowiek. W jakiś sposób ułatwiało to Harry'emu zniesienie tego, co wiedział.

Był głodny i miał ochotę pójść do którejś z restauracyjek na stek z jajkami. Nie zamierzał jednak opuścić posterunku. Człowiek przeprowadzał się z Los Angeles do Lone Pine nie tylko dlatego, że nie znosił tłumów, smogu i tempa życia w wielkim mieście. Robił to też dlatego, że kochał góry. Harry nie zamierzał ryzykować, że Don i Audrey Blaylockowie wybiorą się na poranną wspinaczkę, podczas gdy on będzie siedział przy śniadaniu.

Wybrał wyczekiwanie w samochodzie i włączanie na pięć minut nagrzewania. W ten sposób oszczędzał przez całą noc benzynę i ciepło.

Obserwował dom i czekał na nastanie ranka lub pojawienie się kogoś po gazetę, rzuconą dwie godziny wcześniej na podjazd z przejeżdżającego pikapa. Wiedział, że nie jest to „Los Angeles Times”. Ludzi w Lone Pine nie obchodziła aglomeracja, jej morderstwa ani detektywi.

O dziewiątej zobaczył wzbijające się z komina kłęby dymu. Kilka minut później po gazetę wyszedł mniej więcej sześćdziesięcioletni mężczyzna w kurtce puchowej. Zabrał ją z ziemi i popatrzył przez pół długości przecznicy na samochód Harry'ego. Potem wszedł z powrotem.

Harry wiedział, że jego wóz wyróżnia się na ulicy. Nie starał się kryć; po prostu czekał. Uruchomił samochód, podjechał pod dom Blaylocków i stanął na podjeździe.

Gdy dotarł pod drzwi, widziany wcześniej mężczyzna otworzył, zanim Harry zdążył zastukać.

- Pan Blaylock?

- Tak, to ja.

Pokazał odznakę i legitymację.

- Czy pan i żona moglibyście poświęcić mi kilka minut? Chodzi o sprawę, nad którą pracuję.

- Jest pan sam?

- Tak.

- Długo pan czekał?

- Od czwartej. - Harry się uśmiechnął. - Dojechałem za późno, żeby dostać pokój.

- Niech pan wchodzi. Mamy świeżą kawę.

- Jeśli gorącą, to chętnie się napiję.

Mężczyzna wpuścił detektywa do środka i wskazał mu komplet foteli i kanapy przed kominkiem.

- Pójdę po żonę i kawę.

Harry skierował się w stronę fotela stojącego najbliżej kominka. Miał już usiąść, kiedy zobaczył mnóstwo oprawionych w ramki fotografii, wiszących na ścianie za kanapą. Podeszedł, żeby się im przyjrzeć. Wszystkie przedstawiały dzieci i nastolatków - o najróżniejszych kolorach skóry. Było wśród nich dziecko wyraźnie upośledzone umysłowo i drugie - inwalida fizyczny. Były adoptowane. Wrócił do fotela, usiadł i czekał.

Blaylock wkrótce przyszedł z wielkim kubkiem parującej kawy. Za nim do pokoju weszła kobieta, nieco starsza od męża. Miała miłą twarz, ale wciąż jeszcze zmarszczki wokół oczu od snu.

- To moja żona, Audrey - powiedział Blaylock. - Pije pan kawę bez niczego? Robili tak wszyscy policjanci, których znałem.

Mąż i żona usiedli obok siebie na kanapie.

- Czarna mi odpowiada. Znał pan wielu policjantów?

- Tak, kiedy mieszkałem w Los Angeles. Trzydzieści lat pracowałem w straży pożarnej. Zrezygnowałem ze stanowiska komendanta remizy po rozruchach w dziewięćdziesiątym drugim. Zacząłem pracować tuż po zamieszkach w Watts, a odszedłem po dziewięćdziesiątym drugim.

- O czym chciał pan z nami rozmawiać? - zapytała Audrey, prawdopodobnie zniecierpliwiona grzecznościową konwersacją męża.

Harry pokiwał głową. Dostał kawę, a wstęp do rozmowy dobiegł końca.

- Zajmuję się zabójstwami. Pracuję w wydziale Hollywood. Zajmuję się...

- Byłem sześć lat w pięćdziesiątej ósmej - powiedział Blaylock; chodziło mu o remizę przylegającą do

komendy Hollywood.

Harry ponownie pokiwał głową.

- Don, pozwól panu powiedzieć, po co przyjechał taki kawał drogi - rzekła Audrey.

- Przepraszam, niech pan mówi dalej.

- Pracuję nad pewną sprawą. Morderstwem w Laurel Canyon, czyli w waszym dawnym sąsiedztwie.

Kontaktujemy się z ludźmi, którzy w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku mieszkali przy Wonderland Avenue.

- Dlaczego właśnie wtedy?

- Bo wtedy doszło do tego morderstwa.

Małżonkowie popatrzyli na niego ze zdziwieniem.

- To jedna z tych starych spraw? - spytał Blaylock. - Bo nie przypominam sobie, żeby coś takiego wydarzyło się wtedy w naszym sąsiedztwie.

- W pewnym sensie to stara sprawa, tyle że ciało zostało odkryte dopiero parę tygodni temu. Pogrzebano je w lesie. Na wzgórzu.

Bosch przyglądał się uważnie małżonkom. Nic nie zdradzało, że o tym wiedzieli, byli wstrząśnięci.

- Och, mój Boże - powiedziała Audrey. - To znaczy, że cały czas, kiedy tam mieszkaliśmy, na górze był ktoś pochowany? Nasze dzieci się tam bawiły. Kogo zabito?

- Dziecko. Dwunastoletniego chłopca. Nazywał się Arthur Delacroix. Czy to nazwisko coś państwu mówi?

Mąż i żona przeszukali pamięć, popatrzyli po sobie, porównując wyniki, i równocześnie pokręcili głowami.

- Nie znaliśmy nikogo takiego - powiedział Don Blaylock.

- Gdzie mieszkał? - zapytała Audrey Blaylock. - Chyba nie w sąsiedztwie.

- Nie, w okolicy Miracle Mile.

- Brzmi to strasznie - odparła Audrey. - Jak zginął?

- Został pobity na śmierć. Jeśli to państwu nie przeszkadza... to znaczy, wiem, że to was interesuje, ale muszę najpierw zadać pytania.

- Och, przepraszam - powiedziała Audrey. - Niech pan pyta dalej. Co jeszcze możemy panu powiedzieć?

- Cóż, staramy się opracować profil ulicy - Wonderland Avenue - w owym okresie. Rozumieją państwo: kto był kim i gdzie mieszkał. W gruncie rzeczy to rutynowe postępowanie. - Harry uśmiechnął się i natychmiast zorientował, że nie wypadło to szczerze. - Jak na razie, mamy z tym duże kłopoty. W sąsiedztwie zaszły od tamtej pory wielkie zmiany. W istocie jedyni mieszkańcy, którzy wciąż tam mieszkają od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku, to doktor Guyot i człowiek nazwiskiem Hutter mający dom na końcu ulicy.

- Och, Paul. - Audrey uśmiechnęła się ciepło. - Jest taki miły. Wciąż dostajemy od niego kartki świąteczne - od czasu kiedy umarła jego żona. - Harry pokiwał głową. - Oczywiście był dla nas za drogi. Przeważnie zabieraliśmy dzieci do przychodni. Jeśli jednak w wolne dni wydarzyło się coś nagłego albo kiedy Paul był w domu, nigdy się nie wahał. Niektórzy lekarze boją się w dzisiejszych dniach cokolwiek zrobić ze strachu, że zostaną... Przepraszam, rozgadałam się jak mój mąż, a przecież nie przyjechał pan po to, żeby tego słuchać.

- Nic się nie stało, pani Blaylock. Hm, wspomniała pani o waszych dzieciach. Słyszałem od niektórych sąsiadów, że je adoptowaliście, zgadza się?

- Och, tak - odparła. - Don i ja przygarnialiśmy dzieci przez dwadzieścia pięć lat.

- To wspaniałe... to, co państwo robili. Podziwiam to. Ile dzieci łącznie wzięliście?

- Trudno je wszystkie zliczyć. Niektóre były u nas całe lata, niektóre tylko kilka tygodni. Mnóstwo z nich trafiło do nas, bo sąd rodzinny miał akurat taką zachciankę. Pękało mi serce, kiedy zaczynaliśmy z dzieckiem, no, wie pan, staraliśmy się, żeby czuło się bezpiecznie w domu, a potem sąd wydawał nakaz, żeby wracało do domu, drugiego rodzica czy jeszcze gdzie indziej. Zawsze mówiłam, że trzeba mieć wielkie serce, a zarazem twarde, żeby przygarniać dzieci.

Popatrzyła na męża i pokiwała głową. Odpowiedział jej tym samym i ujął ją za rękę. Przeniósł wzrok z powrotem na detektywa.

- Kiedyś je policzyliśmy - powiedział. - Łącznie mieliśmy u siebie na krócej lub dłużej trzydzieścioro

ośmioro dzieci. Realistycznie możemy jednak powiedzieć, że wychowaliśmy siedemnaścioro z nich. Były to dzieci mieszkające z nami wystarczająco długo, żeby wywarło to na nie jakiś wpływ. Wie pan, od dwóch lat w górę... Jedno z nich mieszkało z nami czternaście lat.

Odwrócił się w stronę ściany za kanapą i zdjął z niej fotografię chłopca o szczupłej budowie ciała w grubych okularach i w wózku na kółkach. Chłopiec miał zgięte pod kątem ostrym nadgarstki i krzywy uśmiech.

- To Benny - powiedział Blaylock.
- Zdumiewające.

Wyjął z kieszeni notes i otworzył go na czystej stronie. Sięgnął po długopis w momencie, gdy odezwał się jego telefon komórkowy.

- Do mnie - powiedział. - Proszę się tym nie przejmować.
- Nie odbierze pan? - zapytał Blaylock.
- Można zostawić wiadomość. Nie sądziłem, że tu w górach w ogóle będzie sygnał.
- Tak, mamy nawet telewizję.

Harry popatrzył na mężczyznę i zorientował się, że chyba mimowolnie go uraził.

- Przepraszam, nie chciałem powiedzieć nic uszczypliwego. Zastanawiam się, czy mogliby mi państwo powiedzieć, które z dzieci były u państwa w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku.

Minęła chwila, podczas której małżonkowie przyglądali się sobie bez słowa.

- Czy któreś z naszych dzieci jest w to zamieszane? - spytała Audrey.

- Nie wiem, proszę pani. Nie wiem, kto mieszkał u państwa. Jak powiedziałem, staramy się tylko opracować profil sąsiedztwa. Musimy wiedzieć dokładnie, kto tam mieszkał. Od tego wyjdziemy.

- Hm, na pewno Wydział Opieki nad Nieletnimi może panu pomóc.

- Właściwie nazywa się teraz inaczej: Wydział Służb Dziecięcych. Poza tym mogliby nam pomóc najwcześniej w poniedziałek, pani Blaylock. Chodzi jednak o zabójstwo i potrzebujemy tych informacji natychmiast.

Znów nastąpiła pauza i ponownie małżonkowie patrzyli po sobie.

- Cóż - powiedział w końcu Don Blaylock - ciężko będzie przypomnieć sobie, kto mieszkał z nami w danym momencie. Z niektórymi nie ma problemu, na przykład z Bennym, Jodi i Frances. Co rok mieliśmy jednak takie dzieci, o jakich mówiła Audrey: zostawiano je u nas na jakiś czas, a potem zabierano. Z nimi najtrudniej. Zobaczmy, tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty...

Wstał i odwrócił się, żeby móc widzieć wszystkie fotografie na ścianie. Wskazał na jedną z nich, przedstawiającą czarnoskórego chłopca w wieku około ośmiu lat.

- To William. Był tu w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym. On...

- Nie, nie było go - powiedziała Audrey. - Trafił do nas w osiemdziesiątym czwartym. Nie pamiętasz, kiedy była olimpiada? Zrobiłeś mu pochodnię z cynfolii.

- Ach tak, w osiemdziesiątym czwartym.

Harry wychylił się naprzód w fotelu. Przy ogniu zaczynało się mu robić za ciepło.

- Zacznijmy od trójki, o której państwo wspomnieli. Benny'ego i pozostałej dwójki. Jak się dokładnie nazywali?

Usłyszał ich nazwiska, ale kiedy zapytał, jak można się z nimi skontaktować, dostał numery telefonów obu dziewczynek, lecz nie Benny'ego.

- Benny zmarł sześć lat temu - powiedziała Audrey. - Na stwardnienie rozsiane.

- Przykro mi.

- Był nam bardzo bliski.

Harry pokiwał głową i odczekał stosowną chwilę w milczeniu.

- Hm, kto jeszcze? Nie prowadziliście dokumentacji, kto u was był i jak długo?

- Prowadziliśmy, ale nie mamy jej tutaj - powiedział Blaylock. - Jest w magazynie w Los Angeles. - Nagle pstryknął palcami. - Wie pan, mamy listę nazwisk wszystkich dzieci, którym pomogliśmy lub próbowaliśmy pomóc, tyle że nie ułożoną chronologicznie. Pewnie moglibyśmy część wykluczyć, ale czyby to panu się na coś przydało?

Harry zauważył, że Audrey rzuciła mężowi ulotne, gniewne spojrzenie. Mąż jednak tego nie spostrzegł. Harry czuł, że kobieta instynktownie chce chronić dzieci przed zagrożeniem, rzeczywistym czy wymyślanym, reprezentowanym przez policjanta.

- Tak, bardzo by to pomogło.

Blaylock wyszedł z pokoju. Bosch popatrzył na Audrey.

- Nie chce pani, żeby mąż dał mi tę listę. Dlaczego, pani Blaylock?

- Bo myślę, że nie jest pan z nami szczerzy. Czegoś pan szuka. Czegoś, co będzie odpowiadało pana potrzebom. Nie jechał pan w środku nocy trzy godziny z Los Angeles, żeby przeprowadzić „rutynowe przepytanie”, jak pan to określił. Wie pan, że te dzieci pochodziły z trudnych środowisk. Nie były aniołkami, kiedy do nas trafiły. A ja nie chcę, żeby któreś o coś obwiniano tylko za to, kim były i skąd pochodziły.

Odczekał, by upewnić się, że skończyła.

- Pani Blaylock, czy była pani kiedyś w Schronisku Młodzieżowym McClaren?

- Oczywiście. Kilkoro dzieci trafiło do nas stamtąd.

- Ja też tam byłem. I w wielu innych sierocińcach, w których nie zagrałem długo miejsca. Wiem, jakie to dzieci, bo sam taki byłem, rozumie pani? I wiem, że sierocińce mogą być pełne miłości, ale czasem równie złe albo jeszcze gorsze niż miejsce, z którego się do nich trafiło. Wiem, że niektórzy rodzice zastępczy są oddani dzieciom, a inni - wyłącznie zasiłkom z funduszu opiekuńczego.

Audrey Blaylock milczała długą chwilę.

- Nieważne - rzekła. - Mimo wszystko szuka pan tylko kawałka, który pomoże panu dokończyć układankę.

- Myli się pani. Co do tego i co do mnie.

Blaylock wrócił do pokoju z zieloną księgą, która wyglądała jak dziennik szkolny. Rozłożył ją na stoliku do kawy. Zakładki były wypchane fotografiami i listami.

- Mąż pracował dla miasta podobnie jak pan, toteż nie będzie miał ochoty słuchać tego, co powiem - kontynuowała pani Blaylock. - Musi pan jednak wiedzieć, detektywie, że nie przemawiają do mnie powody, dla których pan tu przyjechał. Nie jest pan z nami szczerzy.

- Audrey! - jęknął Blaylock. - Ten człowiek stara się tylko wykonywać swoją pracę.

- I powie wszystko, żeby to osiągnąć. W tym celu jest gotów skrzywdzić każde z naszych dzieci.

- Audrey, proszę.

Blaylock przeniósł spojrzenie na Boscha i pokazał mu kartkę papieru z listą ręcznie spisanych nazwisk. Zanim Harry zdążył ją przeczytać, Blaylock odłożył ją na stolik. Zaczął stawiać ptaszki ołówkiem przy niektórych nazwiskach.

- Sporządziliśmy tę listę, żeby nie stracić nikogo z oczu - mówił równocześnie. - Może pan się zdziwić, że chociaż kocha się kogoś na zabój, to zawsze czasami się o kims zapomni, jeśli trzeba pamiętać o dwudziestu-trzydziestu urodzinach. Odkreślam te dzieci, które przybyły do nas po osiemdziesiątym roku. Audrey sprawdzi po mnie, kiedy skończę.

- Nie sprawdzę.

Blaylock ją zignorował. Harry wyprzedził wzrokiem miejsce na liście, do którego dotarł były strażak. Zanim Blaylock doszedł do dwóch trzecich, Harry wskazał palcem jedno z nazwisk.

- Proszę mi o nim opowiedzieć.

Blaylock podniósł na niego wzrok, a potem przeniósł go na żonę.

- O kogo chodzi? - zapytała.

- O Johnny'ego Stokesa - odparł Bosch. - Był w państwa domu w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym, prawda?

Audrey wpatrzyła się w niego przez chwilę-

- No i widzisz? - powiedziała do męża, nie odrywając wzroku od Boscha. - Wiedział już o Johnnym, kiedy tu jechał. Miałam rację. To nieuczciwy człowiek.

Rozdział 50

Zanim Blaylock poszedł do kuchni zaparzyć drugi dzbanek kawy, Bosch miał dwie strony notatek na temat Johnny'ego Stokesa. Chłopiec trafił do domu Blaylocków, skierowany przez Wydział Opieki nad Nieletnimi w styczniu 1980 roku. W lipcu go aresztowano, gdyż ukradł samochód, żeby przejechać się po Hollywood. Było to jego drugie aresztowanie za kradzież samochodu. Umieszczono go na sześć miesięcy w zakładzie poprawczym Sylmar. Po ukończeniu okresu rehabilitacji sędzia wydał mu zezwolenie na powrót do domu rodzinnego. Chociaż Blaylockowie mieli o nim od czasu do czasu wiadomości i nawet widywali się z nim podczas nielicznych wizyt w okolicy, w której mieszkał, opiekowali się innymi dziećmi i wkrótce stracili kontakt z chłopcem.

Gdy Blaylock wyszedł zaparzyć kawę, Bosch przygotował się na niezręczne milczenie w towarzystwie Audrey. Kobieta jednak odezwała się do niego:

- Dwanaścioro naszych dzieci skończyło college - oświadczyła. - Dwoje jest zawodowymi wojskowymi. Jeden został za przykładem Dona strażakiem. Pracuje w Dolinie. - Pokiwała głową. Bosch odpowiedział tym samym. - Nigdy nie uważaliśmy, że odnosimy sto procent sukcesów z naszymi dziećmi - kontynuowała. - Z każdym staraliśmy się postępować jak najlepiej. Czasami okoliczności, sądy albo władze zajmujące się nieletnimi uniemożliwiały nam skuteczną pomoc. Johnny był jednym z takich przypadków. Popełnił błąd, a postąpiono tak, jakby można go było za to winić. Odebrano go nam... zanim zdążyliśmy mu pomóc. - Harry mógł jedynie pokiwać głową. - Mam wrażenie, że już go pan zna - powiedziała. - Rozmawiał pan z nim?

- Tak. Krótko.

- Jest w więzieniu?

- Nie.

- Jak żył, odkąd... go znaleźliśmy?

- Nie najlepiej. - Bosch rozłożył ręce. - Narkotyki, mnóstwo aresztowań, więzienie.

Pokiwała ze smutkiem głową.

- Myśli pan, że zabił tego chłopca z sąsiedztwa? Kiedy mieszkał z nami?

Odgadł po jej minie, że gdyby odpowiedział szczerze, zburzyłby całą konstrukcję, którą zbudowała na fundamencie tego, co jej się z mężem udało. Cała ściana fotografii, togi absolwentki i dobre posady nic by przy tym nie znaczyły.

- Naprawdę nie wiem. Wiemy jednak, że był przyjacielem chłopca, który zginął.

Audrey przymknęła oczy. Nie mocno, jedynie jakby dawała im odpocząć. Nie powiedziała już nic, dopóki do pokoju nie wrócił Blaylock. Mężczyzna wyminął Boscha i dorzucił kłodę do kominka.

- Kawa będzie za minutę.

- Dziękuję - powiedział Bosch. Wstał, gdy Blaylock podszedł do kanapy. - Mam w samochodzie parę rzeczy. Chciałbym, żeby państwo się im przyjrzeni, jeśli to wam nie przeszkadza.

Przeprosił i wyszedł na zewnątrz. Wyjął neseser z przedniego siedzenia i podszedł do bagażnika po pudło z deskorolką. Przyszło mu do głowy, że może warto pokazać ją Blaylockom.

Jego telefon zabrzączał w chwili, gdy zamykał bagażnik. Dzwonił Edgar.

- Gdzie jesteś, Harry?

- W Lone Pine.

- Lone Pine! Cholera, co ty tam robisz?

- Nie mam czasu rozmawiać. Gdzie jesteś?

- W biurze, jak się umówiliśmy. Myślałem, że...

- Słuchaj, zadzwonię do ciebie za godzinę. Na razie roześlij od nowa wiadomość, żeby rozglądano się za Stokesem.

- Co?

Bosch obejrzał się na dom, żeby upewnić się, że Blaylockowie nie mogą go słyszeć.

- Powiedziałem, że masz roześłać od nowa wiadomość, żeby rozglądano się za Stokesem. Musimy go zgarnąć.

- Dlaczego?

- Bo to on zabił tego dzieciaka.

- Co jest, cholera?

- Zadzwoń do ciebie za godzinę. Roześlij wiadomość.

Przerwał połączenie i tym razem wyłączył telefon.

Po powrocie Bosch postawił pudło na podłodze i otworzył neseser na kolanach. Wyszperał kopertę ze zdjęciami rodzinnymi, które dostał od Sheili Delacroix. Wyjął je, podzielił na dwie części i podał Donowi i Audrey.

- Proszę przyjrzeć się chłopcu na tych zdjęciach i powiedzieć, czy go poznajecie i czy kiedykolwiek był u was w domu. Z Johnnym czy kimkolwiek innym.

Patrzył, jak małżonkowie przeglądają zdjęcia, a potem się nimi wymieniają. Gdy skończyli, oboje pokręcili głowami i oddali mu fotografie.

- Nie poznajemy go - powiedział Don Blaylock.

- No dobrze - rzekł Bosch, chowając zdjęcia do koperty.

Zamknął neseser i postawił go na podłodze. Otworzył pudło i wyjął z niego deskorolkę.

- Czy któreś z państwa...

- To deska Johna - oświadczyła Audrey.

- Jest pani pewna?

- Tak, poznaję ją. Kiedy go... kiedy zabrali go od nas, została po nim. Powiedziałam mu, że ją mamy. Dzwoniłam do niego do domu, ale nigdy po nią nie przyjechał.

- Skąd pani wie, że właśnie ta deska należała do niego?

- Po prostu pamiętam. Nie podobała mi się ta czaszka z puszczelami. Przypominam je sobie.

Harry odłożył deskorolkę do pudła.

- Co się z nią stało, skoro się po nią nie zgłosił?

- Sprzedaliśmy ją - powiedziała Audrey. - Kiedy po trzydziestu latach Don przeszedł na emeryturę, sprzedaliśmy wszystkie nasze śmiecie. Urządziliśmy gigantyczną wyprzedaż w garażu.

- Raczej w całym domu - dodał mąż. - Pozbyliśmy się wszystkiego.

- Nie wszystkiego. Nie chciałem sprzedać tego durnego dzwonu pożarowego, który był na podwórku za domem. Tak czy inaczej właśnie wtedy sprzedaliśmy tę deskorolkę.

- Pamięta pani komu?

- Tak, naszemu bezpośredniemu sąsiadowi. Panu Trentowi.

- Kiedy to było?

- Latem dziewięćdziesiątego drugiego. Zaraz po sprzedaniu domu. Pamiętam, że transakcja nie była jeszcze prawomocna.

- Dlaczego pamięta pani, że sprzedała deskorolkę Trentowi? Dziewięćdziesiąty drugi był dawno temu.

- Pamiętam, bo kupił połowę tego, co wystawiliśmy na sprzedaż. Tę gorszą. Pozbierał wszystko i zaproponował nam łączną cenę. Potrzebował tego do swojej pracy. Był scenografem.

- Dekoratorem planu - poprawił ją mąż. - To różnica.

- Tak czy owak wszystko, co od nas kupił, wykorzystywał do filmów. Zawsze miałam nadzieję, że rozpoznam na ekranie coś, co było u nas w domu, ale nigdy mi się nie udało.

Bosch zapisał jeszcze kilka linijek w notesie. Miał już prawie wszystko, czego potrzebował od Blaylocków. Był już czas ruszać na południe do Los Angeles, żeby zakończyć dochodzenie.

- Skąd macie deskorolkę? - zapytała go Audrey.

Bosch podniósł wzrok znad notesu.

- Była wśród rzeczy pana Trenta.

- Wciąż tam mieszka? - zapytał Don Blaylock. - Był wspaniałym sąsiadem. Nigdy nie stwarzał żadnych problemów.

- Do niedawna - odparł Bosch. - Niestety, zmarł.

- Ojej! - zawołała Audrey. - Jaka szkoda. Przecież nie był taki stary.

- Mam jeszcze tylko kilka pytań. Czy John Stokes mówił kiedykolwiek, w jaki sposób wszedł w posiadanie tej deskorolki?

- Mówił, że wygrał ją w zawodach z innymi chłopcami ze szkoły - powiedziała Audrey.

- Szkoły The Brethren?

- Tak. Tam właśnie chodził, kiedy go wzięliśmy, więc tam go zostawiliśmy.

Bosch pokiwał głową i popatrzył na swoje zapiski. Miał już wszystko. Zamknął notes, wsunął go do kieszeni i wstał, by się pożegnać.

Rozdział 51

Bosch postawił samochód na miejscu parkingowym przed restauracją „Lone Pine Diner”. Łoże przy oknach były pełne; prawie wszyscy zajmujący je ludzie spoglądali na samochód Departamentu Policji Los Angeles, znajdujący się teraz przeszło trzysta kilometrów od tego miasta.

Był głodny, ale nie mógł dłużej odkładać rozmowy z Edgarem. Wyjął telefon komórkowy i wybrał numer. Edgar odebrał, zanim skończył się pierwszy sygnał.

- To ja. Rozesłałeś komunikat, żeby szukano Stokesa?

- Tak. Trochę ciężko to robić, kiedy człowiek nie ma pojęcia, co się dzieje, partnerze.

Ostatnie słowo wypowiedział, jakby było synonimem dupka. Była to ich ostatnia wspólna sprawa i Harry pożałował, że kończy się właśnie w ten sposób. Wiedział, że to jego wina. Usunął Edgara na margines śledztwa z powodów niejasnych nawet dla samego siebie.

- Masz rację, Jerry - powiedział. - Spieprzyłem. Po prostu chciałem, żeby coś się działo, a to oznaczało konieczność wyjazdu w środku nocy.

- Pojechałbym z tobą.

- Wiem - skłamał Harry. - Po prostu się nie zastanowiłem, tylko pojechałem. Już wracam.

- No, to zacznij od początku, żebyśmy, kurwa, wiedzieli, co się dzieje w mojej własnej sprawie. Czuję się jak kretyn: rozsyłałam komunikat i nawet nie wiem dlaczego.

- Powiedziałem ci, że Stokes to sprawca.

- Tak, tyle mi powiedziałaś, ale ani słowa więcej.

Następnych dziesięć minut Bosch spędził na przyglądaniu się jedzącym i opowiadaniu Edgarowi o swoich ostatnich dokonaniach, żeby jego partner był wreszcie na bieżąco.

- Jezu Chryste, a mieliśmy go w garści - powiedział Edgar, gdy Bosch wreszcie skończył.

- No, za późno, żeby tego żałować. Musimy go ponownie zgarnąć.

- Mówisz więc, że kiedy dzieciak spakował się i prysnął, pojechał do Stokesa. Potem Stokes zaprowadził go w las i po prostu zabił?

- Mniej więcej.

- Dlaczego?

- O to będziemy musieli jego zapytać. Mam jednak teorię.

- Co, chciał mieć deskorolkę?

- Tak, chciał mieć deskorolkę.

- Zabił dzieciaka, bo mu na niej zależało?

- Obydwaj widzieliśmy morderstwa z drobniejszych powodów. Nie wiemy poza tym, czy chciał go zabić, czy nie. Grób był płytki, wykopany rękami. Nie było w tym żadnej premedytacji. Może Stokes po prostu pchnął go i chłopak rozwalil sobie głowę. Może walnął go w głowę kamieniem. Może było między nimi coś jeszcze, o czym nie wiemy.

Edgar milczał przez długą chwilę. Harry pomyślał, że może wreszcie skończyli i będzie mógł coś zjeść.

- Co przybrani rodzice myślą o twojej teorii?

Harry westchnął.

- Właściwie im o niej nie mówiłem. Ujmijmy to tak: nie byli zbyt zdziwieni, kiedy zacząłem wypytywać o Stokesa.

- Wiesz co, Harry? Kręciliśmy się w kółko, ot co robiliśmy.

- O co ci chodzi?

- O całą tę sprawę. Do czego się sprowadza? Trzynastolatek zabija dwunastolatka za pieprzoną zabawkę. Stokes był wtedy jeszcze nieletni. Żaden prokurator go teraz nie oskarży.

Bosch zastanowił się nad tym przez chwilę.

- Może oskarży. Zależy od tego, co z niego wyciśniemy, kiedy go zgarniemy.

- Sam powiedziałaś, że brak oznak premedytacji. Mówię ci, nie będzie żadnego oskarżenia. Ganiał się za własnym ogonem. Zamykamy sprawę, ale nikt nie pójdzie siedzieć.

Bosch zrozumiał, że Edgar przypuszczalnie ma rację. W obecnym systemie prawnym dorosły człowiek rzadko odpowiadał za czyny popełnione w wieku trzynastu lat. Nawet gdyby udało się uzyskać od Stokesa pełne przyznanie się do winy, i tak pewnie nie odpowiedziałby za swój czyn.

- Powiniennem pozwolić, by go zastrzeliła - wyszeptał.
- Słucham, Harry?
- Nie, nic. Przekaszę coś i ruszam w drogę. Będziesz tam?
- Tak, już jestem. Dam ci znać, jeśli coś się wydarzy.
- W porządku.

Bosch złożył telefon i wysiadł z samochodu. Zastanawiał się nad prawdopodobieństwem, że zbrodnia ujdzie Stokesowi na sucho. Gdy wszedł do ciepłej restauracji i poczuł woń śniadania i tłuszczu, nagle uświadomił sobie, że stracił apetyt.

Rozdział 52

Bosch wyjeżdżał właśnie z krętego, zdradzieckiego kawałka drogi, nazywanego The Grapevine, gdy zaświergotał jego telefon. Dzwonił Edgar.

- Staralem się do ciebie dodzwonić, Harry. Gdzie jesteś?
- Byłem w górach. Dojadę za niecałą godzinę. Co się dzieje?
- Namierzili Stokesa. Koczuje w Usher.

Bosch zastanowił się nad tym. Usher był wybudowanym w latach trzydziestych hotelem, oddalonym przeciętnie od Hollywood Boulevard. Przez dziesięciolecia stanowił przytułek dla biedoty, którą było jednak stać na tygodniową stawkę, oraz centrum prostytutki. Popyt na posesję przy bulwarze sprawił jednak, że nagle znów stał się cenną nieruchomością. Sprzedano go, zamknięto i przygotowywano do remontu oraz modernizacji, dzięki którym miał dołączyć do nowego Hollywoodu. Planiści miejscy zwlekali jednak z ostateczną akceptacją tych zamiarów.

Mieszkańcy nocy wykorzystywali tę okazję. Podczas gdy hotel Usher oczekiwał na odrodzenie, pokoje na jego trzynastu piętrach stały się przytuliskiem dla dzikich lokatorów, przekradających się przez ogrodzenia i zapory ze sklejki w poszukiwaniu schronienia. Przez ubiegłe dwa miesiące Bosch dwukrotnie szukał podejrzanych we wnętrzu hotelu. Nie było elektryczności ani wody, ale nielegalni lokatorzy i tak korzystali z toalet. Hotel cuchnął przez to jak kloaka. W żadnym z pokoiów nie było drzwi ani mebli. Ludzie wykorzystywali do spania zwinięte dywany. Przeszukiwanie hotelu było koszmarem. Gdy wędrowało się korytarzami, za każdym otworem bez drzwi mógł czaić się strzelec. Jeśli człowiek nie patrzył na podłogę, mógł nastąpić na igłę. Bosch włączył światła pościłowe i wcisnął gaz do dechy.

- Skąd wiadomo, że tam jest? - zapytał.
- Informacja pochodzi z ubiegłego tygodnia, kiedy szukaliśmy go po raz pierwszy. Ludzie z wydziału narkotyków mieli tam jakąś sprawę i namierzili go na dwunastym piętrze. Trzeba cholernie się czegoś bać, żeby zaszyć się na ostatnim piętrze bez windy.
- No dobrze, jaki mamy plan?
- Idziemy na całego: cztery zespoły z patrolu, ja i ludzie z wydziału narkotyków. Zaczynamy od dołu i poruszamy się do góry.
- Kiedy wchodzić?
- Zaraz mamy urządzić odprawę i wszystko obgadać, a potem wchodzimy. Nie możemy czekać na ciebie, Harry. Musimy zgarnąć gościa jak najszybciej.

Bosch przez chwilę zastanowił się, czy pośpiech Edgara był uzasadniony, czy wynikał tylko z chęci odegrania się na Harrym za pominięcie go na paru etapach dochodzenia.

- Wiem - rzekł w końcu. - Będziecie mieli krótkofalówki?

- Tak, łączność na kanale drugim.
- Dobra, tam się zobaczymy. Włóż kamizelkę.

Ostatnie słowa powiedział nie dlatego, że obawiał się, iż Stokes może mieć broń. Wiedział jednak, że silnie uzbrojona grupa policjantów w zamkniętej przestrzeni pogrążonego w ciemnościach hotelu to igranie ze śmiercią.

Bosch złożył telefon i jeszcze silniej wcisnął gaz. Wkrótce minął północne granice miasta i znalazł się w dolinie San Fernando. Niedzielny ruch był niewielki. Bosch dwa razy zmienił autostradę i pół godziny po zakończeniu rozmowy z Edgarem wjechał Cahuenga Pass do Hollywood. Gdy zjechał na Highland, zobaczył kilka przecznic na południe bryłę hotelu Usher. We wszystkich oknach było ciemno; zasłony zdjęto w ramach przygotowań do robót.

Bosch nie miał ze sobą krótkofalówki, a zapomniał zapytać Edgara, gdzie będzie mieścił się punkt dowodzenia. Nie chciał po prostu podjechać samochodem w policyjnych barwach pod hotel, bo w ten sposób naraziłby całą operację. Wyjął telefon i zadzwonił do dyżurnego. Zgłosił się Mankiewicz.

- Mank, czy ty w ogóle masz jakiś wolny dzień?
- Nie w styczniu. Moje dzieci świętują Boże Narodzenie i Chanukę, dlatego potrzebuję nadgodzin. O co chodzi?

- Możesz mi powiedzieć, gdzie jest punkt dowodzenia akcji w Usher?
- Tak. To parking kościoła prezbiteriańskiego w Hollywood.
- Zrozumiałem. Dziękuję.

Dwie minuty później Bosch zjechał na parking kościoła. Stało tam pięć radiowozów, samochód bez oznakowań, lecz w policyjnych barwach oraz wóz ludzi z wydziału narkotyków. Były zaparkowane tak blisko kościoła, że zasłaniał je przed hotelem, widocznym z obu stron świątyni.

W jednym z radiowozów siedziało dwóch funkcjonariuszy. Bosch wysiadł i podszedł do radiowozu od strony kierowcy. Samochód miał włączony silnik. Bosch wiedział, że tym samochodem miał zostać odtransportowany aresztant; policjanci podjadą wcześniej pod hotel po wezwaniu przez krótkofalówkę.

- Gdzie są?
- Na jedenastym piętrze - odpowiedział kierowca. - Na razie nic.
- Pożycz mi krótkofalówkę.

Policjant podał ją Boschowi przez okno. Bosch wywołał Edgara na kanale drugim.

- Jesteś tam, Harry?
- Tak, wchodzę na górę.
- Już prawie skończyliśmy.
- Mimo to wchodzę.

Oddał krótkofalówkę kierowcy i opuścił parking. Dotarł do ogrodzenia wokół hotelu i przeszedł na jego północną stronę. Wiedział, że jest tam dziura, przez którą dostają się do środka dzicy lokatorzy. Szparę zakrywała częściowo tablica reklamująca bliską dostępność luksusowych apartamentów. Bosch uchylił obluźowaną deskę i prześlizgnął się na drugą stronę.

Dwie główne klatki schodowe znajdowały się po bokach budynku. Harry domyślił się, że u podnóża obydwoh stoi para funkcjonariuszy na wypadek, gdyby Stokesowi w jakiś sposób udało się wymknąć. Bosch wyjął odznakę i wystawił ją przed siebie, otwierając zewnętrzne drzwi na klatkę schodową.

Wszedł do wnętrza. Było tu dwóch funkcjonariuszy, trzymali przy boku wyjętą broń. Bosch przywitał ich skinieniem głowy, odpowiedzieli tym samym. Ruszył po schodach.

Starał się utrzymać równe tempo. Schody biegły zygzakiem, między kolejnymi poziomami znajdowały się półpiętra. Harry miał do pokonania dwadzieścia cztery odcinki. Smród z przepełnionych toalet był obrzydliwy; przypomniały mu się słowa Edgara, że każdy zapach ma cząsteczkową naturę. Czasami wiedza była czymś strasznym.

Pozdejmowano drzwi prowadzące na korytarz oraz oznaczenia pięter. Chociaż ktoś podjął się wymalowania numerów na dolnych piętrach, nie wystarczyło mu energii do zakończenia pracy. Gdy oznakowania się skończyły, Bosch stracił rachubę i wkrótce nie miał pewności, na którym jest piętrze.

Na ósmym lub dziewiątym zrobił sobie odpoczynek. Usiadł na względnie czystym schodku i czekał, aż wyrówna mu się oddech. Na tej wysokości powietrze było czystsze - niewielu dzikich lokatorów korzystało z pokoi na tych poziomach, nie lubili się wspinać.

Harry wyczuł słuch, nie dobiegły go jednak żadne ludzkie odgłosy. Wiedział, że ekipy policyjne są już

na ostatnim piętrze. Zastanowił się, czy wiadomość o miejscu pobytu Stokesa nie jest błędna lub czy podejrzany się nie wymknął.

Wreszcie wstał i ruszył w dalszą drogę. Minutę później zorientował się, że pomylił się w rachubie - ale na swoją korzyść. Wszedł na ostatni pomost przed otworem drzwiowym apartamentu na najwyższym poziomie. Był na dwunastym piętrze.

Wypuścił powietrze z płuc i prawie uśmiechnął się na myśl, że nie będzie musiał się wspinać jeszcze piętro wyżej. W tym samym momencie usłyszał wołania na korytarzu:

- Tam! O, tam!

- Stokes, nie! Policja! Odsuń się...

Od ścian korytarza odbiły się echem dwa brutalnie głośne wystrzały, jeden po drugim. Bosch wyciągnął broń i szybko podszedł do drzwi. Gdy wychylał się za futrynę, usłyszał jeszcze dwa strzały i cofnął się.

Echo uniemożliwiało mu zorientowanie się, skąd padały strzały. Znowu wychylił się za skraj framugi i zajrzał na korytarz. Było ciemno; wpadały tu jedynie smugi blasku z pokoiów po zachodniej stronie. Bosch zobaczył Edgara w pozycji strzeleckiej, za dwoma umundurowanymi policjantami, zwróconymi do niego plecami. Byli niecałe dwadzieścia metrów od Boscha i wszyscy mierzyli w jeden z otworów drzwiowych.

- W porządku! - krzyknął ktoś. - Już w porządku!

Mężczyźni na korytarzu unieśli równocześnie pistolety i podeszli do drzwi.

- Policja z tyłu! - zawołał Harry i wyszedł na korytarz.

Edgar obejrzał się na niego i wszedł za dwoma funkcjonariuszami do pokoju.

Harry przeszedł szybko korytarzem i musiał na moment przystanąć, żeby wypuścić umundurowanego policjanta, mówiącego do krótkofalówki:

- Centrala, potrzebna karetka na Highland czterdzieści jeden, dwunaste piętro. Podejrzany ma rany postrzałowe.

Wchodząc, Bosch się obejrzał. Policjantem z krótkofalówką był Edgewood. Ich spojrzenia skrzyżowały się na chwilę, po czym Edgewood zniknął w cieniu na korytarzu. Bosch odwrócił się do wnętrza pokoju.

Stokes siedział w szafie bez drzwi, oparty o ściankę w jej głębi. Ręce miał na kolanach. W jednej trzymał mały pistolet kalibru 0.25. Miał na sobie czarne dżinsy i pochlapany krwią podkoszulek. Dwie rany wlotowe znajdowały się na jego piersi, jedna pod lewym okiem. Miał otwarte oczy, ale bez wątpienia nie żył.

Przed ciałem przykucnął Edgar. Nie dotykał go. Nie miało sensu sprawdzać pulsu i wszyscy o tym wiedzieli. Zapach spalonego kordytu podrażnił nozdrza Boscha; przynosił ulgę po smrodzie panującym na zewnątrz pokoju.

Harry obrócił się i rozejrzał po wnętrzu. Zbyt wielu ludzi było w niewielkiej przestrzeni: trzech funkcjonariuszy, Edgar i człowiek w cywilnym ubraniu - zapewne z wydziału narkotyków. Dwaj funkcjonariusze stali blisko siebie pod przeciwną ścianą i wpatrywali się w dwie dziury po kulach w tynku. Jeden z nich chciał wetknąć palec w otwór.

- Nie rusz! - warknął Harry. - Niczego nie dotykajcie. Wszyscy mają stąd wyjść i czekać na zespół do spraw użycia broni. Kto strzelał?

- Edge - powiedział policjant z wydziału narkotyków. - Facet zaczął się na nas w szafie i...

- Przepraszam, jak się nazywasz?

- Phillips.

- Dobra, Phillips, nie chcę słuchać twojej historii. Zachowaj ją dla zespołu. Idź po Edgewooda i zaczekaj z nim na dole. Kiedy przyjadą sanitariusze, powiedz, żeby się nie fatygowali. Mogą oszczędzić sobie wycieczki po schodach.

Policjanci niechętnie wyszli z pokoju, zostawiając w nim tylko Boscha i Edgara. Edgar wyprostował się i podszedł do okna. Harry przeszedł w róg naprzeciw szafy i przyjrzał się ciału. Następnie podszedł do zwłok i przykucnął w tym samym miejscu co Edgar.

Przypatrzył się uważnie broni w ręce Stokesa. Domyślał się, że gdy zespół do spraw użycia broni wyjmie pistolet z ręki denata, stwierdzi, że numer seryjny został wytrawiony kwasem.

Pomyślał o dwóch strzałach, które usłyszał na podeście schodów. Dwóch, a następnie jeszcze dwóch.

Trudno było dokonać oceny z pamięci, szczególnie biorąc pod uwagę to, gdzie się wówczas znajdował. Miał jednak wrażenie, że dwa pierwsze strzały były donośniejsze niż następne - pochodziły z broni większego kalibru. Jeśli tak, znaczyłoby to, że Stokes strzelał ze swojej pukawki po tym, gdy Edgewood użył broni służbowej. Oznaczałoby też, że Stokes zdołał oddać dwa strzały po trafieniu w twarz i pierś - a obydwie rany wyglądały Boschowi na powodujące natychmiastową śmierć.

Edgar podszedł do niego z tyłu.

- Co o tym myślisz?

- Nieważne, co ja myślę - odrzekł Bosch. - Nie żyje. Teraz to problem zespołu do spraw użycia broni.

- Teraz to zamknięta sprawa, partnerze. Chyba nie musimy się już martwić, czy prokuratura wniesie oskarżenie.

Bosch pokiwał głową. Wiedział, że odbędzie się zamykające dochodzenie i trzeba będzie uzupełnić papierkową robotę, ale śledztwo się skończyło. Ostatecznie zostanie uznane za „zamknięte w inny sposób” - czyli bez procesu i skazania, ale i tak zaliczone do spraw rozwiązanych.

- Pewnie nie - powiedział. Edgar klepnął go w ramię.

- Nasza ostatnia wspólna sprawa, Harry. Jesteśmy górą.

- No. Powiedz mi coś: wspominałeś podczas porannej odprawy o prokuratorze i tym, że sprawca był nieletni?

- Taa, mogłem coś takiego powiedzieć - odrzekł po długiej chwili Edgar.

- Mówiłeś, że kręcimy się w kółko, tak jak mnie? Że prokurator pewnie nawet nie wniesie oskarżenia przeciwko Stokesowi?

- No, mogłem o tym wspomnieć. Dlaczego pytasz?

Nie odpowiedział. Wyprostował się i podszedł do okna. Zobaczył budynek Capitol Records, a w oddali godło Hollywood na szczycie wzgórza.

Kilka przecznic od hotelu na ścianie budynku wymalowano reklamę antytytoniową: kowboja z obwisłym papierosem w ustach wraz z ostrzeżeniem, że palenie powoduje impotencję.

Bosch odwrócił się do Edgara.

- Popilnujesz, dopóki nie przyjedzie zespół do spraw użycia broni?

- No, pewnie. Będą wkurzeni, że muszą się wdrapać dwanaście pięter. - Bosch skierował się do wyjścia. - Dokąd idziesz, Harry?

Wyszedł bez odpowiedzi. Ruszył do klatki schodowej po przeciwnej stronie budynku, by na pewno nie dogonić schodzących policjantów.

Rozdział 53

Żywi członkowie tego, co niegdyś było rodziną, tworzyli ostrokątny trójkąt wokół grobu na zboczu cmentarza Forest Lawn. Sheila Delacroix stała po jednej stronie trumny, a matka - po przeciwnej. Obie otworzyły czarne parasolki, by uchronić się przed mżawką, która zaczęła padać jeszcze przed świtem. Ojciec stał z gołą głową i mókł, ale żadna z kobiet nie zrobiła najmniejszego ruchu, by przygarnąć go pod parasolkę.

Odgłos deszczu i szum z pobliskiej autostrady zagłuszały większość słów wynajętego kaznodziei, tak że Bosch w zasadzie nic nie słyszał. On też nie miał parasola; obserwował pogrzeb z oddali, skrywszy się pod dębem. Uznał za ironię losu, że chłopiec był chowany na wzgórzu i w deszczu.

Zadzwoił do biura patologa, żeby dowiedzieć się, które przedsiębiorstwo zajmuje się pochówkiem i w ten sposób trafił na Forest Lawn. Dowiedział się, że po szczątki chłopca zgłosiła się jego matka i to ona zaplanowała ceremonię. Bosch przyjechał na pogrzeb zarówno z powodu chłopca, jak i dlatego, że chciał znów zobaczyć się z jego matką.

Trumna Arthura Delacroix wyglądała, jakby wykonano ją dla dorosłej osoby. Była lśniąco szara i miała polerowane chromowane poręcze. Jak na trumnę, była piękna niczym świeżo nawoskowany

samochód. Deszcz perlił się na jej powierzchni i ściekał do grobu. Była jednak za duża jak na same kości, i to w jakiś sposób dręczyło Harry'ego. Przypominało to dziecko w niedopasowanym ubraniu, które niewątpliwie dostało po kimś innym. Zawsze mówiło to coś o takim dziecku: że cierpiało niedostatek. Że było drugie w kolejności.

Gdy deszcz rozpadał się bardziej, kaznodzieja uniósł parasol, drugą ręką podtrzymując otwarty modlitewnik. Kilka wierszy dotarło do Harry'ego bez przeszkód. Kaznodzieja mówił o czekającym Arthura królestwie niebieskim. Przypomniało to Boschowi niewzruszoną wiarę Gollihera mimo okropieństw, jakie widział i dokumentował każdego dnia. Dla Boscha wyrok w tej sprawie jeszcze nie zapadł. Na razie wciąż był jeszcze obywatelem ziemskiego królestwa.

Zauważył, że trzej członkowie rodziny nie patrzą na siebie. Gdy opuszczono trumnę i kaznodzieja ostatni raz nakreślił znak krzyża, Sheila odwróciła się i ruszyła w stronę alejki do parkowania. Nie dała w ogóle poznać po sobie, że dotarła do niej obecność rodziców.

Samuel natychmiast ruszył jej śladem. Gdy Sheila obejrzała się i zobaczyła go za sobą, przyspieszyła kroku. Wreszcie po prostu upuściła parasolkę i zaczęła biec. Dotarła do samochodu i odjechała, nim ojciec zdążył ją dogonić.

Samuel patrzył, jak wóz córki przejeżdża przez wielki cmentarz i wreszcie znika za bramą. Potem zawrócił po upuszczoną parasolkę. Zaniósł ją do swojego samochodu i też odjechał.

Bosch obejrzał się na grób. Kaznodziei już nie było. Rozejrzawszy się, Harry wypatrzył znikający za szczytem wzniesienia czarny parasol. Nie miał pojęcia, dokąd poszedł kaznodzieja; może czekał go tam drugi pogrzeb.

Przy grobie została tylko Christine Waters. Harry patrzył, jak zmawia w duchu modlitwę i rusza w stronę dwóch pozostałych samochodów. Ruszył pod takim kątem, by ich drogi się przecięły. Gdy zbliżył się, popatrzyła na niego spokojnie.

- Jestem zaskoczona, że pana tu widzę, detektywie.

- Dlaczego?

- Czy detektywi nie powinni być wyniośli i emocjonalnie niezaangażowani? Przybycie na pogrzeb to dowód więzi uczuciowej, nie sądzi pan? Zwłaszcza na pogrzeb w deszczowy dzień.

Wyrównał z nią krok. Pozwoliła mu skryć się pod parasolką.

- Dlaczego zgłosiła się pani po szczątki? - zapytał. - Dlaczego pani się tym zajęła? - Wskazał na grób za nimi.

- Bo uznałam, że nikt inny tego nie zrobi.

Dotarli do drogi. Harry zaparkował przed jej samochodem.

- Do widzenia, detektywie - powiedziała i odeszła.

- Mam coś dla pani.

Otworzyła drzwi i popatrzyła na niego.

- Co takiego?

Uchylił drzwi, otworzył bagażnik i też przeszedł między samochodami. Christine Waters zamknęła parasolkę, wrzuciła ją do wozu i podeszła do Harry'ego.

- Ktoś mi kiedyś powiedział, że życie to dążenie do jednego celu: zbawienia. Poszukiwanie odkupienia.

- Za co?

- Za wszystko. Za cokolwiek. Wszyscy chcemy przebaczenia.

Uniósł pokrywę bagażnika i wyjął z niej tekturowe pudełko.

Wyciągnął je w stronę Christine.

- Niech pani pomoże tym dzieciom.

Christine nie wzięła pudełka. Zamiast tego uchyliła pokrywkę i zajrzała do środka. Były w nim spięte gumkami pliki kopert i leżące luzem zdjęcia. Na wierzchu leżało zdjęcie patrzącego w przestrzeń chłopca z Kosowa. Christine sięgnęła do pudełka.

- Skąd pan je ma? - zapytała, trzymając w ręce kopertę jednej z organizacji charytatywnych.

- Nieważne - odparł. - Ktoś musi się nimi zająć.

Pokiwała głową i ostrożnie zakryła pudełko. Wzięła je z rąk Boscha i wróciła do swojego samochodu. Położyła je na tylnym siedzeniu i stanęła przy otwartych przednich drzwiach. Zanim wsiadła, popatrzyła na Boscha. Wyglądała, jakby chciała coś powiedzieć, ale się rozmyśliła. Wsiadła i odjechała. Harry

zamknął bagażnik i patrzył za oddalającym się wozem.

Rozdział 54

Polecenie komendanta policji znowu zignorowano. Bosch włączył światło w pokoju detektywów i podszedł do swojego biurka. Postawił na nim dwa puste tekturowe pudła.

Dochodziła północ w niedzielę. Postanowił opróżnić swoje biurko, kiedy nikogo tu nie będzie. Został mu jeszcze dzień w wydziale Hollywood, ale nie chciał spędzić go na pakowaniu pudeł i słuchaniu od kogokolwiek nieszczerych pożegnań. Zamierzał zacząć dzień z oczyszczonym biurkiem i skończyć go trzy-lub czterogodzinnym obiadem w „Musso and Frank”. Pożegnał się z tymi nielicznymi osobami, które lubił. Zamierzał wymknąć się po angielsku, nim ktokolwiek się zorientuje, że już go nie ma. Nie sposób było zachować się inaczej.

Zaczął od szafki z dokumentami. Zabrał z nich książki dochodzeń tych otwartych spraw, które spędzały mu niekiedy sen z powiek. Nie zamierzał z nich rezygnować, lecz pracować nad nimi w wolniejszych chwilach w wydziale zabójstw i rabunków. Albo samemu w domu.

Zapełniwszy jedno pudło, zaczął uprzątać szuflady w biurku. Zawahał się, gdy wyjął słoik z kulami. Nie włożył do niego jeszcze łuski pocisku wystrzelonego na pogrzebie Julii Brasher; postawił ją na półce u siebie w domu. Zamierzał zawsze ją przechowywać, a także fotografię rekina jako przypomnienie, czym grozi opuszczenie ochronnej klatki. Ojciec Julii pozwolił mu wziąć zdjęcie.

Ostrożnie postawił słoik w rogu drugiego pudła i upewnił się, że inne rzeczy nie pozwolą mu się przewrócić. Otworzył następnie środkową szufladę i zaczął wygarniać z niej długopisy, blankiety i inne przybory biurowe.

Po szufladzie poniewierały się stare wiadomości telefoniczne i wizytówki ludzi, z którymi miał kontakt przy sprawach. Harry przeglądał je po kolei i decydował, czy je zachować, czy wyrzucić do kosza na śmieci. Kiedy miał już stosik pamiątek, spiął je gumką i włożył do pudła.

Gdy szuflada była już prawie pusta, wyciągnął złożoną kartkę papieru. Było na niej napisane:

Gdzie jesteś, Twardzielu?

Bosch długo się jej przyglądał. Od razu obudziła w nim wspomnienia wszystkiego, co się wydarzyło od chwili, gdy zaledwie trzynaście dni wcześniej zaparkował przy Wonderland Avenue. Zmusiła go do myślenia, co robi i dokąd zmierza. Obudziła myśli o Trencie, Stokesie, a przede wszystkim Arthurze Delacroix i Julii Brasher. Przypomniała mu, co Gollither powiedział o badaniu kości ofiar morderstw sprzed tysięcy lat. I sprawiła, że sformułował odpowiedź na pytanie na kartce papieru.

- Nigdzie - powiedział na głos.

Złożył kartkę i włożył ją do pudła. Popatrzył na swoje ręce, na blizny na kłykciach. Przesunął palcami jednej dłoni po śladach na drugiej. Pomyślał o wewnętrznych bliznach powstałych od walenia w niewidzialne mury.

Zawsze wiedział, że bez swojej pracy, odznaki, misji będzie zgubiony. W tym momencie uświadomił sobie, że i tak może go to czekać. W istocie był pewnie zgubiony właśnie przez to. Właśnie to, co uznawał za najpotrzebniejsze, otaczało go całunem daremności.

Podjął decyzję.

Wyciągnął z kieszeni etui z odznaką. Wyjął spod plastikowego okienka legitymację i odpiął odznakę. Przesunął kciukiem po wypukłym nadruku „Detektyw”. Przypominał w dotyku blizny na jego palcach.

Włożył odznakę i legitymację do szuflady. Wyciągnął pistolet z kabury, przyjrzał się mu przez długą chwilę i również go włożył do szuflady. Zamknął ją na klucz.

Wyprostował się i przeszedł przez pokój detektywów do gabinetu Grace Billets. Drzwi były otwarte. Położył na bibularzu biurka pani porucznik klucze od szuflady i służbowego samochodu. Był pewien, że

zaintryguje ją to następnego ranka na tyle, że zajrzy do jego szuflady. Wtedy zrozumie, że Harry nie wróci. Ani do komendy Hollywood, ani do wydziału zabójstw i rabunków. Zwracał odznakę - ogłaszał Kod 7. Skończył pracę.

W drodze powrotnej przez pokój detektywów Bosch rozejrzał się wokół siebie i doznał przenikliwego poczucia ostateczności. Nie wahał się jednak. Położył pudła jedno na drugim i wyniósł je na korytarz. Zostawił za sobą zapalone światła. Minąwszy biurko przy wejściu, pchnął plecami ciężkie drzwi wejściowe.

- Hej, wyświadczyć mi przysługę - zawołał do siedzącego za biurkiem dyżurnego. - Wezwij mi taksówkę.

- Załatwione, ale przy tej pogodzie możesz na nią trochę poczekać. Może zaczekasz w...

Drzwi zamknęły się, ucinając słowa policjanta. Harry stanął na krawężniku. Była mokra, chłodna noc. Pokrywa chmur doszczętnie zasłaniała księżyc.

Przytrzymując przy piersiach tekturowe pudła, czekał w deszczu na przyjazd taksówki.

Nota autora

W 1914 roku w dołach asfaltowych w La Brea odnaleziono kości kobiety - ofiary morderstwa. Kości liczyły dziewięć tysięcy lat, co czyni z tej kobiety najdawniejszą znaną ofiarę zbrodni w miejscu obecnie nazywanym Los Angeles. W dołach asfaltowych nadal trwają ruchy geologiczne i na powierzchnię wydobywają się wciąż nowe kości. Wspomniane w tej książce znalezienie drugiej ofiary morderstwa jest jednak fikcją - przynajmniej w chwili pisania powieści.